

Douglas Preston
Lincoln Child

POZA GRANICĄ LODU

Słynny duet powraca z pasjonującą
powieścią przygodowo-sensacyjną
przesyconą atmosferą strachu.
Super ekstra zabawa.



Douglas Preston
Lincoln Child

POZA GRANICĄ LODU

Z języka angielskiego przełożył
ROBERT P. LIPSKI



Dla Jamie Raab

Gideon Crew patrzył na Elego Glinna. Mężczyzna stał – tak, stał! – w kuchni chatki Gideona w górach Jemez i spoglądał łagodnymi szarymi oczami na zaskoczonego Gideona. Od kilku minut terenowy wózek inwalidzki stał bezużyteczny. Do tej pory Glinn siedział na nim zawsze, odkąd Gideon poznał go kilka miesięcy temu.

Glinn wskazał dłonią na wózek.

– Przepraszam za to przedstawienie. Zainscenizowałem je z ważnych powodów: aby pokazać ci, że nasza misja na Zaginioną Wyspę, pomimo pewnych, pożałowania godnych aspektów, nie była nadaremna. Wręcz przeciwnie, jestem żywym dowodem tego, że zakończyła się sukcesem.

Zapadła cisza na minutę czy dwie. Wreszcie Gideon podszedł do kuchenki, wziął patelnię z pierśią dzikiej kaczki przyrządzoną wybornie w imbirze i emulsji z czarnych truflii i wrzucił potrawę do kosza.

Glinn bez słowa odwrócił się i nieco chwiejnym krokiem ruszył w stronę drzwi chatki, podpierając się kijkiem do nordic walking. Manuel Garza, kierownik operacyjny w należącej do Glinna firmie Effective Engineering Solutions (Efektywne Rozwiązania Inżynieryjne), chciał pomóc szefowi w ponownym zajęciu miejsca na wózku, ale ten zbył go machnięciem ręki.

Gideon patrzył, jak dwaj mężczyźni wychodzą z chatki; Garza toczył przed sobą pusty wózek. W umyśle Gideona wciąż rozbrzmiewało echo słów wypowiedzianych przed kilkoma minutami przez Elego Glinna. „To coś znów rośnie. Musimy je zniszczyć. Trzeba działać natychmiast”.

Gideon wziął kurtkę i ruszył za ludźmi z EES-u; śmigłowiec, którym tamci przylecieli na to odludzie, nie wyłączył silników, wirniki obracały się, wywołując falowanie traw na rozległej łące.

Wsiadł za Glinnem do maszyny, zajął miejsce, zapiął pasy i nałożył zestaw słuchawkowy z mikrofonem. Helikopter wzbił się ku błękitnemu niebu Nowego Meksyku i skierował na południowy wschód. Gideon patrzył, jak jego chatka coraz bardziej się zmniejsza, aż zmieniła się w małą czarną kropkę pośród łąk, na dnie otoczonej górami niecki. Nagle ogarnęło go dziwne przeczucie, że już nigdy jej nie zobaczy.

Odwrócił się do Glinna i wreszcie się odezwał.

– A więc znów możesz chodzić. A co z twoim chorym okiem... Też wyzdrowiało?

– Tak. – Glinn uniósł lewą rękę, jeszcze do niedawna przykurczoną, bezwładną jak szpon, i powoli poruszył palcami. – Z każdym dniem jest coraz lepiej. Dzięki uzdrawiającej mocy rośliny, którą odkryliśmy na wyspie, mogę teraz

dokończyć dzieło swojego życia.

Gideon nie musiał pytać o roślinę. Ani o „dzieło życia”, o którym wspomniał Glinn. Znał odpowiedzi.

– Nie ma czasu do stracenia. Mamy pieniądze. Mamy statek i mamy sprzęt.

Gideon pokiwał głową.

– Zanim jednak odwieziemy cię do siedziby EES-u, musimy jeszcze odwiedzić pewne miejsce. Jest coś, co musisz zobaczyć. Z żalem przyznaję, że to nie będzie przyjemne.

– Co to takiego?

– Wolałbym nie mówić nic więcej.

Gideon usiadł wygodniej, czując lekkie rozdrażnienie: oto tradycyjnie nieodgadniony, nieprzenikniony Glinn. Przeniósł wzrok na Garzę i stwierdził, że on również był tajemniczy jak jego szef.

– Czy mógłbyś mi przynajmniej powiedzieć, dokąd się wybieramy?

– Oczywiście. W Santa Fe przesiądziemy się na pokład odrzutowca EES-u i polecimy do San Jose. Prywatnym samochodem dotrzemy na wzgórze nad Santa Cruz i złożymy wizytę pewnemu dżentelmenowi, który tam rezyduje.

– Brzmi dość zagadkowo.

– Nie było to moją intencją.

– No jasne.

Delikatny, bardzo delikatny uśmiech.

– Za dobrze mnie znasz. Ale skoro tak, to wiesz również, że wszystko, co robię, ma ściśle określony cel.

Śmigłowiec zostawił góry daleko w tyle. Gideon mógł teraz ujrzeć lśniąca wstęgę Rio Grande płynącą leniwie przez wąwóz White Rock, a jeszcze dalej wzgórza Caja del Rio. Po lewej rozciągało się miasto Santa Fe. Gdy polecili dalej nad południowym krańcem miasta, zobaczyli lotnisko.

– Gdy mówiłeś o ostatnim projekcie – odezwał się Gideon – wspominałeś o obcej istocie, o nasieniu. Powiedziałeś, że to nasienie zagraża Ziemi. Wszystko to wydaje się dość mgliste i niejasne. Może zechciałbyś wtajemniczyć mnie w szczegóły? Począwszy od tego, w czym konkretnie miałbym ci pomóc.

– Wszystko w swoim czasie – odparł Glinn. – Po naszej małej wycieczce do Santa Cruz.

Lincoln navigator z kierowcą o wyglądzie elfa i w zielonej czapce czekał na nich na lotnisku w San Jose. Stamtąd skierowali się na południe autostradą numer 17, w głąb porośniętych przez sekwoje wzgórz. To była cudowna przejażdżka wśród strzelistych, majestatycznych drzew. Zarówno Glinn, jak i Garza zachowywali zdecydowane milczenie. Gideon czuł, że są skrupowani i zakłopotani.

W sercu sekwojowego lasu samochód zjechał z autostrady i podążał dalej krętą drogą biegnącą przez ciąg kotlin, minął niewielkie ranczo, farmy leżące na uboczu wioski, zaniedbane przyczepy mieszkalne i podniszczone domki, gęste zagajniki sekwoi, łąki oraz szemrzące potoki. Wąska spękana asfaltowa szosa ustąpiła miejsca drodze żwirowej. Zbliżał się wieczór i zaczęły się zbierać czarne chmury przesłaniające krajobraz.

– Chyba właśnie minęliśmy motel Bates¹ – powiedział Gideon i nerwowo parsknął śmiechem.

Nikogo więcej to nie rozbawiło. W samochodzie wyczuwało się narastające napięcie.

Żwirówką dotarli do kolejnego sekwojowego lasu i niemal natychmiast znaleźli się przed dużą bramą wjazdową z kutego żelaza, wprawioną w wysoki kamienny mur. Na drewnianej tablicy, niegdyś elegancko pomalowanej i złoconej, a teraz nieco przyblakłej, dało się dostrzec napis:

DEARBORNE PARK

Poniżej przykręcono śrubami brzydką użytkową tabliczkę:
WSTĘP WZBRONIONY

OSOBOM ŁAMIĄCYM TEN ZAKAZ
GROŻĄ SUROWE SANKCJE
KARNE I FINANSOWE

Gdy znaleźli się bliżej, brama otworzyła się automatycznie. Przejechali przez nią i zatrzymali się przy niewielkiej budce strażniczej. Kierowca w zielonej czapce opuścił szybę i odezwał się do mężczyzny, który wyszedł z wartowni, i ten machnięciem ręki nakazał im jechać dalej. Droga ciągnęła się wśród tonących w półmroku sekwoi. Zaczęło padać, wielkie krople rozpryskiwały się na przedniej szybie lincolna.

W samochodzie zapanowała przygnębiająca atmosfera. Kierowca włączył wycieraczki, które zaczęły pracować w monotonnym rytmie.

SUV wspiął się na wzgórze i okazało się, że sekwoje ustępowały tutaj

miejsca rozległej, zajmującej wiele hektarów łące. Gideon miał wrażenie, że pomimo ulewy dostrzega w oddali fale Pacyfiku. Na drugim końcu łąki przechodziła w tarasowy trawnik, u którego szczytu wznosiła się rezydencja z szarego piaskowca, w stylu neogotyckim, na ścianach zaś dało się zauważyć zacieki. Cztery wieżyczki zwieńczone blankami i krenelażami otaczały wielką salę główną, której gotyckie, łukowato sklepione okna połyskiwały matową żółcią w świetle burzowego zmierzchu.

Dotarli do rezydencji łukowatym podjazdem, przy wtórce chrzęstu żwiru miażdżonego kołami samochodu. W oddali błysnęło, a po chwili rozległ się huk grzmotu.

Gideon darował sobie żarcik nawiązujący do *Rodziny Addamsów*, gdy kierowca zatrzymał wóz przy portyku ozdobionym kolumnami. Na schodach czekał rudowłosy sanitariusz: stał z założonymi muskularnymi ramionami na białym fartuchu i przyglądał im się, gdy wysiadali. Nikt więcej nie wyszedł, by ich powitać. Sanitariusz zdawkowym gestem dał znak, aby podążyli za nim, i wspiął się po kamiennych stopniach. Weszli do wielkiej sali, która pełniła też funkcję holu. Była urządzona spartańsko, niemal pusta, więc echo ich kroków wydawało się wyjątkowo głośne. Niewidzialna dłoń z hukiem zatrzasnęła za nimi drzwi.

Skręcili w prawo i przeszli przez łukowato sklepione wejście, po czym pokonali długi korytarz i znaleźli się w salonie. Sanitariusz zapukał do rzeźbionych dębowych drzwi na drugim końcu pomieszczenia. Głos ze środka zaprosił ich, by weszli.

Był to mały, przytulny gabinet. Zza biurka podniósł się siwowłosy mężczyzna o szerokim, przyjaznym obliczu, ubrany w tweedową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach. Wzdłuż ścian ciągnęły się regały z książkami. Naprzeciwko wejścia znajdował się opalany drewnem kominek, w którym buzował ogień.

– Witam, panie Glinn – powiedział mężczyzna, wychodząc zza biurka i wyciągając rękę na powitanie. – Panie Garza. – Wymienili uścisk dłoni. – A pan to zapewne doktor Crew. Witam, jestem doktor Hassenpflug. Proszę usiąść.

Jego słowom towarzyszył gest wskazujący fotele, na których mogli usiąść, rozstawione przy kominku. Życzliwość i ciepło tego mężczyzny stanowiły silny kontrast z niepokojem, jakim emanowali Garza i Glinn.

Zapadła krótka chwila ciszy. Wreszcie doktor Hassenpflug przełamał lody.

– Domyślam się, że chcecie zapytać, jak się czuje pacjent? Obawiam się, że wieści nie są krzepiące.

Glinn złączył dłonie i pochylił się lekko do przodu.

– Dziękuję, ale nie przybyliśmy tu, by rozmawiać o stanie zdrowia pacjenta. Tak jak już wcześniej ustaliliśmy, naszym jedynym celem dzisiaj jest spotkanie z pacjentem. Rokowania w sprawie jego stanu zdrowia nas nie interesują.

Hassenpflug wrócił na miejsce.

– Rozumiem, niemniej należą się wam słowa ostrzeżenia...

– Obawiam się, że na takie słowa jest już za późno...

Doktor zamilkł, a na jego twarzy pojawił się wyraz z troską. Oschły, surowy ton Glinna sprawił, że życzliwy nastrój i pogodny nastawienie gospodarza przysły w okamgnieniu.

– Dobrze więc. – Odwrócił się do sanitariusza, który stał obok nich z rękami zaplecionymi na białym fartuchu. – Ronaldzie, czy pacjent jest gotów, aby przyjąć gości?

– Bardziej już nie będzie, doktorze.

– Proszę zaprowadzić gości do jego pokoju. Ty i Morris pozostaniecie w pobliżu – polecił Hassenpflug i znów zwrócił się do Glinna: – Jeżeli pacjent zacznie się zanadto denerwować, będziemy zmuszeni przerwać odwiedzinę. Ocenia to Ronald i Morris.

– Rozumiem.

Przeszli przez salon i wielką salę, mijając kolejne łukowato sklepione przejście do czegoś, co kiedyś musiało być sporym pokojem gościnnym. Na drugim końcu znajdowały się drzwi, nie z drewna, lecz nitowane, wykonane ze stali, i właśnie w ich stronę się kierowali. Sanitariusz Ronald zatrzymał się przed drzwiami i nacisnął niewielki przycisk interkomu.

– Tak? – rozległ się cichy, zniekształcony przez urządzenie głos.

– Przyszli goście do pana Lloyda.

Dał się słyszeć brzęczyk i drzwi otworzyły się z głośnym szczękiem, by ukazać długi, elegancki, marmurowy korytarz z wiszącymi na ścianach portretami przodków. To miejsce nie miało w sobie nic z atmosfery zakładu zamkniętego, choć dla Gideona było już oczywiste, że znajdowali się właśnie w takiej placówce. Korytarz doprowadził ich do wytworzonego pokoju wypełnionego jasnym światłem. Wystrój wnętrza stanowiły ciemne wiktoriańskie kanapy i fotele, na ścianach wisiały płótna będące dziełem artystów związanych z Hudson River School, przedstawiające góry, doliny, rzeki i inne malownicze pejzaże. Jednakże uwagę Gideona zwrócił krzepki mężczyzna około siedemdziesiątki, o gęstych siwych włosach, siedzący na jednej z kanap. Miał na sobie kaftan bezpieczeństwa. Sanitariusz – Gideon przypuszczał, że był to Morris – siedział obok niego z tacą, na której stało kilka talerzy i półmisek zawierających okazałe porcje jedzenia o konsystencji purée. Sanitariusz karmił mężczyznę łyżeczką, wkładając mu do ust brązową papkę. Gideon zauważył, że na tacy czerwone wino – ni mniej, ni więcej – chateau pétrus. Przy butelce stał napełniony trunkiem plastikowy kubek niekapek.

– Są już goście, panie Lloyd – oznajmił Ronald.

Mężczyzna nazwiskiem Lloyd odchylił masywną kudłatą głowę i spojrzał na Glinna przenikliwymi niebieskimi oczami. Pomimo kaftana bezpieczeństwa

i wieku wciąż emanował witalnością i siłą fizyczną. Powoli, bardzo powoli, podniósł się, a wtedy Gideon zauważył, że nogi tamtego również były spętane skórzanymi opaskami połączonymi ogniwami metalowego łańcucha, co sprawiało, że mógł się on poruszać jedynie drobnymi krokami.

Starszy mężczyzna opuścił głowę i wypluł brązową breję, którą sanitariusz włożył mu właśnie do ust.

– Glinn – wypluł to słowo jak przed chwilą purée. – I Manuel Garza. Jakże mi miło. – Jego ton wskazywał jednak, że wcale nie jest to dla niego miłe spotkanie. Głos miał dziwny, głęboki i drżący, szorstki, jakby ochrypły. To był głos szaleńca.

Teraz swoje świdrujące niebieskie spojrzenie przeniósł na Gideona.

– Przyprawiliście przyjaciela?

– To mój współpracownik, doktor Gideon Crew – powiedział Glinn.

Atmosfera napięcia przekroczyła wszelkie limity. Lloyd zwrócił się do sanitariusza.

– Przyjaciel? Cóż za zaskoczenie.

Znow przeniósł wzrok na Glinna.

– Chciałbym ci się przyjrzeć z bliska.

– Przykro mi, panie Lloyd – odezwał się Glinn – musi pan pozostać na miejscu.

– Więc ty podejdź do mnie. Jeżeli masz jaja.

– Nie sądzę, żeby to było rozsądne... – zaczął Ronald.

Glinn zbliżył się do Lloyda. Sanitariusz zesztywnieli, ale nie próbowali interweniować. Glinn zatrzymał się półtora metra od Lloyda.

– Bliżej – warknął Lloyd.

Glinn postąpił krok naprzód. I jeszcze jeden.

– Bliżej – powtórzył Lloyd. – Chcę ci spojrzeć w oczy.

Glinn zatrzymał się, gdy jego twarz od Lloyda dzieliły zaledwie centymetry. Sanitariusz zaczęli nerwowo przestępować z nogi na nogę i czuwalili w napięciu.

– Dobrze. Już możesz się cofnąć.

Glinn wykonał polecenie.

– Co cię tu sprowadza?

– Organizujemy ekspedycję. Na południowy Atlantyk. Aż do granicy lodu. Zamierzamy zająć się wiadomym problemem i rozwiązać go raz na zawsze.

– Masz pieniądze?

– Tak.

– A więc jesteś nie tylko nierozważny, co może stanowić poważne zagrożenie dla ciebie i wszystkich w twoim otoczeniu. Jesteś również idiotą.

Cisza.

Lloyd mówił dalej.

– Przed pięcioma laty i dwoma miesiącami prosiłem, wręcz błagałem cię, a potem nawet ci rozkazałem, żebyś uruchomił procedurę awaryjnego zrzutu. A ty, szalony, cierpiący na obsesję sukinsynu, odmówiłeś. Ilu ludzi zginęło? Sto osiem osób. Nie licząc tych nieszczęśników na pokładzie Almirante Ramireza. Masz krew na rękach.

Glinn odezwał się spokojnym, beznamiętnym tonem.

– Nie możesz oskarżyć mnie o nic, czego ja sam nie zarzucałbym sobie setki razy.

– Nie popłacz się. Chcesz cierpienia? Spójrz na mnie. Na miłość boską, żałuję tylko, że nie poszedłem na dno z tą łajbą.

– To dlatego jesteś w kaftanie? – zapytał Glinn.

– Ha, ha! Jestem łagodny jak baranek. Włożyli mi ten kaftan, żeby utrzymać mnie przy życiu wbrew mojej woli. Uwolnij mi jedną rękę i daj choćby dziesięć sekund, a będę trupem. I będę wolny. Ale nie, oni stale utrzymują mnie przy życiu i co więcej, robią to za moje pieniądze. Nie oszczędzają na wydatkach. Spójrz na moją kolację. Stek z polędwicy wołowej w zapiekance z ziemniakami i gruyère'em oraz opiekaną brukselką, naturalnie zmiksowane, żebym nie spróbował popełnić samobójstwa przez zadławienie. A wszystko to popijane château pétrus rocznik dwa tysiące. Przyłączysz się?

Glinn nie odpowiedział.

– A teraz jesteś tu.

– Tak, teraz jestem tu. Nie po to, by przeproszać, bo wiem, że żadne przeprosiny nie będą stosowne, i wiem, że nie zostaną przyjęte.

– Powinieneś był to zabić, kiedy miałeś po temu okazję. Jest już za późno. Nie zrobiłeś nic, podczas gdy obcy rozrastał się i obzerał.

– Panie Lloyd – rzekł Morris – proszę pamiętać, że obiecał pan nie mówić więcej o obcych.

– Słyszałeś, Glinn? Zabroniono mi mówić o kosmitach! Przez całe lata próbują nakłonić mnie do tego, żebym przestał pleść chore bajdy o kosmitach! Ha, ha, ha!

Glinn milczał.

– To jaki masz plan? – zapytał Lloyd, opanowawszy się po krótkiej chwili.

– Zamierzamy to zniszczyć.

– Bardzo przepraszam – odezwał się Morris – ale nie wolno nam utwierdzać pacjenta w jego urojeniach...

Glinn uciszył go pełnym zniecierpliwienia gestem.

– Zniszczyć to? Odważne słowa! Nie uda ci się. Poniesiesz porażkę tak jak pięć lat temu – powiedział, a po chwili zapytał: – Czy McFarlane płynie z tobą?

Tym razem to Glinn zamilkł na moment.

– W ostatnich latach stan zdrowia doktora McFarlane'a nie był najlepszy

i nie wiodło mu się zbyt dobrze, dlatego nie wydawało mi się stosowne, żeby...

– Jego stan zdrowia nie był najlepszy i nie za dobrze mu się wiodło? A tobie jak się wiodło w ostatnich latach? Albo mnie? – Lloyd zaśmiał się ponuro. – A więc zamiast Sama zabierzesz ze sobą innych, w tym także tego nieszczęśnika... jak mu tam?... Gideona. Poślesz ich do stworzonego przez siebie piekła. Bo nie zdajesz sobie sprawy ze swoich słabości. We wszystkich innych czytasz jak w otwartej księdze, ale jesteś ślepy, bo nie dostrzegasz swojej arogancji i głupoty. – Zamilkł, ciężko oddychając, a po jego twarzy spływały strużki potu.

– Panie Glinn – ostrzegł Ronald – pacjentowi nie wolno się denerwować.

Lloyd odwrócił się do sanitariusza, nagle spokojny i zrównoważony.

– Jak widzisz, Ronaldzie, ani trochę się nie denerwuję.

Sanitariusz niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

– Nie przyjechałem tu, żeby się przed tobą usprawiedliwiać – rzekł półgłosem Glinn. – Zasluguję na to wszystko, a nawet więcej. I nie jestem tu, żeby prosić cię o wybaczenie za to, co zrobiłem.

– Wobec tego po coś tu przyjechał, ty sukinsynu? – ryknął nagle Lloyd, przyskajac brązowymi drobinkami przetartego steku z polędwicy prosto w twarz Glinna.

– Wystarczy – rzekł Ronald. – Koniec odwiedzin. Musicie panowie wyjść.

Glinn wyjął chustkę i starannie wytarł nią twarz, po czym odezwał się ze spokojem.

– Przyjechałem, żeby zyskać twoją aprobatę.

– Równie dobrze mógłbyś poprosić latarnię, żeby zaaprobowała fakt, że pies się na nią odlewa. Nie aprobuję tego. Nie pochwalam. Jesteś idiotą, jeżeli sądzisz, że nadal możesz zniszczyć to, co rozwija się tam na dole. Ale zawsze byłeś aroganckim, mającym wszystkich za nic hochsztaplerem. Chcesz mojej rady?

– Dość już tego! – rzekł Ronald, po czym wkroczył do akcji, ujął Glinna za ramię i skierował go w stronę drzwi.

– Tak, chcę twojej rady – rzucił przez ramię Glinn.

Gdy Gideon ruszył za sanitariuszem, który łagodnie, lecz stanowczo prowadził Glinna do wyjścia, usłyszał, jak Lloyd wysyczał:

– Nie budź obcego, który śpi.

Po powrocie do siedziby EES-u przy Dwunastej Ulicy Little West, w sali posiedzeń wysoko nad dawną nowojorską dzielnicą przetwórstwa mięsnego Gideon zajął swoje miejsce przy stole konferencyjnym. Było ich tylko trzech: Garza, Glinn i on. Minęła właśnie trzecia w nocy. Glinn najwyraźniej potrafił obywać się bez snu i oczekiwał tego samego od swoich pracowników.

Gideon zaczął się zastanawiać, czy Glinn naprawdę się zmienił. Nigdy dotąd nie widział tego człowieka równie zdeterminowanego i pełnego zapału, a przy tym tak zasadniczego i poważnego. Spotkanie z Lloydem w olbrzymim jednoosobowym szpitalu psychiatrycznym najwyraźniej nim wstrząsnęło.

Mężczyzna, który przyniósł im kawę, wyszedł bez słowa, zamykając za sobą drzwi. W pomieszczeniu panował półmrok, światła były przygaszone. Glinn zasiadł u szczytu stołu, splatając dłonie przed sobą, i zanim się odezwał, odczekał chwilę, aż zapanowała całkowita cisza. Przeniósł spojrzenie swoich szarych oczu na Gideona.

– I co myślisz o naszych odwiedzinach u Palmera Lloyda?

– Nielicho mnie wystraszył – odparł Gideon.

– Teraz rozumiesz, dlaczego chciałem, żebyś go poznał?

– Jak sam powiedziałeś: żeby zyskać jego aprobatę, zdobyć jego błogosławieństwo. Bądź co bądź to coś tam na dole kosztowało go mnóstwo pieniędzy, że nie wspomnę o jego zdrowiu psychicznym.

– Po części tak. Chciałem też – jak to ująłeś – Nielicho cię wystraszyć. Żebyś zdał sobie sprawę z powagi przedsięwzięcia, którego się podejmujemy. Musisz wejść w to z otwartymi oczami, bo bez ciebie nam się nie uda.

– Naprawdę doprowadziłeś do śmierci stu ośmiu osób?

– Tak.

– Nie było żadnego dochodzenia? Nie postawiono ci żadnych zarzutów?

– Powiedzmy, że pewne, hm, niezwykle okoliczności wynikające z relacji między Chile a Stanami Zjednoczonymi doprowadziły do tego, że departamenty stanu obu państw postarały się, żeby dochodzenie nie było zbyt skrupulatne.

– Nie podoba mi się to.

Glinn odwrócił się do Garzy.

– Manuelu, zechciałbyś podzielić się z Gideonem niezbędnymi informacjami?

Garza pokiwał głową, wyjął z aktówki opasłą kartonową teczkę i położył przed sobą na blacie.

– Część z tego już znasz. Ale i tak zacznę od początku. Gdybyś miał pytania, śmiało możesz mi przerwać, nie wahaj się. Sześć lat temu do EES-u zgłosił się

Palmer Lloyd ze szczególnym zleceniem.

– Ten sam Palmer Lloyd, którego właśnie widziałem w Dearborne Park?

– Tak. Miliarder zamierzał zbudować muzeum historii naturalnej w dolinie rzeki Hudson. W tym celu gromadził najrzadsze, najbardziej wyrafinowane i największe okazy wszystkiego. Pieniądze nie grały roli. Udało mu się już zdobyć największy na świecie diament, największego t-rexa i największą piramidę egipską. W którymś momencie doniesiono mu o odnalezieniu największego na świecie meteorytu. Spoczywał on na Desolación, niezamieszkaney wysepce w archipelagu Ziemi Ognistej, przy samym wierzchołku Ameryki Południowej. Wyspy te należą do Chile. Lloyd wiedział, że władze nigdy nie pozwolą na to, by meteoryt opuścił terytorium Chile. Dlatego wynajął EES i łowcę meteorytów nazwiskiem Sam McFarlane, żeby go ukraść.

– Przepraszam – odezwał się Glinn – ale „ukradł” nie jest odpowiednim słowem. Nie zrobiliśmy niczego nielegalnego. Wydzierzawiliśmy prawa do wydobycia kopalin z terenu wyspy Desolación, dzięki czemu mogliśmy pozyskać z niej żelazo w jakiegokolwiek postaci.

– Kradzież może nie jest adekwatnym określeniem tego, co zrobiliśmy – rzekł Garza – ale tak czy inaczej było to oszustwo.

Usłyszawszy tak surowe napomnienie, Glinn zamilkł. Garza mówił dalej.

– Meteoryt był wyjątkowo ciężki. Ważył dwadzieścia pięć tysięcy ton. Miał ciemnoczerwoną barwę, olbrzymią gęstość i inne... cóż... szczególne właściwości. I tak pod przykrywką operacji mającej na celu eksploatację złóż rudy żelaza wyposażyliśmy odpowiednio statek Rolvaag, popłynęliśmy na wyspę, wydobyliśmy skałę i załadowaliśmy ją na pokład. Powiem tylko, że było to naprawdę ogromne wyzwanie pod względem inżynieryjnym. Ale udało się nam, i to, przyznam, naprawdę znakomicie. Wtedy jednak zostaliśmy przyłapani. Kapitan zbuntowanego chilijskiego niszczyciela zorientował się, co zamierzamy. Dowodził Almirante Ramirezem, o którym wspominał Lloyd. Zamiast powiadomić swoich przełożonych, postanowił zgrywać bohatera i ruszył za nami w pogoń na południe, aż do granicy lodu.

– Granica lodu? Wspomniałeś wczoraj tę nazwę. Co to takiego?

– To miejsce, gdzie południowe oceany spotykają antarktyczne paki dryfującego lodu. Bawiliśmy się z niszczycielem w chowanym pośród tych gór lodowych. W trakcie tej konfrontacji Rolvaag został trafiony, ale koniec końców udało się nam zatopić niszczyciel.

– Zatopiliście niszczyciel? Jak?

– To skomplikowana historia, pozostanmy przy skróconej wersji. Tak czy inaczej, Rolvaag przewożący w ładowni meteoryt o wadze dwudziestu pięciu tysięcy ton został poważnie uszkodzony przez niszczyciel. Nastąpiło załamanie pogody. Stanęliśmy przed dylematem: czy pozbyć się ładunku, czy pójść na dno.

– Jak pozbyć się ładunku w postaci ważącej dwadzieścia pięć tysięcy ton skały?

– W tym celu zainstalowaliśmy specjalny awaryjny przycisk zwalniający. Miał umożliwić zrzucenie meteorytu na dno przez drzwi w kadłubie.

– Czy nie doprowadziłoby to do zatonięcia statku?

– Nie. Co prawda duża ilość wody dostałaby się do środka, zanim drzwi ponownie by się zamknęły, ale statek był wyposażony w pompy i samouszczelniające się grodzie, które poradziłyby sobie z tym problemem. Załoga i kapitan chcieli pozbyć się skały...

Garza nagle się zawahał i spojrzał na Glinna.

– Opowiedz całą historię, Manuelu. Niczego nie pomijaj.

– Koniec końców wszyscy chcieli posłać skałę na dno. Nawet Lloyd zmienił nastawienie. Ale tylko Eli miał kod aktywujący procedurę zrzutu awaryjnego. Uparł się, że statek sobie poradzi. Wszyscy go prosili, błagali, a nawet mu grozili, ale on się nie ugiął. Niestety, Eli się pomylił. Rolvaag zatonął.

Garza znów spojrzał na Glinna.

– Pozwólcie, że opowiem resztę – rzekł półgłosem Glinn. – Tak, odmówiłem naciśnięcia guzika zrzutu awaryjnego. Pomyliłem się. Pani kapitan nakazała ewakuację. Tylko niektórzy zdołali się uratować. Pani kapitan... – Zawahał się i na chwilę zamilkł. – Pani kapitan, kobieta wielkiej odwagi, poszła na dno ze statkiem. Wielu innych straciło życie w szalupach ratunkowych albo zamarzło na śmierć na pobliskich wysepkach lodowych, zanim dotarła do nich pomoc.

– A Lloyd? Co z nim się stało?

– Został ewakuowany w pierwszej szalupie ratunkowej, dodam tylko, że wbrew jego woli.

– Jak tobie udało się przeżyć?

– Byłem w ładowni i próbowałem zabezpieczyć meteoryt. W końcu jednak wypadł ze swojej kołyski i rozerwał statek na dwie części. Doszło do eksplozji. Wyglądało to tak, jakby meteoryt w zetknięciu ze słoną wodą zareagował w niezwykle sposób, wywołując falę uderzeniową. Wyrzuciło mnie ze statku. Pamiętam, że ocknąłem się na tratwie z pływających szczątków. Byłem ciężko ranny. Znalaziono mnie następnego dnia, bliskiego śmierci.

Glinn zamilkł, bawiąc się kubkiem z kawą.

– A więc to coś spoczywa teraz na dnie oceanu. Skąd niepokój? Te słowa o tajemniczym zagrożeniu? I... o obcych? O kosmitach?

Glinn odsunął od siebie kubek z kawą.

– To McFarlane, łowca meteorytów, zrozumiał, czym naprawdę było to coś.

Zapadła długa cisza.

– W astronomii istnieje poważna teoria panspermii – podjął wreszcie swój wywód Glinn. – Głosi ona, że życie może rozprzestrzeniać się w galaktyce za

pośrednictwem bakterii lub zarodników przenoszonych na powierzchni meteorytów bądź w chmurach pyłu. Jednakże teoria ta zakłada jedynie życie na poziomie mikroskopijnym, coś maleńkiego. Wszyscy przegapili oczywistą ideę, że życie może się rozprzestrzeniać poprzez nasiona. Gigantyczne ziarno mogłoby lepiej przetrwać chłód i silne promieniowanie w przestrzeni kosmicznej dzięki swoim rozmiarom i wytrzymałości. Z tego właśnie powodu orzechy kokosowe są duże, by mogły przetrwać długie podróże oceaniczne. W galaktyce jest wiele planet, na których dominuje woda, i wiele księżyców, na które takie ziarno mogłoby spaść, a następnie wypuścić tam pędy i się rozwinąć.

– Chcesz powiedzieć, że meteoryt był takim ziarnem? A gdy Rolvaag zatonął, nasienie poszło na dno i zostało... zasiane?

– Tak. Na ponad trzech i pół tysiąca metrów pod powierzchnią wody. A potem puściło pędy.

Gideon pokręcił głową.

– Niesamowite, o ile prawdziwe.

– Och, jak najbardziej prawdziwe. Wypuściło korzenie i wystrzeliło w górę jak gigantyczne drzewo, bardzo szybko i gwałtownie. Stacje sejsmiczne na całym świecie odnotowały przypadki trzęsienia ziemi na niewielkiej głębokości wokół tego miejsca. Kilka niedużych tsunami spustoszyło wybrzeża południowej Georgii i Falklandów. Ale wszystko to działo się trzy i pół kilometra pod taflą wody, sygnatura sejsmiczna trzęsień wyglądała jak wynik erupcji podziemnego wulkanu. Podobnie z minisunami. Ponieważ wszystko rozgrywało się na obszarze oddalonym od szlaków handlowych i nie przedstawiało dla nikogo poważniejszego ryzyka, „podziemny wulkan” został zlekceważony. Nawet wulkanolodzy go zignorowali, gdyż zbadanie go nie wchodziło w rachubę z uwagi na zbyt dużą głębokość i związane z tym niebezpieczeństwo. Potem to coś zapadło w stan uśpienia i wszystko ucichło, dlatego nikt się nie zorientował, co się tak naprawdę dzieje. Poza mną, ma się rozumieć, oraz Samem McFarlane’em i Palmerem Lloydem.

Glinn poruszył się na fotelu.

– Ale przez ostatnie pięć lat pracowaliśmy nad planem uporania się z tym problemem. Manuel ci go referuje.

Garza spojrzał na Gideona.

– Zabijemy to coś.

– Ale przecież powiedziałeś, że to coś zapadło w stan uśpienia. Po co zadawać sobie tyle trudu, że nie wspomnę o kosztach i potencjalnym zagrożeniu?

– Ponieważ to obcy. Kosmita. Jest wielki. I niebezpieczny. Tylko dlatego, że to coś pogrążyło się w uśpieniu, nie znaczy, że tak pozostanie – prawdę mówiąc, nasze modele przewidują coś dokładnie przeciwnego. Zastanów się nad tym przez chwilę. Co się stanie, jeśli to coś zakwitnie albo wyda kolejne nasiona? Jeśli te

rośliny rozprzestrzenia się, by pokryć dna wszystkich oceanów? Jeśli się okaże, że mogą też rosnąć na lądzie? Nieważne, co o tym sądzisz, ważne, że to coś stanowi zagrożenie. Może zniszczyć Ziemię.

– Jak zamierzacie to unicestwić?

– Mamy około trzydziestu kilogramów plutonu, neutronowy zapalnik, szybkie i wolne kierunkowe materiały wybuchowe, tranzystory wysokich prędkości; wszystko, czego potrzeba, żeby zbudować bombę atomową.

– Skąd, u licha, wykombinowaliście to wszystko?

– W obecnych czasach w pewnych byłych krajach satelickich wszystko jest na sprzedaż.

Gideon pokręcił głową.

– Jezu.

– Mamy także wśród naszej załogi eksperta od broni nuklearnej.

– Kogo?

– Ciebie, rzecz jasna.

Gideon tylko patrzył.

– Tak – rzekł półgłosem Glinn. – Teraz już znasz prawdziwy powód, dla którego cię wynająłem. Bo od początku wiedzieliśmy, że ten dzień w końcu nastąpi.

W pokoju zapadła cisza. Gideon powoli dźwignął się z fotela, skutecznie maskując swój gniew.

– A więc wynająłeś mnie, żebym nadzorował budowę bomby atomowej – powiedział spokojnie.

– Tak.

– Innymi słowy, kiedy cztery miesiące temu Garza po raz pierwszy odwiedził mnie na łowisku przy potoku Chihuahueños i zaproponował sto tysięcy dolarów za tydzień pracy i kradzież planów nowego typu broni od chińskiego uczonego, który szukał kontaktu z naszymi służbami, tak naprawdę miałeś na myśli tę chwilę i to zadanie.

Glinn pokiwał głową.

– I chcesz użyć tej broni, żeby zabić gigantyczną obcą roślinę, która rzekomo rośnie na dnie oceanu.

– Krótko mówiąc, tak.

– Zapomnij.

– Gideonie – powiedział Glinn – już kilkakrotnie przerabialiśmy ten nużący taniec: twoją zdecydowaną odmowę, wyjście z trzaśnięciem drzwiami, a potem powrót po przemyśleniu całej sprawy. Czy moglibyśmy to wszystko pominąć, bardzo proszę?

Gideon przełknął ślinę, urażony.

– Pozwól, że spróbuję ci wyjaśnić, dlaczego uważam ten pomysł za szalony.

– Proszę.

– Po pierwsze, nie możesz zrealizować go sam, na własną rękę. Musisz zgłosić ten problem do ONZ-etu i pozyskać wsparcie całego świata, który połączy siły, aby zabić to coś.

Glinn ze smutkiem pokręcił głową.

– Czasami mnie zdumiewasz, Gideonie. Wydajesz się taki bystry, a czasem palniesz coś tak głupiego, że aż głowa boli. Czy właśnie zasugerowałeś, żebyśmy zwrócili się do Organizacji Narodów Zjednoczonych, aby rozwiązać ten problem?

Gideon zamilkł. Po namyśle musiał przyznać, że faktycznie nie był to najmądrzejszy pomysł.

– No dobrze, może nie do ONZ, ale przynajmniej zgłoszmy tę sprawę rządowi Stanów Zjednoczonych. Niech on się tym zajmie.

– Niech nasz znakomity kongres rozwiąże tę kwestię, tak jak radził sobie z innymi palącymi problemami w rodzaju globalnego ocieplenia, terroryzmu, edukacji i naszej rozlatującej się infrastruktury?

Gideon próbował skwitować te słowa jakąś ciętą ripostą, ale nic mu nie

przychodziło do głowy.

– Nie ma czasu na dyskusje – rzucił Glinn. – Tylko my możemy się tym zająć. Trzeba to zabić teraz, dopóki obca forma życia pozostaje w stanie uśpienia. Mam nadzieję, że nam pomożesz.

– A jeżeli nie?

– Wtedy, prędzej czy później, świat, jaki znamy, przestanie istnieć. Bo bez ciebie poniesiemy porażkę. A ty będziesz robił sobie z tego powodu wyrzuty do końca życia.

– Chciałeś powiedzieć: do końca mojego krótkiego życia. Z powodu tego, co rośnie w moim mózgu, zostało mi jeszcze osiem, może dziewięć miesięcy życia. Obaj doskonale o tym wiemy.

– Już nie.

Gideon spojrzał na Glinna. Wyglądał młodziej niż jakiś czas temu, jego ręka odzyskała sprawność i mógł znowu swobodnie gestykulować podczas rozmowy, martwe do niedawna oko odzyskało dawną barwę i blask, a wózek inwalidzki przestał już być potrzebny. Po ich ostatniej misji Glinn spożył przywracający zdrowie lotos, podobnie jak Gideon. W przypadku Glinna roślina podziałała, ale nic nie wskazywało na to, by uleczyła Gideona.

– Naprawdę wierzysz, że beze mnie ci się nie uda? – zapytał Gideon.

– Zawsze mówię tylko to, w co głęboko wierzę.

– Musisz mnie przekonać, że to coś jest tak niebezpieczne, jak twierdzisz, zanim pomogę ci z czymkolwiek, co ma związek z bronią jądrową.

– Przekonam cię.

Gideon zawahał się.

– I musisz uczynić mnie wicedyrektorem tego projektu.

– To absurdalny warunek – powiedział Glinn.

– Dlaczego? Sam stwierdziłeś, że sprawdzamy się jako zespół. Tyle że my nigdy nie działaliśmy zespołowo. Zawsze to ty mi mówiłeś, co mam robić, ja robiłem wszystko po swojemu, ty protestowałeś i koniec końców okazywało się, że to ja mam rację, a nie ty.

– To zbytne uproszczenie – skwitował Glinn.

– Nie chcę, żebyś podawał moje decyzje w wątpliwość i forsował swoje rozwiązania. Zwłaszcza jeżeli mamy mieć do czynienia z czymś tak niebezpiecznym jak broń atomowa – i to twoje ziarno.

– Nie lubię dzielić się władzą – burknął Glinn. – Będę musiał przepuścić tę propozycję przez nasze programy KAB – Kwantyfikatora Analiz Behawioralnych – aby sprawdzić, czy to miałyby szanse powodzenia.

– Mówiłeś, że nie ma czasu – odparł Gideon. – Podejmij decyzję albo odchodzę. Choć raz zrób coś bez konsultowania się z tymi cholernymi programami KAB.

Przez moment na twarzy Glinna malował się gniew, ale zaraz ustąpił miejsca beznamiętnej masce skrywającej nieodgadnioną tajemnicę.

– Gideonie – powiedział – zastanów się, jakimi cechami powinien się odznaczać przywódca, a także jego zastępca. Musi umieć pracować w zespole. Inspirować innych. Potrafić ukrywać swoje uczucia i w razie konieczności przekonująco udawać, robić dobrą minę do złej gry. Emanować pewnością siebie, nawet gdy mu jej brakuje. Nie może być wolnym strzelcem. Ani tym bardziej samotnikiem. A teraz powiedz: czy któraś z tych cech pasuje do ciebie?

Krótką chwilą ciszy.

– Nie – przyznał w końcu Gideon.

– Doskonale. – Glinn wstał. – Nasz pierwszy przystanek to Instytut Oceanograficzny Woods Hole. A potem wyruszamy na południowy Atlantyk – i poza granicę lodu.

Gdy śmigłowiec wszedł w zakręt, popołudniowe słońce zaskrzyło się na wodach Great Harbor w Massachusetts, a ich oczom ukazał się statek badawczy Batavia. Gideon zdziwił się, jak wielka wydawała się ta jednostka z powietrza i jak mała, w porównaniu z jej masywnym dziobem i wysoko wzniesioną centralną nadbudówką, wydawały się inne statki badawcze oraz łodzie cumujące na przystani.

– Oceanograficzny statek badawczy typu Walter N. Harper – rzekł Glinn z sąsiedniego fotela, zauważywszy zainteresowanie Gideona. – Sto metrów długości, osiemnaście metrów szerokości, wyporność siedem metrów. Ma dwa silniki o napędzie mechanicznym, z dwiema przekładniami zębatymi kątowymi, o mocy trzech i pół tysiąca koni mechanicznych, strumieniowy pędnik azymutalny o mocy tysiąca czterystu koni mechanicznych, pełne dynamiczne pozycjonowanie, zbiorniki o pojemności ponad dziewięciuset pięćdziesięciu tysięcy litrów i zasięg rzędu osiemnastu tysięcy mil morskich przy prędkości żeglugowej dwunastu węzłów...

– Zgubiłem się przy strumieniowym pędniku azymutalnym.

– Chodzi o to, że pędnik strumieniowy, zwany także wolnoodrzurowym, może być obracany w płaszczyźnie poziomej, dzięki czemu statek nie potrzebuje steru. Pozwala to na bardzo skuteczne i dokładne pozycjonowanie dynamiczne nawet na wzburzonym morzu, przy silnym wietrze i prądach wodnych.

– Pozycjonowanie dynamiczne?

– Utrzymuje statek w miejscu. Gideonie, z pewnością wiesz wszystko o łodziach po swojej niedawnej przygodzie na Karaibach.

– Wiem, że ich nie lubię, nie cierpię przebywać na morzu i z przyjemnością pozostanę kompletnym ignorantem w zagadnieniach żeglarskich i marynistycznych.

Śmigłowiec zaczął schodzić w stronę znajdującego się na śródkręciu lądowiska dla helikopterów. Marynarz ręcznymi sygnalizatorami świetlnymi sprowadził ich na pokład, po chwili drzwiczki się otworzyły i wyskoczyli na zewnątrz. Było pogodne jesienne popołudnie, niebo wyglądało jak zimna błękitna kopuła, a pokład zalewały pojedyncze promienie słońca. Gideon podążył za Manuelem Garzą i Glinnem przez lądowisko; dyrektor EES-u przykucnął trochę sztywno pod wpływem podmuchów powietrza z obracających się wirników. Weszli do spartańsko urządzonego pomieszczenia przejściowego połączonego z poczekalnią. Przebywające tam trzy osoby – jedna w mundurze, dwie ubrane po cywilnemu – natychmiast wstały. Śmigłowiec wzbił się w powietrze.

– Gideonie – rzekł Glinn – chciałbym, żebyś poznał kapitana Tulleya, szypra

na pokładzie statku badawczego Batavia, i pierwszą oficer Lennart.

Kapitan, mający nie więcej niż półtora metra wzrostu, podszedł i z powagą uściśnął dłoń Gideona. Jego spięte, pozbawione poczucia humoru oblicze ozdobiła nędzna namiastka uśmiechu. Jeden szybki uścisk dłoni i mężczyzna się cofnął. Pierwsza oficer Lennart była całkowitym przeciwieństwem Tulleya: blondynka po pięćdziesiątce o wyraźnie skandynawskiej urodzie, górująca nad mikrym kapitanem, emanowała ciepłem i otwartością. Przywitała się płynnym i zdecydowanym gestem. Jej dłoń była miła w dotyku i otulała jak ciepła rękawiczka.

– A to Alexandra Lispenard, która kieruje naszą flotyllą czterech DSV. Będzie twoim instruktorem jazdy.

Lispenard zarzuciła długimi włosami barwy drewna tekowego i ujawszy z uśmiechem jego dłoń, powoli nią potrząsnęła.

– Miło mi cię poznać, Gideonie – powiedziała, a jej kontrast stanowił silny kontrast wobec formalnego milczenia pozostałych.

– DSV? – zwrócił się do niej Gideon, próbując się na nią nie gapić. Miała około trzydziestu pięciu lat i była szalenie atrakcyjna, z twarzą w kształcie serca i egzotycznymi oczami o barwie agatów.

– Deep Submergence Vehicles – głębinowe pojazdy podwodne. Tak naprawdę to zmotoryzowane batyskafy. Cud współczesnej inżynierii.

Gideon poczuł na ramieniu dotyk Glinna.

– Ach, oto i nasz lekarz. Gideonie, poznaj doktora Brambella.

W drzwiach pojawił się chudy staruszek z błyszczącą łysiną, ubrany w biały kitel.

– Bardzo mi miło – rzucił z charakterystycznym irlandzkim akcentem. Nie wyciągnął ręki na powitanie.

– Doktor Brambell – rzekł Glinn – był na pokładzie Rolvaaga podczas jego feralnego rejsu. Jestem pewien, że jeśli będzie miał okazję, opowie ci o tym.

To nieoczekiwane stwierdzenie zaowocowało krótką chwilą ciszy. Dwoje oficerów wyglądało na zaskoczonych i niezadowolonych. Gideon zastanawiał się, czy Brambell mógł zostać uznany za przynoszącego pecha Jonasza.

– To nie jest coś, czym miałbym ochotę się szcycić – odparł krótko Brambell.

– Proszę wybaczyć. Tak czy inaczej, Gideonie, znasz już kilka najważniejszych osób na tej jednostce. Alex zaprowadzi cię na pokład hangaru. Ja mam spotkanie.

Lispenard odwróciła się bez słowa, a Gideon przeszedł za nią przez otwarte drzwi grodziowe w dół po krętych metalowych schodach, a następnie przez istny labirynt ciasnych korytarzy, schodów, przejść i luków, aż – zgoła niespodziewanie – znaleźli się na rozległej lśniącej przestrzeni. Po bokach

znajdowały się wnęki, kilka z nich zakryto brezentem, ale cztery były odsłonięte. W trzech z nich spoczywały nieduże, identyczne, obłe pojazdy pomalowane na jasnożółto, z turkusowymi wykończeniami. Na ich powierzchni dało się dostrzec kilka rodzajów iluminatorów oraz rozmaite wypukłości i wystające elementy, na dziobie zaś dodatkowo coś, co przypominało mechaniczne ramię. W tylnej ścianie hangaru widniały duże rozsuwane drzwi, akurat otwarte, dzięki czemu można było zobaczyć fragment pokładu rufowego. Pod ramieniem hydraulicznego dźwigu wisiał czwarty pojazd głębinowy.

Lispenard zaczęła nucić pod nosem *Żółtą łódź podwodną*.

– Pomyślałem dokładnie o tym samym – stwierdził Gideon. – Naprawdę urocze maleństwo.

– Naprawdę urocze maleństwo za dwadzieścia milionów dolarów. Ten batyskaf podwieszony pod dźwigiem to George. Pozostałe to Ringo, John i Paul.

– O nie.

Lispenard przeszła przez hangar do George'a i przyłożyła dłoń do kadłuba, by czule go pogłaskać. Pojazd był zaskakująco mały, miał nie więcej niż trzy metry długości i niewiele ponad dwa metry wysokości. Oficer odwróciła się do Gideona.

– Wewnątrz znajduje się tytanowa sfera dla operatora, niemal batyskaf wewnątrz batyskafu, z włazem u góry i trzema iluminatorami. Jest tam panel elektroniczny, fotel, urządzenia kontrolne, ekrany wideo – i to wszystko. Ach, no i jest również kosz, do którego można wkładać rzeczy podniesione przez mechaniczne ramię umieszczone w dziobowej części pojazdu. Gdyby coś poszło nie tak, pojazd wyposażony jest w system uwalniania awaryjnego, który wystrzeliwuje sferę na powierzchnię. Resztę DSV zajmują zbiorniki balastowe, zbiornik trymu rtęciowego, kamery i aparaty fotograficzne, lampy stroboskopowe i reflektory, sonar, zestawy baterii, silnik elektryczny z jedną śrubą rufową, pędniki korekcyjne oraz ster. Proste. – Wzruszyła ramionami. – Jutro trening przed pierwszym zanurzeniem, a potem schodzimy pod wodę.

Gideon odwrócił się tyłem do George'a i spojrział na nią.

– Świetnie. Kto schodzi pod wodę?

Uśmiechnęła się.

– Ty i ja. Siódma zero zero.

– Zaraz, zaraz. Ty i ja? Myślisz, że będę kierował czymś takim? Nie jestem kapitanem Nemo.

– Zostały zaprojektowane tak, by mógł je poprowadzić każdy. Są idiotoodporne.

– Wielkie dzięki.

– Co oznacza, że mają oprogramowanie, które samo prowadzi pojazd. Jak samosterujący samochód Google'a, tyle że kontrolowany drążkiem. Ty tylko poruszasz drążkiem, wskazując, w którą stronę chcesz płynąć, a sztuczna

inteligencja tej miniaturowej łodzi podwodnej robi całą resztę: wykonuje całe mnóstwo niezbędnych drobnych korekt, omijając przeszkody, manewrując na ograniczonej przestrzeni i dbając o pełną kontrolę nad maszyną, z czego nawet nie zdajesz sobie sprawy. Nie możesz się rozbić, nawet gdybyś próbował.

– Z całą pewnością na tej wycieczce są tacy, którzy mają więcej doświadczenia z pojazdami głębinowymi.

– Owszem, tak. Na przykład Antonella Sax, nasza specjalistka od egzobiologii. Ale ona dołączy do nas dopiero za jakiś czas. Poza tym Glinn powiedział, że istnieje ważny powód, dla którego powinienes zapoznać się z obsługą DSV. Ma to coś wspólnego z twoją rolą w tej misji.

– Nie wspominał, że będę musiał pilotować łódź podwodną. Nie lubię być na wodzie, a co dopiero w wodzie, i to jeszcze na głębokości ponad trzech i pół kilometra, na miłość boską.

Spojrzała na niego, uśmiechając się nieznacznie.

– Dziwne. Nie sądziłam, że jesteś mięczakiem.

– Otóż jestem. Jestem pozbawionym ikry i jaj nędznym tchórzem.

– Nędznym tchórzem? Nieźle to ująłeś. Ale i tak jutro schodzisz ze mną pod wodę. Koniec dyskusji.

Gideon spiorunował ją wzrokiem. Boże, nie cierpiał władczych kobiet. Ale dalsze spieranie się z nią nie miało sensu. Pomówi o tym bezpośrednio z Glinnem.

– Co jeszcze można obejrzyć?

– Są tu różne laboratoria, naprawdę fantastyczne, zobaczysz je niebawem, a także centrum dowodzenia, biblioteka, kambuz, mesa, sala rekreacyjna i pokój gier oraz kajuty załogi. Że nie wspomnę o maszynowni, warsztacie mechanicznym, kantine, ambulatorium i innych niezbędnych pomieszczeniach pokładowych. – Spojrzała na zegarek. – Ale już czas na kolację.

– O piątej po południu?

– Skoro śniadanie jest o wpół do szóstej rano, pory pozostałych posiłków także zostały nieco zmienione.

– Śniadanie o wpół do szóstej? – To jeszcze jedna rzecz, którą będzie musiał omówić z Glinnem, kwestię narzuconej wszystkim iście wojskowej dyscypliny. – Mam nadzieję, że na pokładzie nie obowiązuje prohibicja.

– Jeszcze nie. Dopiero gdy dotrzemy do celu. Czeka nas dość długi rejs.

– Jak długi?

– Od celu dzieli nas dziewięć tysięcy mil morskich.

Gideon nie wziął pod uwagę tego, że może go czekać długa podróż. Oczywiście gdyby choć przez chwilę się nad tym zastanowił, zdałby sobie z tego sprawę. Co Glinn mówił na temat prędkości żeglugowej ich statku? Dwanaście węzłów. Dziewięć tysięcy mil morskich dzielone przez dwanaście mil morskich na godzinę...

– Trzydzieści dwa dni – powiedziała Alex.
Gideon jęknął.

– Wyjdźmy z naszymi drinkami na pokład – rzekł Gideon do Alex Lispenard.

– Świetna myśl.

Gideon wstał od kontuaru ostrożnie, żeby jego drugie martini nie wylało się z kieliszka. Bar na pokładzie statku badawczego Batavia, zajmujący wnękę w mesie, choć niewielki i z ograniczonym wyborem trunków, był przyjemny jak na warunki morskie. Przez rząd okien można było zobaczyć Great Harbor i nieciekawe płaskie wybrzeże wyspy Ram. Pokonawszy nisko sklepione przejście, wyszli na pokład. Był typowy październikowy wieczór, chłodny i pogodny, złociste światło zalewało ukośnymi promieniami cały statek, z oddali dobiegało skrzeczenie mew.

Gideon upił łyk swojego drinka i oparł się o reling, Alex stanęła obok niego. Czuł się nieźle, wręcz wspaniale, zupełnie inaczej niż jeszcze przed dwiema godzinami. Zdumiewające, jak wyborny posiłek oraz martini mogą wpłynąć na poglądy na życie.

– Myślisz, że będą nas tak karmić przez cały rejs? – zapytał Gideon.

– O tak. Bywałam na wielu statkach badawczych i jedzenie zawsze było doskonałe. Kiedy załoga spędza całe miesiące na morzu, kiepskie jedzenie oznacza kiepskie morale. Podczas wyprawy takiej jak ta jedzenie stanowi najmniej istotny ze wszystkich wydatków, więc można zadbać o to, by prowiant był jak najlepszej jakości. A Vince Brancacci jest jednym z najlepszych szefów kuchni pracujących na pokładach statków.

– Masz na myśli tego faceta w białym kitlu, który śmieje się jak hiena i jest zbudowany jak zapaśnik sumo?

– Tak, to on.

Gideon upił kolejny łyk martini i spojrzał na Alex opierającą się o reling; miała lśniące brązowe włosy, które rozwiewał wiatr, mały zadarty nos i oczy o barwie agatów. Patrzyła na ocean, a jej piersi lekko napierały na poręcz.

Odwrócił wzrok. Była atrakcyjna, lecz on nie zamierzał wplątywać się w romans podczas długiego rejsu na antypody.

Odwróciła się do niego.

– Jaka jest twoja historia?

– Nie zapoznano cię z informacjami na mój temat?

– Bynajmniej. Poza tym, że Glinn poprosił mnie, abym nauczyła cię obsługi pojazdów głębinowych, nie pisał ani słowa na twój temat. Zachowywał się bardzo tajemniczo. Odnoszę wrażenie, że chciał, bym sama dowiedziała się wszystkiego.

Gideon odetchnął z ulgą. Nic nie wiedziała o jego nieuleczalnej chorobie.

– Od czego mam zacząć? Początkowo kradłem dzieła sztuki, a potem pracowałem przy projektowaniu bomb jądrowych.

Zaśmiała się.

– No jasne.

– To prawda. Pracowałem w Los Alamos, projektowałem soczewki z kruszącego materiału wybuchowego służącego do wywoływania implozji rdzenia. Uczestniczyłem w programie Stockpile Stewardship, przeprowadzałem symulacje komputerowe i dopracowywałem te soczewki, modyfikując je, by mieć pewność, że bomby będą mogły wybuchnąć nawet po wielu latach gnicia w jakimś atomowym skarbcu. Obecnie jestem na przedłużonym urlopie.

– Chwileczkę... Ty nie żartujesz?

Gideon pokręcił głową. Z pewnym rozczarowaniem stwierdził, że skończyło mu się martini. Zastanawiał się, czy nie pójść po trzeciego już drinka, ale cichy głos w jego głowie powiedział mu, że nie byłby to najlepszy pomysł.

– A więc projektujesz bomby atomowe?

– Mniej więcej. Prawdę mówiąc, dlatego biorę udział w tej wyprawie.

– Co bomby atomowe mają wspólnego z naszą wyprawą?

Gideon popatrzył na nią. Rzeczywiście nie została zapoznana ze sprawą. Czym prędzej się wycofał.

– Chodzi o to, że jestem inżynierem mającym wiedzę na temat materiałów wybuchowych, to wszystko.

– Gdy mówiłeś, że zajmowałeś się kradzieżami dzieł sztuki, też nie żartowałeś?

– Nie.

– Jedno pytanie. Dlaczego?

– Byłem biedny, potrzebowałem pieniędzy. I co ważniejsze, kochałem dzieła sztuki, które kradłem, i kradłem je wyłącznie z siedzib towarzystw historycznych i muzeów, które nie dbały o swoje zbiory, a tego, co zwędziłem, i tak nikt nigdy nie oglądał.

– I zakładam, że to ma być dla ciebie swego rodzaju moralne usprawiedliwienie.

To rozdrażniło Gideona.

– Nie, nie szukam dla siebie wymówek. Tyle że nie oczekuj, bym nagle zaczął pławić się w wyrzutach sumienia i poczuciu winy.

Cisza. Trzecie martini naprawdę dobrze by mu teraz zrobiło. A może nadeszła pora zmienić temat.

– Pracowałem również jako iluzjonista. Prestidigitator, jeśli chodzi o ścisłość.

– Byłeś magikiem? Ja też!

Gideon wyprostował się przy relingu. Słyszał to już wcześniej tyle razy:

ktoś, kto nauczył się kilku sztuczek z kartami, rościł sobie prawo do zaszczytnej miana iluzjonisty.

– A więc umiesz wyjąć monetę zza czyjegoś ucha?

Alex zmarszczyła brwi i nie odpowiedziała.

Gideon znów oparł się o reling, uświadamiając sobie, że ją obraził.

– Byłem zawodowcem – wyjaśnił. – Występowałem na scenie i dobrze mi za to płacili. Nawet wymyśliłem kilka oryginalnych sztuczek. Pracowałem z żywymi zwierzętami, z królikami... Miałem świetny numer z długim na dwa metry pytonem, który potrafił wystraszyć połowę widzów. – Gideon bawił się pustym kieliszkiem. – Cały czas dbam o formę. Dla zabawy opróżniam ludziom kieszenie i takie tam. To jak z grą na skrzypcach. Musisz ćwiczyć albo tracisz umiejętności.

– Rozumiem.

– Okazuje się, że sztuczki magiczne i kradzież dzieł sztuki to w rzeczywistości pokrewne dziedziny.

– Też tak myślę.

Gideonowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Naprawdę dobry. To powinno okazać się całkiem zabawne. Nachylił się ku Alex.

– Idę po jeszcze jedno martini. Przynieść też tobie?

– Dwa to mój limit, ale ty sobie nie żałuj. Poproszę szklankę wody.

Odchodząc, jakby przypadkiem otarł się o nią. Wykorzystał ten moment odwracającego uwagę kontaktu fizycznego, aby wyjąć portfel z jej otwartej torebki. Włożył go do kieszeni, w której miał swój portfel, wrócił do środka i podszedł do baru.

– Poproszę jeszcze jednego hendricksa z lodem i plasterkiem cytryny i szklankę wody.

Patrzył, jak barman przyrządza martini. Nagle tuż obok niego pojawiła się Alex.

– Zrobiło się chłodno. – Ku jego zdziwieniu, a nawet czemuś więcej, przytuliła się do niego. – Ogrzejesz mnie?

Objął ją ramieniem i poczuł, że jego serce zaczyna bić szybciej.

– Może być?

– Jeszcze jak. Dzięki. Już mi cieplej. – Delikatnie uwolniła się z jego objęć.

Nieco rozczarowany, Gideon sięgnął po swoje martini, a ona po szklankę wody, ale zrobiła to tak niezdarnie, że wylała trochę na siebie.

– Kurczę. – Wzięła serwetkę, by osuszyć bluzkę.

Upił łyk martini.

– To jaka jest twoja historia?

– Dorastałam na wybrzeżu Maine. Mój tata miał hodowlę ostryg i pomagałam mu przy niej. Praktycznie dorastałam na wodzie. Hodowaliśmy ostrygi „nurkowe”, tak więc gdy skończyłam dziewięć lat, zdobyłam pierwszy

certifikat PADI pozwalający na nurkowanie na otwartych wodach, mając piętnaście lat, zrobiłam certifikat PADI z nurkowania wrakowego, w wieku szesnastu lat z nurkowania na wzbogaconym powietrzu, a potem kolejne, z nurkowania jaskiniowego, głębokiego, podlodowego i całą resztę. Zrobiłam magisterium z biologii morskiej na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, a potem zajęłam się doktoratem.

– Na jaki temat?

– Flora i fauna głębi Calypso. To największa głębia Rowu Helleńskiego. Pięć tysięcy dwieście sześćdziesiąt siedem metrów.

– Gdzie on się znajduje?

– Na Morzu Śródziemnym, na zachód od Peloponezu. Spędziłam tam dużo czasu na pokładzie statku badawczego Atlantis, schodziłam pod wodę w Alvinie, to był tak naprawdę pierwszy prawdziwy pojazd głębinowy.

– Rejsy wycieczkowe u wybrzeży Grecji. Niezły pomysł na pracę nad doktoratem.

– Nigdzie nie czuję się swobodniej niż na pokładzie statku.

– To zabawne, ale ja nigdy nie czuję się swobodnie na pokładzie statku. Na morzu zawsze choruję. Za to w górach albo nad strumieniem pełnym pstrągów czuję się jak ryba w wodzie.

– Ty cierpisz na chorobę morską, ja na wysokościową.

– Szkoda – rzekł Gideon. – A już miałem ci się oświadczyć.

Żarcik był mało śmieszny i Alex napiła się wody w niezręcznej ciszy, jaka nagle zapadła.

– A magiczne sztuczki? Wciąż je robisz? – spytał nagle Gideon.

Machnęła ręką.

– Nigdy nie mogłabym rywalizować z tobą! To były tylko wygłupy, żeby rozbawić mnie i moich przyjaciół.

– Z chęcią nauczę cię niezbędnych podstaw.

Uniosła wzrok i spojrzała na niego.

– To byłoby cudowne.

– Może powinniśmy wrócić do mojej kajuty, o ile zdołam ją odnaleźć. Zabrałem ze sobą rzeczy niezbędne do niektórych magicznych sztuczek. Jestem pewien, że złapiesz wszystko w lot.

– Chodźmy. Wskażę ci drogę do kajut załogi.

Dopił martini i udał, że klepie się po kieszeniach dzinsów.

– Oj, zapomniałem portfela. Czy mogłabyś zapłacić rachunek? Następnym razem ja stawiam.

Patrzył z niecierpliwym wyczekiwaniem, jak Alex sięga do torebki po portfel, przekonany, że zaraz okaże się, iż go nie ma. Jakież było jego zdziwienie, gdy wyjęła portfel z torebki i położyła na kontuarze.

– Zaraz... to twój portfel?

– Oczywiście.

Wyjęła dwadzieścia dolarów i uiściła rachunek.

Gideon sięgnął do kieszeni i stwierdził, że jej portfel zniknął. Jego również.

– O cholera – rzucił odruchowo. – Chyba coś mi wypadło z kieszeni na pokładzie.

Wstał ze stołka barowego i natychmiast wyłożył się jak długi. Osłupiały spojrzął na swoje stopy, by stwierdzić, że sznurowadła jego butów zostały związane. Uniósł wzrok i zobaczył, że Alex zaśmiewa się w głos, trzymając w dłoni jego portfel i zegarek na rękę.

– To jak, Gideonie – powiedziała pomiędzy kolejnymi wybuchami śmiechu. – Co mówiłeś o tych niezbędnych podstawach?

Gideon zaczerwienił się z zażenowania. Boże, czuł się jak krety. Rozwiązał sznurowadła, podczas gdy Alex stała nad nim, nie próbując ukryć triumfu. Wreszcie wstał i otrzepał się z kurzu. Jego zażenowanie zaczęło się przeradzać w coś innego, gdy oddała mu portfel i zegarek.

– Nie jesteś zły? – spytała, gdy opanowała śmiech.

Patrzył na nią, kiedy tak stała cała rozpromieniona, z błyszczącymi oczami barwy agatów. Długie lśniące włosy skręcały się w niesforne loki nad jej opalonymi ramionami, a piersi falowały w przyływie niedawnego rozbawienia. Upokorzyła go – a jaka była jego reakcja? Nieodparte pożądanie.

Odwrócił wzrok i przełknął ślinę.

– Chyba sobie na to zasłużyłem.

Spojrzał na barmana, którego twarz wydawała się nieodgadniona, jakby niczego nie widział.

– Nadal chcesz, żebym ci wskazała drogę do kwater załogi? – spytała Alex.

– Jasne.

Odwróciła się i wyszła z baru, minęła mesę, a Gideon podążał za nią. Pokonali cały labirynt korytarzy i schodów – wyszli przez drzwi grodziowe i znaleźli się w długim wąskim korytarzu z drzwiami do kajut po jednej stronie. Alex otworzyła jedne z nich.

– Naukowcy mają prywatne kajuty. Ta jest moja.

Wszedł za nią do środka. Pomieszczenie było zaskakująco przestronne, ze sporym łóżkiem, dwoma iluminatorami, szafą wnękową, komodą, stolikiem do pisania z laptopem i lustrem. Ściany były pomalowane na kremowo.

– Tu jest prysznic. – Otworzyła inne drzwi, by pokazać niewielką łazienkę z trzecim bulajem.

– Bardzo tu miło – powiedział. – Niezła kajuta jak dla... naukowca.

Odwróciła się.

– Nie jestem jedynie pilotem miniaturowych łodzi podwodnych. Jestem także głównym oceanografem tej misji, o czym zapewne wiesz. Pracuję dla EES-u już od pięciu lat.

– Prawdę mówiąc, nie wiedziałem. Ja też nie zostałem wprowadzony w szczegóły. Jak to możliwe, że nie spotkaliśmy się wcześniej?

– Znasz manię Glinna na punkcie rozdzielania wszystkiego i wszystkich.

– A jak wygląda twoja pozycja względem Garzy?

– On jest inżynierem, ja naukowcem. EES nie ma normalnej struktury korporacyjnej, jak chyba zdążyłeś się zorientować. Pewne rzeczy się zmieniają z misji na misję.

Pokiwał głową, patrząc, jak Alex płynnie i z gracją przemieszcza się po całej kajucie. Poprzysiągł sobie solennie, że nie uwikła się już w żaden romans. Biorąc pod uwagę, że wisiał nad nim wyrok śmierci wydany przez lekarzy badających jego przypadłość, byłoby to nieuczciwe zarówno wobec niego, jak i wobec kobiety. Ale śmiertelna choroba była dla niego czymś teoretycznym, podczas gdy ta kobieta była prawdziwa.

– Jaki masz numer kajuty? – spytała.

– Dwieście czternaście.

– To na końcu korytarza. Zajrzyjmy tam.

Wyszli na korytarz. Przy drzwiach oznaczonych numerem 214 Gideon wyjął kartę magnetyczną, zbliżył ją do zamka i pchnął drzwi. Za nimi znajdowała się przestronna kabina z rzędem bulajów, ogromnym łóżkiem, kanapą i dwoma fotelami. Na podłodze leżał gruby puchaty chodnik, oświetlenie było delikatne i rozproszone. Jego bagaż został ułożony starannie w kącie pomieszczenia.

– Łał – powiedziała Alex, wchodząc do kajuty. – A jaką ty zajmujesz pozycję w EES-ie, że zasłużyłeś na coś takiego?

– Nie wiem. Głównego obiboka?

Wszedł za nią do środka i patrzył, jak zwiedza całą kajutę, muskając dłonią elegancką kapę na łóżku i regulując natężenie oświetlenia. Otworzyła drzwi do łazienki.

– No nie, masz nawet wannę!

Czując się jak u siebie, nie omieszkała sprawdzić, czy kanapa i fotele są miękkie i wygodne, po czym obejrzała aneks kuchenny i niewielką lodówkę.

– I zobacz, *veuve clicquot*!

Wyjęła kieliszek do szampana i pomachała nim w stronę Gideona.

– Świetnie, otwórzmy butelkę i uczcijmy to – zaproponował.

Wstawiła butelkę z powrotem do lodówki i zdecydowanym ruchem zamknęła drzwiczki.

– Dwa drinki to mój limit, pamiętasz? A ty swój już przekroczyłeś. Chcę, żebyś jutro miał trzeźwy umysł przed zanurzeniem. Poza tym nie pijam szampana w pokojach dziwnych mężczyzn.

– Ja? Dziwny?

– Złodziej dzieł sztuki, projektant bomb atomowych, iluzjonista – to bardzo dziwne, nie uważasz?

– Wobec tego wypijmy tego szampana jutro wieczorem. Ty i ja.

– Po pierwszym zejściu pod wodę będziemy wykończeni. – Spojrzała na zegarek. – Prawdę mówiąc, powinnam wracać do siebie. Zanim się położę, mam jeszcze sporo pracy.

Położył dłoń na jej ramieniu, gdy odwróciła się, by wyjść. Co on wyprawia? Wiedział, że trzecie martini było błędem, ale nie zamierzał się hamować. Całe ciało

bolało go z pożądania. Znieruchomiała pod wpływem jego dotyku, a on nachylił się w jej stronę. Wtedy jednak zwinnie uwolniła się od jego dłoni i odsunęła się na bok.

– Nic z tego, mój panie. Nie na statku. Wiesz, że pewnych rzeczy się nie robi.

– Chciałbym to wiedzieć.

– Pamiętaj, że śniadanie jest o wpół do szóstej, a potem pójdziemy na pokład hangaru i przećwiczymy wszystko na sucho. Na razie.

I już jej nie było.

Gideon z głośnym westchnieniem usiadł na łóżku. On także miał mnóstwo rzeczy do zrobienia: akta i dokumenty, które należało przejrzeć, komputer, który musiał podłączyć do sieci funkcjonującej na statku. Niestety, nie mógł pójść do Glinna, aby wymigać się od zejścia pod wodę – nie po trzech martini, bo cuchnął jak stary pijus.

Wyciągnął się na łóżku z rękami za głowę. W powietrzu została słaba woń perfum Alex i gdy wziął głęboki wdech i poczuł ten zapach, znów ogarnęło go pożądanie. Co było z nim nie tak? Powinien być na nią wściekły za to, że go upokorzyła, a tymczasem jego reakcja była zupełnie inna.

Uznał, że przynajmniej w jednej kwestii Alex miała rację: powinien wziąć się w garść, w przeciwnym razie będzie to naprawdę długa podróż.

Gdy następnego ranka wyszli na pokład, bezmiar wód lśnił złocistym blaskiem wielkiego jesiennego słońca wznoszącego się nad odległą latarnią morską Nobska i cieśniną Vineyard. Ze wschodu wiał silny wiatr, tworząc pióropusze piany na grzbietach fal w zatoce i znajdującej się tuż za nią cieśninie.

Dźwig hydrauliczny wyprowadził dwa pojazdy głębinowe z hangaru na pokład rufowy. W oczach Gideona batyskafy wyglądały niepoważnie, jak z kreskówki; wydawały się zbyt małe, aby mógł się w nich zmieścić człowiek, a co dopiero reszta wyposażenia. Alex powiedziała mu, żeby włożył obcisłe ciepłe ubranie. Ona miała na sobie elastyczny granatowy dres z białymi pasami, który opinał jej umięśnione nogi, pośladki i tors w taki sposób, że rozpraszało to uwagę Gideona. On zaś ubrał się jak flejtuch, w dzinsy i podkoszulek z długimi rękawami.

Glinn i Garza byli już na miejscu, kiedy zjawili się Alex i Gideon. Glinn miał na sobie czarny sweter z golfem i płócienne spodnie; na smaganym wiatrem pokładzie jego chuda postać wyglądała niemal jak widmo. Garza włożył sztruksową kurtkę z podniesionym kołnierzem; wiatr mierzwił jego przyprószone siwizną włosy.

– Punktualnie – rzekł z aprobatą w głosie Glinn, podchodząc z wyciągniętą ręką, by przywitać się z Gideonem. – Jesteś gotów zejść pod wodę?

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, że będę pilotował żółtą łódź podwodną?

– Po co miałem to robić? Tylko byś się zmartwił. Te DSV są idiotoodporne.

– Alex też tak mówi.

– To doskonała instruktorka. Dasz sobie radę.

– Myślałem, że mam być w twojej ekipie ekspertem od bomb atomowych.

Z całą pewnością stać cię na wynajęcie dodatkowego pilota łodzi podwodnej.

Zamiast odpowiedzieć, Glinn poklepał go po ramieniu, co Gideon uznał za protekcyjny gest. Gideon spojrzał na Garzę, szukając u niego wyjaśnień, lecz inżynier był jak zwykle milczący i nieodgadniony.

– Ty będziesz pilotował George’a, a ja Ringa – powiedziała Alex.

Glinn i Garza przyglądali się, gdy Alex oprowadzała Gideona wokół George’a, wskazując i nazywając rozmaite elementy – kamery, aparaty fotograficzne, lampy stroboskopowe, iluminatory, przepływomierz sonarowy, reflektory, czujnik pomiaru prędkości prądów, awaryjne światła stroboskopowe, system naprowadzania awaryjnego, pędniki, śruby rufową i dziobową, podwodny telefon, kosz do transportu okazów i próbek z dna oceanu oraz mechaniczne ramię.

– Drabinka sięga do pokrywy luku i szczytu kiosku – wyjaśniła. – To proste, wspinasz się na górę i opuszczasz do środka, przytrzymując się poręczy drabinki. Sfera dla operatora ma półtora metra średnicy. Ja wejdę do Ringa i będziemy się

komunikować przez radio, przeprowadzimy próbę na sucho na pokładzie, a potem opuścimy się do wody.

– Czy powinienem już wejść do środka?

Pokiwała głową.

– Zajmij miejsce. Na uchwycie nad głową znajdziesz zestaw słuchawkowy, nałóż go, a potem naciśnij przełącznik po prawej stronie u dołu. Zaczekaj, aż się odezwę. Nie musisz używać przycisku nadawania, nad wodą zestaw jest w pełni różnicowy. Pod wodą zasięg prowadzenia rozmów jest ograniczony do pięciuset metrów. Na większą odległość pozostaje jedynie komunikacja z użyciem cyfrowego sonaru, wyłącznie wiadomości tekstowe i głos z syntetyzera.

Pokiwał głową, próbując nadać.

– Dobra, ładuj się na górę.

Gideon wspiął się po drabince, złapał się barierki i opuścił do wnętrza sfery. Ktoś zatrzasnął i zabezpieczył właz. Kiedy Gideon usadowił się w jedynym fotelu, nałożył zestaw słuchawkowy.

Wnętrze sfery było niemal w całości pokryte elektroniką, ekranami, panelami, przyciskami i pokrętkami. Przedni iluminator miał dokładnie przed swoją twarzą, były też iluminatory po lewej i prawej stronie oraz w podłodze. Niewielka konsola po prawej zawierała klawiaturę, drążek sterowania i kilka przycisków awaryjnych pod kopułkami, które można było podnieść. Wszystko było podświetlone na czerwono.

Chwilę potem rozległ się głos Alex.

– Gideonie, słyszysz mnie?

– Głośno i wyraźnie.

– Teraz omówię z tobą każdą konsolę i ekran od lewej do prawej.

Przez następne sześćdziesiąt minut nad wyraz szczegółowo przedstawiła mu wszystkie urządzenia, które znajdowały się wewnątrz sfery; miał spore trudności z zapamiętaniem tych informacji. Na koniec zostawiła panel sterowania.

– Tak naprawdę to wszystko, co powinieneś wiedzieć. Drążek działa jak zwykły joystick: do przodu, do tyłu, w prawo i w lewo. Im bardziej naciskasz w danym kierunku, tym szybciej pojazd płynie. Ale cały czas jest on kontrolowany przez autopilota, co znaczy, że będzie korygował popełniane przez ciebie błędy. Jeśli, dajmy na to, pchniesz drążek do przodu, by wpłynąć przez otwór do wnętrza okrętu, automatycznie pokieruje cię przez ten otwór tak, abyś o nic nie zahaczył. Pozwoli ci nawigować w ciasnych korytarzach tak, by nie dotknąć żadnej ze ścian. Uchroni cię przed uderzeniem o dno czy kontaktem z innymi podwodnymi przeszkodami. Autopilot będzie przyjmował twoje polecenia, ale szczegółami zajmie się po swojemu. Nie wprowadzi pojazdu do przestrzeni, która będzie dla niego za mała, ani nie usłucha, gdybyś próbował uderzyć miniaturową łodzią o dno lub podwodny klif.

– Czy można to jakoś wyłączyć?

– Nie bezpośrednio i na tym to wszystko polega. W razie konieczności DSV może jednak być kontrolowany z powierzchni. A teraz: widzisz te dwa czerwone przyciski pod podnoszonymi kopułkami? Ten pierwszy, z napisem „ewakuacja awaryjna”, wystrzeli twoją tytanową sferę z wnętrza pojazdu i wyniesie na powierzchnię. Nigdy tego nie testowano, a ponieważ gwałtowne podniesienie się z dna może cię zabić, lepiej tego nie rób. Sygnał awaryjny aktywuje sygnalizację błyskowo-dźwiękową, gdybyś napotkał kłopoty.

– Po co ewakuacja, skoro wystrzelenie kapsuły może się okazać zabójcze?

– To ostateczność. No dobra, gotów się zanurzyć?

– Nie.

– Dźwig podniesie twój DSV, opuści do wody, a potem uwolni z mocowań. Zacznesz zanurzać się automatycznie, bo jest to kontrolowane przez oprogramowanie autopilota. Normalnie na pokładzie znajdowałoby się sto kilogramów żelaznego balastu, aby szybko posłać cię na głębokość trzech i pół kilometra, w okolice wraku. Tutaj jednak głębokość wynosi tylko trzydzieści metrów, więc nie będzie to konieczne. Autopilot zatrzyma cię trzy metry powyżej dna. Czekaj i nic nie rób, dopóki się nie odezwę.

– Rozkaz, kapitanie!

Poczuł, że łódź jest podnoszona, a następnie opuszczana za burtę. Następnie pojazd zaczął się osuwać w dół, aż w iluminatorach zaczęła być widoczna błękitna woda. Po chwili, przy wtórze metalicznego szczęknięcia, łódź podwodna została uwolniona i zaczęła opadać. Światła włączyły się automatycznie na dziobie, rufie i pod dnem pojazdu. Gideon widział unoszące się w górę bąble powietrza. Woda była mętna, ale po kilku minutach mógł już zobaczyć dno. Zgodnie z zapowiedzią łódź zwolniła i zatrzymała się jakieś trzy metry nad falującą kępą wodorostów, pośród ciemnozielonej wody. Rozległ się cichy syk ciepłego powietrza. Gideon nie lubił wrażenia klaustrofobii. Niemal czuł napór wody nad sobą i jej gęstość w powietrzu, którym oddychał.

Wreszcie, jakieś pięć metrów przed sobą, zobaczył drugą łódź podwodną, która opadła, zatrzymała się i zamrugła światłami.

– Gideonie, słyszysz mnie?

– Słyszę.

– Może zacznij zapoznawać się z funkcjonowaniem drążka. Przesuń go do przodu, w bok i do tyłu, aby zobaczyć, jak zareaguje DSV.

– A jak mam się unosić albo opadać?

– Dobre pytanie. Widzisz przełącznik kciukowy w górnej części drążka? Wciskając go do przodu, uniesiesz się, wciskając do tyłu, będziesz opadał. No dalej, pobaw się trochę, a ja popatrzę na twoje wyczyny.

Skwapliwie pchnął drążek do przodu. Rozległ się cichy szum i łódź

poruszyła się, choć bardzo powoli.

– Możesz być nieco bardziej zdecydowany. Autopilot skoryguje wszystkie gwałtowniejsze ruchy, jakie wykonasz.

Pchnął mocniej i łódź ruszyła szybciej do przodu.

– Płyniesz wprost na mnie, Gideonie. Spróbuj skrócić.

Zamiast skrócić, Gideon kciukiem wdusił przycisk, by podnieść pojazd, i przepłynął nad łodzią Alex, po czym wciskając klawisz z drugiej strony, opuścił batyskaf tuż nad kępą wodorostów. Przesunął drążek w bok i pojazd wykonał gładki zwrot. Po chwili w iluminatorze pojawiła się miniaturowa łódź podwodna Alex.

– Gideonie? Może zanim zaczniesz latać, najpierw nauczysz się chodzić?

Jej mentorski ton zaczął go drażnić. Podpłynął do niej i znów podniósł pojazd, ale tym razem miał problem z koordynacją i łódź niemal pionowo zaczęła wznosić się ku powierzchni.

– Opuść.

Wcisnął przycisk kciukowy z drugiej strony, ale niechcący pchnął drążek do przodu. Zaczął sobie uświadamiać, że łódź nie reagowała natychmiastowo, jak samochód – woda sprawiała, że wszystko następowało z pewnym opóźnieniem. A teraz – mimowolnie – opadał w kierunku dna.

– O cholera.

Znów użył przycisku i drążka, ale w przypływie paniki ponownie zrobił to przesadnie i wykonał mimowolny skręt. Łódź weszła w korkociąg, zanim zatrzymała się gwałtownie tuż przed kępą wodorostów. Zamrugało czerwone światełko i rozległ się alarmowy sygnał dźwiękowy, a na głównym ekranie kontrolnym pojawił się komunikat:

PEŁNE PRZEJĘCIE KONTROLI
PRZEZ AUTOPILOTA

PRZEKAZANIE KONTROLI OPERATOROWI ZA

15 SEKUND

Patrzył na zmieniające się cyfry.

– Sukinsyn – wycedził.

W słuchawce usłyszał spokojny głos Alex.

– Moje gratulacje, Gideonie. To był najbardziej brawurowy popis głupoty, jaką miałam okazję oglądać u osób pilotujących DSV. A teraz, jeśli już skończyłeś szpanować jak uczeń, może chciałbyś spróbować raz jeszcze? Jak dorosły.

– Gdybyś nie paplała mi do ucha cały czas – rzucił gniewnie – dałbym radę. Zachowujesz się jak ktoś, kto próbuje kierować z tylnego siedzenia.

Znów rozległ się spokojny głos Alex.

– Pragnę zauważyć, że nasza rozmowa i wszystko, co robimy, jest ściśle monitorowane przez centrum dowodzenia.

Gideon powstrzymał się przed kolejnym komentarzem. Wyobraził sobie Glinna, Garzę i pozostałych zebranych w centrum dowodzenia przysłuchujących się i marszczących brwi w wyrazie dezaprobaty albo zaśmiewających się do rozpuku. Tak czy inaczej, irytowało go to.

– Racja.

Odliczanie dobiegło końca i na ekranie pojawił się komunikat:

KONTROLA PRZYWRÓCONA OPERATOROWI

Pchnął dźwigenkę do przodu i łódź ruszyła powoli w linii prostej; następnie wykonał łagodny zwrot, zawrócił i zatrzymał pojazd.

– Doskonale – pochwaliła go Alex. – Powoli i spokojnie.

Gideon niemal usłyszał w słuchawkach cichy, lekko tylko stłumiony chichot.

Statek badawczy *Batavia* przekroczył równik z całą kretyńską pompą i ceremoniałem, jakie się z tym wiązały, a których Gideon skwapliwie starał się unikać. Przez ostatnie piętnaście dni od opuszczenia *Woods Hole* życie na pokładzie *Batavii* ciągnęło się potwornie: choroba morska na przemian z nużącym przejadaniem się, czytaniem, oglądaniem *Gry o tron* w okrętowej sali kinowej, graniem z Alex w warcaby (jak dotąd pokonała go ze sto razy) i powstrzymywaniem się, by nie wypić wieczorem zbyt wielu drinków.

Chociaż poznał już wielu naukowców i większość spośród pozostałych głównych graczy na pokładzie – zawsze schludnie ubranego pierwszego inżyniera pokładowego Fredericka Monctona, wiecznie skrzywionego, jakby rozgoryczonego, ale świetnego szefa ochrony Eduardo Bettancesa oraz oficera pokładowego George'a Lunda, który sprawiał wrażenie, jakby się bał wszystkich i wszystkiego – nie zawarł bliskich przyjaźni. Sporą część załogi stanowili byli żołnierze marynarki, z krótko przyciętymi albo wygolonymi włosami i w odprasowanych starannie mundurach. Gideon nie potrafił się wśród nich odnaleźć. Naukowcy i technicy byli na ogół zbyt zajęci i nie mieli czasu na spotkania towarzyskie. Glinn był zdystansowany jak zwykle. Jeśli idzie o Garzę, to mimo ocieplenia stosunków wciąż odnosili się do siebie z wyraźną rezerwą. Jediną osobą, którą Gideon naprawdę lubił – może nawet za bardzo – była Alex, ona jednak dała mu jednoznacznie do zrozumienia, że jego towarzystwo sprawiało jej przyjemność, niemniej nawiązanie romansu podczas rejsu nie wchodziło w rachubę.

Była jedna osoba, która w miarę upływu czasu zaczęła go intrygować: lekarz pokładowy Patrick Brambell. Ten starszy mężczyzna przywodzący na myśl gnoma, o czasce łysej i lśniącej jak kula do kręgli, drobnych rysach, przenikliwych niebieskich oczach i wiecznie pochylonej sylwetce, krążył po statku jak duch. Zawsze miał pod pachą książkę i nigdy nie pojawiał się w mesie, najwyraźniej spożywał posiłki w swojej kajucie. Gideona zaintrygowało najbardziej to, że poza Glinnem i Garzą Brambell był jedynym członkiem ekspedycji, który brał udział w feralnym rejsie na pokładzie *Rolvaaga*. Miał niepokojące wrażenie, że Glinn i Garza zatajali przed nim informacje na temat wraku, a może nawet skłamali co do losów *Rolvaaga*, aby zapewnić sobie jego specjalistyczne wsparcie w zakresie wiedzy o broni jądrowej. Dlatego Gideon postanowił złożyć Brambellowi niezapowiedzianą wizytę.

I tak oto pewnego tropikalnego popołudnia udał się do tej części statku, gdzie mieściły się kajuty załogi. Upewniwszy się, że Brambell jest u siebie, zapukał do jego drzwi. W pierwszej chwili nikt mu nie odpowiedział, zapukał więc

raz jeszcze, głośno i natarczywie, wiedząc, że ten podstępny stary przykaszyl się w środku. Gdy zapukał trzeci raz, w końcu rozległ się pełen rozdrażnienia głos.

– Tak?

– To ja, Gideon Crew. Mogę wejść?

Cisza.

– Czy chodzi o jakiś problem natury medycznej? – dobiegło zza drzwi. – Chętnie spotkam się z panem w ambulatorium.

Gideon wolał tego uniknąć. Chciał porozmawiać z Brambellem w jego pieleszach.

– Ee...nie. – Nie powiedział nic więcej; im mniej wyjaśnień, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że Brambell znajdzie powód, aby go splawić.

Usłyszał cichy szelest i drzwi się otworzyły. Nie czekając na zaproszenie, Gideon pchnął je, a zaskoczony Brambell cofnął się odruchowo. W poprzecinanej żyłami dłoni trzymał powieść Trollope'a, zaznaczając palcem miejsce, gdzie przerwał lekturę.

Gideon usiadł.

Brambell, na którego pomarszczonym obliczu malowało się rozdrażnienie, wciąż stał przy drzwiach.

– Jak już mówiłem, jeśli to problem natury medycznej, powinniśmy spotkać się w ambulatorium...

– Nie chodzi o problem medyczny.

Cisza.

– No dobrze – powiedział Brambell z pewną rezygnacją. – W czym mogę pomóc?

Gideon otaksował wzrokiem rozległe pomieszczenie. Każdy centymetr przestrzeni wzdłuż ścian, nawet bulaje, został zabudowany wykonanymi na wymiar regałami, których półki były wypełnione rzędami książek o najróżniejszej tematyce, od oprawnej w skórę klasyki, poprzez tanie kryminały i sensacje, po literaturę faktu, biografie, książki historyczne oraz tytuły w języku francuskim i po łacinie. Gdy przebiegał wzrokiem półki, nie dostrzegł w tym obszernym zbiorze ani jednej książki z dziedziny medycyny.

– Niezła biblioteka – stwierdził Gideon.

– Jestem mołem książkowym – rozległ się oschły głos. – To moja pasja. Medycyna to zainteresowanie poboczne.

Gideon był pod wrażeniem tego szczerego wyznania.

– Podczas rejsu statkiem ma pan sporo czasu na czytanie.

– I o to chodzi – odrzekł Brambell z wyraźnym świszczącym akcentem.

Gideon splótł dłonie i popatrzył na doktora, który przyglądał mu się z zaciekawieniem, już bez rozdrażnienia, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Brambell odłożył książkę.

– Widzę, że przyszedł pan do mnie z konkretnego powodu.

Gideon wyczuł wcześniej, że Brambell powinien dobrze zareagować na szczerość, otwartość i bezpośrednie podejście. Potrafił rozpoznać, kiedy kogoś nie można było urobić i kiedy ktoś nie reagował na socjotechniczne gierki. Lekarz okrętowy był taką właśnie osobą.

– Glinn twierdzi, że opowiedział mi całą historię o zatonięciu Rolvaaga – rzekł prosto z mostu Gideon. – Ale coś mi mówi, że pewne szczegóły pominął.

– To byłoby zagranie w jego stylu.

– Dlatego przyszedłem. Chcę usłyszeć tę historię od pana.

Brambell uśmiechnął się pod nosem, zacisnął dłonie na podłokietnikach fotela, w którym zapewne zwykle oddawał się lekturze, i usiadł.

– To długa historia.

– Mamy dużo czasu.

– W rzeczy samej. – Brambell złączył palce dłoni w piramidkę i wydał wargi. – Słyszałeś o Palmerze Lloydzie?

– Poznałem go.

Brambell uniósł brwi.

– Gdzie?

– W prywatnym szpitalu psychiatrycznym w Kalifornii.

– Oszalał?

– Nie. Ale normalny też nie jest.

Brambell zamyślił się przez chwilę.

– Lloyd był dziwnym człowiekiem. Kiedy dowiedział się, że na skutej lodem wysepce niedaleko przylądka Horn znaleziono największy na świecie meteoryt, postanowił pozyskać go do muzeum, które zamierzał stworzyć. I wynajął Glinna, żeby zdobył dla niego ten meteoryt. EES kupiło statek Rolvaag od norweskiej firmy stoczniowej. To był supernowoczesny tankowiec, ale Glinn i jego ludzie tak go zamaskowali, że wyglądał jak stara łajba.

– Dlaczego tankowiec? Czemu nie statek do przewozu rudy?

– Tankowce mają wyspecjalizowane zbiorniki balastowe oraz pompy, które były niezbędne do zapewnienia jednostce stabilności. Meteoryt nie tylko był największy na świecie, ale również charakteryzował się nadzwyczajną gęstością – ważył dwadzieścia pięć tysięcy ton. Glinn i Garza musieli w związku z tym opracować wyspecjalizowane plany inżynierskie, aby go wydobyć, przetransportować przez teren wyspy, załadować na statek i sprowadzić do Stanów, a następnie dostarczyć w górę rzeki Hudson.

Znów się zamyślił.

– Wyspa, na którą dotarliśmy, była z całą pewnością jednym z najbardziej zapomnianych przez Boga miejsc na ziemi. Desolación: Wyspa Osamotnienia. Wtedy sprawy zaczęły przybierać niepomyślny obrót. Zaczniemy od tego, że

meteoryt nie był zwyczajnym meteorytem żelaznym.

– Manuel powiedział mi, że miał on pewne osobliwe właściwości. Moim zdaniem bycie kosmicznym zarodnikiem to osobliwość sama w sobie.

Brambell uśmiechnął się smętnie.

– Miał ciemnoczerwoną barwę i był z materii tak twardej i gęstej, że najlepsze diamentowe wiertła nie były w stanie go choćby zarysować. Wydawał się zbudowany z zupełnie nieznanego pierwiastka o bardzo wysokiej liczbie atomowej. Może z jednego z tych hipotetycznych superciężkich pierwiastków z tak zwanej wyspy stabilności. Rzecz jasna to sprawiło, że meteoryt wzbudził jeszcze większe zainteresowanie. Z olbrzymim trudem udało się przetransportować go na pokład statku. Kiedy jednak wyruszyliśmy w drogę powrotną do domu, znaleźliśmy się pod ostrzałem zbuntowanego chilijskiego niszczyciela. Dzięki błyskotliwej, jak zwykle, strategii Glinna, zdołaliśmy zatopić niszczyciela. Rolvaag doznał jednak poważnych uszkodzeń, a na dodatek zerwał się sztorm, ocean był wzburzony. Meteoryt zaczął się przesuwac w ładowni. Kołyska, w której spoczywał, ledwo wytrzymała działające na nią siły i było kwestią czasu, kiedy się rozleci. – Brambell spojrzal na Gideona. – Wiesz o procedurze zrzutu awaryjnego?

– Wiem, że Glinn odmówił naciśnięcia guzika.

– To było naprawdę wredne. Nawet kiedy sam Lloyd zaczął błagać, żeby wcisnął ten cholerny guzik, nie zrobił tego. To człowiek, który nigdy nie może przegrać. Pomimo całego tego gadania o logice i rozsądku Glinnem kieruje obsesja.

Gideon pokiwał głową.

– Rozumiem, że kapitan poszła na dno razem ze statkiem.

– Tak. Cóż za wielka strata. – Brambell pokręcił głową. – Była wyjątkową kobietą. Nazywała się Sally Britton. Kiedy Glinn odmówił wprowadzenia hasła i naciśnięcia guzika aktywującego zrzut awaryjny ładunku, nakazała ewakuację statku, dzięki czemu ocalała dziesiątki ludzi, ale sama pozostała na pokładzie. Aż wreszcie meteoryt wyrwał się z mocowań, wybił wielką dziurę w kadłubie i doszło do olbrzymiej eksplozji. Britton zginęła, ale Glinn przeżył, wybuch wyrzucił go za burtę. To prawdziwy cud. Ten człowiek ma dziewięć żywotów, jak kot.

Gideon nie poruszył tematu wcześniejszego stanu zdrowia Glinna i jego kalectwa ani tego, w jaki sposób został uleczony.

– A pan? Jak pan przeżył?

Brambell mówił tym samym oschłym, rzeczowym tonem, jakby opisywał zdarzenia, które dawno temu przytrafiły się komuś innemu.

– Po eksplozji większość z tych, którzy ocalili, znalazła się w wodzie. Na falach unosiło się mnóstwo rozmaitych szczątków i kilka dryfujących szalup ratunkowych. Niektórym z nas udało się wejść na pokład tych szalup i dopłynąć nimi do jednej z lodowych wysp. Spędziliśmy tam noc, a następnego ranka zostaliśmy uratowani. Ale wiele osób zamarzło w nocy na śmierć na tej wyspie.

Jako lekarz robiłem, co w mojej mocy, byłem jednak bezradny w obliczu wszechogarniającego zimna.

– A więc tak naprawdę Glinn był odpowiedzialny za śmierć tych wszystkich ludzi?

– Tak. Glinn i meteoryt, rzecz jasna. – Brambell powiódł wzrokiem po regałach z książkami. – Dopiero później McFarlane zorientował się, czym naprawdę było to coś.

– Glinn wspomniał o McFarlanie, ale w materiałach informacyjnych nie napotkałem żadnej wzmianki na jego temat. Jaki on był?

Brambell znów posłał Gideonowi jeden ze swoich półumieszków, po czym rozłożył ręce.

– Ach tak. Sam. Porządny chłop, dusza człowiek, choć trochę szorstki w obyciu, sarkastyczny i bezkompromisowy, ale ma dobre serce. I jest jednym z najlepszych na świecie ekspertów od meteorytów.

– Rozumiem, że przeżył.

– Przeżył, tak, ale odbiło się to na jego psychice. Stał się zgorzkniały, przepełniony gniewem, nawiedzony. Tak słyszałem.

– A pan? To, co się stało, nie odcisnęło na panu żadnego piętna?

– Mam swoje książki. Nie żyję w prawdziwym świecie. Jestem niewzruszony.

Gideon spojrzał na Brambella.

– Muszę zapytać – biorąc pod uwagę wszystko, co pan wie o Glinnie i jego ograniczeniach oraz o koszmarze, jaki pan przeżył – czemu zgodził się pan wziąć udział w tej ekspedycji?

Brambell położył poprzecinaną żyłami dłoń na książce.

– Z czystej ciekawości. To nasze pierwsze spotkanie z obcą formą życia, nawet jeśli to tylko wielka, bezmyślna roślina. Nie mógłbym odmówić sobie uczestnictwa w tak epokowym odkryciu. A jak na razie – poklepał okładkę książki – mogę do woli oddawać się lekturze.

Uśmiechnął się, wstał i wyciągnął rękę do Gideona.

Gdy zbliżali się do granicy lodu, na południowym oceanie zaczęły się pojawiać dryfujące góry lodowe. Gideon uznał, że połączenie ich ciemnobłękitnego odcienia i posągowego piękna stanowiło jeden z najbardziej zdumiewających widoków, jakie miał okazję oglądać. Stał przy relingu i patrzył, jak statek prześlizguje się między dwiema zjawiskowymi górami lodowymi; jedna z nich miała sporych rozmiarów otwór przypominający łukowato sklepione wejście, przez które przeświecały promienie porannego słońca. Był dwudziesty listopada, czyli, jak przypomniał sobie Gideon, na tych szerokościach geograficznych trwała wiosna – pogoda zbliżona do dwudziestego kwietnia w jego rodzinnych stronach, jednakże powietrze było zaskakująco ciepłe i przyjemne, a ocean całkowicie spokojny. Nic nie przypominało ryczących sześćdziesiątek, o których słyszał. Nazwa wzięła się z tego, że na sześćdziesięciu stopniach szerokości geograficznej południowej Ziemia jest pokryta wyłącznie oceanami. Nieustannie wieją tam silne wiatry i rozpętują się wielkie sztormy. Mogą one bez ograniczeń przybierać na sile ze względu na brak lądów, które mogłyby stanowić dla nich barierę.

Tutaj jednak panował spokój. Ocean wyglądał jak zwierciadło, a w jego tafli odbijały się majestatyczne kształty gór lodowych dryfujących na północ od lodowców Antarktydy, od których oderwały się tą wiosenną porą.

Aby mieć jakąś orientację, Gideon poświęcił trochę czasu na zapoznanie się z mapami, które dołączono do materiałów informacyjnych. Naprawdę byli w samym środku niczego. Najdalej wysunięty punkt Ameryki Południowej znajdował się ponad tysiąc kilometrów na północny zachód, Półwysep Antarktyczny czterysta kilometrów na północny wschód, a najbliższy ląd, wyspa Elephant – dwieście dwadzieścia pięć kilometrów na zachód. Nie, to niezupełnie tak: na mapach w jego materiałach informacyjnych widniała mała samotna skała, pokryta lodowcem szczyt wystający z morza niespełna sto sześćdziesiąt kilometrów od ich pozycji, zwany wyspą Clarence.

Odetchnął głęboko czystym, świeżym, słonawym powietrzem i nagle poczuł, że ktoś podszedł do niego z tyłu.

– Gładkie jak stół – powiedziała Alex Lispenard, opierając się o reling obok niego i spoglądając na usiane górami lodowymi morze; łagodny wietrzyk rozwiewał jej długie brązowe włosy, a promienie słońca złociły jej profil.

Gideon wziął głęboki oddech.

– Mówiono mi, że powinienem spodziewać się wzburzonych wód.

– Bez obawy, jeszcze się tego doczekasz.

Statek zwolnił tak, że prawie się zatrzymał, a Gideon poczuł słabą wibrację pokładu, gdy silniki zaczęły pracować w inny sposób.

– Czujesz to? – spytała Alex. – Uruchomiono system pozycjonowania dynamicznego. Dotarliśmy na miejsce. Od tej pory jednostka będzie utrzymywać stałą pozycję w tym miejscu niezależnie od wiatru i prądów. Możesz poczuć, że strumieniowy pędnik azymutalny włącza się i wyłącza od czasu do czasu.

Gideon pokiwał głową i dalej patrzył w zimną czarnogranatową taflę. Przeszył go dreszcz, gdy pomyślał o tym, co znajdowało się pod jego stopami, i o tym, że miał zejść na trzy i pół kilometra pod wodę. Przepęniało go to trwogą.

– Tak – powiedziała Alex. – Domyślam się, że jest dokładnie pod nami.

– Niezupełnie – rzekł Gideon. – Dla bezpieczeństwa zatrzymaliśmy się osiemset metrów od punktu zero.

Wiedział to z lektury materiałów informacyjnych. Poza tym kilka razy siedział podczas kolacji przy stole kapitańskim wraz z Glinnem i Garzą i wtedy dowiedział się co nieco na temat przebiegu planowanej operacji. Mimo to wciąż czuł się niedoinformowany i to go drażniło. Spojrzał na zegarek.

– Schodzisz na odprawę? – zapytał.

– Jasne.

Poczuł, jak jej ciało przesuwają się tuż obok niego, gdy schodzili po zejściówce do centrum kontrolnego, elektronicznego ośrodka dowodzenia statkiem.

Byli przed czasem, ale Glinn już czekał przy pulpicie, wertując plik papierów. Podczas rejsu jego stan zdrowia wciąż się poprawiał, co zakrawało niemal na cud. Gideon miał okazję widzieć to wszystko na własne oczy. Glinn nie był już przykutym do wózka kaleką, nie potrzebował nawet laski, aby podpierać się przy chodzeniu.

Glinn ruchem ręki przywołał do siebie Gideona, który z pewnym wahaniem uwolnił się od obejmującego go ramienia Alex i wspiął się na podwyższenie.

– O co chodzi? – zapytał.

– Podczas odprawy mogę potrzebować pewnego wsparcia pierwszego obiboka w naszej ekipie.

– Skąd o tym wiesz?

Odpowiedzią Glinna był tylko chłodny uśmiech.

Miejsca siedzące na sali powoli zajmowali starsi członkowie załogi i personel naukowy. Sala była spora, owalna i wypełniona najnowocześniejszym sprzętem. Na ścianach zawieszono wielkie ekrany LCD, które teraz były w większości wygaszone. Będą na nich prezentowane obrazy przekazywane z kamer podwodnych pojazdów głębinowych, zdalnie kierowanego bezzałogowego pojazdu podwodnego, transmisje sygnałów z satelitów, z radaru pokładowego oraz sonaru, GPS-a i chartplotterów. Znajdowały się tam rzędy komputerowych stacji roboczych i olbrzymie, rozległe konsole z mnóstwem pokręteł, przycisków, klawiatur i niewielkich ekranów ciekłokrystalicznych, a także cała masa innych urządzeń, których Gideon nie potrafił rozpoznać na pierwszy rzut oka. Centrum

dowodzenia wyglądało jak żywcem wyjęte z filmu fantastycznonaukowego.

Nadeszła pora rozpoczęcia odprawy i zebrani ucichli. Rozglądając się dokoła, Gideon rozpoznał wiele twarzy: kapitan Tulley, jak zawsze blady, zwarty i gotowy, siedział w pierwszym rzędzie w nieskazitelnie odprasowanym mundurze, a obok niego pierwsza oficer Lennart – wysoka, zjawiskowa blondynka, która przypominała nordycką boginię. Gideon zdążył ją polubić. Wydawała się przejawiać cechy osobowości doktora Jekylla i pana Hyde'a. Podczas służby była niezwykle poważna i emanowała aurą zawodowej kompetencji, a w czasie wolnym sypała sprośnymi dowcipami jak z rękawa i zarażała śmiechem. Przypominała wtedy zbuntowaną nastolatkę.

Tuż za kapitanem i pierwszą oficer siedział główny mechanik Moncton i szef ochrony Eduardo Bettances. Jeszcze dalej, za gromadką naukowców i techników, Gideon zauważył Prothera. Nie pamiętał jego imienia, ponieważ nikt, nawet on sam, go nie używał. Mężczyzna rozsiadł się na krześle, ubrany jak zwykle w sprany podkoszulek i dżinsy. Stopy obute w trampki oparł na krześle przed sobą. Twarz miał częściowo zasłoniętą przez zmierzwioną szopę czarnych kręconych włosów. Obok niego siedziała wysoka ładna Azjatka. W słabym świetle urządzeń blada, okrągła jak księżyc w pełni twarz Prothera i cofnięty podbródek z kretyńską kępką rzadkich włosów zdawały się unosić w powietrzu, jego duże oczy i usta błyszczały od nadmiaru wilgoci. Gideon uważał Prothera za nonkonformistę i choć zazwyczaj czuł do takich ludzi sympatię, to Prothero bywał męczący, bo uskarżał się na wszystko, począwszy od twardego łóżka, poprzez niedostatek mocy obliczeniowej komputerów, marną prędkość satelitarnego łącza internetowego, po całą masę innych uchybień, jakby Gideon był za to odpowiedzialny. Prothero był w tej ekipie specjalistą od sonaru i rzekomo dysponował największą na świecie kolekcją zarejestrowanych sygnałów i pieśni wielorybów. Plotki głosiły, że pracował nad rozszyfrowaniem ich języka. Nigdy jednak z nikim o tym nie rozmawiał, a w każdym razie Gideon nic o tym nie wiedział.

Glinn odchrząknął.

– Panie i panowie – powiedział spokojnym głosem – dotarliśmy do celu. Pozwólcie, że powitam was na granicy lodu. – Przerwał na chwilę, by mogły wybrzmieć skromne oklaski. – Ściśle rzecz biorąc, znajdujemy się na płynnej granicy obszaru dryfującego lodu otaczającego Antarktydę, na obrzeżach morza Scotia, około czterystu kilometrów na północny wschód od Półwyspu Antarktycznego. Wrak Rolvaaga oraz obiekt docelowy spoczywają na głębokości mniej więcej trzech i pół tysiąca metrów pod nami, na obszarze dna morskiego zwanego głębią Hesperyd. Nasze położenie to sześćdziesiąt jeden stopni trzydzieści dwie minuty czternaście sekund szerokości geograficznej południowej i pięćdziesiąt dziewięć stopni trzydzieści minut i dziesięć sekund długości geograficznej zachodniej.

Nikt nie robił notatek, wszystkie dane znajdowały się w materiałach informacyjnych.

– Trwa antarktyczna wiosna i wkrótce powinniśmy widzieć coraz więcej gór lodowych cielących się na coraz cieplejszych wodach. Są naprawdę zjawiskowe i zupełnie niegroźne. Prawdziwym zagrożeniem jest tutaj pogoda. Znajdujemy się na ryczących sześćdziesiątkach i chociaż mamy wiosnę, z pewnością od czasu do czasu napotkamy gwałtowniejsze wichury i wzburzone wody.

Glinn przeszedł powoli przez podwyższenie, po czym się odwrócił.

– Założenia naszej misji są proste. Musimy zbadać tę obcą formę życia po to, by określić jej słabe punkty i ją unicestwić. – Przerwał, żeby jego ostatnie słowa wybrzmiały. – Nie przybyliśmy tu, żeby zaspokoić ciekawość, przyczynić się do rozwoju nauki czy poszerzać naszą wiedzę. Jesteśmy tu, żeby to coś zabić.

Kolejna dramatyczna pauza.

– Naszym pierwszym celem w nadchodzących dniach będzie wydobywanie z Rolvaaga dwóch czarnych skrzynek zawierających kluczowe informacje na temat zatonięcia statku oraz nagranie wideo meteorytu w ładowni, poczynania personelu na mostku i w innych częściach tej jednostki w ostatnich minutach przed pójściem na dno. Dokonamy mapowania i inspekcji wraku i samego obcego bytu.

Kątem oka Gideon zauważył, że Prothero zaczął się wiercić na krześle, zakładać nogę na nogę i podporać podbródek na dłoni.

– Prawda jest taka, że gdy tu przybyliśmy, stanęliśmy w obliczu pierwszej niewytłumaczalnej zagadki.

Glinn odwrócił się i znajdujący się za nim panel ekranu ciekłokrystalicznego ożył obrazem w symulowanych barwach.

– Oto obraz z sonaru przedstawiający wrak Rolvaaga, który właśnie przeskanowaliśmy z dokładnością do dwudziestu pięciu metrów. Jest powierzchniowy, ale widać na nim, że przełamany statek spoczywa w dwóch częściach na dnie oceanu, części są oddalone od siebie o jakieś pięćdziesiąt metrów. Jutro podejmiemy pierwsze zejście w głębinę z wykorzystaniem pojazdu DSV.

Odwrócił się.

– A oto drugi obraz z sonaru przedstawiający obszar oddalony dwieście metrów na południe.

Na ekranie pojawił się inny odczyt. Ten był naprawdę dziwny – rozmyty, niewyraźny, z wirującymi jak opary mgieł kolorami.

– To sonarowy obraz obcej formy życia, która, jak wierzymy, wyrosła z tak zwanego meteorytu – ziarna, które wylądowało na dnie oceanu.

Cisza.

– Ale przecież tam nic nie ma – powiedział jeden z techników.

– W tym właśnie problem – skwitował Glinn. – Nic tam nie ma. Nie widać

nawet dna oceanu. Sygnał sonaru po prostu znikł, jakby wchłonęła go czarna dziura, a to, co odbieramy w formie przekazu zwrotnego, jest losowe i zmienne.

– Coś jest nie tak z sonarem? – zapytał technik.

Prothero usiadł prosto, a jego ochryply głos rozbrzmiał w sali.

– Nie, sonar działa bez zarzutu, sprawdziłem go wielokrotnie.

– No cóż – odezwała się Alex – moim zdaniem awaria sprzętu jest najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem.

– Nie ma mowy o awarii sprzętu – rozległa się gniewna odpowiedź. – Wszystko funkcjonuje idealnie. Mam już dość obciążania mnie winą za to wszystko.

– Czy wobec tego wiadomo, co się dzieje? – zapytała uprzejmie Alex.

Gideon nie przepadał za Protherem, ale teraz niechęć wobec niego sięgnęła zenitu.

– Skąd mogę wiedzieć? Może gdzieś tam znajduje się wylot, przez który do wody dostają się rozproszone osady jakiejś materii, dajmy na to, gliny. Może jest tam niewielki czynny podwodny wulkan. Męczą mnie te pytania.

– Nie denerwuj się tak, Prothero – odezwał się Gideon. – Alex zadaje konkretne, w pełni uzasadnione pytania.

Prothero zaśmiał się.

– O, rycerz w lśniącej zbroi spieszy na ratunek damie w opałach.

Gideon poczuł, że krew napływa mu do twarzy, i już miał odpowiedzieć, gdy wtrącił się Manuel Garza.

– Nikt nikogo nie obwinia. Mamy do rozwiązania zagadkę i jutrzejsza misja zwiadowcza nam w tym pomoże. Skupmy się na tym i niech ta dyskusja przebiega w zgodnej, merytorycznej atmosferze.

Prothero parsknął głośno i ponownie rozwalił się na krześle.

– Co do tej misji zwiadowczej – ciągnął Glinn – przeprowadzimy ją możliwie jak najprościej. Jeden z pojazdów głębinowych zejdzie na dno i wykona serię szybkich zdjęć oraz analizę sonarową wraku, abyśmy mieli lepszą orientację w jego położeniu na dnie oceanu. Wydobycie czarnych skrzynek będzie miało kluczowe znaczenie.

Przerwał.

– Zwiad przeprowadzimy jutro. Dotarcie tu zajęło nam miesiąc i nie ma sensu marnować więcej czasu. Alex Lispenard, szefowa nadzorująca DSV, wyznaczy osoby do udziału w misji. Jakies pytania?

Nie było żadnych.

– To wszystko, bardzo dziękuję.

Gdy sala zaczęła pustoszeć, Glinn zatrzymał Gideona, chwytając go za ramię. Kiedy wszyscy wyszli, nachylił się i szepnął:

– Sugeruję, żebyś omijał Prothera szerokim łukiem.

Gideon poczuł narastające rozdrażnienie.

– Nie powinien być tak naskakiwać na Alex. To palant i dałem mu to jasno do zrozumienia.

– I zostałeś upokorzony. Nigdy nie wygrasz z nim pojedynku na inwektywy. Ma iloraz inteligencji wyższy o czterdzieści procent od twojego.

Gideon zaśmiał się.

– Naprawdę? Pamiętasz, jaki iloraz inteligencji mają członkowie twojej załogi?

– Oczywiście. A jeśli chodzi o misję zwiadowczą, to, jak już wspomniałem, Alex zdecyduje, kto będzie w niej uczestniczył. Wiem, że chce zrobić to sama. Twoim zadaniem jest przekonać ją, żeby wybrała ciebie. W razie konieczności wydam stosowne polecenie służbowe, żeby ci na to zezwoliła.

– Mnie? A co ja, u licha, wiem o pilotowaniu pojazdów głębinowych? Nie uważasz, że ta sprawa jest zbyt ważna, żeby wysłać mnie w tego rodzaju dziewiczy rejs?

– Nawet dziecko byłoby w stanie poprowadzić te DSV. Ale wyjaśnię ci, dlaczego chciałbym, żebyś to był ty: odnoszę wrażenie, że ta misja zwiadowcza jest groźniejsza, niż ktokolwiek mógłby się tego spodziewać, ponieważ nie wiemy, co jest tam, na dole. Czemu nie widzimy tego na odczytach z sonaru? To bardzo niepokojące.

– Więc chcesz powiedzieć, że jestem zbędny? Sądziłem, że moja wiedza z zakresu fizyki jądrowej była dla ciebie bezcenna.

– Nie jesteś zbędny, a twoją wiedzę uważam za bezcenną. Nigdy nie sądziłem, że to powiem, ale... szczęście ci dopisuje. Uszedłeś cało z najtrudniejszych opresji.

– Pomimo mojego niskiego ilorazu inteligencji?

– Może właśnie dlatego – odparł oschle Glinn.

– Od razu mi ulżyło.

– Posłuchaj mnie uważnie, Gideonie. Chcę, żebyś zszedł na dno w pojeździe głębinowym i na własne oczy zobaczył, co tam jest. Mówiłeś, że musisz się przekonać, że to coś naprawdę jest niebezpieczne, zanim zdecydujesz się wesprzeć nas swoją specjalistyczną wiedzą, i właśnie masz po temu okazję. Poza tym im więcej dowiesz się o tym, z czym mamy do czynienia, tym lepiej wykorzystasz swoją wiedzę, kiedy nadejdzie czas, by zbudować i strategicznie umieścić bombę, która zniszczy to coś.

Glinn skinął głową, dając Gideonowi do zrozumienia, że uważa ich rozmowę za zakończoną.

Powiedziano mu, że schodzenie zajmie czterdzieści minut – jeżeli wszystko przebiegnie pomyślnie. Gideon, przypięty pasami w pojeździe głębinowym Ringo, próbował zwalczyć narastające poczucie niepokoju i klaustrofobii, w miarę jak batyskaf opuszczano do wody.

Nieźle pokłócił się z Alex, kiedy poprosił, aby to jego wyznaczyła do udziału w misji zwiadowczej, a nie samą siebie, jak od początku zamierzała. Nic nie skutkowało; ani prośbą, ani groźbą, ani bardziej dosadnymi argumentami nie był w stanie jej przekonać. Nie musiał zwracać się w tej sprawie do Glinna, aby wydał Alex polecenie służbowe. Lisenard sama skontaktowała się z Elim, a on skwapliwie wyraził swoje poparcie dla inicjatywy Gideona. Całe to zdarzenie bardzo ją rozsierdziło, a Gideona zasmuciło, zwłaszcza że nie palił się do odegrania roli królika doświadczalnego.

Powierzchnia oceanu widoczna była przez przedni iluminator i choć falowała poruszana wiatrem, wydawała się względnie spokojna. Gideon poczuł lekkie kołysanie, gdy DSV opuszczano do wody. Po chwili pojazd głębinowy zanurzył się pod powierzchnię, a przed iluminatorem pojawiła się wirująca chmura lśniących bąbelków powietrza i wkrótce Gideon miał przed sobą już tylko nieskończoną głębinę, przez którą przenikały promienie słońca.

Wziął głęboki oddech. Próbował nie myśleć o tym, że schodzi pod wodę na głębokość trzech i pół tysiąca metrów.

– Ringo, słyszysz mnie?

– Tak, słyszę cię dobrze.

Łącznikiem Gideona w centrum dowodzenia był Garza, który choć nie należał do najbardziej przyjaznych osób, był z pewnością najbardziej kompetentny. I za to Gideon był wdzięczny.

– Zatrzymamy cię na głębokości sześciu metrów, żeby przeprowadzić kontrolę systemów i urządzeń pokładowych. Jesteś gotów?

– Bardziej już nie będę.

Podczas gdy DSV utrzymywał się na ustalonej głębokości, Garza przeprowadził nakazaną przez procedury kontrolę sprzętu i wyposażenia, prosząc Gideona, żeby przetestował działanie różnych przycisków, wskaźników i pomp i potwierdził, czy wszystkie systemy są sprawne. Wreszcie Garza uznał, że Ringo jest gotowy do uwolnienia za minutę.

Gideon wiedział z odprawy na pokładzie statku, że procedura polegała na uwolnieniu DSV do wody, gdzie niezwłocznie zacznie opadać w kierunku dna, ściągany w dół przez żelazny balast. Na dnie odważniki zostaną odrzucone, dzięki czemu DSV zyska pływalność zerową. Ponieważ utrzymywanie akustycznej lub

elektromagnetycznej łączności na głębokości trzech i pół tysiąca metrów było niemożliwe, podczas pierwszego zanurzenia Ringo pozostanie w kontakcie z centrum dowodzenia za pośrednictwem kabla, który będzie rozwijany w miarę opadania pojazdu coraz niżej w głębinę. Gdyby przewód pękł, co mogło się zdarzyć, autopilot niezwłocznie przejmie kontrolę nad pojazdem i sprowadzi Ringo na powierzchnię. Kablem przekazywane będą do centrum dowodzenia wszystkie czynności wykonywane przez pojazd, a także dane z kamer wideo i odczyty sonaru, dlatego gdyby coś zaczęło się dziać, w centrali dowiedzą się o tym w czasie rzeczywistym.

– Uwolnienie za dziesięć sekund.

Gideon słyszał, jak Garza odlicza do zera. Po chwili rozległo się stłumione łupnięcie i poczuł, że zaczyna opadać. Zobaczył maleńkie drobinki w wodzie unoszące się po drugiej stronie iluminatorów i płynące ku górze w coraz szybszym tempie. Otaczające go wody oceanu zaczęły zmieniać kolor z jasnoniebieskiego, poprzez niebieski, aż do ciemnego indygo.

– Wszystkie systemy sprawne. – Co dwie minuty rozlegał się uspokajający, stonowany głos Garzy.

Woda stała się czarna. Od czasu do czasu jakaś drobinka materii pojawiała się w świetle reflektorów pojazdu głębinowego, unosząc się, podczas gdy batyskaf schodził coraz niżej.

– Weź głęboki oddech, Gideonie. Twoje parametry gwałtownie podskoczyły.

Zdał sobie sprawę, że ma płytki, przyspieszony oddech, i czuł, jak serce tłucze mu się w piersi. Oczywiście jego funkcje życiowe były monitorowane i wiedział, że to wstępne stadium paniki nie wygląda najlepiej. Z wielkim wysiłkiem uwolnił oddech, uspokajając się i powtarzając sobie, że to, co robi, nie jest bardziej niebezpieczne niż przejazd Siódmą Aleją w godzinach szczytu.

– Lepiej – skwitował Garza.

Gideon spojrział na zegarek – Jezu, minęło zaledwie siedem minut. Jeszcze trzydzieści trzy. Na jednym ekranie stale widać było obraz dna oceanu z odczytu sonaru i skupił się na nim, żeby zabić czas. Obraz stopniowo się wyostrzał i coraz wyraźniej było widać dwie części Rolvaaga spoczywające na dnie. Na zachód od wraku mógł dostrzec dziwną, zmieniającą się bez przerwy rozpikselowaną chmurę sonarowego odczytu, który przesłaniał miejsce, gdzie wylądował meteor.

Dwadzieścia minut. Rozejrzał się dokoła, ponownie zaznajamiając się z urządzeniami kontrolnymi, po czym sprawdził głębokościomierz, który nieustannie na bieżąco podawał jego obecne zanurzenie. Dwa tysiące metrów, dwa tysiące dziesięć, dwa tysiące dwadzieścia...

Sonarowy obraz wraku zaczął się krystalizować, natomiast chmura sonarowa na zachodzie wciąż tylko się powiększała i rozmazywała.

Trzydzieści minut. Był już prawie u celu.

– Zwolnij opadanie do pięćdziesięciu metrów na minutę – polecił Garza.

Gideon wyczuł zmianę. A może zadziałała jego wyobraźnia? Teraz mógł dostrzec szczegóły Rolvaaga na ekranie sonaru. Statek leżał przełamany na pół, a dno wokoło zaścielały rozrzucone szczątki. Obie części statku, każda niesamowicie duża, leżały na boku, pod kątem około stu dwudziestu stopni. Poza tym dno oceanu we wszystkich kierunkach było płaskie jak stół z wyjątkiem terenu o średnicy mniej więcej stu metrów w miejscu, gdzie miał spaść meteoryt, które wciąż wyglądało jak rozmazana falująca chmura pikseli – przypadkowe odbicie sygnałów sonaru.

Wrak powiększał się, aż wypełnił ekran, i wciąż się rozrastał. Gideon zorientował się, że pojazd głębinowy celuje w miejsce na dnie oceanu oddalone o jakieś pięćdziesiąt metrów od rufy statku.

– Zwolnij opadanie do dwudziestu metrów na minutę – powiedział Garza. – Gideonie, reflektory Ringa mają zasięg prawie stu metrów. Powinieneś lada chwila zobaczyć Rolvaaga w ich świetle przez dolny iluminator.

– Zrozumiałem.

Gideon wbił wzrok w bulaj.

– Autopilot poprowadzi cię i zatrzyma pojazd nad dnem oceanu – wyjaśnił Garza. – Następnie DSV automatycznie odpali zbiorniki balastowe, żeby uzyskać zerową pływalność, a autopilot zatrzyma cię na wysokości dziesięciu metrów. Miejmy nadzieję, że ta procedura nie wzbije zbyt wiele osadu, ale gdyby tak się stało, odpłyn z prądem na pewną odległość od statku i pozostań w pobliżu, aż muł ponownie osiadzie.

– Zrozumiałem.

Jak dotąd Gideon nie robił nic poza monitorowaniem ekranów. Spoglądając przez iluminator, mógł teraz ujrzeć szczegóły zbliżającego się dna, słabo jeszcze widoczne w świetle reflektorów. Był to gładki muł z paroma rozsianymi tu i ówdzie wgłębieniami i kilkoma niemożliwymi do rozpoznania kawałkami szczątków. Sam wrak wciąż jeszcze pozostawał niewidoczny.

Pojazd opadał coraz wolniej, dno niemal wychodziło mu na spotkanie. Błotnisty muł wypełnił dolny bulaj i Gideon przeniósł wzrok na iluminatory boczne. Po prawej z pewną konsternacją spostrzegł rozmyte jeszcze kształty rufy Rolvaaga z dwiema gigantycznymi zniszczonymi śrubami przymocowanymi do czegoś, co wyglądało jak strąki. Pogruchotany kadłub, rozszczepiony wzdłuż nitowanych złączy, znikał daleko wśród czerni.

– Przygotuj się do odpalenia zbiorników – w kanale komunikacyjnym rozległ głos Garzy.

– Zrozumiałem.

Poczuł kilka wstrząsów i chmura osadu wzbiła się w górę, przesłaniając mu widok. DSV podniósł się na chwilę, po czym znów znieruchomiał. Osad z dna

zalepił iluminatory, ale równocześnie odbijał blask reflektorów, dzięki czemu wewnątrz pojazdu głębinowego zrobiło się jaśniej.

– Zaczekamy, aż osad odpłynie z prądem – rzekł Garza.

Po dwóch minutach po mule nie było śladu. Batyskaf, zgodnie z zapowiedzią Garzy, wisiał dziesięć metrów nad dnem oceanu. Teraz Gideon mógł już wyraźniej zobaczyć Rolvaaga, choć pozostałości po statku wciąż znajdowały się na granicy zasięgu światła reflektorów. To dziwne, ale nie było widać żadnych oznak podwodnego życia, żadnych ryb czy morskich stworzeń, spoczywały tu tylko rozrzucone szczątki i fragmenty zniszczonego statku.

– Ringo, DSV jest twój. Zaczynaj misję zwiadowczą.

– Zrozumiałem.

Instrukcje, jakie otrzymał Gideon, były konkretne: miał przepłynąć nad całą długością wraku na wysokości dwudziestu metrów, od dziobu do rufy, a potem jeszcze raz w poprzek. DSV został zaprogramowany tak, aby mógł wykonać serię zdjęć fotograficznych oraz pomiarów sonarowych i magnetycznych, on musiał jedynie pilotować pojazd, upewniając się, że nie wpakuje się na żaden wystający, ostry szpic, ale nawet to było mało prawdopodobne, bo autopilot Ringa i tak ominąłby każdą niebezpieczną przeszkodę. Następnie, w drugiej fazie misji zwiadowczej, miał skierować się ku miejscu upadku meteorytu i zobaczyć, co właściwie oznaczała sonarowa chmura, czy mieli do czynienia z osadem dennym, wyziewami z dna oceanicznego, czy czymś innym.

Manipulując drążkiem, Gideon skierował się w stronę rufy statku, po czym pchnął drążek do przodu. Gładkim ruchem popłynął naprzód w niespiesznym tempie. Manewrował miniaturową łodzią podwodną tak, by wznieść się na wyższy pułap ponad dnem oceanu. Stopniowo rufa statku stała się wyraźniejsza, a każda z dwóch gigantycznych śrub większa niż jego batyskaf. Zwiększył wysokość, na co DSV zareagował z lekkim opóźnieniem, do którego Gideon zdołał już przywyknąć. Batyskaf cały czas robił drobne korekty, żeby utrzymać kurs.

– Skieruj się do ustalonego wcześniej punktu orientacyjnego – rzekł Garza.

Chartplotter na głównym ekranie wskazywał punkt orientacyjny na osiach X, Y i Z i wystarczyło delikatne pchnięcie drążka, by pojazd głębinowy dotarł na miejsce i się zatrzymał.

– Rozpaczynam oględziny.

I znów DSV właściwie nie potrzebował pomocy Gideona, który musiał jedynie delikatnie popchnąć dźwigienkę, aby pojazd gładko zaczął się przesuwac po ustalonej linii. Wszystko zostało zaprogramowane i Gideon odnosił coraz silniejsze wrażenie, że w ogóle nie jest tu potrzebny. Równie dobrze cała ta operacja mogła się odbyć bez niego.

Gdy przepływał piętnaście metrów nad wrakiem, znów nie mógł się nadziwić jego rozmiarom. Powiedziano mu, że Rolvaag był większy niż Empire

State Building, ale dopiero teraz miał okazję się przekonać, że w tych słowach nie było ani cienia przesady. Statek zdawał się nie mieć końca. Uszkodzony kadłub przesunął się pod batyskafem; Gideon minął nadbudówkę, a następnie mostek, leżące na boku, zmiażdżone i rozsypane po dnie oceanu wielkimi pomarszczonymi stertami, z mnóstwem walających się dokoła najróżniejszych kabli. Jedno ze skrzydeł mostka wystawało z kadłuba, szyby w bulajach były powybijane.

Dziwne, pomyślał Gideon, że wokół wraku nie było żadnych oznak życia, ryb ani roślin. Całe to miejsce wyglądało na wymarłe. Ale może dałoby się to wyjaśnić dużą głębokością i brakiem światła.

Dotarł do punktu, gdzie kadłub został rozerwany, wielkie nitowane płyty okrętu popękały, strzępiaste, powykęcane fragmenty metalu sterczały na zewnątrz. Najwyraźniej eksplozja w ładowni rozerwała statek na pół. W przestrzeni między dwiema częściami okrętu spoczywała ogromna sarta przegniłych szczątków, gigantyczna platanina połamanych belek i metalowych wsporników, które, jak podejrzewał, były resztkami kołyski meteorytu.

Nagle coś zwróciło jego uwagę: spoczywający na dnie oceanu, opodal jednej z części kadłuba, podłużny kształt, który, gdy przyjrzał mu się uważniej, okazał się ludzkimi zwłokami. Brakowało im głowy i ramion. A w miarę jak kontynuował skanowanie, przepływając powoli, powyżej dostrzegł jeszcze jeden zgięty w pół kształt, który również okazał się ciałem. Temu brakowało nie tylko głowy i rąk, ale także jednej nogi. Najwyraźniej kończyny zostały oderwane siłą eksplozji, która zatopiła Rolvaaga.

Jezu.

– Widzę tam na dole ludzkie szczątki – powiedział.

Usłyszał w słuchawkach spokojny głos Garzy.

– My też je widzimy. To nic niespodziewanego. Kontynuuj.

– Zrozumiałem.

Przełknął ślinę. Czemu nie pomyślał o tym wcześniej? I dlaczego nie wspomniano o tym w trakcie odprawy? Pomijając obrażenia powstałe zapewne w wyniku wybuchu, oba ciała wydawały się zaskakująco dobrze zachowane, co przypuszczalnie wynikało z dużej głębokości.

Teraz ujrzał zbliżający się tępy dziób statku.

– Zbliź się do punktu orientacyjnego numer dwa – polecił Garza.

Kiedy minął dziób, woda nagle znów pociemniała, a dno oceanu wydawało się zbyt odległe, aby mogło je omieść światło reflektorów.

– Zbliżam się do punktu orientacyjnego numer dwa.

Pojazd głębinowy ponownie gładko zawisł.

– Wykonamy teraz drugie przejście – powiedział Garza – od północy i wzdłuż pokładu statku. Kieruj się do punktu orientacyjnego numer trzy.

Aby przeprowadzić operację skanowania wraku z boku, Gideon musiał

manewrować blisko dna. Doprowadził batyskaf do punktu orientacyjnego i rozpoczął procedurę.

Przemieszczanie się zaledwie dziesięć metrów nad dnem oceanu i oglądanie wraku z boku zawierało więcej dramatyizmu. Gideon patrzył teraz na pokłady nieznacznie powyginane w wyniku uderzenia o dno.

– A to co? – zapytał nagle.

Z trudem, ale zdołał dostrzec jakby cienką nitkę spoczywającą na dnie oceanu i znikającą w ciemnościach.

– Widzimy to – powiedział Garza. – Dobra. Zwolnij. Zejdź z zaprogramowanej trasy i zbliż się do tego czegoś.

Gideon podpłynął batyskafem, aż znalazł się dziesięć metrów nad tajemniczym obiektem. Przyjrzał mu się przez dolny iluminator.

– Czy to kabel ze statku? – zapytał.

– Nie – odparł Garza. – Jest za długi. Zbliż się jeszcze trochę, proszę.

Gideon użył drążka i DSV zawisł półtora metra nad kablem. Był gładki, cienki jak ołówek i szary jak miejsce, na którym leżał. Teraz, gdy znajdował się bliżej dna, Gideon mógł dostrzec inne, podobne kable, jedne częściowo zagrzebane, inne na przemian wyłaniające się z mułu i znikające w nim, wszystkie jednak ciągnęły się w tym samym kierunku i ginęły w ciemnościach.

– Zauważyłeś, że wszystkie kierują się w stronę meteorytu? – spytał. – Chciałbym za nimi podążyć.

Krótką cisza.

– Odradzam – rzekł Garza. – Dokończ inspekcję, to zjawisko zbadamy później.

– Zakończyłem już inspekcję Rolvaaga. A skoro i tak mam popłynąć w tamtą stronę, chciałbym przyjrzeć się tym kablom.

Kolejna chwila ciszy. Bez wątpienia na powierzchni trwała teraz dyskusja, której nie mógł niestety słyszeć.

– Dobrze – powiedział Garza. – Płyn powoli i pod żadnym pozorem nie wpływaj do żadnej chmury osadów, trzymaj się z dala od wszelkich wylotów wyziewów dennych. Nie zbliżaj się do niczego, co wygląda dziwnie lub nienaturalnie.

– Zrozumiałem.

Gideon zawrócił pojazd głębinowy i zaczął podążać za wąskimi, przypominającymi węże kablami leżącymi na dnie oceanu. Z jakiegoś powodu wywoływały u niego lodowate ciarki.

W końcu przez przedni iluminator dostrzegł majaczący w oddali wielki, niewyraźny jeszcze kształt.

– Widzicie to...?

– Tak – odrzekł krótko Garza. – I tracimy cię w sonarowej chmurze.

– Ale woda jest całkowicie przejrzysta.

– Widzimy to co ty.

Gideon instynktownie zwolnił i pojazd zaczął płynąć wolno. Ekran sonaru wskazywał teraz rozmazaną plamę odbitych sygnałów, ale reflektory pojazdu odnalazły znajdujący się w oddali kształt, oświetlając go silnym blaskiem.

– O Boże – wymamrotał.

Z ciemności wyłonił się gigantyczny kształt przypominający drzewo – groteskowa, żłobkowana narośl wznosząca się z dna oceanu i pokryta czymś, co przypominało chropowatą, popękaną, szorstką korę. To coś było tak wielkie, że góra tego tworu zniknęła w ciemnościach poza zasięgiem reflektorów. Zdawało się nie mieć końca.

– Nie płyn dalej – ostrzegł Garza, ale Gideon już zatrzymał batyskaf.

Na powierzchni zapanowała cisza. Gideon patrzył w milczeniu. Luźne wiązki kabli, za którymi podążał, biegingy wzdłuż dna oceanu do ogromnej narośli, gdzie łączyły się i wnikały w podstawę tworu jak korzeń. Gideon spostrzegł wiele innych podobnych wyrostków zbiegających się z innych stron do podstawy obcego bytu.

– O w mordę – mruknął Gideon.

Garza znów się odezwał, a w jego głosie dało się wyczuć nietypowe jak na niego napięcie.

– Pora wracać na powierzchnię.

– Podpłynę bliżej.

Gideon pchnął drążek do przodu.

– Nie, nie podpłyniesz.

Na ekranie kontrolnym batyskafu pojawił się komunikat:

KONTROLA NAD POJAZDEM PRZEKIEROWANA

NA POWIERZCHNIĘ

DSV przestał reagować na drążek sterowania. Gideon usłyszał brzęk, gdy żelazny balast został uwolniony i łódź podwodna zaczęła się podnosić.

– Hej...!

– Przykro mi – rzekł Garza. – Wyciągamy cię na powierzchnię.

Gideon nie odpowiedział, bo gdy pojazd głębinowy unosił się coraz wyżej, dostrzegł w pełni ogrom obcej istoty. Batyskaf wynurzał się pod kątem, oddalając się od drzewa w miejscu, gdzie centralny pień tworu zaczął się rozdzielać tak, że przypominało to płataninę konarów i mniejszych gałęzi; byt rozpląnął się w mroku poza zasięgiem światła reflektorów.

– Trzydzieści dziewięć minut do powierzchni – rozległ się pełen napięcia głos Garzy.

Kiedy za iluminatorami znów pojawiła się nieprzenikniona czerń, Gideon mógł jedynie wyobrażać sobie konsternację, jaka zapanowała w centrum dowodzenia na górze.

Glinn zwołał spotkanie na godzinę pierwszą, Gideon miał więc niewiele czasu na to, by zrzucić z siebie przepocone ciuchy i wziąć prysznic. Kiedy zjawił się w centrum dowodzenia, było tam dość tłoczno; wyglądało na to, że wszyscy obecni na pokładzie już się zjawili, wszystkie miejsca siedzące pozajmowano i zostały tylko stojące z tyłu.

Garza usiadł na podwyższeniu wraz z Glinnem; gdy Gideon wszedł, Glinn przywołał go zdecydowanym gestem, aby do nich dołączył.

Jakież było jego zdziwienie, gdy po wejściu na podwyższenie powitały go głośnie oklaski. Czym prędzej usiadł skrzepowany.

Glinn, nie tracąc czasu, wyciągnął rękę po bezprzewodowy mikrofon, a gdy mu go podano, powiedział:

– Rozpoczynamy sprawozdanie z przebiegu misji.

Na dźwięk jego spokojnego, rzeczowego głosu w sali zapadła cisza.

– Większość z was zapewne słyszała już o porannym zanurzeniu zwiadowczym przeprowadzonym przez doktora Crew. Jestem pewien, że wyrażę opinię nas wszystkich, szczerze gratulując mu pomyślnego wykonania zadania.

Znow rozległy się oklaski. Gideon zauważył Lispenard siedzącą w pierwszym rzędzie. Spodziewał się dostrzec na jej twarzy gniew i dezaprobatę. A tymczasem zobaczył minę, której nie rozumiał.

– Celem tego spotkania – ciągnął Glinn – jest pobieżne przejrzanie zapisów z kamer i danych zebranych podczas zwiadowczego zanurzenia, a następnie poświęcimy nieco więcej czasu na przedstawienie rozmaitych opinii, analiz oraz dyskusję. Na koniec omówimy kolejne kroki, jakie zostaną przez nas podjęte.

Skinął na technika w kabinie obsługi audiowizualnej i główny ekran ożył. Zebrani patrzyli w milczeniu, gdy na ekranie pojawiły się obrazy ze skróconej wersji rekonesansu przeprowadzonego przez Gideona, opatrzone dialogami z centrum łączności. Na koniec zaprezentowano serię powiększonych zdjęć odkrytej przez Gideona ogromnej istoty i węzowatych macek, które odchodziły od pnia obcego bytu.

– Teraz – rzekł Glinn, gdy nagranie dobiegło końca – pokażę wam kilka innych obrazów. Pierwsze z nich przedstawiają odczyty z sonaru dotyczące nieznanego organizmu, pozyskane podczas misji rozpoznawczej.

Na ekranie pojawiła się seria obrazów podobnych do zaobserwowanej wcześniej chmury – zmieniające się bez przerwy piksele sonarowego szumu.

– A to są sygnały emitowane przez tę istotę, które wychwytyje sonar. To ciche, rozlegające się nieustannie dźwięki o częstotliwości dwóch herców, czyli znacznie poniżej granicy słyszalności ludzkiego ucha. Oto generowany przez

komputer obraz pola sonarowego tej istoty.

Obrazy przedstawiały dziwny, świecący zarys nieznanego tworu z odchodzącymi od niego wąskimi wstęgami.

Glinn kontynuował, prezentując kolejne obrazy zarejestrowane na różne sposoby, po czym przerwał i rozejrzał się po sali.

– No dobrze, otwieram dyskusję i udzielam głosu każdemu, kto chciałby coś powiedzieć lub zadać jakieś pytanie. Dyskusja potrwa pół godziny, żeby jej niepotrzebnie nie przedłużać.

Uniosło się sporo rąk. Glinn wskazał na osobę z tyłu sali.

– Prothero?

„Dlaczego właśnie on jako pierwszy”, pomyślał Gideon. „Facet na pewno storpeduje całą dyskusję”.

Prothero wstał.

– No dobrze, dla mnie jest absolutnie oczywiste to, co się dzieje z hydrolokatorom. – Rozejrzał się wokoło. – Nawiasem mówiąc, sprzęt działa bez zarzutu. Powierzchnia tego baobabu przypomina korę. Zauważyliście to? Przyjrzałem się temu w sporym powiększeniu i od razu zwróciłem uwagę, że wykazuje ona pewne właściwości matematyczne: niemal idealnie rozprasza sygnał sonaru. Innymi słowy, baobab jest dla sonaru niewidzialny. Mogę również wyjaśnić wam dlaczego.

Przerwał i znów rozejrzał się agresywnie dokoła, jakby czekał, że ktoś zaraz rzuci mu wyzwanie.

– Proszę, wyjaśnij – rzekł zachęcającym tonem Glinn.

– Baobab rośnie w głębinie słonowodnej przy zupełnym braku światła. To najwyraźniej jest jego środowisko naturalne. Hydrolokacja to jedyny sposób „widzenia” w tym środowisku, a zatem, żeby unikać drapieżników, istota ewoluowała, stając się niewidoczna dla sonaru, czyli urządzeń hydrolokacyjnych. Najwyraźniej jej rodzima planeta to świat pokryty głębokimi oceanami albo może ocean przykryty na przestrzeni wielu kilometrów pokrywą lodu jak w wypadku Europy czy Kallisto. To by wyjaśniało wydawany przez tę istotę dźwięk o częstotliwości dwóch herców, można powiedzieć, że wydaje „ping”, aby zbadać otoczenie.

Usiadł nagle. Gideon był zaskoczony, wręcz zdumiony niezmaconą logiką tej analizy.

Obserwacje Prothera spotkały się z licznymi komentarzami zebranych w sali osób.

– Dziękuję – rzekł po chwili Glinn.

Kiedy w sali znów zapadła cisza, Lisenard uniosła rękę.

– Alex?

– Uderzyły mnie dwie rzeczy. Po pierwsze całkowity brak morskiej fauny

i flory w pobliżu. W strefie bentonicznej raczej nie spotyka się wielu form życia, ale ten obszar wydaje się kompletnie wymarły.

– Jakie formy morskiej fauny i flory spodziewałabyś się tu znaleźć? – zapytał Glinn.

– Pewne gatunki padlinożerców, śmieciarzy żywiących się odpadkami zalegającymi na dnie, śluzicę arktyczną, kraby i inne podobne organizmy żerujące na szczątkach opadających z górnych warstw oceanu. Poza tym detrytofagi pożywiające się rozkładającymi się ciałami zwierząt oraz roślin, pochłaniające opadające z góry odchody. Także epifaunę i infaunę żyjące na samym dnie oceanu i żywiące się tym, co tam znajduje. Ale w tym miejscu nie zauważyłam nic takiego.

– Jakież przypuszczenia, co może być tego przyczyną?

– Na lądzie istnieje zjawisko zwane allelopatią. Niektóre drzewa i grzyby redukują konkurencję w swoim otoczeniu, uwalniając do gleby pewne substancje chemiczne, które wywierają szkodliwy wpływ na inne rośliny lub powodują zahamowanie kiełkowania nasion. Może tu mamy do czynienia właśnie z czymś takim.

– Czy twoją uwagę zwróciło coś jeszcze?

– Zwłoki ludzkie. Poza uszkodzeniami spowodowanymi, jak sądzę, przez wybuch nie wykazują prawie żadnych oznak rozkładu, a przynajmniej ja niczego takiego nie zauważyłam.

– Masz jakąś teorię, co jest za to odpowiedzialne?

– Na takiej głębokości i przy takim ciśnieniu szczątki organizmów rozkładają się, nawet jeśli nie są atakowane przez mikroorganizmy. Nie mam pojęcia, dlaczego są tak dobrze zachowane.

To wywołało dłuższą dyskusję, którą Glinn moderował, dając wszystkim szansę wyrażenia swojej opinii lub zadania pytania. Gdy upłynęło pół godziny, spokojnie zamknął dyskusję.

– Chciałbym na koniec skupić się na myśli, która zapewne wielu z was już przysłała do głowy.

Wstał i zaczął spacerować po podwyższeniu.

– Wygląda na to, że doktor Prothero nadał temu organizmowi nazwę baobab i mnie się ona podoba. Baobab znajduje się w stanie uśpienia. Można powiedzieć, że zasnął po gwałtownym wybuchu i okresie nadaktywnego wzrostu, kiedy wykiełkował. Miałem nadzieję, że gdy się tu zjawimy, okaże się, że obcy jest martwy. Jednak z tych obrazów wynika, że jest on żywy... i zdrowy. Bez wątplenia w którymś momencie wyda owoce i wytworzy nasiona. Wiemy już, jak te nasiona wyglądają, bo tak zwany meteoryt był jednym z nich – a my go zasialiśmy. Nasionie ważyło dwadzieścia pięć tysięcy ton, było praktycznie niezniszczalne i stworzone z materii wielokrotnie gęstszej niż jakikolwiek znany na ziemi pierwiastek. To oczywiste, że organizm ten ewoluował, by móc przetrwać surowe

warunki podróży w przestrzeni kosmicznej. To nasienie opracowane do celów panspermii, ale nie panspermii zarodników, jak ją sobie wyobrażają egzobiolodzy, dryfujących w kosmosie albo ukrytych na powierzchni meteorytów. To wroga panspermia. Panspermia terminator.

Zebrani zareagowali na te słowa nerwowym chichotem.

– Co przychodzi mi na myśl zasadniczą kwestię: gdy baobab wytworzy nasiona, jak zostaną one rozsiane w przestrzeni kosmicznej?

Glinn pozwolił, aby pytanie wybrzmiało.

– Zastanówcie się nad tym przez chwilę. Każde nasiono waży dwadzieścia pięć tysięcy ton. Wydaje się, że nie ma możliwości, aby ziarna wydostały się spod wpływu pola grawitacyjnego planety, na której wylądowały. A jednak jakoś się z niego wydostają. Pytam więc raz jeszcze: jaki jest mechanizm rozsiewania tych nasion?

Znów cisza.

– Śmiem twierdzić, że może być tylko jeden tryb rozsiewania, tylko jeden sposób na to, aby te niewiarygodnie ciężkie nasiona zostały na powrót uwolnione do przestrzeni kosmicznej i mogły w niej dryfować, i znaleźć nowe żyzne oceany, w których wykiełkują. Zapewne domyślacie się, jaki sposób mam na myśli.

Zrobił kolejny zwrot, niemal jak telewizyjny showman, i ponownie spojrzął na zebranych.

– Kiedy to zrozumiecie, zdacie sobie również sprawę z tego, co to oznacza dla losów Ziemi – i dlaczego nie możemy zawieść.

Spotkanie dobiegło końca. Gideon szykował się do wyjścia, gdy podeszła do niego Alex Lispenard.

– Gideonie?

Odwrócił się.

– Chciałabym przeprosić za kłótnię, za to, że Glinn musiał interweniować.

– W porządku – mruknął. – To była moja wina. Ty jesteś szefową odpowiedzialną za pojazdy głębinowe. Ja chciałem tylko...

Dotknęła jego ramienia.

– Nie musisz nic wyjaśniać. Wszystko rozumiem. Do tego, co zrobiłeś, opuszczając się w pojedynkę na dno oceanu już podczas drugiego zanurzenia, naprawdę trzeba mieć odwagę. W dodatku zachowałeś zimną krew wobec tego, co zobaczyłeś.

– Cóż, sama powiedziałaś, że każdy mógłby pilotować DSV. A Garza wyciągnął mnie na powierzchnię, zanim zdążyłem zrobić coś głupiego.

– Kiedy byłem w centrum dowodzenia i to gigantyczne coś pojawiło się na ekranie, poczułam się kompletnie dezorientowana. Przez chwilę naprawdę się cieszyłam, że to ty jesteś tam na dole, a nie ja.

– To tylko drzewo.

Pokręciła głową.

– Nie pokusiłabym się o snucie przypuszczeń, czym jest to coś. Nie ma mowy.

Gideon jeszcze nigdy w życiu nie widział tylu gwiazd.

Po kolacji wrócił do swojej kajuty, aby odprężyć się w samotności. Jednakże wydarzenia minionego dnia: przepełniające niepokojem zanurzenie i nieco traumatyczny powrót na powierzchnię w pojeździe głębinowym oraz rewelacje i domysły podczas późniejszego spotkania głęboko nim poruszyły. Nie był w stanie uwolnić się od klaustrofobicznego wrażenia ciasnoty wewnątrz DSV ani od widoku baobabu przypominającego monolit lub zbocze klifu. Nawet w przestronnej kajucie wciąż czuł narastającą klaustrofobię, dlatego wyszedł na pokład. Chciał poczuć nieskończony przestwór nieba nad sobą.

Podmuchy wiatru mierzwiły mu włosy, gdy stał przy relingu i patrzył na południe. Światła statku pozwalały mu dostrzec znajdujące się najbliżej góry lodowe, które wyłaniały się z czarnej wody niczym ruiny zamków z pogruchotanymi wieżyczkami sięgającymi ku niebu. Ocean był jak czarna tafla, w której surrealistycznie odbijały się gwiazdy i góry.

– Witaj.

Odwrócił się.

– Lubisz się do mnie podkradać.

– To jest niemal tak zabawne jak wiązanie sznurowadeł. – Alex dołączyła do niego przy relingu, opierając łokcie o poręcz i kierując wzrok ku morzu. – To właśnie uwielbiam najbardziej – powiedziała. – Być na środku wielkiego oceanu, takiego jak ten, z dala od lądu. Widziałeś kiedykolwiek coś tak pięknego?

– Przyznaję, że to ma w sobie jakąś magię. Ale i tak wolę góry.

Poczuł zapach jej świeżo umytych włosów i znów ogarnęło go rozpaczliwe pożądanie. Jakaś jego część pragnęła, aby na pokładzie nie było Alex Lispenard nawiedzającej go w snach i mącej jego spokój ducha, ale jednocześnie cieszył się jej obecnością i przyjaźnią, nawet jeśli bezlitośnie ogrywała go w warcaby.

– To twoje spostrzeżenie o tym, że ciała się nie rozkładają, było naprawdę niepokojące.

– Na tej głębokości i przy tym ciśnieniu słona woda jest jak łagodny kwas. Od razu zaczyna działać na wszelkiego rodzaju szczątki organiczne. Może pamiętasz, że na Titanicu nie znaleziono żadnych ludzkich szczątków, nawet kości. W dużej mierze odpowiadały za to organizmy padlinożerne i wieloszczety, ale woda morska i ciśnienie też zrobiły swoje.

– Rozumiem, dlaczego to coś... ten... baobab może uwalniać do środowiska substancje chemiczne zabijające mikroby w jego otoczeniu, ale jak miałyby to zahamować działanie ciśnienia i słonej wody?

– Oto i zagadka.

Zapadła cisza. Wciąż stali przy relingu. Alex była tak blisko, że dotykała go ramieniem. Spojrzeli na siebie. Ich twarze dzieliły teraz tylko centymetry. Gideon stłumił chęć, aby nachylić się i ją pocałować.

Tymczasem to ona pocałowała jego. Usta miała miękkie i ciepłe. Pocałunek był długi, niespieszny, aż w końcu rozchyliła usta i ich języki się zetknęły. Gideon uniósł rękę i pogładziwszy ją po włosach, przyciągnął do siebie, zamykając w czułym, gorącym uścisku.

Cofnęła się z uśmiechem. Gideon był tak zdyszany, że nie mógł wydobyć z siebie słowa.

Nachylił się, by znów ją pocałować, ale powstrzymała go wyprostowanym palcem.

– Nie tu, ktoś mógłby nas zobaczyć.

– Racja.

Zastanawiał się, do czego to wszystko zmierzało, dlaczego zmieniła zdanie na temat nawiązywania romansów na pokładzie. Wiedział, że to zapewne nie przysłuży się im obojgu, ale akurat w tym momencie ani trochę o to nie dbał.

– Nie zrobiliśmy razem żadnej magicznej sztuczki – powiedziała półgłosem.

– Wątpię, abym mógł cię czegokolwiek nauczyć.

– No nie wiem. Zawsze są jakieś nowe sztuczki. – Przerwała. – Masz jeszcze tę butelkę veuve clicquot?

– Mieliśmy wypić go razem.

Ujęła go za ramię.

– Więc zrobmy to.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– Dobrze.

Weszli do wnętrza statku. Zbliżała się północ i większość załogi, nie licząc wachtowych i obsady mostka, już udała się na spoczynek. Przez labirynt korytarzy dotarli do kajuty Gideona. Na szczęście nikogo nie napotkali po drodze.

Gideon stopą zamknął drzwi. Bez słowa zbliżyli się do siebie i znów zaczęli się całować. Alex powoli rozpinała guziki jego koszuli, on robił to samo z jej bluzką. Powstrzymał w sobie chęć zderzenia z niej całego ubrania.

Zdjęła mu koszulę przez głowę i delikatnie przejechała paznokciami po jego torsie.

– Mmm. Podoba mi się.

Rzucił jej bluzkę na bok, odpiął haftki biustonosza i ujął jej piersi w dłonie, pieszcząc je delikatnie. Koniuszkiem palców przesunął wokół jej sutków, czując, jak sztywnieją. Usłyszał, że jej oddech staje się przyspieszony. Przesunęła dłonią w dół jego brzucha i włożyła palce pod sprzączkę paska.

– Chcesz mi pokazać kilka magicznych sztuczek?

– Tak – wykrztusił.

Kochali się powoli, głęboko i do utraty tchu.

Później osunął się na nią i całował ją leniwie. W końcu podparł się na rękach, by spojrzeć na jej usta, nos, włosy rozrzucone na poduszce i oczy, które na niego patrzyły.

– Zapomnieliśmy o szampanie – powiedziała.

– Wciąż tu jest i czeka na nas.

Przyglądali się sobie dłuższy czas.

– A co z twoją zasadą... no wiesz... że nie nawiązujesz romansów na pokładzie statku? – zapytał w końcu.

– No cóż – odparła. – Nie mogłam się powstrzymać.

– Chcesz powiedzieć, że nie była to tylko chwila słabości? Coś, co się nie powtórzy?

– Chciałam to zrobić już od trzydziestu dwóch dni. Bez przerwy o tym myślałam. I chyba mi się spodobało. Wsiąknęłam na dobre. Teraz nie ma odwrotu.

– Od trzydziestu dwóch dni? Nie miałem pojęcia.

– Daj spokój! A granie z tobą w warcaby? Cały ten czas, jaki spędzaliśmy razem? Naprawdę nie zdawałeś sobie sprawy, o co w tym chodzi?

– Ale czemu akurat teraz?

– Kiedy dziś rano zszedłeś sam na dno, uparłeś się, żeby to zrobić i powiedziałeś, że to nie podlega dyskusji, że mam się zamknąć, bo ty i tak zrobisz swoje, to z jednej strony mnie to wkurzyło, bo trudno, żeby nie, z drugiej kompletnie mnie zdobyłeś. Stwierdziłam, że masz w sobie coś, czemu nie sposób się oprzeć. Nie spodziewałam się, że będziesz taki... władczy. I zdecydowany. Zwłaszcza mając na uwadze to, jak bardzo boisz się głębin.

Pokręcił głową.

– Prawdę mówiąc, to był pomysł Elego.

– Owszem, wspomniał mi o tym, kiedy po naszej kłótni poszłam w tej sprawie do niego. Ale ty to zrobiłeś.

Cisza.

– A więc... to... się dzieje naprawdę? To coś poważnego?

– Mam nadzieję, że tak.

– Będziemy się z tym ukrywać?

Zaśmiała się.

– Na pokładzie statku? Niemożliwe. Ale dopóki nie będziemy się z tym afiszować, wątpię, aby ktokolwiek miał jakieś zastrzeżenia.

– Eli mógłby mieć.

– Żartujesz? Z całym tym jego profilowaniem psychologicznym podejrzewałabym raczej, że się tego spodziewał. Może nawet sam to wszystko zaaranżował, chciał, żeby do tego doszło, i dlatego zasugerował, abyś walczył

o udział w misji rozpoznawczej. To najlepszy manipulator na świecie, mistrz w swoim fachu. Ale muszę przyznać, że była to naprawdę świetna manipulacja.

– Skoro o manipulacji mowa...

Otaksował wzrokiem jej nagie ciało, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co się właśnie wydarzyło, w to, że los się do niego uśmiechnął.

– O-o – powiedziała. – Czyżby tam na dole znów coś się działo? Tak szybko?

Trzy łodzie głębinowe zostały wytoczone z hangaru i obecnie spoczywały na pokładzie rufowym, rzucając długie cienie w złocistym świetle poranka. Gideon zjawił się kilka minut przed wyznaczonym terminem odprawy, z kubkiem kawy w dłoni, przyjemnie zmęczony nocnymi igraszkami. Alex już tam była, ubrana w obcisły czarny kombinezon, w którym wyglądała jak Emma Peel z serialu *Rewolwer i melonik*. Wydawała się wypoczęta, co, zważywszy na sposób, w jaki spędziła noc, trochę zaniepokoiło Gideona. Manuel Garza także przyszedł i gawędził z Alex. Gideon zdziwił się, ujrawszy go w stroju do zejścia pod wodę.

– Witaj – rzekł Garza, wyciągając do niego rękę.

Gideon uściśnął mu dłoń. Uznał, że Garza wydaje się zdenerwowany, ale może to były tylko jego pobożne życzenia.

– A więc ty też będziesz pilotował DSV?

– Przydzielono mi George’a. Ty schodzisz Johnem.

– A ja Paulem – powiedziała Alex, zbliżając się do nich nieśpiesznie.

Gideon starał się zachowywać nonszalancko i za bardzo się na nią nie gapić. Rozejrzał się dokoła, spojrzął na inne osoby w zasięgu jego wzroku: na kilku techników i drugiego mechanika pokładowego Grega Mastersona, potężnie zbudowanego mężczyznę, który miał skontrolować silniki minilodzi i dać zielone światło do zanurzenia. Czy wiedzieli? Nie zauważył żadnych znaczących spojrzeń, jedynie atmosferę zawodowej powagi.

– Kawa przed zanurzeniem? – spytała Alex, unosząc brwi. – To naprawdę odważne.

– Czemu?

– Kawa ma właściwości moczopędne.

Gideon nie zastanawiał się nad tym, choć schodził na dno dwukrotnie.

– Eee, a co będzie, jeśli mi się zachce?

– Lejesz w gacie.

Gideon odstawił kubek z kawą.

Drzwi do wyjścia na pokład otworzyły się i pojawił się Glinn, prawie niedostrzegalnie utykając. Miał ze sobą iPad i mrugał powiekami w silnym słońcu. Złączył dłonie za plecami i popatrzył na zebranych, witając ich chłodnym uśmiechem.

– Miły dzień na zanurzenie – powiedział. – Pogoda nam sprzyja.

Odpowiedziały mu skinienia głowy i ciche potaknięcia.

– Wszyscy zapoznaliście się z planem misji, ale i tak pokrótce przypomnę najważniejsze jego punkty, a potem zobaczymy, czy są jakieś pytania.

Przerwał. Gideon popatrzył ukradkiem na Alex. Wzrok miała utkwiony

w Glinna. Z wysiłkiem skoncentrował się na odprawie.

– Po pierwsze, parę słów na temat łączności. Dzisiaj, nie tak jak wczoraj, wszyscy będziecie utrzymywać łączność z centrum dowodzenia za pośrednictwem telefonów podwodnych UQC. To akustyczny modem, który działa z maksymalną prędkością tysiąca dwustu bodów, czyli bardzo wolno. Może przesyłać głos i minimum danych, ale prawie wszystkie ciężkie dane muszą zostać zarchiwizowane, gdy wynurzycie się na powierzchnię. Wypuścimy specjalne boje sonarowe, umieszczając je na powierzchni nad miejscem, gdzie będziecie pracować, aby odbierały sygnały i przekazywały je do centrum dowodzenia. Musimy jednak liczyć się z pewnym opóźnieniem, zanim będziemy w stanie zobaczyć dane na powierzchni. Gideonie, gdy wejdiesz do wnętrza Rolvaaga, łączność z tobą na pewien czas zostanie przerwana – i mam tu na myśli nie tylko łączność z centrum dowodzenia, ale także z innymi DSV.

Gideon pokiwał głową.

– Te dwie czarne skrzynki mają decydujące znaczenie. Jedna zawiera dane i zapisy łączności z mostkiem. Druga nagrania z kamer monitoringu rozmieszczonych na całym statku. Jeśli uda nam się odzyskać obie, będziemy mieć szczegółowy obraz ostatnich chwil tej jednostki. Wiemy dokładnie, gdzie się znajdują obie skrzynki: w węźle elektronicznym na dziobówce. Ponieważ Rolvaag leży na boku, będziesz musiał wejść przez kadłub, przepłynąć przez zniszczoną ładownię i jeszcze dalej, by dotrzeć do punktu pod pokładem dziobówki, a następnie wyciąć sobie drogę przez pokład, żeby przedostać się do węzła elektronicznego. Cała trasa została zapisana w oprogramowaniu twojego pojazdu głębinowego, ale nie wiemy, w jakim stanie jest wnętrze statku ani co tam możesz napotkać, kiedy więc utorujesz sobie drogę przez kadłub, będziesz musiał podejmować decyzje samodzielnie. John ma mechaniczne ramię zakończone palnikiem. Jest sprzężone ze sztuczną inteligencją, dlatego nie musisz się martwić, że popełnisz jakiś błąd. Pytania?

– Na razie nie.

Glinn odwrócił się do Alex.

– Ponieważ nie możemy zmapować... eee... baobabu przy użyciu sonaru, przeskanujemy go z pomocą światła widzialnego oraz LiDAR-u. To twoje zadanie. LiDAR jest urządzeniem działającym na podobnej zasadzie jak radar, ale wykorzystującym światło zielone zamiast mikrofal. Wysyła poprzez specjalny układ optyczny bardzo krótkie i dokładnie odmierzone, ale silne impulsy światła zdolne przeniknąć wodę na dystansie dwudziestu metrów. Musimy poznać zasięg tej istoty, nie tylko pnia, ale także konarów. Poza tym musimy się dowiedzieć, co z tymi mackami, które Gideon widział spoczywające na dnie oceanu – jak daleko sięgają? I czy prowadzą do jakiegoś konkretnego miejsca?

Kiedy Glinn mówił, Gideon znów spoglądał na Alex, powracając myślami

do wczorajszej nocy. Czym prędzej odegnał od siebie żywe obrazy, które pojawiły się w jego umyśle. Biorąc pod uwagę jego stan i to, ile życia jeszcze mu zostało, czemu zrobił coś takiego, po jaką cholerę wikłał się w związek? Po upiornych wydarzeniach na Zaginionej Wyspie na Karaibach Glinn zaskakująco szybko zaczął odzyskiwać zdrowie dzięki zdobytym przez Gideona próbkom tajemniczej rośliny – i Gideon, który także ją spożył, wciąż łudził się nadzieją, że wyleczy ona i jego chorobę. Ale może to były tylko jego pobożne życzenia? Nic nie wskazywało na to, by coś się zmieniło, nie było żadnych dowodów na to, że ma przed sobą więcej niż dziewięć miesięcy życia. Czy stawał się starym mięczakiem, czy naprawdę odnosił wrażenie, że to, w co się uwikłał, jest czymś więcej niż przelotnym romanssem? Co, u licha, powinien zrobić? Ponownie spróbował się skupić i skoncentrować uwagę na Glinnie, który zwracał się teraz do Garzy.

– Manuelu, będziesz obsługiwał hydrolokator wysokiej rozdzielczości. Zrobisz również LiDAR-em skan Rolvaaga i dna oceanicznego w promieniu ośmiuset metrów od niego. Chciałbym także, abyś przeprowadził ośmiokilometrowy transekt począwszy od baobabu, żeby sprawdzić, jak daleko rozciąga się martwa strefa.

Glinn popatrzył na całą trójkę.

– I już na koniec, wszystkie trzy pojazdy głębinowe są dziś wyposażone w kosze do zbierania próbek. Jeżeli zobaczycie coś ciekawego, powiadomcie centrum dowodzenia. Użyjemy UQC, by się temu przyjrzeć, i zadecydujemy, czy może to zostać zabrane na powierzchnię. Jeżeli okaże się, że tak, mechanicznym ramieniem umieścicie obiekt w koszu na próbki. Obsługa ramienia jest prosta i ona także jest wspomagana przez sztuczną inteligencję, dlatego nie wymaga doświadczenia.

Omówił jeszcze kilka drobniejszych szczegółów, po czym rzekł krótko:

– Do dzieła.

Gideon wspiał się po drabince prowadzącej do wjazdu. Zatrzymał się tam na chwilę i gdy spojrzał na pozostałą dwójkę, zobaczył, jak Alex uśmiecha się i macha do niego, po czym z gracją opuszcza się do wnętrza DSV. Po chwili on także zacisnął dłonie na uchwycie i wśliznął się do luku, by zejść po miniaturowej drabince do sfery dla operatora. W przeciwieństwie do poprzedniego dnia dziś czuł się spokojny i pewny siebie.

Dziesięć minut później Gideon znów patrzył przez przedni iluminator na wirujące i unoszące się srebrzyste bąble powietrza, gdy John był opuszczany do wody. Usłyszał brzęk, kiedy pojazd głębinowy został uwolniony z mocowań, a potem patrzył, jak opada coraz niżej, w głąb nieskończonego, ciemniejszego błękitu oceanu.

Przez boczne iluminatory Gideon mógł widzieć żółty blask reflektorów dwóch pozostałych pojazdów głębinowych opuszczających się w dół mniej więcej w tym samym tempie co jego DSV. Słyszał cichy syk zbiorników powietrza i filtrów CO₂. Podczas trwającego czterdzieści minut zejścia na dno w końcu zgubił w ciemnościach towarzyszące mu batyskafy. Po długim, nudnym opadaniu ponownie zauważył ich światła, gdy zaczęły zwalniać, zbliżając się do celu.

Jego pierwszy punkt orientacyjny znajdował się pięćdziesiąt metrów od rozerwanego kadłuba Rolvaaga, dziesięć metrów nad dnem oceanu. Automatyczny pilot łagodnie doprowadził go do punktu orientacyjnego, po czym łódź podwodna zatrzymała się. Gideon rozejrzał się dokoła, obracając pojazd i przenikając wzrokiem półmrok. Kilkaset metrów na lewo od batyskafu dostrzegł rozmyte snopy światła z Paula, również wiszącego dziesięć metrów nad dnem. Przez przedni iluminator mógł zobaczyć również podobne snopy światel z reflektorów George'a. Postępując zgodnie z protokołem, nawiązał łączność przez telefon podwodny UQC.

- John wzywa Paula. Jestem w punkcie orientacyjnym numer jeden.
- Tu Paul, słyszę cię. Jestem w punkcie orientacyjnym numer dwa.
- John wzywa George'a.
- Tu George. Słyszę cię. Jestem w punkcie orientacyjnym numer trzy.

Te imiona, zdaniem Gideona, zaczynały brzmieć idiotycznie. Rozległ się głos Glinna, zniekształcony w wyniku przekazu cyfrowego. Wszyscy byli na tym samym kanale, a teraz kolejno wykonywali niezbędne czynności kontrolne i procedury przygotowawcze.

- Przejdźcie do swoich zadań – powiedział w końcu Glinn.

Gideon przesunął dźwigenkę sterowania i skierował pojazd głębinowy, kontrolowany przez pilota automatycznego, w stronę Rolvaaga. Silniki zawarczały i batyskaf ruszył naprzód, zbliżając się do wraku. Reflektory oświetliły rozszczępiony kadłub. Wewnątrz dostrzegł coś, co wyglądało jak las poskręcanych metalowych belek.

Na samą myśl o wpłynięciu do środka znów poczuł dławiającą klaustrofobię.

Na płaskim ekranie po prawej stronie miał schemat zniszczonego statku. Nakładła się na niego migająca czerwona kropka określająca jego obecne położenie. Czarne skrzynki pojawiały się na ekranie jako małe pomarańczowe punkciki. Statek był olbrzymi; sądząc po planach, Gideon będzie musiał pokonać prawie dwieście metrów od wejścia do wraku.

Gdy zbliżał się do rozerwanego kadłuba, mała czerwona kropka na ekranie poruszyła się. W tle usłyszał Alex na wspólnej częstotliwości, rozmawiającą

z centrum dowodzenia, a równocześnie kierującą Paula w stronę baobabu. Jego uszu doszedł również głos Manuela, który okrążał cały teren, dokonując inspekcji statku i obszaru wokół niego.

– Gideonie – powiedział Glinn – gdy znajdziesz się wewnątrz Rolvaaga, na pewien czas stracisz łączność nie tylko z centrum dowodzenia, ale również z pozostałymi pojazdami głębinowymi.

Podczas odprawy Gideon dowiedział się, że normalnie otwarty kadłub dawnego supertankowca Rolvaaga został zmodyfikowany: wypełniono go podporami i belkami, które wzmacniały kołyskę mającą utrzymać meteoryt. Niektóre belki i samą klatkę wykonano z drewna, ponieważ było ono bardziej giętkie niż stal i inżynierowie z EES-u uznali, że ten materiał powinien lepiej znieść przechyły statku podczas sztormu. I faktycznie natrafili na sztorm, naprawdę potworny szkwał, tym dotkliwszy, że ich jednostka utraciła moc silników i doznała poważnych uszkodzeń wskutek walki ze ścigającym ją chilijskim niszczycielem. Ruchy meteorytu koniec końców osłabiły kołyskę i spowodowały uwolnienie ładunku, a następnie eksplozję, która rozerwała statek na pół i posłała go na dno. Źródła tej eksplozji nigdy nie ustalono, ale podejrzewano, że tak właśnie meteoryt zareagował na zetknięcie z wodą morską.

Gdy Gideon kierował się ku zniszczonej, rozerwanej ładowni gigantycznego wraku, głosy z George'a i Paula zaczęły rozmywać się w cyfrowy szum.

Gideon zatrzymał się przy otworze w kadłubie i użył przyrządów kontrolnych, by poświecić reflektorem wokoło, sondując prześwity znajdujące się na wprost niego. To był istny koszmar. Dostrzegł coś, co musiało być częścią dawnej kołyski – wielki obiekt przypominający sanie, teraz pogruchotany i zniekształcony, spoczywający przy jednej z uszkodzonych grodzi. Przednia część kadłuba umożliwiała względnie swobodne przejście dla jego pojazdu, ale nieco dalej w głębi statku spostrzegł płataninę kabli i wsporników, z którymi będzie musiał się uporać.

– Centrala, tu John. Wchodzę do kadłuba.

W telefonie podwodnym UQC nastąpiła krótka pauza. A potem pośród statycznego szumu usłyszał:

– Słyszemy cię, John. Zgłoś się ponownie, gdy tylko to będzie możliwe.

Pchnął drążek do przodu i DSV skręcił, wpływając do wnętrza wraku. Omijając olbrzymi sterczący fragment rozerwanej płyty poszycia, Gideon skierował batyskaf w głąb ładowni. Bez wysiłku z jego strony łódź podwodna gładko ominęła płataninę zwieszających się kabli i wsporników. Syk podwodnego telefonu ucichł zupełnie, a na ekranie pojawił się komunikat o całkowitej utracie łączności. Przed przednim iluminatorem pojawiła się unosząca się chmura bąbli powietrza. Wszystko przesłaniała warstwa mułu, wygładzając ostrość konturów. Musiał naprawdę bardzo uważać, aby nie wzburzyć osadu. Zwolnił do tempa

spacerowego. Pomarańczowe plamy rdzy pokrywały żelazne belki, a drobne cząsteczki tańczyły leniwie w blasku reflektorów. Poniżej bok kadłuba usłany był potrzaskanymi wręgami i wspornikami, rozerwanymi na strzępy siłą eksplozji. Rozłupane drewno, choć nasiąknięte wodą i zatopione, wyglądało całkiem świeżo. Najwyraźniej był to naprawdę potężny wybuch, skoro rozpadło się nitowanie kadłuba i rozszczyły żelazne płyty poszycia.

Było tu jeszcze jedno ciało w kombinezonie mechanika; miało urwaną głowę, a zmiądzony tors przytrzymały na miejscu dwie strzaskane belki.

Odwracając wzrok, Gideon spojrział na podgląd: czerwony punkcik, który przedstawiał łódź podwodną, miał za sobą jedną trzecią drogi od punktu wejścia do kadłuba wraku.

W oddali przed nim zamajaczyła płatanina dźwigarów. Autopilot zwolnił, a Gideon poruszył dźwigienką sterującą, szukając sposobu na obejście przeszkody. Pomiedzy dwoma dźwigarami znajdował się prześwit, który wyglądał na dostatecznie duży, i Gideon skierował pojazd właśnie w tę stronę, a pilot automatyczny z finezją przeprowadził DSV na drugą stronę. Gideon odniósł wrażenie, że znalazł się w spustoszonej lesie po wielkiej bitwie; walające się dookoła belki i dźwigary przywodziły na myśl poskręcane, zwalone drzewa. Kluczył to w jedną, to w drugą stronę, sondując przejście w tym przypominającym dżunglę labiryncie, i za każdym razem udawało mu się znaleźć prześwit dostatecznie duży, by poprowadzić tamtędy DSV.

W miarę jak zapuszczał się coraz dalej w głąb wraku, coraz trudniej mu było odegnać dokuczliwą klaustrofobię. Cisza radiowa jeszcze ją potęgowała – Gideon poczuł się bardzo osamotniony...

...Ale czy na pewno? Bo choć mogło się to wydawać dziwne, odnosił wrażenie, że jest obserwowany. Śledzony. Postarał się stłumić w sobie to wrażenie; to był rodzaj lęku towarzyszący komuś, kto szedł nocą przez ciemny las, sięgający odległych czasów, kiedy ludzie mieli podstawy, by się bać, bo rzeczywiście ich tropiono i na nich polowano. Tak przynajmniej to sobie tłumaczył. Zwłaszcza że porównywał otoczenie z lasem, tyle że spustoszonym.

Niespodziewanie dotarł do miejsca, gdzie nie było przejścia. Manewrował naprzód, przesuając się powoli, aż znalazł się w punkcie, gdzie nie mógł już dalej płynąć. Droga była zablokowana. Skręcił najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Nic. Gdy tak zawisł w miejscu, silniki jego pojazdu wzburzyły zalegający poniżej osad i Gideon nie był już w stanie określić, skąd przyplął.

„Jezu, co mi strzeliło do głowy, że zgodziłem się pilotować pojazd głębinowy i wpłynąć do wraku na przestrzeni setek metrów trzy i pół kilometra pod powierzchnią? Przecież nie mam w tym żadnego doświadczenia. A teraz utknąłem i nie mogę wezwać pomocy”.

Poczuł narastającą panikę, lecz szybko się uspokoił. Bądź co bądź pilot

automatyczny powinien znać drogę, zapewnić mu wyjście z tej pułapki. Ale żeby dostać się dalej, będzie musiał tutaj trochę podrażyc.

Staral się oddychac powoli i glęboko. Skupil uwage na belce zagradzajacej mu droge i uniosl mechaniczne ramie, uruchamiajac podwodny palnik acetylenowy. Mial on wlasne urzadzenia kontrolne i, co Gideon przyjal z prawdziwa ulga, okazal sie wzglednie prosty w uzyciu; ramie zdawalo sie doskonale wiedziec, co chcial zrobic. Kolejny przyklad automatycznej kontroli quasi-sztucznej inteligencji.

Palnik ozył, wywołujac chmure bąbli powietrza, a u wylotu dyszy pojawil sie biały punkcik płomienia. Gideon zblizył go do belki i zaczął ją ciac, starajac sie to zrobic pod kątem, żeby belka nie spadła w jego strone. Ale program kontrolujacy prace ramienia sam potrafil sobie z tym poradzić. Po dwóch minutach, przy wtórze stłumionego trzasku, belka opadła na dno, a on mógł popłynac dalej.

Tym razem skierowal sie w lewo i zatrzymal pojazd na chwile, by usunac jeszcze jedna belke. Promien reflektora jego pojazdu padl na gródz pokladu dziobówki. Poniewaz statek lezal na boku, poklad zmienil sie w pionowa metalowa sciane, z ktora latwiej bylo sie uporac. Podglad na ekranie pokazal mu dokladnie, gdzie powinien wykonac cięcie, aby dostac sie do węzla elektronicznego, w którym przechowywane byly dwie czarne – a tak naprawde pomarańczowe – skrzynki. Na drugim ekranie mial schemat ukazujacy wnętrze węzla i dokladne umiejscowienie czarnych skrzynek. Dotarcie do nich powinno byc łatwe, podobnie jak do wnętrza statku spoczywajacego na dnie oceanu.

Manewrowal batyskafem, by ustawic go dokladnie naprzeciwko uprzednio wskazanego miejsca, jednego z kilku, gdzie mial wykonac cięcie, po czym lekko dotknal przyrzadzow kontrolnych i ponownie aktywowal mechaniczne ramie z palnikiem. Zgodnie z procedura wykonanie otworu w kadłubie przebiegalo w pieciu etapach polegajacych na usunięciu pieciu mniejszych płyt stalowych. Kazde cięcie zaplanowano tak, by odcinane płyty odslonily dalsza droge.

Mechaniczne ramie usuwalo kolejne płyty z idealna precyzja; jedna po drugiej osuwaly sie na dno. W dziesiec minut powstal otwor na tyle duzy, by mógł przezeń przeplynac pojazd glębinowy. Wciaz jednak blokowaly go rury tworzace istny las, ciagnące sie między warstwami pokladu i Gideon musial przeciac kazda z nich po kolei. One takze polecialy w dol, nie czyniac zadnej szkody pojazdowi.

Gideon wyrównal zanurzenie i wysondowal przestrzen przed pojazdem snopem swiatla z reflektora, zanim poplynal dalej. Panowal tam straszny balagan. Szafki, w których niegdyś znajdowaly sie komputery i sprzet elektroniczny, byly polamane, wszedzie walala sie ich zawartosc; cale pomieszczenie wypełniala platanina kabli, przewodow oraz włókien optycznych.

Za nia znajdowalo sie kolejne ciało, z rozrzuconymi na boki rekami i nogami dryfowalo powoli, osiagnawszy plywalnosc zerowa. Długie blond włosy unosily

się leniwie pośród chmury osadu dennego – to było ciało kobiety. Miała na sobie mundur. Cztery belki: kapitan. Jak się nazywała kapitan Rolvaaga? Britton. Sally Britton.

„A więc to ona”. Gideon poczuł dziwną mieszaninę smutku i trwogi.

Trup był do niego odwrócony plecami, znajdował się pośrodku pomieszczenia, obracając się wolno, bardzo wolno, jak w balecie oglądanym w zwolnionym tempie.

Za zwłokami, na przeciwległej ścianie wisiały dwie jasnopomarańczowe skrzynki – każda mająca około pięćdziesięciu centymetrów kwadratowych – przymocowane do ściany łatwymi do usunięcia śrubami; dostęp do nich nie był w zasadzie utrudniony.

Z wyjątkiem unoszącego się w wodzie ciała.

Gideon skierował pojazd do przodu i wysunął mechaniczne ramię. Uruchomił palnik i utorował sobie drogę przez kable. Po kilku minutach mógł płynąć dalej i zaczął się zbliżać do trupa. Wysięgnikiem delikatnie dotknął jego torsu, próbując przesunąć go w kąt pomieszczenia, lecz zrobił to dość niezdarnie i zwłoki zaczęły wirować nieco szybciej, w efekcie obróciły się twarzą do niego, odpływając w dal z szeroko rozłożonymi rękami, jakby błagały o ratunek.

Gideon przyglądał się temu z fascynacją i zgrozą. Twarz była idealnie zachowana, usta lekko rozchylone, dało się przez nie zauważyć koniuszek różowego języka, jasne włosy falowały jak złocisty welon. Ta blisko czterdziestoletnia kobieta nawet po śmierci wydawała się atrakcyjna.

Być może mocniej, niż zamierzał, Gideon pchnął drążek sterowania do przodu i DSV przemknął obok ciała. Dotarwszy do pomarańczowych skrzynek, Gideon użył mechanicznego ramienia, by usunąć śruby zabezpieczające i umieścić obie skrzynki, jedna po drugiej, w koszu na próbki, a następnie zabezpieczyć je specjalnie przygotowanymi do tego celu mocowaniami.

Był już najwyższy czas, by wynieść się stąd w cholerę.

Gideon zakręcił dźwigenką sterowania i batyskaf wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni – przed pojazdem znów pojawiło się ciało kobiety dryfujące w jego stronę, jakby chciało zagrozić mu drogę.

– Niech to szlag – wycedził Gideon, manewrując wokół zwłok, by je ominąć, i kierując się w stronę otworu wyciętego w grodzi.

Kilka uderzeń w klawiaturę na panelu kontrolnym i pilot automatyczny łodzi podwodnej poprowadził Gideona z powrotem po ustalonym kursie, bez jakiegokolwiek jego ingerencji – i zrobił to perfekcyjnie.

Niecałe dziesięć minut później oczom Gideona ukazały się postrzępione krawędzie kadłuba, a po dwóch kolejnych minutach batyskaf wypłynął z wnętrza statku. Gideon poczuł, że oddycha głęboko, jakby opuszczał jaskinię. Dające mu się we znaki uczucie klaustrofobii osłabło, otarł pot z czoła, usiłując zmusić swoje

rozkołatanę serce, by spowolniło rytm. Telefon podwodny UQC ponownie ożył i wewnątrz batyskafu wypełniły głosy z dwóch innych pojazdów głębinowych. Bogu niech będą dzięki.

Nawiązał łączność.

– Centrala, tu John. Misja wykonana. Czarne skrzynki odzyskane.

– Doskonale – rozległ się głos Glinna. – Kieruj się do punktu orientacyjnego numer jeden i prześlij zgromadzone dane oraz nagrania z kamer wideo. Kończysz misję jako pierwszy, więc pozostań w punkcie orientacyjnym, dopóki cała wasza trójka nie stawi się na swoich pozycjach, abyście mogli wszyscy razem wrócić na powierzchnię.

– Zrozumiałem.

Wybrał wprowadzone wcześniej współrzędne punktu orientacyjnego na panelu kontrolnym. Miniaturowa łódź podwodna skierowała się do miejsca oddalonego o sto metrów od wraku i zatrzymała się tam, unosząc się dziesięć metrów nad dnem oceanu. Patrząc przez przedni iluminator, Gideon zauważył pojedynczą mackę obcej formy życia wijącą się wśród mułu. Wyglądała jak cienki wąż albo nieskończenie długi robak. Gideon pomyślał o górującym nad nimi obcym bycie, nazywanym teraz przez wszystkich baobabem, i wzdrygnął się ze strachu i obrzydzenia.

Odsunął od siebie te uczucia i zajął się swoimi obowiązkami, przygotowując strumień danych do przesłania i czekając, aż pozostali zakończą swoje zadania.

Eli Glinn wolał stać pomimo skrajnego wyczerpania. Zupełnie jakby nigdy nie miał dość stania na nogach. Tyle czasu przesiedział na wózku inwalidzkim, że całkiem mu się to znudziło. Nie miał już ochoty siedzieć. Nasiedział się za całe życie.

Oczekując na uwolnienie z fotela na kółkach, opracował konsolę dowodzenia w swoim centrum kontrolnym, nadając jej kształt litery K, z klawiaturami i ekranami rozmieszczonymi na takiej wysokości, by mógł je obsługiwać mężczyzna na stojąco. Jeśli innym się to nie podobało, to trudno. Niech tak będzie. Teraz to on zajmował się urządzeniami kontrolnymi, pozostali wykonywali swoje obowiązki w innych częściach pomieszczenia, każdy na swoim stanowisku. Glinn był otoczony ekranami i z uwagą przenosił wzrok z jednego na drugi, aby nie przegapić niczego ważnego.

Jak dotąd wszystko szło całkiem nieźle. I choć wiedział, że były to zabobony, nie czuł się swobodnie, kiedy wszystko toczyło się zgodnie z planem. Doskonałość wydawała mu się szyderstwem, z jego punktu widzenia nie tylko była niemożliwa, ale była też wrogiem sukcesu. Prawdziwym kluczem do prowadzenia misji była elastyczność w obliczu nieoczekiwanego lub, jak ktoś kiedyś powiedział, „znajomość nieznanego”. On był gotów zaakceptować wszystkie zlecane mu zadania, bo zdawał sobie sprawę z tego, że w niedalekiej przyszłości czekały go o wiele trudniejsze decyzje do podjęcia i znacznie większe niewiadome do rozwikłania.

John pilotowany przez Gideona znajdował się wewnątrz wraku przez trzydzieści minut, nie mogąc utrzymać łączności z powodu interferencji wywoływanej przez otaczające pojazd całe masy metalu. Telefon podwodny UQC miał wyjątkowo niską prędkość przesyłu danych nawet w najbardziej sprzyjających warunkach. W przypadku przekazywania głosu system jeszcze jakoś się sprawdzał, ale gdy chodziło o transmisję danych, ledwo sobie radził. Glinn bardzo chciał zobaczyć, jak wyglądało wnętrze statku. Nagle usłyszał na wspólnej częstotliwości głos Gideona:

- Centrala, tu John. Misja wykonana. Czarne skrzynki odzyskane.
- Doskonale – odrzekł Glinn. – Kieruj się do punktu orientacyjnego numer jeden i prześlij zgromadzone dane oraz nagrania z kamer wideo.

Kilka minut ciszy. W końcu:

- Tu John, jestem w punkcie numer jeden. Przesyłam dane.
- Zrozumiałem – powiedział Glinn. – Jakież problemy?

Kolejna, nieco krótsza chwila ciszy.

- Nie. Ale napotkałem jeszcze dwa ciała.

Glinn nie spytał o nic więcej. Wkrótce zobaczy to wszystko na nagraniach.

Skupił uwagę na dwóch pozostałych pojazdach głębinowych. Garza był całkowicie pochłonięty mapowaniem dna, zostało mu jeszcze wykonanie ośmiokilometrowego transektu obszaru wokół baobabu. Lispenard ostrożnie okrążała baobab, przesuając się coraz wyżej po spiralnym kursie i skanując byt wysokiej rozdzielczości LiDAR-em, a także rejestrując obiekt na nagraniu wideo, w świetle widzialnym. Jak dotąd baobab nie wykazywał żadnych oznak życia. Był bierny.

To zaniepokoiło Glinna.

Cichy sygnał z konsoli zakomunikował, że przesyłanie skompresowanego pliku danych od Gideona zostało zakończone. Glinn zawahał się przez chwilę, po czym wcisnął kilka klawiszy, uruchamiając odtwarzanie danych na jednym z zapasowych ekranów z czterokrotnym przyspieszeniem.

Patrzył w milczeniu, jak łódź podwodna przepłynęła przez otwór w kadłubie i podążyła w głąb statku. Wybuch zniszczył większość mocowań wokół kołyski, zmieniając je w pogruchotane szczątki, siła kompresji emanująca z kołyski była wyraźnie widoczna. Nie ulegało wątpliwości: meteoryt zareagował gwałtownie w zetknięciu ze słoną wodą. Może był to początek procesu kiełkowania. O ile słowo „kiełkowanie” było w tym wypadku właściwe; jak dotąd nie zebrali żadnych dowodów mogących świadczyć o tym, że była to roślina ani że meteoryt naprawdę był nasieniem. To mogło być wszystko – zarodek, kłacz, jajo, gametofit albo coś zupełnie obcego. Mimo że Glinn był wtedy w ładowni w tych ostatnich, krytycznych chwilach, raz jeszcze upomniał się w duchu, że powinien zachować niezbędny dystans, że nie wolno mu snuć żadnych przypuszczeń.

Zwolnił prędkość odtwarzania do trybu normalnego.

Na ekranie Gideon rozcinał belki zagrządzające mu drogę. Glinn patrzył, jak mechaniczne ramię pojazdu głębinowego wycina otwór w poszyciu pokładu pod węzłem elektroniki i jak batyskaf przepływa przez powstały prześwit, usuwając znajdujące się na jego drodze rury.

Zaraz potem Glinn zamarł w bezruchu. Były tam zwłoki, jedne z tych, o których wspominał Gideon. W mundurze. Z czterema belkami na pagonach.

Kapitan.

Nagle poczuł dziwne brzęczenie w głowie. Ciało było odwrócone tyłem, ale obracało się powoli i po chwili Glinn mógł zobaczyć twarz martwej kobiety.

Jego umysł na moment się wyłączył. Aż w końcu, mimo starannie wypracowanych przez niego systemów obronnych i celowego blokowania przez lata pewnych wspomnień, poczuł falę dojmującego bólu i druzgocącego cierpienia wywołanego jej śmiercią, za którą był odpowiedzialny. Oto ucieleśnienie jego poczucia winy i wyrzutów sumienia powracało, żeby znowu go dręczyć.

Sprawiła to jedna, najbardziej niewytłumaczalna decyzja w całym jego

życiu. Wtedy przypuszczał, że była oparta na założeniach logiki, ale teraz, gdy rozpatrywał ją z perspektywy czasu, uświadomił sobie, że była rezultatem emocji, strachu i paniki, co więcej, na zawsze odarła go z poczucia pewności siebie. I właśnie ta decyzja doprowadziła do śmierci jedynej osoby, jaką kiedykolwiek kochał.

Nie był w stanie oddychać, gdy patrzył na ciało odwracające się ku niemu i na włosy układające się w złocistą aureolę. Nie chciał zobaczyć twarzy, której widok, o czym był absolutnie przekonany, będzie go nawiedzać po kres jego dni. Ale był jak sparaliżowany; nie mógł się odwrócić. Twarz powoli pojawiła się w zasięgu jego wzroku, najpierw z profilu, a potem en face, jak księżyc obracający się wokół własnej osi, różowe usta, skóra biała jak marmur, mały nos usiany drobnymi piegami – ale najgorsze były oczy, otwarte, niebieskie, patrzące na niego świdrującym, oskarżycielskim wzrokiem.

Nogi zaczęły mu się trząść, zanim jednak zdołał odznaleźć krzesło, poczuł, że wiotczeją mu mięśnie, i osunął się na podłogę.

A potem było już tylko zamieszanie, stłumione okrzyki, pochylający się nad nim ludzie, błysk łysej czaszki Brambella, ukłucie igły i wrażenie, że coś go unosi oraz wypowiedane półgłosem rozkazy. W końcu oładnęła nim błoga, przynosząca ukojenie czerń nieświadomości.

Alex Lispenard obsługiwała urządzenia kontrolne batyskafu, okrążając baobab w odległości około dziesięciu metrów. Pień był masywny, dużo większy od największej sekwoi: miał ponad dwadzieścia metrów średnicy i był pokryty szorstką, przypominającą korę powierzchnią poraną równoległymi, pionowymi, topornymi żłobieniami.

Gdy promień reflektora omiatał pień, mogła na własne oczy przekonać się, że był on lekko przezroczysty, jak mętnawa meduza, i miał bladozielonkawy kolor przywodzący na myśl szkło morskie. Wewnątrz dostrzegła rozmyte zarysy czegoś, co wydawało się organami wewnętrznymi, poskręcane rurki i worki, które nie wiadomo do czego służyły, nie przypominały żadnego znanego jej ziemskiego organizmu. Było tam też kilka kulistych tworów o żółtawej barwie oraz pajęcza siateczka ciemniejszych, czerwonych pasemek. Ciało bytu upstrzone było lśnięcymi punkcikami i plamami, które dryfowały w jego wnętrzu w zwolnionym tempie, jak śnieg w szklanej śnieżnej kuli. Było to zarazem piękne i groteskowe. Z tego miejsca, gdzie Alex się znajdowała, widziała, jak złożony w środku był ten organizm; przywodził jej na myśl raczej zwierzę niż roślinę, a może coś pośredniego. Dotąd jednak nie zauważyła niczego, co wyglądałoby jak organy czuciowe albo służące do pożywiania się. Stwór nie wydawał się mieć również otworu gębowego ani odbytu.

Zarejestrowała wszystko na wideo i na LiDAR-ze. Na powierzchni będzie mnóstwo czasu na gruntowne przejrzenie tych obrazów i skanów oraz próbę określenia, jak funkcjonuje ta istota, jak pozyskuje pożywienie, czego potrzebuje, by utrzymać się przy życiu – zakładając, że to coś naprawdę żyje.

Kontynuowała powolne wznoszenie po spiralnym kursie, żeby stworzyć trójwymiarowy, zdigitalizowany model tego tworu. Jeszcze jedna pętla i dotrze do miejsca, z którego wyrastały wszystkie konary, układając się w kształt przypominający morski anemon.

Pomijając kwestię skali i rozmiarów, istota faktycznie przypominała ten wodny organizm, choć jej konary wydawały się sztywne w przeciwieństwie do giętkich macek anemonu. Alex nie zauważyła na ich powierzchni knidocytów – komórek parzydełkowych.

U podstawy rozgałęzienia dostrzegła natomiast coś niezwykłego: wewnątrz znajdował się ciemny owalny kształt. Był wielkości melona i zdaniem Alex zupełnie nie pasował do całej reszty, jakby nie stanowił integralnej części tej istoty.

– Centrala, tu Paul – powiedziała. – Widzę coś niezwykłego w miejscu rozgałęzienia pnia. Coś ciemnego.

Krótką pauza.

– Dobrze, też to widzimy – rozległ się głos pierwszej oficer Lennart.

Alex zastanowiła się przez moment, co się stało z Glinnem.

– To nie wygląda jak pozostałe otaczające go tkanki. Proszę o zezwolenie na przyjrzenie się bliżej temu obiektowi.

– Odmawiam.

Alex zdusiła w sobie lekkie rozdrażnienie. Próbowwała sobie wyobrazić, jak na taką decyzję zareagowałby Gideon.

Na myśl o nim na jej ustach pojawił się łagodny uśmiech. Zaraz jednak znikł, a jej wargi zacisnęły się w wąską kreskę.

Łódź podwodna zawróciła, pilot automatyczny bez wysiłku wykonał kolejny manewr po spiralnym torze wznoszącym. Alex dotarła do punktu rozgałęzienia na szczycie pnia.

Gdy DSV znalazło się nad rozgałęzieniem, spojrzała w dół i dopiero teraz ujrzała coś, co mogło być jedynie otworem gębowym: był okrągły, o średnicy metra, otoczony czymś, co wyglądało jak trzy pary przezroczystych, gumowatych warg. Poruszały się rytmicznie, jakby na przemian pochłaniały i odprowadzały wodę.

– Chyba właśnie znaleźliśmy otwór gębowy – powiedziała. – I z tego, co widzę, to coś jest jak najbardziej żywe.

– Nie zbliżaj się do tego – ostrzegła Lennart.

– To coś zasysa wodę, jakby pożywiało się przez jej odfiltrowywanie.

Pulsujące, gąbczaste, ogromne przezroczyste wargi wyglądały tak odrażająco, że Alex aż się wzdrygnęła.

Batyskaf wykonał jeszcze jedną, kierowaną przez pilota automatycznego pętlę nad otworem gębowym, rejestrując silne rozbłyski i lśnienie konarów.

Alex mogła dostrzec znajdujący się głęboko poniżej otworu gębowego ciemny kształt przypominający melon, który widziała już wcześniej.

– Hej, myślę, że ten ciemny kształt, o którym wspomniałam, jest czymś, co baobab połknął.

Kontynuowała skanowanie.

– Chwileczkę... usta przestały pracować.

– Zauważyłam.

– To coś zmarło.

– Wycofaj się na odległość sześćdziesięciu metrów – powiedziała ostrym tonem Lennart.

– Zrozumiałam.

Lispenard dotknęła drążka sterowania i łódź podwodna zaczęła się oddalać od otworu gębowego baobabu.

Nagle poczuła wstrząs. W batyskafie wyświetlił się migoczący komunikat:

UWAGA: WYKRYTO SILNY PRĄD

Instynkt podpowiedział jej, co się stało, a jeden rzut oka na odrażający otwór gębowy tworu potwierdził te przypuszczenia. Paszcza rozwarła się groteskowo, wargi rozciągnęły się, a otwór gębowy zaczął zasysać wodę w coraz szybszym tempie. Alex chwyciła drążek sterowania i dała całą wstecz, silnik zadudnił głucho, gwałtownie zmieniając tryb poruszania się łodzi podwodnej z posuwania się po spirali do przodu na cofanie się po torze ukośnym.

– Zabieraj się stamtąd, ale już! – Usłyszała w słuchawkach głos Lennart. – Wycofaj się! Silniki na pełną moc!

To właśnie robiła, ale otwór gębowy obcej istoty rozszerzył się jeszcze bardziej. Batyskaf zatrzęsł się i zadygotał, gdy Lispenard próbowała uwolnić się od zasysającego ją prądu. Pchnęła drążek w bok, wykonując skręt, by w ten sposób wyrwać się ze szponów prądu. Przez chwilę wydawało się, że jej się udało, łódź podwodna szarpnęła silnie w bok i prawie się uwolniła, wtedy jednak otwór gębowy stworza zassał więcej wody, nabrzmiewając jak ogromna ropucha, i ponownie zaczął wciągać batyskaf w objęcia wodnego wiru.

– Jeszcze się nie wyrwałam!

Próbowała ustabilizować pojazd głębinowy pośród wiru wywołanego przez silne prądy wodne, ale otwór gębowy istoty wydawał się jeszcze większy niż dotychczas. Stwór zasysał ogromne masy wody z tak wielką siłą, że z dna oceanu wzbily się chmury osadu – a może zostało to wywołane przez korzenie?

Gdy łódź podwodna weszła w ruch spiralny, Alex pchnęła dźwigenkę sterowania w bok, próbując wyswobodzić się z wiru, lecz bez powodzenia.

– Katapultuj się! – rzuciła Lennart. – Wystrzel kapsułę!

Alex sięgnęła w stronę czerwonej dźwigenki ratunkowej odbezpieczającej wewnętrzną sferę batyskafu, ale nagły wstrząs cisnął ją na ścianę. Zaraz potem wewnątrz łodzi podwodnej zalał zielonkawy mętny blask i przezroczyste tkanki stworza załśniły w promieniach reflektorów DSV. Alex usłyszała i zarazem poczuła wilgotny, zasysający dźwięk i ujrzała tkanki poprzetykane jasnymi drobinami i plamami rozciągające się i zaciskające w upiorny sposób, gdy istota połknęła ją w całości.

– Wciągnęło mnie – powiedziała, starając się zachować niewzruszony ton głosu.

– Użyj mechanicznego ramienia z palnikiem. Utoruj sobie drogę na zewnątrz. – To była ostatnia wiadomość, jaką usłyszała, zanim telefon podwodny UQC przestał działać i akustyczne połączenie przeszło w jednostajny cyfrowy szum.

Uruchomiła ramię i próbowała je wyprostować, ale napór wewnętrznych tkanek stworza uniemożliwiał wykonanie jakichkolwiek ruchów. Spróbowała raz jeszcze, z całych sił pchając drążek sterowania do przodu, teraz jednak włączyły się

kolejne sygnały alarmowe i na wszystkich ekranach migały komunikaty o zagrożeniu.

„Chrzanić to”. Aktywowała palnik acetylenowy i płomień ożył. Efekt był natychmiastowy: gwałtowna reakcja połączona z cichym, grzęjącym jękiem. Wówczas Alex jednym zdecydowanym ruchem szarpnęła dźwigienkę katapulty awaryjnej mającej wystrzelić wykonaną z tytanu sferę dla operatora z wnętrza batyskafu, napełnić zbiorniki balastowe i wynieść kapsułę ratunkową na powierzchnię.

Gideon zwiększył obroty silnika swojego pojazdu głębinowego do maksimum, płynąc w stronę miejsca katastrofy. Usłyszał wymianę zdań za pośrednictwem podwodnego telefonu UQC i patrzył ze zgrozą, jak światła łodzi podwodnej Alex gasną, gdy, jak wszystko na to wskazywało, jej batyskaf został połknięty. Nie zgasły jednak zupełnie, wciąż widać było upiorną zielonkawą poświatę bijącą teraz z wnętrza baobabu, a gdy podpłynął bliżej, mógł dostrzec ciemny, rozmazany zarys batyskafu znajdującego się w tym tworze.

Wiedział, że tytanowa sfera była nad wyraz silna i mogła wytrzymać ciśnienie panujące na głębokości trzech i pół tysiąca metrów. Alex powinna być bezpieczna, mogła palnikiem wyciąć sobie drogę na zewnątrz lub w najgorszym wypadku rozdrażnić tę istotę na tyle, aby ją wypluła...

– Gideonie – odezwała się Lennart. – Co robisz?

Nie odpowiedział, skoncentrowany na kierowaniu swoim pojazdem głębinowym; klął pod nosem, że płynie zbyt wolno.

– Miałeś zostać w wyznaczonym punkcie orientacyjnym. Taki był rozkaz.

– Do diabła z rozkazami.

Gdy podpłynął bliżej, usłyszał dźwięki, nie cyfrowe i przekazywane za pośrednictwem UQC, lecz odgłosy wody wychwytywane przez zewnętrzny hydrofon batyskafu i przekazywane do wnętrza pojazdu. Pogłosił, by je lepiej usłyszeć.

– Nic nie możesz zrobić. Zatrzymaj się. Natychmiast.

Wilgotny gardłowy dźwięk wypełnił wnętrze jego kapsuły wraz z narastającymi szcęknięciami, na które nakładał się cichy, lecz przybierający na sile łoskot.

– Nie zbliżaj się, Gideonie. To rozkaz.

Ignorując te słowa, zszedł niżej i płynął teraz na dziesięciu metrach nad dnem oceanu. Zbliżył się do istoty od dołu, więc paszcza nie powinna móc go pochwycić; gdyby okazało się to konieczne, użyje palnika, by dostać się do wnętrza tego czegoś, albo to potnie. Kiedy jednak opuszczał się na dno, dostrzegł nagle rozbłysk uruchamianego przez Alex palnika acetylenowego. W odpowiedzi górna część pnia istoty naprężyła się. Światła łodzi podwodnej Alex zgasły i rozległo się stłumione pyknięcie, a potem z otworu gębowego istoty buchnęła gęsta chmura bąbelków powietrza.

Uruchomiła kapsułę ratunkową.

Stwór zaczął się wić i skręcać, ale łódź podwodna nie wydostała się na zewnątrz. Znów pojawiły się bąble powietrza.

– Nie! – wykrzyknął Gideon.

Teraz pień wyciągnął się w jego stronę, nabrzmiewając groteskowo jak zmija sykliwa.

– Gideonie! – rozległ się głos Lennart. – To, co robisz, to samobójstwo! Zabieraj się stamtąd, do cholery!

Włączył palnik i machnął nim w stronę stwora, równocześnie przesuwając dźwignię sterowania do przodu. Cichy głos pod czaszką powiedział mu, że jego poczynania zakrawają na szaleństwo, że było to jak starcie Dawida z Goliatem, ale odegnał go od siebie. Przez przedni iluminator spostrzegł jedną z dziwnych cienkich macek stwora wijącą się jak wąż po dnie oceanu. Musiał coś zrobić czym prędzej. Użył dźwignienki sterowania, by skierować batyskaf w dół, zbliżył się do korzenia, zatrzymał i wyciągnąwszy mechaniczne ramię z palnikiem, wykonał zdecydowane cięcie. Wysoka temperatura sprawiła, że zaatakowany organ zaczął skwierczeć i strzelać jak smażone mięso. Macka zwinęła się szaleńczo, wzbudzając osad denny, który zmaćcił wodę. Gideon ciął ponownie. Każdy jego ruch wzbijał coraz więcej szlamu, pogrążając go w mglistym, rozmytym półmroku. Na ekranie pojawił się aż za dobrze znany komunikat:

KONTROLA NAD POJAZDEM PRZENIESIONA

NA POWIERZCHNIĘ

Poczuł, że dźwignienka sterowania przestała reagować.

– Nie! – zawołał.

– Zabieramy cię stamtąd.

Batyskaf zaczął się wznosić. Osad się rozmył, a Gideon w ostatnim spontanicznym zrywie pochwycił długi, unoszący się w wodzie fragment korzenia, który uciął mechanicznym ramieniem, i umieścił go w koszu na próbki obok czarnych skrzynek.

W tej samej chwili w hydrofonie rozległ się głos. Należał do Alex, był spokojny, przyjemny, odległy niczym gwiazdy.

– Pozwól mi dotknąć twojej twarzy.

Nędznie ubrany mężczyzna toczył tanią torbę na kółkach West San Francisco Street w Santa Fe. Minął Starbucksa i zawahał się – zamarzyło mu się venti macchiato czy choćby pojedyncze espresso – ale przypomniał sobie, że nie ma pieniędzy. Skręciwszy w Galisteo Street, zatrzymał się przed witryną z napisem „Professor exotica”. W oknie wystawowym można było dostrzec osobliwe i fantastyczne kamienie, minerały, kamienie szlachetne oraz skamieliny. Była tam czaszka niedźwiedzia jaskiniowego na specjalnej podstawie, jajo dinozaura, zmumifikowany krokodyl, spektakularna geoda azurytowa, dziesięciocentymetrowy turmalin i duży meteoryt, na którego powierzchni dało się zauważyć liczne figury Widmanstättena, przecinające się grubsze linie kamacytu i cieńsze taenitu.

Mężczyzna przystanął przed oknem wystawowym. Nie zapowiedział się wcześniej ani nie umówił na wizytę, ale właściciel, niejaki Joe Culp, prawie zawsze był w swoim sklepiku. Poza tym umówione spotkanie raczej nie było dobrym pomysłem – obawiał się, że po ostatnim mógłby zostać spławiony, zanim przestąpiłby próg.

Złożył wysuwaną rączkę i podniósł torbę. Jezu, ależ była ciężka – ważyła ze trzydzieści pięć, a może i czterdzieści kilogramów – ale za jej zawartość miał zdobyć pieniądze na kolację i miejsce do spania. Wszedł do środka przy wtórze dźwięku dzwonka i zniósł ciężką torbę do piwnicy, zawalonej od podłogi aż po sufit najróżniejszymi cudami natury.

– Hej, hej, hej, Sam McFarlane! – Joe Culp wyszedł zza kontuaru z szeroko rozłożonymi ramionami i mocno uściskał przybysza.

McFarlane nie lubił takich powitań, ale uznał, że w tym wypadku nie należało się sprzeciwiać.

– Co masz dla mnie? Gdzie byłeś? Prowadziłeś wykłady? – spytał Joe.

– Prowadziłem. W czasie przeszłym. Nie wyszło. Więc wybrałem się do Rosji.

– Gdzie konkretnie?

– Do Kraju Nadmorskiego.

W tej samej chwili dostrzegł wyraz rozczarowania na twarzy Culpa. Mężczyzna spojrzał na torbę na kółkach.

– To okazy Sikhote-Alin?

– Tak.

– Wszystkie?

– Zaufaj mi, są naprawdę doskonałe. Najlepsze. Szrapnele, regmaglipty, same unikaty. Jeden ma nawet otwór.

– Obejrzymy je – powiedział Culp z nieco wymuszoną, zdaniem McFarlane’a, radością w głosie.

McFarlane rozsunął suwak torby, by ukazać znajdujące się wewnątrz ułożone jeden na drugim pudełka po butach zawierające posortowane okazy; każde pudełko było starannie podpisane markerem.

– Przyjrzymy się tym regmagliptom – powiedział Culp.

McFarlane wyjął jedno z pudełek i położył na kontuarze. Otworzył je. Okazy były zawinięte w papierowe ręczniki. Przejrzał je i wybrał kilka największych, po czym rozwinął je powoli. Culp przyniósł wyłożoną aksamitem tacę i położył na ladzie, aby meteoryty nie zarysowały szkła.

– Co ty na to? – spytał McFarlane, wykładając najlepszy okaz na aksamitną podkładkę. – Z jednej strony odciski palców, skorupa obtopieniowa. Absolutny unikat.

Culp odchrząknął, wziął meteoryt do ręki i obejrzał uważnie.

– Skąd je masz?

– W Kraju Nadmorskim jest wielu facetów z wykrywaczami metali, którzy kręcą się, przeczesując cały teren. Wciąż są tam tony tego szajsu.

Culp obrócił meteoryt w dłoni i w końcu odłożył na podkładkę.

– Co jeszcze?

– Nie podoba ci się?

– Nie chodzi o to, że mi się nie podoba. Ale o to, że specjalizujemy się w naprawdę unikatowych rzeczach. Takie jak ten... no cóż, znajdziesz ich mnóstwo na eBayu. Zobaczmy ten z otworem.

McFarlane przeglądał zawartość pudełka, dopóki nie znalazł właściwego okazu, rozwinął go i położył na aksamicie.

I znów dostrzegł na twarzy Culpa rozczarowanie, co go rozdrażniło. Culp nie sięgnął z miejsca po meteoryt, więc McFarlane wziął kamień do ręki.

– Widzisz? – Zajrzał przez otwór. – To jest prawdziwy unikat.

– Ale bardzo mały. Choć pewnie udałoby się go sprzedać. Ile za niego chcesz?

– Tysiąc dwieście.

– Hola, hola! Nie ma mowy, żebym go sprzedał za tysiąc dwieście. Ani nawet za sześćset. Sam, wiesz, że to będzie uśmiech losu, jeśli dostanę za niego dwie setki.

McFarlane był coraz bardziej poirytowany.

– Bzdura. Dotarcie do Kraju Nadmorskiego kosztowało mnie trzy tysiące dolarów. Kto mi za to zwróci? A musiałem jeszcze zapłacić dwie setki facetowi, który go znalazł!

– Wobec tego przeplaciłeś.

– Daj spokój, Joe. Ile okazów Sikhote-Alin ma regmaglipty i otwór?

– Rynek jest zalany okazami Sikhote-Alin. Wystarczy wejść na eBay i poszukać.

– Do diabła z eBayem. Te okazy są lepsze niż wszystko, co możesz znaleźć na eBayu. – McFarlane sięgnął do pudełka i wyjął kolejny okaz. – Spójrz na ten. Cholernie fajny szrapnel, dwieście gramów. Cały poskręcany. A ten... – Rozwinął następny, a potem jeszcze jeden, z coraz większą gwałtownością. – Co powiesz na ten? Pięknie orientowany, z liniami spływu i skorupą obtopieniową.

Culp rozłożył ręce.

– Sam, nie potrzebuję ich. Mam meteoryty, prawdziwe unikaty za dziewięćdziesiąt, a nawet sto tysięcy. Nie handluję czymś takim. Gdybyś miał naprawdę niezłe okazy pallasytu, to byłbym bardzo zainteresowany. Takie jak ten niesamowity pallasyt z Acomity, który przywiozłeś mi pięć lat temu. Gdybyś mógł dostarczyć mi jeszcze jeden taki, sprzedałbym go na pniu, choćby jutro.

– Już mówiłem, właśnie wróciłem z Rosji. Na te meteoryty splukałem się do ostatniego centa. Jestem pewien, że w tym sklepie przyda ci się trochę tańszego towaru. No bo w sumie kogo stać na meteoryt za sto kawałków?

– Takich mam klientów.

McFarlane zawahał się.

– Sprzedam ci całą kolekcję za sześć tysięcy. Weź je wszystkie. Czterdzieści kilogramów żelaza to tylko piętnaście centów za gram!

– Naprawdę, Sam, myślę, że powinieneś spróbować szczęścia na eBayu. To żaden wstyd. No i nie musiałbyś odpalać prowizji sprzedawcy.

– A więc po tym, jakie okazy ode mnie dostawałeś, jakie rzeczy ci przywiozłem i ile forsy na mnie zarobiłeś, chcesz mnie teraz splawić i przerzucić na eBay?

– Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. To była tylko przyjacielska rada. Zrobisz, co zechcesz.

McFarlane poczuł, że wzbiera w nim rozczarowanie i złość.

– eBay – powiedział, kręcąc głową.

– Od lat nie przywiozłeś mi niczego naprawdę godnego uwagi. A przynajmniej od czasu... tamtej ekspedycji, dokądkolwiek ona była. Przywieź mi coś dobrego, a zapłacę ci lepiej niż szczerze.

– Mówiłem ci, żebyś nigdy nie wspominał o tamtej ekspedycji – rzucił McFarlane, gdy gniew całkiem wziął nad nim górę.

Zrzucił pudełko z kontuaru na podłogę, a meteoryty z grzechotem i brzękiem posypały się na wszystkie strony.

Culp wyprostował się.

– Przykro mi, Sam, ale myślę, że powinieneś już sobie pójść.

– Z przyjemnością. A ty zatrzymaj to wszystko. Nie chcę tego gówna. Możesz je rozdać swoim pieprzonym nadzianym klientom albo używać ich jako

cholernych przycisków do papieru. Stary, potrafisz orznąć człowieka! Jesteś w tym prawdziwym mistrzem.

McFarlane zabrał swoją torbę i przepełniony złością wspiął się po schodach, po czym wybiegł na ulicę. Kiedy oślepiło go jasne światło dnia, poczuł, że gniew powoli zaczyna go opuszczać. Niech to szlag, potrzebował meteorytów, które zostawił porzucane na podłodze Culpa – to były jego najlepsze okazy. Nie miał pieniędzy, nie stać go było nawet na kubek kawy. Zrobiło mu się wstyd, że zareagował tak gwałtownym wybuchem wściekłości. Przecież ten facet nie prowadził działalności charytatywnej. A on w głębi duszy wiedział, że Joe ma rację: meteoryty, które miał do zaoferowania, były przeciętne, całkiem zwyczajne. Wyprawa do Rosji okazała się porażką – inni łowcy meteorytów zgarnęli już najlepsze okazy, a jemu pozostały tylko odrzuty, których nikt nie chciał. Joe pomógł mu wcześniej, wypłacał mu zaliczki, finansował jego wyprawy... Był winien Joemu pięć tysięcy dolarów, ale on ani słowem o tym nie wspomniał.

Po długiej krępującej chwili wahania McFarlane odwrócił się i pomaszerował z powrotem do sklepu. Joe kończył właśnie wkładać ostatni fragment meteorytu do pudełka po butach. Bez słowa podał je McFarlane'owi.

– Joe, bardzo cię przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło...

– Sam, jestem twoim przyjacielem. Myślę, że potrzebujesz pomocy.

– Wiem. Naprawdę jest ze mną kiepsko.

– Masz gdzie się zatrzymać na noc?

– Jasne. Nie przejmuj się, jakoś sobie radzę.

McFarlane włożył pudełko z powrotem do torby na kółkach, zapiął suwak i pożegnawszy się zdawkowo, zaczął wnosić ciężką torbę po schodach na górę. Gdy wyszedł na ulicę, zastanawiał się przez chwilę, skąd mógł zdobyć pieniądze na jedzenie i nocleg. Może uda mu się znów przespać noc w Cathedral Park.

Poczuł wibrację i zorientował się, że to sygnał jego komórki. Wyjął telefon z kieszeni, zastanawiając się, kto to mógł być. Od wielu dni nikt do niego nie dzwonił.

Na wyświetlaczu zamiast nazwiska osoby dzwoniącej pojawił się komunikat: „Dearborne Park”. Gdzie to było, do cholery?

– Halo?

– Czy doktor Samuel McFarlane? – rozległ się głos w słuchawce.

– Tak.

– Proszę chwilę zaczekać. Jest tu ktoś, kto chciałby z panem rozmawiać.

Wieczne światło padało ukośnie na pokład statku badawczego Batavia, tworząc na nim złociste smugi i cienie. Góra lodowa przepływająca nieopodal okrętu była podświetlona od tyłu przez znikające słońce, a jej krawędzie skrzyły się odcieniami turkusu i złota. Powierzchnia oceanu wyglądała jak polerowany arkusz metalu, powietrze było zupełnie nieruchome. Spokój tej scenerii i świadomość, że bardzo spodobałaby się ona Alex, wydały się Gideonowi wręcz groteskowe, gdy pchnąwszy podwójne drzwi, znalazł się wewnątrz rozjaśnionego blaskiem żarówek hangaru pojazdów głębinowych.

Cała załoga zebrała się w olbrzymim pomieszczeniu, dziwnie pustym, bo dwa batyskafy biorące udział w porannym zanurzeniu wciąż znajdowały się na pokładzie w oczekiwaniu na przegląd, a trzeci przepadł. Konieczne było skorzystanie z hangaru, ponieważ w żadnej sali konferencyjnej na pokładzie nie pomieściłby się cały personel Batavii.

Gideon bez słowa zajął miejsce obok Glinna i Garzy, naprzeciw reszty zebranych. We wnętrzu panowała absolutna cisza, ale atmosfera nie była wcale spokojna – napięcie było aż nadto wyczuwalne, a powietrze naładowane jak przed burzą. Sam Gideon był w szoku i nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co się stało, chociaż przecież widział wszystko na własne oczy. Szukał wzrokiem Lennart, która wdrożyła procedurę przejęcia kontroli nad batyskafem i uniemożliwiła mu próbę ocalenia Alex. Nie mógł jej tego darować. Był na nią wściekły za to, co zrobiła. Pierwsza oficer stała wraz z kapitanem Tulleyem, szefem ochrony Bettancesem i grupką innych starszych oficerów, wpatrując się ostentacyjnie w pustą przestrzeń i unikając kierowanych w jej stronę spojrzeń. Wiedział, że postąpiła właściwie – jego zachowanie było impulsywne, autodestrukcyjne, ale mimo to nie był w stanie stłumić w sobie bezsilnego gniewu mieszanego się z dojmującym żalem.

Glinn stał w bezruchu obok niego, bardziej nieodgadniony niż kiedykolwiek. Według plotek krążących wśród oficerów doznał załamania nerwowego w centrum dowodzenia, gdy zobaczył na nagraniu kapitan Britton; kiedy zdarzył się wypadek z Alex, był w ambulatorium. Szybko jednak doszedł do siebie i wyglądał teraz normalnie – a przynajmniej normalnie jak na niego; jego twarz była beznamiętna jak maska. Miał na sobie spodnie khaki i beżową koszulę z krótkimi rękawami, a jego szare oczy patrzyły przenikliwie spod gładkiego, zdawałoby się, niezmaconego troską czoła.

Gideon spojrzął na zegarek: piąta po południu. Glinn jak zwykle zaczął spotkanie punktualnie.

– Chciałbym przeprosić za swoją chwilową niedyspozycję – powiedział

spokojnym tonem.

Te słowa spotkały się z przejmującą, głęboką ciszą.

– Co ważniejsze, jest mi bardzo, ale to bardzo przykro z powodu tego, co stało się z Alex Lispenard. Wiem, że wszyscy ją lubiliście i szanowaliście, i wszyscy podzielacie mój smutek. To tragedia dla tego statku i dla tej misji. Jednakże najlepszym sposobem uczczenia jej pamięci jest kontynuowanie naszych działań.

Znowu cisza.

– Jej śmierć nie poszła na marne. Udało nam się odzyskać czarne skrzynki z Rolvaaga. Były specjalnie zabezpieczone na wypadek różnego rodzaju uszkodzeń, w tym wybuchu i naporu ogromnego ciśnienia wody. Niestety wygląda na to, że w chwili gdy statek zaczął tonąć, coś wywołało potężny impuls elektromagnetyczny na jego pokładzie. Skrzynki były chronione przed działaniem pola elektromagnetycznego, ale impuls przeniknął przez osłonę i zgromadzone w nich dane zostały uszkodzone. Da się je odzyskać, a przynajmniej część, ale będzie to żmudny proces. Odzyskaniem danych zajmuje się Hank Nishimura.

Wysoki chudy mężczyzna wyglądający wyjątkowo młodo, ubrany w biały kitel narzucony na krzykliwe kolorową hawajską koszulę, prawie niedostrzegalnie skinął głową.

– Oddam teraz głos doktorowi Garzy, który zrelacjonuje sprawę utraty Paula.

Garza zrobił krok do przodu, na jego ponurej, spiętej twarzy malowały się kontrolowane emocje.

– Nie będę owijał w bawełnę. To ciężki moment dla nas wszystkich. Pokażemy wam nagranie, jakie udało nam się odzyskać z DSV Alex Lispenard, choć nie jest tego dużo. Udało się przechwycić tylko fragment zapisu wideo w niskiej rozdzielczości, zanim straciliśmy batyskaf. Niestety wszystkie dane z LiDAR-u przepadły. Mamy część nagrań z ostatnich chwil Paula zarejestrowanych przez kamerę z Johna pilotowanego przez doktora Crew. Mój pojazd głębinowy George był zbyt daleko, żeby można było wychwycić coś więcej poza zapisem audio za pośrednictwem telefonu podwodnego UQC. Doktor Nishimura odtworzy teraz te nagrania audio i wideo bez komentarza. Później będzie czas na dyskusję.

Odwrócił się i dwustuczalowy płaskoekranowy monitor UHC, przeniesiony z centrum dowodzenia i zamontowany w hangarze, nagle ożył.

Gideon odwrócił się z pewnym wahaniem. Na ekranie pojawił się pień baobabu, ukazany w niskiej rozdzielczości, półprzezroczysty i emanujący w widmowym świetle zielonkawą poświatą. Nagranie wykonane z dużej wysokości pochodziło z Paula, który krążył po spiralnym kursie wokół górnej części obcego tworu, oświetlając go reflektorami. Światło ujawniło obecność ciemnego obiektu zamkniętego w galaretowatym kokonie o długości pół metra, którego powierzchnia

była dziwnie poskręcana i opleciona czymś, co wyglądało jak naczynia krwionośne. Jednak z powodu słabej jakości nagrania obiekt wydawał się zamazany, a obraz rozpikselowany tak, że trudno było wychwycić jakieś szczegóły.

Teraz rozległ się głos Alex: „Centrala, tu Paul. Widzę coś niezwykłego w miejscu rozgałęzienia pnia. Coś ciemnego”.

„Dobrze, też to widzimy” – dał się słyszeć głos pierwszej oficer Lennart.

Nishimura zatrzymał nagranie, by pokazać oczyszczone cyfrowo zdjęcie obiektu tkwiącego w miejscu rozwidlenia pnia.

„O w mordę”, pomyślał Gideon, przypatrując się ciemnemu obiektowi. „To wygląda jak mózg”.

Nagranie znów zostało włączone i teraz pojazd głębinowy wznosił się po spirali ponad poziomem rozgałęzienia pnia. Gideon mógł wyraźnie dostrzec paszczę z przezroczystymi mięsistymi wargami zasysającą wodę jak wielka odrażająca ryba.

„Chyba właśnie znaleźliśmy otwór gębowy” – rozległ się zniekształcony głos Alex.

Wydarzenia rozgrywały się w zwolnionym tempie. Pośród wymiany zdań słyhać było cichy łoskot, który Gideon wychwycił już wczoraj. Patrzył, jak DSV zostaje wchłonięty, jak Alex próbuje manipulować mechanicznym ramieniem, a potem zobaczył jasny błysk, kiedy uruchomiła palnik. Telefon podwodny UQC ledwie działał, a ostatni strumień nagrań wideo był rozmazany ciągiem światłocieni. Jednakże błysk acetylenowego płomienia był wyraźny i wydawało się, że właśnie on spowodował reakcję istoty, która – jak wszystko na to wskazywało – zmiażdżyła połknięty DSV.

Ekran pociemniał. Potem pojawił się zarejestrowany z dużej odległości zapis z kamer batyskafu Gideona. Było na nim widać bąble powietrza wypływające z wnętrza babobabu, prawdopodobnie pochodzące ze zniszczonego pojazdu. Na koniec zabrzmiały tajemnicze słowa: „Pozwól mi dotknąć twojej twarzy”.

To przełamało długą, nieprzyjemną, bolesną ciszę. Zebrani zaczęli szeptać między sobą, rozległy się gniewne głosy, a nawet szloch. Glinn zrobił krok do przodu, gdy światła znów się zapaliły.

– Zaczynamy dyskusję? – powiedział.

– O co chodzi z tą ostatnią wiadomością? – odezwała się Lennart.

– Ja i doktor Brambell uważamy, że to wynik halucynacji, omamów głębinowych, jakich doświadczyła Alex, gdy w pojeździe doszło do utraty ciśnienia.

– To nie pasuje do ram czasowych całego zdarzenia – powiedziała Lennart. – Ona wypowiedziała te słowa już po tym, gdy łódź podwodna została zmiażdżona.

Znów szmer.

– Myślę – zaczął Glinn – że można to złożyć na karb usterki systemu

łączości podwodnej. Opóźnienie przekazu. Pracujemy nad tym.

– Ale te słowa nie zostały przesłane przez telefon podwodny UQC. Wychwycił je hydrofon Johna.

Ponownie dał się słyszeć gwar rozmów.

Glinn uniósł dłonie.

– UQC i hydrofon korzystają z tego samego systemu akustycznego. Baobab wywołuje duże zakłócenia w pracy sonarów. To niedoskonały system przechwytywania sygnałów audio. Pracujemy nad wyjaśnieniem tego zjawiska.

Lennart wycofała się, wyraźnie nieusatysfakcjonowana.

Prothero dał ręką znak, że chce zabrać głos.

– Tak? – zwrócił się do niego Glinn.

– No dobra, słyszałeś ten cichy dźwięk w tle pod koniec nagrania? – Rozejrzał się dokoła. – Odtwórz to raz jeszcze.

Glinn powtórzył nagranie.

– Pomogłem Nishimurze oczyścić obraz z kamer wideo i gdy tylko usłyszałem ten dźwięk, od razu domyśliłem się, co to takiego.

Prothero podszedł do podwyższenia z triumfalnym uśmiechem.

– Posłuchajcie, to ten sam dźwięk, tyle że przyspieszony dziesięciokrotnie.

Wyjął komórkę, podłączył ją do jednego z gniazd monitora głównego i uruchomił. Z głośników rozległ się dziwny, zawodzący, przenikliwy dźwięk: pół jęk, pół śpiew. Prothero odtwarzał go przez jakieś piętnaście sekund.

– Klasyka. To wokalizacja płetwala błękitnego. Twoja sieć akustyczna musiała wychwycić znajdujące się gdzieś w pobliżu wieloryba.

– Płetwale błękitne nie zanurzają się na taką głębokość – powiedziała Antonella Sax, szefowa laboratorium egzobiologii.

– Nie. Ale ich wokalizy są w stanie pokonywać ogromne odległości, nawet do stu pięćdziesięciu kilometrów. Najgłośniejszy dźwięk pochodzący od zwierzęcia, jaki kiedykolwiek zarejestrowano, to właśnie wokaliza płetwala błękitnego. Gdzieś ponad tym miejscem musiało przepływać całe ich stado, a hydrofon Johna przypadkiem wychwycił ich odgłosy. Płetwale błękitne nie są często spotykane na tych szerokościach geograficznych, więc to może być ważne.

Prothero zszedł z podwyższenia, rozglądając się dokoła, jakby w oczekiwaniu na aprobatę zebranych.

– Ktoś jeszcze chce coś powiedzieć? – spytał Glinn.

Gideon podniósł rękę.

– To ciemne obłe coś we wnętrzu tej istoty. Czy komuś jeszcze ten kształt kojarzy się z mózgiem?

Rozległy się ciche potaknięcia.

– A skoro tak – ciągnął – to zabicie tego sukinsyna może okazać się prostsze, niż sądziliśmy.

To spostrzeżenie spotkało się z ogólną aprobatą. Dyskusja trwała dalej, ale kiedy pojawiło się w niej coraz więcej spekulacji, Glinn natychmiast ją ukrócił.

– W porządku – powiedział do zebranych. – Dziękuję. Zajmijmy się przydziałem nowych zadań. Zespół egzobiologów pod kierownictwem Antonelli Sax zbada fragment korzenia przywieziony przez doktora Crew. Doktor Sax, pani ekipa podejmie także próbę dokonania analizy wewnętrznych układów obcego organizmu. Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, czy to coś ma mózg i układ nerwowy, a zwłaszcza czy ten ciemny kształt faktycznie jest mózgiem. Prothero, chciałbym, żebyś spróbował zsynchronizować zapisy audio z hydrofonu i telefonu podwodnego UQC. A jeśli chodzi o ten przechwycony przypadkiem śpiew płetwala błękitnego, nie jestem pewien, czy warto marnować na to czas.

Prothero wzruszył ramionami.

– Doktor Nishimura powinien za dzień lub dwa dostarczyć nam dane z czarnych skrzynek i wtedy będziemy mieć więcej materiałów do pracy. A zespół pod kierownictwem Manuela Garzy...

– Chwileczkę. – Masywny mężczyzna w kombinezonie podniósł się z miejsca. Był to drugi mechanik pokładowy, inżynier Masterson. – Do tej pory nie usłyszałem, jak mielibyśmy się bronić. To coś właśnie zgmiotło tytanową sferę zaprojektowaną tak, by wytrzymała ciśnienie niemal tysiąca atmosfer.

Odpowiedział mu Garza.

– Wierzmy, że tu, na powierzchni, jesteśmy bezpieczni. Wierzchołek baobabu znajduje się trzy tysiące metrów pod nami. Dzieli nas mnóstwo wody.

– Czyste przypuszczenie.

Rozległy się ciche potaknięcia.

– Przyznajcie, że trochę nas to przerosło – ciągnął Masterson. – To coś na dnie jest o wiele groźniejsze, niż nam mówiliście. Sugeruję, by wycofać statek matkę na bezpieczną odległość od tego miejsca, dajmy na to, piętnaście, dwadzieścia pięć kilometrów dalej.

– To poważnie utrudniłoby nasze badania – skwitował Glinn.

– Owszem, ale ten sukinsyn już i tak poważnie je utrudnił, pozbawiając nas jednego z batyskafów i boleśnie uszczuplając naszą załogę.

Glinn odpowiedział dopiero po chwili.

– Śmierć Alex Lispenard to wielki wstrząs i tragedia dla nas wszystkich. Dowiedzieliśmy się czegoś na temat właściwości tej istoty w najgorszy z możliwych sposobów. Ale – powiódł wzrokiem dokoła – musimy podjąć ryzyko, jeśli mamy to coś uśmiercić.

– Istnieje uzasadnione ryzyko i nieuzasadniona brawura – powiedział Masterson, co wywołało kolejne komentarze wśród zebranych. – Ja uznaję ostatnią misję za niepotrzebną brawurę. Wysłałeś na dno trzy łodzie podwodne, jedna z nich krążyła niecałe piętnaście metrów od tego czegoś. To niezbyt rozsądne.

Uważam, że powinniśmy się wycofać, a może nawet przemyśleć całą tę wyprawę i zastanowić się, czy należy ją kontynuować.

– Znajdujemy się na nieznanach wodach – odparł Glinn tonem, w którym dało się wyczuć napięcie i gniew. – Badamy całkiem obce zjawisko. Nie możemy pozwolić sobie na luksus zachowania wszelkich norm bezpieczeństwa. Musimy zaryzykować, żeby uzyskać niezbędne informacje. Nie mamy innego wyjścia.

Przerwał, taksując spojrzeniem szarych oczu zebraną przed nim załogę.

– Wiedzieliście, na co się decydujecie. Otrzymaliście wszystkie niezbędne informacje. Wszyscy zdawaliście sobie sprawę z tego, że będziemy tu odizolowani. Nie ma mowy o ewakuacji czy wzywaniu pomocy. Jedyne śmigłowiec, jakim dysponujemy – AStar, ma zasięg trzystu sześćdziesięciu mil morskich. Najbliższy port to Grytviken na Georgii Południowej, sześćset mil morskich stąd. Nasze dwie szalupy ratunkowe nie są przystosowane do rejsów oceanicznych, zwłaszcza na obszarze ryczących czterdziestek czy tak jak tu, w strefie ryczących sześćdziesiątek na południowym Atlantyku. Dlatego na dobre i na złe jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, i tkwimy w tym wszyscy razem. A teraz, panie Masterson, czy ma pan zamiar domagać się, abyśmy wycofali się z obszaru obecnych działań?

Masterson sprawiał wrażenie skarconego.

– Proszę jedynie o zachowanie ostrożności.

– To w pełni zrozumiałe. Dziękuję, panie Masterson. – Glinn powiódł dokoła beznamiętnym wzrokiem. – Na tym kończymy nasze spotkanie.

Gdy grupa zaczęła się rozchodzić, Glinn położył dłoń na ramieniu Gideona, zatrzymując się na chwilę.

– Spotkajmy się w laboratorium egzobiologii – rzekł półgłosem. – Za dziesięć minut.

Zanim Gideon dotarł do laboratorium egzobiologii, Glinn był już na dobre pogrążony w rozmowie z jego szefową Antonellą Sax. Pochylali się nad skrzynką z nierdzewnej stali i przeszklonym wiekiem. W środku znajdowała się przypominająca korzeń wyjątkowo długa i cienka macca, którą Gideon dostarczył na pokład. Czterej inni technicy byli zajęci w czterech narożnych punktach sporego, lecz zatłoczonego laboratorium.

Glinn przywołał Gideona do siebie.

– Doktor Sax wyjaśnia, co ona i jej zespół zamierzają zrobić z tym okazem.

Gideon nie miał większej styczności z Antonellą Sax, czterdziestoletnią, niską, kręłą, poważną kobietą o kasztanowych, zaczesanych do tyłu włosach. Była bystra, rzeczowa i nosiła okulary. Uścisnął jej dłoń, a ona znów skupiła uwagę na zwiniętej macce.

– Mamy tu do czynienia – zaczęła półgłosem – z pierwszym prawdziwym przykładem kontaktu ludzkości z egzobiologią. To wykracza poza nasze możliwości pojmowania i niesie ze sobą całe mnóstwo wyzwań. Na przykład w normalnych okolicznościach staralibyśmy się zachować jak największą ostrożność i pieczołowicie zadbać o sterylność poszczególnych procedur. Ale nie mamy na to czasu. Musimy dowiedzieć się jak najwięcej na temat tego czegoś, i to jak najszybciej. Czyli trzeba działać brutalnie. Im więcej będziemy wiedzieć, tym lepiej będziemy mogli się przygotować.

– Żadnej kwarantanny? Procedur bezpieczeństwa? – zapytał Gideon. – Nie chcemy, żeby doszło do incydentu jak ten opisany w *Andromeda znaczy śmierć*.

– Prawda jest taka, że statek sam w sobie jest terenem kwarantanny w jej ostatecznej postaci. Zanim wrócimy do portu, spopielimy tę próbkę i każdą inną część tego stwora, jaką wydobędziemy na powierzchnię, a potem wysterylizujemy laboratorium.

Gideon zawahał się. Wciąż był w szoku po tym, co stało się z Alex, i trudno mu było się skupić.

– Czy uważasz, że statek może być narażony na ryzyko rozprzestrzenienia się jakiejś zarazy lub mikrobow, które mogą być przenoszone przez to coś?

Sax popatrzyła na niego szczerymi, błyszczącymi, brązowymi oczami.

– Najkrócej mówiąc, tak.

– Ta istota znajduje się już na Ziemi i rozwija się na dnie oceanu – włączył się Glinn. – Zatem wszelkie mikroby, jakie może przenosić, są obecne w środowisku.

– Niezwykle dla mnie jest to – powiedziała Sax – że ten okaz dotarł na powierzchnię, gdzie ciśnienie jest czterysta razy niższe, nietknięty, bez żadnych

widocznych zmian. Zazwyczaj, gdy okaz z dna oceanu jest przenoszony do strefy ciśnienia takiego, jakie panuje na powierzchni, całkiem się rozpada.

– A więc to coś może żyć na każdej głębokości? – spytał Gideon.

– To rozsądny wniosek.

Sax przeszła do zrelacjonowania planu badań, począwszy od rozkrojenia okazu i podzielenia go na mniejsze próbki, do różnego rodzaju skanów i analiz – w warunkach zamrożenia i pod mikroskopem – z użyciem transmisyjnego mikroskopu elektronowego (TEM), skaningowego mikroskopu elektronowego (SEM) – oraz badania histologicznego. Zamierzała też przeprowadzić rezonans magnetyczny, testy impulsów elektrycznych oraz analizy mikrobiologiczne i biochemiczne.

– Nie wiemy, czym jest to coś. Rośliną, zwierzęciem czy zupełnie czymś innym. Nie wiemy, z czego to coś jest zbudowane. Czy ma DNA? Czy jest oparte na węglu? Najbardziej podstawowe pytania wciąż czekają na odpowiedzi. Ale kiedy skończymy, przeprowadzone testy powiedzą nam wszystko o anatomii i ewentualnym układzie nerwowym tego czegoś, o przepływie płynów i impulsów elektrycznych, a także o cyklach energii komórkowej, zakładając, że to w ogóle ma komórki, jak również o jego biochemii i biologii molekularnej. Ale na razie... – pokręciła głową – jest to jak lądowanie na nieznanym planecie.

– Wobec tego zacznij działać czym prędzej – powiedział Glinn i odwrócił się, dając Gideonowi znak, żeby poszedł za nim.

Wyszli na korytarz i gdy znaleźli się za zakrętem, Glinn się zatrzymał.

– Jest coś, o czym chciałbym z tobą pomówić, ale to musi zostać między nami.

– Oczywiście.

– W trakcie spotkania ukróciłem wszelkie dywagacje na temat ostatnich słów Alex Lispenard.

Gideon wziął głęboki oddech.

– Zauważyłem.

– Jest w nich coś głęboko niepokojącego i nie chcę żadnych spekulacji.

– Chodzi ci o... moment, kiedy pojawił się ten przekaz?

Glinn spojrział na Gideona z powagą.

– Prothero nad tym pracuje i wierzę, że musiała to być usterka techniczna. Miałem na myśli to, co powiedziała. Sens tych słów. „Pozwól mi dotknąć twojej twarzy”.

Gideon milczał. Te lub bardzo podobnie brzmiące słowa padły z jej ust tej nocy, którą spędzili razem. Boże. Czy to było zaledwie wczoraj?

– Powiedziałem, że musiał to być jakiś rodzaj omamów głębinowych. Ale nie wierzę w to. Sfera została zmiażdżona w okamgnieniu, a na głębokości trzech i pół tysiąca metrów nie ma mowy o omamach. Przy tak wielkim ciśnieniu, jakie

tam panuje, śmierć jest natychmiastowa. Kiedy wsłuchałem się w te słowa... miałem wrażenie, że wyczuwam w nich jakąś prawdę, a nie przypadkową szaleńczą wizję gasnącego umysłu. To coś... – Przerwał. – Coś co wykracza poza nasze możliwości pojmowania.

Spojrzał na Gideona świdrującymi oczami.

– Tym tropem będziemy podążać – po cichu – ty i ja, tylko my dwaj. Wiem, Gideonie, ile znaczy dla ciebie śmierć Alex. Wiem, że to dla ciebie trudny czas. Zdaję sobie sprawę, że nie jest ci łatwo. Ale wiem również, że nie odpuścisz, dopóki nie rozgryziesz tej anomalii i nie dotrzesz do jej sedna. Prothero pracuje nad hipotezą usterki technicznej, by wyjaśnić opóźnienia odebranego przekazu. Chcę, byś na bieżąco zapoznawał się z tym, co robi, i dopilnował, żeby żadne plotki dotyczące czegoś, co może odkryć, nie zaczęły szerzyć się wśród załogi. Opuściliśmy kamerę na dno oceanu i umieściliśmy ją w odległości dwustu metrów od tej istoty. Będziemy ją obserwować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

– Dobra – wykrztusił niepewnie Gideon.

Glinn przez chwilę przyglądał mu się w zamyśleniu. W końcu prawie niedostrzegalnie skinął głową i zawrócił w stronę centrum dowodzenia.

Eli Glinn przyciemnił światło w swojej kajucie i zaczął rozbierać się do snu. Zdjął koszulę i znieruchomiał, by przyjrzeć się swojej lewej ręce. To właśnie ona ucierpiała najbardziej podczas katastrofy Rolvaaga – przyjęła na siebie cały impet wybuchu. Pomimo słabego oświetlenia wciąż mógł dostrzec gładkie, lśniące miejsca, gdzie do niedawna widniały węzlaste blizny po oparzeniach oraz bruzdy i wypukłości dawnych ran od odłamków. Poruszył ręką i mięśnie pod skórą napięły się, ich siła wracała powoli, a pomagały w tym regularne, codzienne ćwiczenia.

Ramię również miał pogruhotane na kawałki, które lekarze musieli poskładać jak układankę, skręcając je za pomocą płytek i śrub. Większość tych metalowych mocowań została już usunięta, o czym świadczyło kilka świeżych blizn.

Uniósł rękę i cały czas na nią patrzył. Zdumiewało go to, że zdeformowana, przypominająca zniekształcony, bezwładny szpon kończyna, o której myślał, że nigdy nie odzyska sprawności, funkcjonowała teraz niemal normalnie. Przytrzymał ją w górze i poruszał palcami. Nie będzie pianistą koncertowym, ale przynajmniej może posilać się przy stole jak człowiek, a nie jak zwierzę, rozrzucając jedzenie i nie będąc w stanie otrzeć ust serwetką.

Napiął palce i ponownie wyprostował i zgiął rękę, obracając ją najpierw w jedną, potem w drugą stronę, ciesząc się swobodą ruchu oraz brakiem sztywności i bólu. Odwrócił się z westchnieniem. To nie było w jego stylu – nie należał do osób podziwiających własne ciało i napawających się tym. Przynajmniej jeszcze do niedawna tego nie robił. Teraz jednak, gdy jego rany niemal całkiem się zagoiły, miał większą świadomość sprawności swoich kończyn i cieszył się z tego. Był wdzięczny, że odzyskał zdrowie. W jakiś sposób ta wdzięczność sprawiała, że przypominał sobie tych, którzy nie przeżyli – zwłaszcza jedną z tych osób – i czuł wówczas powracający jak fala przyływu smutek, wyrzuty sumienia oraz poczucie winy.

Rozebrawszy się do bielizny, wszedł do łazienki i umył zęby przed lustrem. Jego twarz wyglądała lepiej, chore oko wyzdrowiało. To dziwne, ale tęczęwka miała nieco inny, o ton ciemniejszy odcień szarości. Wyglądała świeżej. Młodziej.

Korzeń lotosu, który Glinn spożył na tamtej odległej, dziwnej wyspie dwa miesiące temu praktycznie dokonał cudu.

Umył twarz i wytarł do sucha, przeczesał rzadniejące włosy i wrócił do kajuty. Z szafy wyjął jedwabny szlafrok, nałożył go, po czym podszedł do najbliższego iluminatora. Odblokował zasuwkę, otworzył bulaj na oścież i napełnił płuca świeżym rześkim powietrzem przesyconym zapachem soli i lodu. Pobliska góra wyglądała w ciemnościach jak szary kształt wychwycony pośród nocy przez

światła Batavii. Ocean był spokojny, noc bezksiężycowa, ale niebo rozgwieżdżone.

Z głośnym westchnieniem odszedł od iluminatora i położył się na łóżku, układając dłonie pod głowę. Powróciły wspomnienia związane z feralną wyprawą i zatonięciem Rolvaaga.

Wysunął szufladę nocnego stolika i wyjął cienki tomik *Poezji wybranych* W.H. Audena. Wertując mocno sfatygowany tomik, odnalazł wiersz zatytułowany *Pochwała wapienia*. Nie musiał go czytać, znał ten wiersz na pamięć, ale wciąż czerpał pociechę z wydrukowanych na papierze słów:

Lecz prawdziwie lekkomyślnych

Sprowadził starszy, zimny głos, szept oceanu:

Jam jest samotność, co nic nie żąda i nie przyrzeka²

Po kilkukrotnej lekturze wiersza odłożył tomik i wstał z łóżka. Znow podszedł do iluminatora i zaczerpnął morskiego powietrza, aż wreszcie, zaciągnawszy mocniej pasek szlafroka, wzuł kaptcie. Wyjął z szuflady biurka zapasowy pendrive, włożył do kieszeni i po cichu wyszedł z kajuty.

Była pierwsza czterdzieści pięć, od prawie dwóch godzin trwała nocna wachta. Na statku panowała cisza i bezruch. Wszyscy oprócz wachtowych spali. Glinn przeszedł bezszelestnie korytarzem, wspiał się po jednych schodach, by zejść po drugich i dotrzeć do centrum dowodzenia. Było zamknięte, ale on miał klucz. Pomieszczenie, zgodnie z jego oczekiwaniami, było puste. Glinn podszedł do głównego stanowiska, włączył ekran, wybrał kilka menu i wcisnął parę klawiszy. Po chwili na ekranie pojawił się obraz – zapis z kamery w łodzi Gideona, gdy wpłynęła do ładowni Rolvaaga. Przewinął nagranie do momentu, gdy zostały usunięte płyty kadłuba i rury, a snopy światła z reflektorów DSV ukazały unoszące się w wodzie zwłoki kapitan. Sally Britton.

Zatrzymał nagranie, włożył pendrive do gniazda USB, wprowadził kilka komend, po czym ponownie odtworzył nagranie i zaczął je kopiować.

Znow to zobaczył: falujące jasne włosy, ramiona wysuwające się do przodu, jakby w wyrazie zaskoczenia, mundur, wciąż czysty i schludny pomimo lat spędzonych w wodzie. Twarz znow wolno odwróciła się ku niemu i ujrzał szafirowe, szeroko otwarte oczy, rozchylone usta i białą szyję, wszystko tak rzeczywiste, że wyglądało jak żywe...

Wyłączył nagranie. Ściąganie pliku dobiegło końca, wyjął pendrive z gniazda i wrócił do swojej kajuty. Ponownie położywszy się na łóżku, przysunął do siebie laptop i odtworzył nagranie, tym razem wolniej, a potem ponownie, klatka po klatce, by koniec końców zatrzymać odtwarzanie w chwili, gdy obracająca się twarz znalazła się dokładnie w takim punkcie, że oczy martwej kobiety spoglądały bezpośrednio w kamerę. Patrzył na nią bardzo długo.

Wciąż się w nią wpatrywał, kiedy krwistoczerwony blask wschodzącego słońca rozświetlił jego kajutę, obwieszczając początek nowego dnia.

Zamknął laptopa, wyjął pendrive'a i podszedł do iluminatora. Stał tam przez chwilę, obserwując, jak dzień wstaje ponad tonią spokojnego oceanu, po czym wyrzucił pendrive'a jak najdalej do wody. Nośnik pamięci z cichym pluskiem zniknął wśród błękitnych fal. I wtedy stało się coś niezwykłego: jedna z licznych mew krążących wokół statku, pikując w dół, chwyciła pendrive, zanim zdążył zatonać, i odleciała, unosząc go ze sobą. Sylwetka ptaka stawała się coraz mniejsza, aż znikła zupełnie, rozmywając się wśród bezmiaru nieba rozjaśnionego pomarańczowym blaskiem.

O ósmej rano Gideon zapukał do drzwi laboratorium akustyki morskiej Prothera przepełniony niepokojem i wątpliwościami. Zeszłej nocy przespał zaledwie godzinę czy dwie – o ile w ogóle można to było nazwać snem.

Jego instynktowna niechęć do inżyniera od hydrolokacji tylko się pogłębiła po kąśliwym komentarzu na temat rycerza w lśniącej zbroi, który teraz, po tragicznej śmierci Alex, stał się bardziej bolesny.

– Otwarte. – Z pomieszczenia dobiegł stłumiony głos.

Gideon otworzył drzwi i powitała go fala ciepła od urządzeń elektronicznych oraz fantastyczna plątanina elektronicznych gadżetów. W kącie spostrzegł Prothera pochylającego się z lutownicą nad płytką obwodu drukowanego. Dokładnie tak wyobrażał sobie laboratorium: jako jeden wielki bałagan. Sam Prothero wyglądał aż nadto przewidywalnie w wyświechtanym podkoszulku; swoim wyglądem wyrażał kompletną pogardę dla ładu i schludności. W laboratorium nie było nikogo więcej: wysoka Azjatka, która towarzyszyła Protherowi podczas wcześniejszej odprawy, najwyraźniej jeszcze się nie zjawiała.

Gideon czekał, podczas gdy Prothero wykonywał swoją pracę. Po dłuższej chwili ciszy inżynier, nie odwracając się, powiedział:

– Zaraz podejść.

Gideon rozejrzał się wokół, ale nie było miejsca, gdzie mógłby usiąść. Wszystkie krzesła i stoły zajęte były przez elektroniczny szmelc; nawet nie było widać ścian, wzdłuż których ciągnęły się regały i szafki zastawione masą dość dziwnego sprzętu. Nawet Gideon, który miał sporą wiedzę o komputerach, nie rozpoznał niektórych urządzeń, zwłaszcza tych, które wyglądały na samoróbki. Nie ulegało jednak wątpliwości, że większość z nich – głośniki, mikrofony i oscyloskopy – miała związek z akustyką.

Prothero parsknął gniewnie, wyprostował się, odłożył lutownicę i obrócił się na biurowym fotelu. Podjechał do Gideona, nie wstając z fotela, którego stare, mocno zużyte kółka skrzypiały głośno przy każdym obrocie.

Zatrzymał się niecałe pół metra od Gideona.

– O co chodzi? – spytał.

– Byliśmy umówieni.

Chrząknięcie.

– No dobra.

Gideon nie miał wątpliwości, że Prothero zapomniał o ich spotkaniu.

– Chciałem porozmawiać o... ostatniej transmisji z łodzi Alex Lisperard.

Prothero przesunął dłonią po przydługich, czarnych, przetłuszczonych włosach, przeczesując je palcami. Roztarł też kark i szyję. Wyglądał, jakby całą

noc nie zmrużył oka, ale zawsze sprawiał takie wrażenie.

– Udało ci się ustalić, co było przyczyną usterki? – zapytał Gideon.

Prothero pokręcił głową na długiej, chudej szyi, aby rozluźnić zeszywniały kark i mięśnie.

– Nie było żadnej usterki.

– Oczywiście, że była, albo wystąpił jakiś inny problem natury technicznej. Mam na myśli opóźnienie czasowe.

– Tak jak powiedziałem. Nie było żadnej usterki.

– Widziałem, jak batyskaf został zmiażdżony – rzekł Gideon. – Byłem tego świadkiem. A pięć sekund później jej głos rozległ się przez hydrofon. Jeżeli nie było żadnej usterki, to musiało wystąpić jakiegoś rodzaju opóźnienie w przekazie czy coś takiego.

– Nie było żadnego opóźnienia.

– Daj spokój. Co ty mówisz?

– To, co odebrał twój hydrofon, było bezpośrednim dźwiękiem akustycznym przenoszonym przez wodę w czasie rzeczywistym.

– Niemożliwe.

Prothero wzruszył ramionami, a potem podrapał się po ręce.

– Chcesz powiedzieć, że odebrałem przekaz od nieżyjącej osoby – ciągnął z naciskiem Gideon.

– Mówię tylko, że nie było żadnej usterki.

– Chryste Panie, przecież musiała być, nie ma innej możliwości!

– Niewiedza połączona z uporem nie zmieni tego, co było.

Gideon próbował stłumić w sobie gniew. Wziął głęboki oddech.

– Chcesz powiedzieć, że Alex przemówiła, kiedy, po pierwsze, była już martwa, i po drugie, znajdowała się wewnątrz tej istoty?

– Nie posunąłem się tak daleko, by wyciągać tego rodzaju wnioski. Może to wcale nie ona mówiła.

– To była ona. Znam jej głos. Kto inny mógłby to być?

Kolejne denerwujące wzruszenie ramionami.

– Poza tym pod wodą człowiek i tak nie jest w stanie mówić. Chcesz mnie przekonać, że ktoś był w stanie wypowiedzieć spójne zdanie w dzielącej nas odległości czterystu metrów głęboko pod powierzchnią wody? To oczywiste, że w grę wchodzi problemy natury technicznej. Cokolwiek powiedziała, zostało przetworzone przez algorytm konwersji analogowej czy coś w tym rodzaju i trzeba było kilku sekund, aby ten komunikat dotarł do mojej łodzi podwodnej.

– Wiesz co, Gideonie? – Prothero pokręcił głową. – Idź już sobie w cholere, dobra?

Dygocząc z wściekłości, Gideon stłumił w sobie kolejną ciętą ripostę, która doprowadziłaby jedynie do eskalacji konfliktu. Zdawał sobie sprawę, że po części

sam ponosił za to winę. Zjawił się tu z całą masą uprzedzeń i niewłaściwym nastawieniem, był za bardzo emocjonalnie związany z tą sprawą, niecierpliwie czekał na wyniki ekspertyzy i pozwolił, aby ten pajac załazł mu za skórę.

– Po prostu staram się zrozumieć – powiedział, z trudem zachowując spokój. – Zginęła moja przyjaciółka.

– No przecież wiem. Nie dziwię się, że tak cię nosi. Przykro mi z powodu tego, co się stało. Nie przychodź tu i nie mów mi, co mam robić. Bo wyprzedzam cię i to zdecydowanie.

– Może wobec tego powiedziałbyś, co zdołałeś ustalić? Byłbym wdzięczny. – Któregoś dnia wykopie tego palanta na biegun południowy, ale jeszcze nie teraz.

– Dziękuję. – Prothero znów podrapał się po ręce jak małpa.

Gideon czekał, cisza się przedłużała, a napięcie narastało.

– Pracowałem nad ustaleniem sposobu, w jaki ta wiadomość została przeniesiona przez wodę. I tym się teraz zajmuję.

Zamilkł.

– Mów dalej – rzekł po chwili Gideon.

– To cholernie dziwne.

– Jak to?

– To był przekaz cyfrowy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Znasz różnicę między analogową a cyfrową falą dźwiękową? Jedna wygląda gładko, a druga jest zbudowana z pojedynczych sampli. Z małych kroczków albo pojedynczych stopni, jak w wypadku schodów. To był cyfrowy przekaz. A fala została stworzona tak, aby mogła zostać przeniesiona przez wodę i aby dźwięk brzmiał normalnie, gdy zostanie odebrany przez głośniki i rozejdzie się w powietrzu, tak jak wtedy, gdy wypłynął z hydrofonu w twoim batyskafie.

– Ale... jak?

Kolejne wzruszenie ramion.

– Żaden organizm biologiczny nie wytwarza dźwięku cyfrowego. Niczego cyfrowego, jeśli chodzi o ścisłość. Tylko urządzenia elektroniczne są do tego zdolne. A ta wokalizacja płetwala błękitnego? Również była cyfrowa. Pochodziła z baobabu, a nie z jakiegoś miejsca powyżej.

– Baobab wytworzył dźwięk płetwala błękitnego? Cyfrowo?

– Tak.

– A więc... to coś nie jest żywe? To maszyna? Chcesz powiedzieć, że to coś... rejestruje sygnały dźwiękowe i odtwarza je na nasz użytek?

– Kto wie, czym jest to cholerstwo albo co robi?

Gideon spojrzał na inżyniera.

– Nie musimy wiedzieć, czym jest to coś – powiedział powoli – aby je zabić.

Manuel Garza stał głęboko pod pokładem statku badawczego Batavia, w pozbawionym nazwy, nieopisanym magazynie, który zawsze był zamknięty, i wpatrywał się w masywne stalowe półki. Znajdowały się na nich częściowo złożone elementy bomby. Było tu wszystko oprócz plutonowego rdzenia, który spoczywał ukryty w specjalnie chronionym i zabezpieczonym skarbcu w innej części statku. Kiedy Garza wodził wzrokiem po starannie porozkładanych na półkach elementach zafoliowanych próżniowo w srebrny plastik i rozmieszczonych wewnątrz wykonanych na zamówienie piankowych pojemników, czuł narastający niepokój. Nie spodobało mu się, że Gideon, który od tygodni nie interesował się bombą atomową, nagle, ni stąd, ni zowąd, zaczął nalegać, by mu ją pokazano. Garza wyczuł w jego głosie gniew, jakby miał przed sobą mściwego wojownika szukającego pocieszenia w bliskości swojej broni. Od śmierci Lispenard atmosfera na statku zmieniła się, nie miał co do tego wątpliwości. Stała się ponura i poważna. W normalnych okolicznościach niekonieczne byłoby to czymś złym, ale Garza się martwił. Podejrzał, że motywem, jaki kierował obecnie między innymi Gideonem, była chęć zemsty, a nie wierzył, że powinni myśleć o obcej formie życia, którą zamierzali zabić, jak o wrogu – tak jak nie myśli się o wrogu, gdy mówimy o niedźwiedziu czy wirusie. Głodny niedźwiedź zachowuje się zgodnie ze swoją naturą. Podobnie jak wirus. I z tą istotą było podobnie. To coś nie było inteligentne, kierowało się wyłącznie instynktem.

Przekręcił klucz, odblokował szluzę i do pomieszczenia wszedł Glinn w towarzystwie Gideona.

– To tutaj – rzekł Garza. – Wszystko zafoliowane i zapieczętowane, niewiele jest do oglądania.

Patrzył, jak Gideon bez słowa przechodzi obok niego, wpatrując się w bombę. Wyciągnął rękę i dotknął folii.

– Wydaje się dość mała jak na atomówkę – powiedział po chwili.

– Ale jest wydajna – odparł Glinn. – Oryginalnie to ładunek do raketowego pocisku balistycznego R7 semiorka o zasięgu międzykontynentalnym.

– Z czasów Związku Radzieckiego.

– Oczywiście.

– Skąd ją macie?

– Powiedzieliśmy ci już wszystko, co powinieneś wiedzieć na ten temat.

– Moc?

– Około stu kiloton.

– Waga?

– Sto czterdzieści kilogramów.

– Jak duży jest plutonowy rdzeń?

– Dwadzieścia kilogramów. Owalny.

Garza przyglądał się, jak Gideon przesuwają dłońmi po plastiku.

– Rodzaj zapalnika?

– Inicjator z polonu dwieście dziesięć.

– Jezu. Nie mogę uwierzyć, że udało się wam to wszystko zdobyć. Aż włos mi się jeży na głowie na myśl o tym, gdzie mogła skończyć reszta starego sowieckiego arsenału nuklearnego.

– Fakt, jest się czego obawiać. Ale to problem na kiedy indziej i dla kogoś innego.

Gideon cofnął rękę.

– Była droga?

– Bardzo.

– Jak została zmodyfikowana do użycia pod wodą?

– W tym wypadku podstawowym i największym wyzwaniem inżynierskim – rzekł Glinn – było uporanie się z kwestią ciśnienia wody. Zamierzamy umieścić ją wewnątrz niewielkiej tytanowej sfery i opuścić na dno z wykorzystaniem ROV-u, zdalnie sterowanego wielofunkcyjnego pojazdu głębinowego. Mamy taki pojazd, specjalnie zaprojektowany do tego zadania, znajduje się obecnie w hangarze.

– Rozumiem. A jak ma zostać rozłożona siła wybuchu tego ładunku?

– To już twoja działka, Gideonie. Ty jesteś ekspertem od modelowania eksplozji nuklearnych. Nikt nigdy nie zdetonował bomby atomowej na głębokości trzech i pół tysiąca metrów, przy ciśnieniu czterysta razy wyższym niż na powierzchni. Chcielibyśmy, żeby bomba miała jak najbardziej niszczyielską moc.

Gideon przeniósł wzrok z Glinna na Garzę i z powrotem.

– Mówisz tu o bardzo poważnym problemie obliczeniowym.

– Tak, ale na pokładzie mamy sprzęt, który może sobie z tym poradzić. Maszynę K.

– Eksplozja musi całkowicie unicestwić to coś, tak by nie pozostała nawet najmniejsza część tej istoty, która mogłaby ponownie się ukorzenieć i wyrosnąć – powiedział Gideon. – Musimy poznać jej najsłabszy punkt, ustalić, gdzie znajdują się witalne organy i jak jej tkanki mogą zareagować na wybuch bomby. Nic byśmy nie osiągnęli, gdyby eksplozja tylko rozerwała tę istotę na części, bo jej fragmenty rozrzucone na dnie oceanu po pewnym czasie przedryfowałyby w jedno miejsce i ponownie się połączyły.

– Najwyraźniej zdajesz sobie sprawę z problemów, przed jakimi obecnie stoimy – rzekł Glinn. – Możliwe, że wystarczy zniszczyć mózg tego czegoś. Ale kto wie, równie dobrze może konieczne będzie bardziej drastyczne i trudniejsze rozwiązanie, jak na przykład zniszczenie baobabu bronią atomową.

Gideon odwrócił się do Garzy.

– Chcę zacząć montaż bomby jak najszybciej.

– Ejże, ejże – powiedział Garza. – Czekaj nas jeszcze mnóstwo pracy, zanim będziemy gotowi wysadzić to coś naszą bombą.

– Musimy zmontować to cholerstwo, żeby można było je wykorzystać czym prędzej, praktycznie z miejsca. Nie mamy pojęcia, co może zrobić ten stwór.

– Kiedy tylko zaczniemy otwierać te pakiety – odparł Garza – będziemy mieć do czynienia z materiałami wybuchowymi, delikatnymi komponentami komputerowymi i ładunkiem zabójczego plutonu. A posiadanie na pokładzie statku uzbrojonego ładunku atomowego przez dłuższy czas jest cholernie niebezpieczne.

– Cholernie niebezpieczne jest siedzenie tutaj z beużyteczną bombą, nie mogąc się bronić, gdy to coś zorientuje się, co zamierzamy, i postanowi nas załatwić.

– To coś nie może poznać naszych zamiarów – odezwał się Garza – bo to nie jest inteligentna forma życia. Przypuszczalnie to roślina albo jakiś rodzaj wielkiego anemonu.

Garza był wściekły, że Gideon pozwalał sobie, by emocje wzięły w nim górę i by jego myśleniem kierowało pragnienie zemsty.

– Nie mamy pojęcia, jakiego rodzaju inteligencją odznacza się to coś – odrzekł Gideon. – Jeśli ten ciemny kształt, który zauważyłem, jest jego mózgiem, to jest on cholernie duży, dużo większy od twojego – dodał oschle.

– Przetrzymanie na pokładzie statku uzbrojonej bomby atomowej – próbował tłumaczyć Garza – zakrawa na szaleństwo. A jeśli rozpęta się sztorm? Albo któryś z komponentów zawiedzie? A jeśli bomba będzie narażona na wstrząsy lub uderzy w nią piorun?

Odwrócił się do Glinna.

– Gideon chce ją tylko zmontować – powiedział Glinn. – Nie uzbroić. No i nie zapominaj o wzajemnym układzie bezpieczeństwa. To powinno cię uspokoić.

– Co to jest wzajemny układ bezpieczeństwa? – zapytał Gideon.

– Polega on na tym, że my trzej – i tylko my trzej – będziemy znać kod uzbrajający bombę i uruchamiający sekwencję odpalenia ładunku. Ale dla bezpieczeństwa będziemy również mieli opracowany kod zatrzymujący procedurę detonacji, na wypadek gdybyśmy wszyscy, albo przynajmniej jeden z nas, uznali, że użycie ładunku jądrowego nie jest jednak rozsądnym pomysłem.

– To nie ma nic do rzeczy – odezwał się Garza. – Nie jesteśmy w bazie wojskowej, tylko na statku obsadzonym cywilną załogą. Ochrona pozostawia wiele do życzenia. Jako główny inżynier pokładowy jestem absolutnie przeciwny montowaniu bomby i uważam, że należałoby to zrobić dopiero tuż przed jej planowanym użyciem.

Zapadła długa cisza, a potem rozległ się cichy głos Glinna.

– Zorganizuj przeniesienie rdzenia plutonowego.

Garza był kompletnie zbity z tropu, bo Glinn zachowywał się w nietypowy dla niego sposób.

Rozległ się sygnał z krótkofalówki Glinna – nasłuchiwał przez chwilę, po czym odwrócił się do nich.

– Wygląda na to, że właśnie pojawił się ponownie pojazd głębinowy Alex Lisperard. Spoczywa na dnie oceanu, tuż przed baobabem.

Gideon odwrócił się błyskawicznie od komponentów bomby.

– W jakim jest stanie?

– Sonar wskazuje, że jest... mniejszy. Gęstszy.

– Zmiażdżony – wtrącił Garza. – Tak jak myśleliśmy.

– Zejdę na dno, by go wydobyć – oznajmił niespodziewanie Gideon.

Garza spodziewał się, że Glinn ostro zaprotestuje, ale tylko pokiwał głową.

– Manuelu – powiedział – przygotuj Johna do kolejnego zanurzenia.

„Co jest pomiędzy tymi dwoma?” – zapytał sam siebie Garza, gdy kręcąc głową z niedowierzaniem, ruszył w stronę pokładu hangaru.

Gideon znów starał się zapanować nad oddechem i wrażeniem klaustrofobii, gdy zanurzał się w bezmiar czarnej otchłani. Czterdzieści minut później w dolnym iluminatorze jego batyskafu pojawiło się szare muliste dno z leżącymi tu i ówdzie jakimiś szczątkami, wyglądające jak surrealistyczny pejzaż Yves'a Tanguy. Wyznaczony punkt orientacyjny, w którym miał się zatrzymać, znajdował się na południe od wraku, tysiąc metrów od baobabu.

John zawisł piętnaście metrów nad dnem oceanu. Tym razem łódź podwodna miała kontakt z powierzchnią dzięki przewodom łączności; centrum dowodzenia pękało w szwach, a Gideon wiedział, że co najmniej tuzin oczu monitorował każdy jego ruch. Wąski stalowy kabel do podniesienia zmiażdżonego DSV był przymocowany do mechanicznego ramienia i rozwijany z dźwigu na pokładzie Batavii; Gideon musiał bardzo uważać, żeby przewód i kabel nie splątały się.

– Jestem w punkcie zero – oznajmił.

– Zrozumiałem – dobiegł go głos Garzy, który obsługiwał węzeł łączności. – Przejdź do punktu numer jeden.

Gideon pchnął dźwigienkę sterowania, a wewnątrz łodzi podwodnej wypełnił szum pędników. Zmiażdżone szczątki Paula spoczywały na dnie oceanu w punkcie numer trzy, piętnaście metrów od pnia baobabu.

Piętnaście metrów. Biorąc pod uwagę tragiczne wydarzenia minionego dnia, za mało na zachowanie bezpieczeństwa.

Gideon przepłynął do punktu numer jeden. Kiedy tam dotarł, poruszył dźwigienkę, a automatyczny pilot wykonał ostrą zmianę kursu, kierując łódź podwodną bezpośrednio do punktu numer dwa, gdzie miała nastąpić kolejna korekta trasy. Chodziło o to, by podejście przebiegało zygzakiem, co miało zdezorientować obcy byt. Gideon uważał, że plan był bezsensowny, jedynie przedłużał jego pobyt na dnie oceanu, ale Glinn postawił na swoim.

Gdy znajdował się w połowie drogi do punktu numer dwa, promienie jego reflektorów zaczęły oświetlać baobab i usłyszał przenikliwe brzęczenie, to cichnące, to przybierające na sile, dochodzące przez hydrofon i przenikające kadłub łodzi podwodnej.

– Wygląda na to, że jesteś omiatany wiązką hydrolokacyjną – odparł Garza – o częstotliwości wyższej niż dotychczasowe dwa herce.

– Sukinsyn.

Gideon usłyszał, że to słowo spotkało się z konsternacją.

– Zaczekaj – rzekł Garza. – Nie podpływaj bliżej. Musimy się zorientować w sytuacji.

– Żadnych więcej opóźnień – rzekł Gideon. – Widzę Paula. Podchodzę.

Kolejna gorączkowa wymiana zdań w tle.

– Dobra – przytaknął Garza. – Zrób to jak najszybciej i zabieraj się stamtąd.

– Ma się rozumieć.

Dźwięk sonaru to przybierał na sile, to cichnął, na przemian przyspieszając i zwalniając. Brzmiał jak brzęczenie roju rozjuszonych szerszeni i sprawił, że Gideon poczuł na plecach lodowate ciarki. Gdy podpłynął bliżej, reflektory jego batyskafu oświetliły zniszczony pojazd głębinowy. Spoczywał w mule, na dnie, jakby został tam położony: zwarta niemal całkiem zgnieciona kula metalu z wystającymi z niej elementami. Spoczywała na gęstej płataninie cienkich, przypominających macki korzeni, które rozciągały się od baobabu we wszystkich kierunkach. Strzaskane, pogruchotane fragmenty kadłuba wykonane z tytanu o strukturze plastra miodu zostały zgniecione z taką łatwością, jakby były zrobione z folii aluminiowej. Aż trudno było uwierzyć, że ta istota była w stanie dokonać czegoś, czego nie zdołało uczynić ciśnienie ogromnych mas wody. Słaba, mętnowa smużka ciągnęła się z prądem od zgruchotanego pojazdu, tworząc coś na kształt ogona komety. W świetle reflektorów widać było czerwonawą wodę sączącą się z niewielkiego pęknięcia w kadłubie.

Gideon spojrzął ponad wrakiem w stronę górującego nad nim pnia: ta niewzruszona żłobiona ściana obcej materii przywodziła na myśl upiorny organiczny drapacz chmur. Nabrzmiały byt był nieruchomy, nie dało się dostrzec żadnych oznak życia... poza brzęczeniem sonaru.

Poczuł niepokój mieszający się z gniewem i nienawiścią.

Przy wraku zwolnił i wyciągnął mechaniczne ramię, które trzymało stalowy kabel z kotwiczką mocującą. Ramię funkcjonowało przy minimalnym udziale człowieka. Wysunęło kotwiczkę i przyłożyło ją do względnie nienaruszonego fragmentu zmiażdżonej łodzi podwodnej, po czym, przy wtórze głośniego huku i kaskady unoszących się bąbli powietrza, kotwiczka została wystrzelona i zamocowana.

Ten dźwięk najwyraźniej rozdrażnił istotę; dźwięk hydrolokatora przybrał na sile i natężeniu.

– Mocowania założone – oznajmił Gideon.

– Przygotuj się do podniesienia – rzekł Garza.

Zgodnie z ustaloną procedurą miał zaczekać, aż ekipa na powierzchni rozpocznie podnoszenie wraku, by potwierdzić wizualnie, że uszkodzony pojazd trzyma się dobrze, co było ważne dla tej operacji. Gideon wycofał batyskaf na bezpieczną odległość i patrzył, jak kabel napręża się stopniowo. Jeszcze chwila i w końcu, przy wtórze wzbijającej się chmury osadów dennych, wrak podźwignął się niczym odrażająca ozdóbka choinkowa.

– Wygląda nieźle – powiedział. – Paul zabezpieczony.

– Potwierdzamy – rzekł Garza. – Zrzuć balast i rozpocznij procedurę

wynurzenia.

Gideon skwapliwie pociągnął za dźwigienkę, pozbywając się balastu, a John zaczął szybko unosić się ku powierzchni.

W tej samej chwili ogromna istota zaczęła falować w groteskowy, nieopisany sposób: pośrodku pnia pojawił się otwór gębowy napełniając się wodą, mięsiste wargi zadrżały. Gideon poczuł dygotanie, gdy jego łódź podwodna została pochwycona przez nagły prąd. Pojazd zatrzęsł się i zaczął wirować spiralnie. Rozległ się głuchy trzask i Gideon natychmiast domyślił się, że pękł przewód łączności. Połowa ekranów zgasała, głos Garzy ucichł, za to pojawiły się komunikaty alarmowe wyświetlane na działających jeszcze ekranach i dał się słyszeć sygnał dźwiękowy ostrzegający o poważnym zagrożeniu.

Pchnął dźwigienkę sterowania w lewo, by skontrolować spin, i łódź podwodna zaczęła obracać się wolniej, dziób pojazdu uniósł się ostro w górę, rufa jednak wciąż była ściągana w kierunku rozdziawionego, zasysającego wodę otworu gębowego obcego organizmu. Walcząc z tym przyciąganiem, Gideon zwiększył ciąg silników do oporu i sklarował awaryjne balastowe zbiorniki wodne, wypełniając je wybuchową dawką powietrza i zwiększając maksymalnie pływalność batyskafu.

Czuł, że pojazd głębinowy wciąż stara się walczyć z zasysającym go prądem wody. Pojawiły się wibracje i głośny grzechot niemal całkiem zagłuszający szum szybko płynącej wody, aż wreszcie, przy wtórze potężnego szarpnięcia i chybotania batyskaf uwolnił się i pokoziołkował w górę, wznosząc się jak szaleńczo wirująca bańka powietrza. Walcząc z urządzeniami kontrolnymi, Gideon poczuł, że pilot automatyczny stara się skorygować chaotyczny ruch. Dopasowując się do rytmu obrotów wirującego pojazdu, pchnął drążek sterowania w przeciwnym kierunku – Johnem silnie zakołysało, ale został wreszcie ustabilizowany.

Zanim rytm serca Gideona wrócił do względnej normalności, w iluminatorach pojawiło się niebieskie światło, a łódź podwodna zdążyła wypłynąć na powierzchnię. Przez lewy bulaj Gideon mógł dostrzec czysty biały profil Batavii. Gdy tylko znalazł się ponad powierzchnią wody, w słuchawkach usłyszał głos Garzy:

- Gideonie? Gideonie? Słyszysz mnie?
- Głośno i wyraźnie.
- Nic ci nie jest?
- Wstrząśnięty, ale cały.
- Zaraz cię wyciągniemy.

Już bez jego udziału miniaturowa łódź podwodna płynęła po spokojnych wodach w kierunku oddalonego o osiemset metrów statku.

Manuel Garza wszedł do laboratorium badawczego pełen złych przeczuć. Przed dużym płaskim ekranem ustawiono kilkanaście metalowych krzesełek, jak w miniaturowym kinie, gdzie zaraz miał się odbyć prywatny pokaz najbardziej przerażającego filmu grozy.

Garza ocalał z katastrofy Rolvaaga. Mówi się, że z upływem czasu nawet wspomnienia najgorszych przeżyć zacierają się, i w jego przypadku tak właśnie się stało. Nie miał pojęcia, czy była to daleko posunięta forma wyparcia, czy jedynie mająca go chronić reakcja psychologiczna. Wiedział tylko, że przez lata starał się nie myśleć o tamtej strasznej nocy, odpędzał od siebie wszystkie związane z nią skojarzenia, aż doszedł do tego, że właściwie nie pamiętał, co się wtedy wydarzyło. I nie zamierzał wracać do tego myślami. Może inni radzili sobie z zespołem stresu pourazowego, odtwarzając wydarzenia w głowie raz za razem, ale nie on. Jego sposobem na uporanie się z tym syfem było pozbycie się wszystkich związanych z nim wspomnień, zduszenie ich w sobie i udawanie, że to się w ogóle nie stało.

I oto był tutaj, karmiony na siłę tymi starannie wypieranymi wspomnieniami jak chory, któremu pielęgniarka wmusza łyżeczką obowiązkowy posiłek.

– Witam, doktorze Garza – rzucił zbyt pogodnym tonem Hank Nishimura.

Garza bez słowa zajął wskazane miejsce. Wiedział, że na statku ma opinię osoby gburowatej, wyniosłej i małomównej. Tak samo myślano o nim w głównej siedzibie EES-u. Początkowo przejmował się tym, kiedy jednak stwierdził, że nie jest w stanie, albo nie chce, się zmienić, uznał, iż ma to gdzieś. Liczyła się tylko obecna misja i do diabła z całą resztą.

Stawił się na miejscu przed czasem i kiedy czekał, przyszła oficer Lennart, a po niej egzobiolog Antonella Sax. Nikt nic nie mówił. Wreszcie zjawił się Glinn. Nie zaproszono nikogo więcej – ani Gideona, ani doktora Brambella.

Garza spojrział z zaciekawieniem na Glinna. To, co zaraz zobaczą, niewątpliwie postawi dyrektora EES-u w bardzo złym świetle. Złym to mało powiedziane – to, co zobaczą, pozwoli ujawnić najgorsze zaniedbania Glinna, które doprowadziły do tragedii. Gdyby te nagrania wyciekły do opinii publicznej, Glinn prawdopodobnie spędziłby resztę życia w więzieniu.

Mimo to Glinn wyglądał jak zwykle – na jego neutralnej twarzy malowały się niejednoznaczne zadowolenie i pewien przejaw inteligencji; była to twarz księgowego albo pracownika średniego szczebla firmy oferującej trwałe dobra konsumpcyjne, takie jak samochody, meble i telewizory.

Glinn usiadł.

Dopiero teraz Garza zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo zdenerwowany był Nishimura. On jako jedyny musiał już widzieć nagrania i to, co zobaczył,

z pewnością nie było przyjemne.

– Doktorze Glinn, zechciałby pan powiedzieć kilka słów... eee... tytułem wstępu? – spytał z nadzieją w głosie Nishimura.

Glinn machnął ręką.

– Puść nagranie.

– Hmm, okej. Dobrze. – Nishimura zaczął wodzić wzrokiem na prawo i lewo, na jego ustach pojawił się sztuczny uśmiech. – Na prośbę doktora Glinna stworzyłem zwarte nagranie przedstawiające ostatnie chwile Rolvaaga w porządku chronologicznym, pokazujące przebieg wydarzeń, jakie się wówczas rozegrały. Nagranie zaczyna się mniej więcej na godzinę przed zatonięciem i trwa do momentu, kiedy statek się przełamał, a systemy rejestrujące przestały działać.

Złączył dłonie i na chwilę wstrzymał oddech.

– Udało nam się odzyskać większość danych. Były dwie kamery na mostku, dwie w ładowni i kilka innych rozmieszczonych po całym statku. Czasami jakość nagrania nie jest najlepsza i zazwyczaj zapis dźwięku jest trudny do zrozumienia, chyba że mamy do czynienia z zapisem łączności elektronicznej. Na nagraniu są pewne... trudne momenty... Jak rozumiem, prawda o tym nagraniu nie może wyjść poza to pomieszczenie. Dlatego na polecenie doktora Glinna w pokazie ma wziąć udział niewielka grupa osób. Nie wolno rozmawiać o treści tego nagrania z nikim spoza naszego kręgu. Zgadza się, doktorze Glinn?

– Jak najbardziej.

Niezręczna cisza.

– Doktorze Glinn, jest pan pewien, że nie chce pan powiedzieć ani słowa o tym, co mamy zaraz zobaczyć?

Kolejne zdawkowe machnięcie ręki.

Nishimura przełknął ślinę.

– No dobrze. Wobec tego włączę nagranie bez zbędnych uwag. Zwróćcie uwagę, że w prawym dolnym rogu ekranu umieściłem znacznik czasu.

Światła w pomieszczeniu przygasły, a na ekranie wyświetliła się godzina:

19.03.44

Rozpoczęła się projekcja. Na ekranie pojawił się mostek Rolvaaga. Kamera pokazywała go z góry i nieco z boku, tak że widać było ster, stanowisko kapitańskie oraz oficera wachtowego. Zapadał zmierzch i szalał sztorm. Na mostku było ciemno, jak zwykle, nie biorąc pod uwagę czerwonej poświaty urządzeń elektronicznych i kilku słabo oświetlonych ekranów ze wskazaniami radarów oraz chartplotterów.

Garza rozpoznał na stanowisku dowódcy kapitan Britton, tuż przy niej stał Eli Glinn. Obok sternika, w tym momencie zwróconego tyłem do kamery, widać było pierwszego oficera nazwiskiem Howell. W tylnej części mostka, z dala od

pozostałych, stała reszta głównych członków załogi: Palmer Lloyd – milioner finansujący całą wyprawę, Sam McFarlane – łowca meteorytów, i Rachel Amira – główny naukowiec ekspedycji. Wszyscy patrzyli w milczeniu.

Przez okna mostka widać było dziób statku i Garza poczuł, że serce zamiera mu w piersi, gdy tłumione wspomnienia powróciły niepohamowaną falą.

Sztorm szalał w najlepsze. Potężne bałwany morskie rozbryzgiwały się nad dziobem i przelewały po pokładzie dziobowym. Większość kontenerów i kilka żurawików zostało już wyrwanych z mocowań i zmytych za burtę. Morze było naprawdę wzburzone, panował istny chaos gigantycznych fal zwieńczonych pióropuszcami piany – miały wysokość dziesięciopiętrowego budynku. Tylko dzięki swoim ogromnym rozmiarom Rolvaag jeszcze się trzymał na powierzchni. Jeżeli na mostku trwały jakieś rozmowy, to zagłuszał je grzmiący łoskot oceanu. Każda z obecnych tam osób była skupiona na swoim zadaniu i na utrzymaniu tankowca pod kontrolą. Gdy Rolvaag wspinał się na grzbiet kolejnej fali, słysząc było przejmujące zawrodoenie wiatru. Na szczycie fali statek chybotął się gwałtownie, cała nadbudówka dygotała, a kamera trzęsła się, jakby potężny wiatr próbował zderzyć górną część statku. Gdy jednostka osuwała się w zagłębienie między falami, znowu mocno nią kołysało, ale zawrodoenie wiatru cichło na czas, kiedy znajdowała się w tym wodnym wąwozie, dopóki znów z mozołem nie zaczęła się pięć pod górę. Przez okna mostka widać było najpierw gigantyczną ścianę czarnej wody przetykanej białą pianą, a potem ciemna kipiela ustępowała miejsca bezmiarowi dużo ciemniejszego nieba.

Patrząc i wspominając, Garza próbował stłumić w sobie nieoczekiwaną, wszechogarniającą panikę. To wszystko, na co go było stać, by nie stracić nad sobą panowania.

Teraz kapitan Britton rozmawiała o czymś z Glinnem, żywo przy tym gestykułując. Glinn trzymał w ręce krótkofalówkę.

– To Garza – powiedział. – Nie słyszę go przez ten sztorm.

Britton odezwała się do pierwszego oficera Howella:

– Przełącz go na główną linię.

Nagle Garza usłyszał swój własny, elektronicznie zniekształcony głos, dochodzący z ładowni.

– Eli! Tracimy główne wsporniki poprzeczne!

Glinn odpowiedział dziwnie spokojny:

– Zostań tam.

– Wszystko się rozsypuje tak szybko, że nie nadążamy z naprawami... – Słowa Garzy zagłuszył zgrzyt rozdieranego metalu.

Okręt przechylił się mocno, fale zaczęły się przelewać nad relingiem, dziób pogrążył się w wodzie: wyglądało to tak, jakby statek chciał wpłynąć do oceanu.

– Eli, skała się przesuwa! Nie mogę... – Z głośnika dobiegł szum.

Obraz zmienił się, ukazując wnętrze ładowni – miejsce, które Garza znał doskonale, ponieważ był głównym inżynierem, pomysłodawcą ogromnej pajęczyny rozpórek i łańcuchów, które miały utrzymać na miejscu ważącą dwadzieścia pięć tysięcy ton skałę. Meteoryt wciąż tu był: przykryty brezentem spoczywał w swojej kołysce, opleciony potężnymi, podgumowanymi łańcuchami i cumami, otoczony istnym lasem drewnianych belek, za którymi wznosiły się stalowe podpory usztywniające i wzmacniające całą konstrukcję. Zaprojektowanie tej kołyski było jednym z największych osiągnięć inżynieryjnych w życiu Garzy. Ale udało się. Udało się, do cholery, i można było uratować statek, gdyby tylko ten łajdak Glinn nie...

Garza nagle zeszywniał. Zobaczył siebie: był młodszy o pięć lat. Stał na niższej kładce otaczającej meteoryt i jak szalony obsługiwał dźwigienki konsoli głównego sterowania, która odpowiadała za regulację naprężeń łańcuchów i cum. Próbował utrzymać skałę ciasno zapiętą w kołysce.

Ale cumy nie trzymały już mocno. Im silniej miotało statkiem na boki – co pokazywała konsola kontrolna – tym bardziej meteoryt się przesuwał, poluzowując przytrzymujące go łańcuchy przy wtórze zgrzytu metalu i skrzypienia drewna. Garza poczuł, że ogarnia go fala mdłości i szoku. Zaraz potem ujrzał cień na kładce powyżej przemykający ukradkiem i nagle przypomniał sobie o mieszkańcu przylądka Horn, którego zabrali na pokład z uwagi na jego wiedzę o tamtym rejonie. Jak on się nazywał? Jakoś tak dziwnie. Puppup. John Puppup. Był tam, patrzył w dół z maniakałnym uśmiechem na twarzy – uśmiechem satysfakcji, a może nawet triumfu. Postać rozplynęła się w gąszczu wsporników i przypór. W ładowni panował taki hałas, że nie sposób było usłyszeć niczego innego poza zgrzytem i rykiem. To był tylko pięciosekundowy obraz i na ekranie znów pojawił się widok z kamery na mostku.

Teraz kapitan Britton odwróciła się i zaczęła gestykulować, a Palmer Lloyd podszedł do niej. Dźwięk był wyraźnie wzmocniony, niemniej pozostawał zniekształcony, pełen ech i cyfrowych brudów, ale słowa zabrzmiały przerażająco wyraźnie.

– Panie Lloyd – powiedziała kapitan. – Musimy pozbyć się meteorytu.

– To wykluczone – odparł Lloyd.

– Jestem dowódcą tego statku – rzekła Britton. – Życie mojej załogi leży w moich rękach. Panie Glinn, rozkazuję panu, aby uruchomił pan awaryjną procedurę zrzutu ładunku. To rozkaz.

– Nie! – krzyknął Lloyd, chwytając Glinna za ramię. – Jeżeli dotkniesz klawiatury, zabiję cię gołymi rękami.

– Pani kapitan wydała rozkaz – zawołał pierwszy oficer.

– Tylko Glinn zna kod, a on tego nie robi! – ryknął Lloyd. – Nie może, nie bez mojej zgody! Eli, słyszysz mnie? Zabraniam ci uruchamiać procedury

awaryjnego zrzutu ładunku.

Spór o to, czy procedura zrzutu ładunku, w wyniku której meteoryt trafi do oceanu, powinna zostać wdrożona, czy też nie, stawał się coraz bardziej zażarty. Ponieważ Garza nie było wtedy przy tej kłótni, wyteżył słuch, by wychwycić treść rozmowy pośród przybierającego na sile ryku wodnego żywiołu. Gdy kłótnia osiągnęła apogeum, odezwał się łowca meteorytów McFarlane, którego niespodziewane włączenie się do dyskusji zaskoczyło wszystkich.

– Pozbądźmy się tego.

Lloyd próbował jeszcze protestować, gdy tankowcem znowu zatrzęsło, lecz tym razem było inaczej. Fala unosząca statek była naprawdę gigantycznych rozmiarów. Wszystkie rozmowy ucichły. Jedno z okien mostka eksplodowało, odłamki wzmocnianego, superwytrzymałego plastiku rozprysnęły się wokoło, a do pomieszczenia wdarł się zawodzący wiatr. A potem rozległ się przeraźliwy dźwięk. Mostek przekrzywił się najpierw trochę, a po chwili znacznie: Rolvaag miał teraz około trzydziestostopniowy przechył na burtę. Kiedy wszyscy chwyтали się kurczowo, czego się tylko dało, statek powoli, lecz nieubłaganie obracał się burtą ku nadciągającej fali. Przez okno nie było widać nic oprócz czarnej wody. Po chwili zawieszenia przy wtórze potężnego wstrząsu statek zaczął się stabilizować.

To był ten moment, który przekonał wszystkich.

Kiedy tylko jednostka wróciła do normalnej pozycji, Lloyd rozluźnił chwyt.

– W porządku – powiedział. – Pozbądźmy się tego.

Wywiązała się kolejna dyskusja, zagłuszona przez ryk wiatru, a tymczasem statek wspiał się na grzbiet następnej fali. Glinn stał przy klawiaturze gotowy, by wprowadzić kod, który znał tylko on, otwierający zrzutowe drzwi, co miało spowodować usunięcie meteorytu z pokładu. Ale Glinn nie wprowadzał kodu i Garza doskonale wiedział, że jego szef tego nie zrobi. Szczupłe białe dłonie odsunęły się od klawiatury, gdy Glinn odwrócił się powoli do pozostałych.

– Statek wytrzyma.

Cięcie i przejście do ładowni. Znow był tam Garza. Meteoryt przesunął się, drewniane belki popękały, kołyska wyglądała na wygiętą.

– Eli! – zawołał przez krótkofalówkę. – Mocowania puszczają!

Usłyszał przez radio głos kapitan Britton nakazującej mu, aby uruchomił procedurę zrzutu ładunku. Odpowiedział:

– Tylko Eli zna kody.

Gniewna odpowiedź Britton:

– Panie Garza, proszę rozkazać swoim ludziom, żeby opuścili stanowiska.

Znow obraz z mostka. Glinn uparcie odmawia usunięcia meteorytu z ładowni, mimo że teraz proszą go o to wszyscy.

Ponownie rozległ się głos kapitan Britton zwracającej się do pierwszego oficera:

– Do wszystkich, opuścić stanowiska! Opuszczamy statek. Uruchomić sygnał alarmowy na częstotliwości czterystu sześciu megaherców! Cała załoga do szalup ratunkowych!

Gdy pierwszy oficer Howell powtórzył ten rozkaz przez interkom pokładowy, Britton zeszła z mostka.

Na polecenie RONALDA – polecenie, które wydawało się wystarczająco oczywiste, by mu się podporządkować – Sam McFarlane zostawił swoją wyswiechtaną torbę na kółkach w gabinecie doktora Hassenpfluga i podążył za krzepkim rudowłosym sanitariuszem wzdłuż długich, wypełnionych echem ich kroków korytarzy i pod misternie zdobionymi łukowato sklepionymi przejściami neogotyckiej rezydencji o nazwie Dearborne Park. W końcu ciężkie stalowe drzwi otworzyły się przy wtórze głośniego szczerknięcia zamków, ukazując elegancki salon. Kiedy jednak McFarlane się rozejrzał, zauważył, że całe to miejsce jest starannie zaaranżowaną iluzją. Drogie olejne pejzaże wiszące na ścianach przesłonięte były arkuszami przezroczystego pleksiglasu, a nóżki obitych pluszem foteli i kanap dyskretnie, lecz solidnie przyśrubowane do podłogi. W zasięgu wzroku nie było żadnych ostrych przedmiotów. Jak McFarlane zdołał się zorientować, znalazł się nie tyle w salonie, co w zakładzie psychiatrycznym, najdroższym i najbardziej wystawnym domu wariatów, jaki można sobie wyobrazić.

Na drugim końcu pokoju, na krześle z prostym drewnianym oparciem siedział starszy mężczyzna. Sztywność i niewzruszoność jego postawy zdradzały dumę, jednak ani trochę nie pasował do tego kaftan bezpieczeństwa opinający ciasno jego ramiona i tors. Mężczyzna spojrzał na McFarlane'a i w jego niebieskich oczach pojawił się błysk. Sanitariusz podawał mężczyźnie jakiś szkarłatny płyn w dużym plastikowym kubku ze słomką.

– Zabierz to – rzucił oschłym tonem Palmer Lloyd, po czym znów przeniósł wzrok na McFarlane'a. – Sam. Zbliź się.

Ale McFarlane nie ruszył się z miejsca. Rozpoznał głos Lloyda już wtedy, gdy odebrał od niego telefon w Santa Fe. Od tamtej pory przygotowywał się psychicznie na to spotkanie. Teraz jednak, gdy stanął naprzeciw Lloyda, okazało się, że nie jest przygotowany na burzę emocji – gniewu, nienawiści, wyrzutów sumienia, żalu i poczucia winy – jaka rozszalała się w jego wnętrzu.

– Czego chcesz, do cholery? – zapytał, a jego głos nawet jemu samemu wydał się dziwny i chrapliwy.

Na pooranej bruzdami, ale wciąż pełnej wigoru twarzy Lloyda pojawił się uśmiech.

– Ha, ha! Oto Sam, jakiego pamiętam. – Przez chwilę świdrował McFarlane'a wzrokiem. – Oto Sam, jakiego potrzebuję. Zbliź się.

Tym razem McFarlane wykonał polecenie.

– Zgadnij, kto złożył mi wizytę kilka tygodni temu – zapytał Lloyd.

McFarlane nie odpowiedział. Był wstrząśnięty tym, co dostrzegł w oczach

tamtego mężczyzny. Fiasko wyprawy i zatonięcie Rolvaaga dotknęły wszystkich, którzy pozostali przy życiu, i McFarlane doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Słyszał, że Lloyd zniósł tę katastrofę wyjątkowo ciężko, ale i tak trudno mu było pogodzić się z myślą, że ten niegdyś potężny, pewny siebie miliarder zmienił się w strzęp człowieka.

– Odwiedził mnie Eli Glinn – oznajmił Lloyd.

– Glinn?

– Aha! Z twojego wyrazu twarzy wnioskuję się, że nienawidzisz go równie mocno jak ja.

McFarlane zacisnął dłonie na poręczach pobliskiego fotela i osunął się powoli na miękkie siedzisko.

– Czego chciał?

– A jak myślisz, czego mógł chcieć ten sukinsyn? Tego samego, czego wszyscy chcemy. – Lloyd spojrzął na dwóch sanitariuszy, po czym wychylił się nieznacznie do przodu i zniżył głos. – Zabić to coś.

McFarlane zeszywniał. Przez ostatnie pięć lat, kiedy to dryfował z miejsca na miejsce – niezdolny utrzymać stałej pracy ani wytrwać w dłuższym związku, wiecznie rozedrgany, pozbawiony celu, gnany niepokojem – był nieustannie nękany przez przeszłość będącą ich wspólnym udziałem. Wiedział, czym było „to coś”, o którym wspominał Lloyd. Nigdy nie zapominał o tym na dłużej.

Spoglądając świdrującym wzrokiem na McFarlane’a i widząc jego wyraz twarzy, Lloyd pokiwał głową.

– Obaj go nienawidzimy, prawda, Sam? To była jego wina, wyłącznie jego wina.

– Nie tylko jego – zaproponował McFarlane. – Twoja również.

Lloyd wyprostował się na krześle.

– Moja! – Zaśmiał się ochryple. – Och, zakładam, że obwiniasz mnie za to, że w ogóle namówiłem cię na udział w tej wyprawie? Że zrujnowałem ci życie? – Jego drżący głos nieco przybrał na sile. – O ile dobrze pamiętam, twoje życie już wtedy było jedną wielką ruiną. Zapomniałeś o meteorycie Tornarssuk? To ja dałem ci szansę na odkupienie go. To nie ja, lecz Glinn odebrał ci tę szansę – i doskonale o tym wiesz.

Sanitariusz Ronald stojący przy drzwiach poruszył się niespokojnie.

– Proszę nie denerwować pacjenta – ostrzegł.

Lloyd natychmiast się uspokoił. Skinął na drugiego sanitariusza, aby dał mu się napić z plastikowego kubka.

– Co robiłeś, Sam? – zapytał półgłosem – Pomijając handel nic niewartymi meteorytami.

– To i owo.

– To znaczy?

McFarlane wzruszył ramionami.

– Wykładałem geologię w college’u. Pracowałem w stalowni w Braddock w Pensylwanii.

– Ale nigdzie nie mogłeś zagrać miejsca, zgadza się? Demony wciąż cię ścigały? Ha! Okazuje się, że nie tylko ciebie. Glinna także. Przyjechał tu do mnie z tym swoim pomocnikiem Garzą i jakimś młodym gościem, nie zapamiętałem jego nazwiska. Wygląda na to, że pomimo upływu lat oni również nie potrafili uwolnić się od wspomnienia tej istoty, którą wspólnie zasialiśmy na dnie południowego Atlantyku. – Lloyd znów nachylił się ku McFarlane’owi. – Tyle tylko, że jego demony są gorsze od twoich. Bo to on nie uruchomił procedury awaryjnego zrzutu ładunku. To on zatopił Rolvaaga i zabił sto osiem osób. A co najgorsze: zostawił to coś na pięć długich lat. Pozwolił, aby zaczęło rosnąć. Aby się rozrastało, aż teraz...

– Panie Lloyd – powiedział cicho, lecz zdecydowanym tonem Ronald.

– No co? – odparł Lloyd, odwracając głowę, by spojrzeć na sanitariusza. – Rozmawiam ze starym przyjacielem.

Ponownie przeniósł wzrok na McFarlane’a i zaczął mówić pospiesznie, z niepokojem, jakby wiedział, że nie zostało mu dużo czasu.

– Myślę o wizycie Glinna, odkąd tylko wyszedł. Nie myślę o niczym innym. On zamierza tam wrócić, Sam, po tylu latach. Sądziłem, że jego bezczynność jest przejawem tchórzostwa. Ale nie, chodziło o pieniądze. Teraz już je ma. I na pewno jest na miejscu. Schodzi na dno. Bóg raczy wiedzieć, co się tam teraz dzieje.

Pod kaftanem bezpieczeństwa wykonał gest, jakby chciał uścisnąć dłoń McFarlane’a. Łańcuchy na jego kostkach zabrzęczały, gdy poruszył się na krześle.

– Ale ja wiem, co się stanie. I jeśli masz choć trochę oleju w głowie, też powinieneś to wiedzieć. On znów zawiedzie. Poniesie porażkę, bo aż się prosi o kłopoty. Jest urodzonym nieudacznikiem. Jego tok myślenia, który doprowadził do katastrofy Rolvaaga, przyczyni się do fiaska, a może i zagłady także tej ekspedycji. Zachowuje się egoistycznie, co wpływa na podejmowane przez niego decyzje. Brak mu pokory, nie dopuszcza do swojej świadomości niekontrolowanego, przypadkowego rozwoju zdarzeń. Zajął się rozwiązywaniem problemów inżynierskich, ziemskich problemów inżynierskich, a ta sprawa przekracza jego możliwości. Powiedziałbym, że nawet bardzo.

– Czemu mówisz mi to wszystko? – zapytał McFarlane.

– A jak myślisz? Musisz tam popłynąć. On potrzebuje twojej wiedzy. Twoich wspomnień o tamtym fiasku. Twojej zdolności postawienia mu się i powiedzenia mu prosto w oczy, że się myli. Niech to szlag, potrzeba mu kogoś, kto podobnie jak on był blisko tego czegoś. Potrzebuje wścibskiego anioła, kto jest takim wrakiem człowieka jak on sam!

– Ty się tam wybierz – odparował McFarlane.

Lloyd przyglądał mu się przez chwilę zaskoczony. A potem wybuchnął śmiechem.

– Ja? Obawiam się, że ci dwaj panowie mogliby zaprotestować. Poza tym, gdyby tylko uwolnili mnie z tych pęt, nie dotarłbym nawet do drzwi. Wymyśliłem sto, tysiąc sposobów, by ze sobą skończyć. Byłbym trupem w ciągu sześćdziesięciu sekund od chwili uwolnienia mnie z kaftana. – Lloyd przestał się śmiać. – Zrozum, tu nie chodzi o pieniądze, to musisz być ty, musisz tam popłynąć. Wszystko zorganizuję i sfinansuję, o nic się nie martw...

– A więc jednak jesteś takim samym tchórzem, za jakiego dotąd uważałeś Glinna – przerwał mu McFarlane. – Wiesz, co się stanie, co to nasienie zrobi z naszym globem i nie jesteś w stanie przestać o tym myśleć. Nie możesz tego znieść. I dlatego wolisz ze sobą skończyć, zanim do tego dojdzie.

– Proszę pana... – znów rozległ się ostrzegawczy głos RONALDA.

– Ale wiesz co? Masz rację. My wszyscy i tak już jesteśmy martwi albo niedługo będziemy. No i dobrze. Od pięciu lat tułam się po świecie i nie spotkałem niczego, co mogłem uznać za warte ocalenia. Mam nadzieję, że to coś faktycznie unicestwi naszą ludzkość, zanim wyruszymy w kosmos i obrócimy w perzynę całą tę galaktykę. Krzyżyk na drogę. Ludzkość nie zasługuje na ocalenie. Nikt z nas. A zwłaszcza ty.

Lloyd patrzył w niemym osłupieniu. I nagle na jego twarzy pojawił się grymas wściekłości.

– Ty... Jak śmiesz tu przychodzić i traktować mnie protekcjonalnie, snując smętne tyrady o znudzeniu światem i ogólnym marazmie! Jesteś gorszy od niego! Mierzysz mnie! Jesteś kupą psiego łajna! Jesteś... Nie, zaczekaj! Nie odchodź! Wracaj, Sam! Nie odchodź! Nie odchodź!

Ale McFarlane już wstał z fotela i ruszył szybkim krokiem w stronę drzwi, zanim sanitariusze zdążyli siłą wyprowadzić go z rezydencji Dearborne Park.

W sali laboratoryjnej zamienionej w audiowizualną Garza z ciekawością spojrzął na Glinna. Znow nie mógł się nadziwić opanowaniu tego człowieka.

Na ekranie pojawiły się zapisy z kamer zainstalowanych na korytarzach statku: załoga biegła w stronę szalup ratunkowych i zajmowała na nich miejsca. Zabudowane pomarańczowe łodzie ratunkowe nie były zawieszane na żurawikach, lecz umieszczone na pochylniach do swobodnego spadania, po których opuszczano je za burtę wprost do wody.

Znow mostek. Wszyscy już opuścili swoje stanowiska z wyjątkiem pierwszego oficera Howella i sternika. Sternik zginie, Garza to wiedział, ale Howell przeżyje. A gdzie się podziała kapitan? Garza przypomniał sobie, że on sam rozkazał swoim ludziom, by opuścili stanowiska, a potem także postąpił zgodnie z rozkazem pani kapitan i opuścił ładownię, by udać się do jednej z szalup ratunkowych.

Kolejne cięcie i znowu ładownia. Glinn pojawił się na górnej kładce, gdzie powitał go Tierra del Fuegan, czyli Puppup. Winda była uszkodzona, więc Glinn zaczął schodzić po drabince na dolną kładkę otaczającą kołyskę, trzymając się mocno poręczy, bo statkiem mocno kołysało i drabinka odchyliła się od pionu. Ładownię wypełniły odgłosy zgniatanej stali i pękającego drewna. Brezent, którym przykryto meteoryt, rozdarł się i odsłonił potężną karmazynową powierzchnię.

Garza jeszcze uważniej przyjrzał się temu, co widniało na ekranie. Szok i przerażenie zastąpiła fascynacja. To były obrazy, jakich nigdy wcześniej nie widział, zdarzenia, których nie był świadkiem. Glinn, co oczywiste, nigdy o tym nie mówił.

Mocowarką silnikową Glinn zaczął zaciskać obluźowane podgumowane łańcuchy wokół meteorytu. Pomagał mu Puppup, a hałas częściowo zagłuszał ich rozmowę.

Nagle na górnej kładce pojawiła się postać kapitan Britton.

– Eli! – zawołała donośnie. – Statek zaraz się rozleci!

Glinn milczał. Cały czas wraz z Puppupem próbował zaciągnąć łańcuchy, które poluzowały się po ostatnim przechyle. Garza też wcześniej podciągał łańcuchy, ale wciąż się rozluźniały pod wpływem naporu ogromnej masy meteorytu przy każdym kolejnym silniejszym przechyle Rolvaaga, aż uszkodziły się tryby silnikowej mocowarki zabezpieczającej.

– Chodź ze mną na mostek – zawołała. – Wciąż jeszcze można uruchomić zrzut. Oboje możemy ująć z tego z życiem.

Glinn odkrzyknął:

– Sally, umrą tylko ci kretyni w szalupach ratunkowych. Jeżeli tu zostaniesz,

przeżyjesz.

Statek znów się zakołysał, a meteoryt zadrżał, kapitan zaś wciąż błagała Glinna, żeby opuścił statek. On jednak nie zamierzał przerwać mocowania łańcuchów, nawet gdy Rolvaagiem znowu zarzuciło, tym razem potężniej, a wewnątrz ładowni wypełnił przeraźliwy zgrzyt rozdieranego metalu i przypominający grom łoskot meteorytu przesuwającego się w uszkodzonej kołysce.

– Mogłabym cię pokochać, Eli... – zawołała jeszcze Britton, ale ją zignorował, a ona po chwili zniknęła.

Gideon natknął się na jej ciało w węzle elektronicznym, kiedy eksplorował wrak statku. Garza podejrzewał, że próbowała obejść kody i stamtąd uruchomić procedurę zrzutu ładunku.

„Mogłabym cię pokochać, Eli”. Boże. Garza nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie miał pojęcia, jak wiele Glinn przed nim zataił – i co tłumił w sobie przez te wszystkie lata. Nic dziwnego, że zasłabł na mostku na widok ciała Britton.

Statek nieustannie toczył bój z falami. Garza ujrzał teraz Glinna wspinającego się na meteoryt z kluczem nasadowym w dłoni, by ręcznie dokręcić mocowania łańcuchów, co było szalonym przedsięwzięciem. Glinn usiadł okrakiem na potężnej skalnej bryle opiętej siatką lin i łańcuchów jak kapitan Ahab dosiadający Moby Dicka i rozpaczliwie walczył z masywnymi pętami.

Przy wtórce rozdierającego trzasku meteoryt przechylił się. Przez rozdarty brezent było widać jego dziwną, karmazynową powierzchnię, która praktycznie świeciła. Nity kadłuba zaczęły odpadać, a statek brał coraz silniejszy przechył na burtę. Rozległ się niemal zwierzęcy ryk rozdieranego metalu, buchnęła kaskada iskier, łańcuchy szczęknęły... i sieć mocowań puściła. Ale Glinn wciąż trzymał się meteorytu, który uderzał o płataninę wsporników i zwór, rozłupując drewno i z łatwością zgniatając stalowe dźwigary; był ściągany powoli, lecz nieuchronnie w dół siłą grawitacji. Statek już niemal całkiem położył się na burtę. Kadłub zaczął pękać, a do wnętrza wdarły się spienione, rozszalałe fale. Garza patrzył, jak meteoryt styka się z wodą morską.

W tym momencie Nishimura zwolnił prędkość odtwarzania. Teraz zapis był pokazywany poklatkowo. Gdy woda dosięgła powierzchni meteorytu, zaczęła wrzeć i pieniać się, a powłoka skały rozszczepiła się, odsłaniając szkliste wnętrze. Garzy widok ten skojarzył się z pękającym kokonem poczwarki, z którego wydostaje się motyl.

Tempo odtwarzania zostało zwolnione do jednej klatki na sekundę. Wrzenie wody przybrało na sile, a czerwona powłoka meteorytu odpadła, gdy jego przezroczysta zawartość nagle zaczęła się powiększać. Woda wdzierająca się do ładowni pieniała się wokół dziwnej skały, z której wnętrza buchnęło oślepiająco białe światło. Glinn zniknął, a nagranie zostało zatrzymane na stopklatce.

– To ostatnia klatka nagrania – rzekł Nishimura – zanim padło zasilanie. Rozjaśniłem ją najlepiej, jak się dało.

Obraz ukazywał wnętrze meteorytu wypełnione światłem – znajdował się tam brązowy włóknisty kształt wielkości melona, przypominający mózg, który widzieli niedawno tkwiący w pniu baobabu.

Po dłuższej chwili ekran pociemniał i w pomieszczeniu zapaliło się światło. Zaraz potem Glinn wstał i odwrócił się do pozostałych. Garza ociekał potem, głęboko wstrząśnięty tym, co właśnie zobaczył. Ponowne przeżywanie koszmaru było dostatecznie okropne, ale bycie świadkiem nieoczekiwanego wyznania miłości ze strony Britton i bezdusznego odrzucenia go przez Glinna... Tego już było za wiele.

Glinn stał przed nimi w milczeniu. Na jego twarzy malował się dziwny wyraz. Przez chwilę Garza martwił się, czy ponownie nie zasłabnie. Ciałem Glinna wstrząsnął pojedynczy dreszcz. Ale czymkolwiek był, minął. Spojrzenie Glinna znów stało się chłodne i nieodgadnione jak zawsze.

Odchrząknął.

– Doktor Nishimura i doktor Sax analizują ten ostatni obraz, ale wszystko wskazuje na to, że w zetknięciu ze słoną wodą obiekt, o którym już wiemy, że nie był meteorytem, przeszedł gwałtowny etap kiełkowania lub może wylęgania. – Rozejrzał się dokoła. – Mamy nadzieję, że te ostatnie sekundy nagrania pomogą nam uzyskać pewien wgląd w ustalenie cyklu życiowego tej istoty oraz jej słabych punktów. Zwłaszcza tego, czy obiekt wewnątrz tej istoty, widoczny na ostatniej klatce, to faktycznie jej mózg.

Glinn znów powiódł wzrokiem po twarzach zebranych.

– Jakies pytania?

Kompletna cisza. Wszyscy byli zbyt wstrząśnięci, by móc zadawać jakiegokolwiek pytania, choć z pewnością pojawią się one później. Po tym, co Garza zobaczył, dziwił się, że Glinn w ogóle przeżył; eksplozja, wyraźnie osłabiona przez wodę, musiała być na tyle silna, by wyrzucić go na bezpieczną odległość od tonącego statku, ale nie aż tak silna, by go zabić. Wiele innych osób nie miało tyle szczęścia, a niektórzy, tak jak kapitan Britton, odmówili opuszczenia statku.

– Jeżeli ktoś ma jakieś sugestie czy uwagi – powiedział Glinn – proszę je zgłaszać bezpośrednio do mnie. Przypominam, że szczegóły tego, co tu widzieliście, są poufne i powinny zostać zachowane w tajemnicy z oczywistych powodów. A teraz życzę wszystkim miłego dnia.

Odwrócił się i bez słowa wyszedł z laboratorium.

Rosemarie Wong przywykła do pracy w laboratorium pełnym męskich dupków, ale Prothero bił wszystkich na głowę. Był palantem, tyle że genialnym – nie tylko błyskotliwym, lecz naprawdę kreatywnym naukowcem, ewenementem w dziedzinie nauki, tak jak to się zdarza w świecie muzyki czy literatury. Myślał niestandardowo, odnajdując powiązania między różnymi dziedzinami wiedzy, umiał z natłoku nic nieznaczących informacji wyłuskać prawdziwą perełkę, a swoim kąśliwym sceptycyzmem odsłaniał słabe punkty najbardziej uniwersalnych, powszechnie uznawanych prawd. Większość jego wyskoków intelektualnych była naprawdę szalona, ale nie wszystkie. Kiedy przed dwoma laty Wong zaczęła z nim pracować, asystentki odchodziły jedna po drugiej, gdyż żadna nie wytrzymała z nim dłużej niż kilka miesięcy. Wong postanowiła, że choćby się waliło i paliło, zostanie z tym patentowanym durniem. Wierzyła że jest wielkim naukowcem, który pewnego dnia dokona czegoś nadzwyczajnego. Czegoś ważnego. Przełomowego. A gdy nadejdzie ten dzień, ona będzie przy nim.

Pod tym względem miała absolutną rację. Tajna misja na południowym Atlantyku dawała szansę prowadzenia badań naukowych, o jakich jej się nawet nie śniło. Na samą myśl o tym, że należy do wąskiej grupy ludzi, którzy jako pierwsi nawiążą kontakt z obcą formą życia, zapierało jej dech w piersiach. Jeżeli musiała w związku z tym znieść towarzystwo kretyna czystej wody, jego sztubackie zachowania i wybuchy złości oraz fochy typowe dla rozwydrzonego nastolatka, to trudno, była gotowa zapłacić tę cenę. Przywdziała pancierz obronny w postaci pewnego rodzaju sarkastycznej, opartej na wzajemnych przekomarzeniach relacji, dzięki czemu zyskała jako taki szacunek Prothera i przynajmniej do pewnego stopnia przytemperowała jego paskudny charakter. Zdała sobie również sprawę z tego, że jego prostackie zachowanie było wyrazem swoistego szacunku, że w ten sposób dawał do zrozumienia, iż uważa ją za równą sobie, i właśnie dlatego nie zamierza dawać jej forów czy obchodzić się z nią delikatnie.

– Wong, gdzie, do kurwy nędzy, jest moja czapka?

Prothero wyłonił się zza jej stanowiska pracy, trzymając w jednej ręce śrubokręt, a w drugiej płytę główną.

– Masz ją na głowie.

Poklepał się po głowie – a raczej po łysinie – i skrzywił się.

– Ale śmieszne. No gdzie ona jest?

– Pewnie w łazience, tam gdzie zawsze ją zostawiasz.

Prothero wyszedł i po chwili wrócił ze swoją hipsterską czapeczką.

– Wiesz co, myślę, że przetłumaczymy wokalizę płetwala.

– Przetłumaczymy? Ale jak? Skorzystamy z pomocy tłumacza języka

wielorybów?

– Tak. – Odwrócił fotel oparciem do przodu i usiadł. – Wiem, jak to zrobimy. Dysponuję największą na świecie kolekcją wokalizacji płetwali błękitnych i mam ją tu w laboratorium. Posłużymy się techniką inżynierii wstecznej.

– A więc uważasz, że baobab próbuje do nas mówić?

– To coś spoczywa na dnie oceanu od... pięciu lat? Nasłuchując. I co słyszy? Na głębokości trzech i pół tysiąca metrów nie ma zbyt wielu dźwięków. Jedyne, które tam dochodzą, to wokalizy wielorybów. Płetwale mają naprawdę bardzo donośne głosy. Niosą się na odległość stu sześćdziesięciu kilometrów. Nadażasz za mną?

– Tak.

– W porządku. Tak więc baobab słucha, słucha, słucha... i być może zaczyna rozumieć, co mówią wieloryby. A teraz próbuje porozumieć się z nami za pomocą jedyne go znanego mu języka.

To był jeden z tych bardziej szalonych pomysłów Prothera.

– Ale skoro tak, co próbuje nam powiedzieć to coś? – zapytała Wong.

– Chętnie zapłacę we wtorek za hamburgera dzisiaj – rzekł Prothero, śmiejąc się w głos ze swojego dość czerstwego żarciku.

– A oto, co ja o tym myślę... – powiedziała Wong, kiedy Prothero przestał rechotać.

– Wiesz, że mam gdzieś, co myślisz. Ale możesz powiedzieć.

– To coś odtwarza przypadkowo zarejestrowane przez siebie dźwięki. One nic nie znaczą.

Prothero pokręcił głową.

– Ta istota jest inteligentna, założę się, o co chcesz. I próbuje nam przekazać wiadomość.

– Jak w takim razie zamierzasz ją przetłumaczyć?

– Jak ty ją przetłumaczysz. Bo to ty poszukasz w mojej bazie danych najbardziej pasującą do dźwięków baobabu wokalizację płetwala błękitnego. A potem dowiemy się, co robił płetwal błękitny, kiedy zarejestrowano wydawane przez niego dźwięki. Pozwoli nam to zrozumieć znaczenie wokalizy. Na przykład: czy płetwal ścigał ofiarę? A może matka nawoływała swoje młode? Albo wieloryby się pieprzyły?

Prothero znowu się roześmiał.

Wong pokręciła głową.

– Jeżeli to coś chce się porozumieć, czemu nie spróbuje inaczej zamiast naśladować wieloryby?

– Niewątpliwie jest bardzo dobrze dostrojone do dźwięków. Dźwięk to najlepszy sposób na komunikowanie się pod wodą. Pola elektromagnetyczne się

rozpraszają, a światło nie jest w stanie przeniknąć na głębokość większą niż sto pięćdziesiąt metrów. To coś ewoluowało, by żyć w mrocznych głębinach wodnego świata. Ma powłokę odbijającą sygnały sonaru i posłużyło się hydrolokacyjnym „widzeniem”, żeby „spojrzeć” na Gideona Crew, kiedy zszedł na dół po szczątki batyskafu Paul. To naturalne, że stwór używa dźwięków, chcąc nawiązać kontakt. A jedyne dźwiękami, jakie słyszał, był śpiew wielorybów.

– Dźwięk jest cyfrowy. Co oznacza, że ta istota jest maszyną. Organizm biologiczny nie może ewoluować do tego stopnia, by wytwarzać cyfrowe dźwięki.

– Wong, Wong, Wong... – Prothero pokręcił głową. – Może to maszyna, może żywy organizm, a może połączenie jednego i drugiego. Czymkolwiek jest to coś, mówi do nas. A teraz rusz dupę i bierz się do roboty. Dowiedz się, co mówi ten stwór.

Doktor Patrick Brambell, zjadając batonik Mars, wpatrywał się z zamyśleniem w zmiażdżoną kulę, która jeszcze do niedawna była pojazdem głębinowym Paul, a teraz spoczywała na brezentowej płachcie w hangarze. Przestrzeń wokół została odgradzona żółtymi parawanami. Dwóch inżynierów i tyłuż niewykwalifikowanych robotników wtoczyło do hangaru dziwaczne urządzenie, które sklecili naprędce, aby przy jego pomocy można było wydobyć z wraku szczątki Alex Lispenard. To, co zbudowali, wyglądało jak wielkie, złowrogie szczęki życia. Glinn stał z boku, nie odzywając się ani słowem i przyglądając wszystkiemu.

Robotnicy zaczęli przystawiać szczęki z dwóch stron, żeby rozdzielić pogiętą, zmiażdżoną tytanową sferę; w dwóch miejscach zamocowano duże śruby oczkowe. Za ich pomocą urządzenie miało rozwinąć ściśniętą masę metalu jak zmiętą w kulę kartkę.

Brambell odwrócił się do swojego asystenta medycznego Rogelia stojącego przy polerowanym wózku noszowym z nierdzewnej stali. Właśnie na ten wózek będą wykladać szczątki i to na nim poskładają zgruchotane, porozrywane na kawałki ciało. Brambell był nieporuszony tym, co go czekało – widywał gorsze rzeczy – ale przejmował się swoim asystentem, który miał raczej nietęgą minę, a jego twarz nabrała niezdrowego zielonkawego odcienia.

– Musimy odzyskać każdy... eee... kawałek, choćby najmniejszy – powiedział robotnikom.

Zaczęła go denerwować obecność milczącego Glinna z tyłu. Czuł się jak praktykant kontrolowany przez przełożonego. Nigdy nie lubił Glinna, ten człowiek był zimny, nieodgadniony, przerażająco skryty. Pomijając fakt, że w dużej mierze odpowiadał za to, co się stało z Rolvaagiem.

Asystent z trudem pokiwał głową.

Szczęki zostały zamocowane w śrubach oczkowych i rozległo się głębokie buczenie, gdy urządzenie zaczęło działać. Przy wtórze głośniego zgrzytu i trzasków zmiażdżona tytanowa kula zaczęła się otwierać wzdłuż złamań, a z wnętrza wypłynęła woda.

– Stać! – zawołał Brambell.

Natychmiast zatrzymano urządzenie. Rogelio podjechał bliżej wózkiem noszowym, po czym, używając dużych, podgumowanych na końcu szczypiec oraz mniejszych pęset, Brambell i jego asystent zabrali się do wyjmowania zgniecionych fragmentów ciała i zgruchotanych kości zmieszanych ze strzępami ubrania i układania ich kolejno na stalowej platformie.

Po paru chwilach doktor zwrócił się do asystenta:

- Jak się trzymasz?
- Daję radę – odparł zduszonym głosem Rogelio.
- Zuch chłopak.

Wyjęcie każdego, nawet najmniejszego fragmentu ze szczeliny w zgniecionej tytanowej sferze zajęło im co najmniej dziesięć minut, po czym cofnęli się i dali znak inżynierom, by kontynuowali przerwane czynności.

Procedura trwała wiele godzin – trzeba było rozgiąć kulę najpierw z jednej, potem z drugiej strony, a pomiędzy kolejnymi etapami prac wydobywać szczątki, niekiedy nawet za pomocą przenośnego wzmacniacza lupowego z wbudowanym oświetleniem. Przynajmniej dzień był chłodny, pogoda im sprzyjała; temperatura w hangarze wynosiła niecałe czternaście stopni Celsjusza. „Nieźle, uznał Brambell, jak na pracę nad wydobyciem i poskładaniem ludzkich szczątków”. W dużej mierze szczątki były spore, a przede wszystkim zwarte – i bardzo dobrze, Brambell obawiał się, że ciało może przypominać konsystencją przecier pomidorowy.

Na wózku noszowym szczątki powoli zaczęły nabierać kształtu – choć w obecnym stanie wyglądały dość upiornie. Brambell i jego asystent zdołali rozpoznać dosłownie każdy wydobyty fragment na podstawie jego umiejscowienia wewnątrz wraku, rodzaju kości oraz strzępów odzieży.

Brambell nie mógł się nadziwić temu, z jak ogromną siłą musiał się zetknąć batyskaf, a konkretnie tytanowa sfera, skoro została tak brutalnie zmiażdżona. W kilku miejscach nacisk był tak potężny i gwałtowny, że zdawał się zmiękczyć, a nawet roztopić metal.

Ich robota była paskudna, ale Rogelio całkiem nieźle sobie radził, nawet nie puścił pawia, czego obawiał się Brambell. Natomiast dwaj robotnicy obsługujący szczęki i dwaj inżynierowie odwracali się tyłem, kiedy tylko mogli, kierowali wzrok gdzie indziej, starali się unikać spoglądania na szczątki, aż Brambell musiał ich strofować, nakazując, by patrzyli, co robią. Z Glinnem było dokładnie na odwrót: obserwował całą operację w milczeniu, a jego twarz pozostawała beznamiętna. Równie dobrze mógł się przyglądać rozgrywkom golfowym. Nikt nic nie mówił z wyjątkiem operatorów mechanicznych szczęk, ale ich komentarze dotyczyły wyłącznie kwestii technicznych.

Gdy sfera dla operatora batyskafu została rozgięta, jej części rozdzielono i rozłożono jak fragmenty układanki na dużej płachcie brezentu. Gdy robotnicy odgięli dwa ostatnie duże kawałki, oczom wszystkich ukazała się górna część torsu, szyja i zmiażdżona głowa.

Brambell spojrział na Rogelia i z niepokojem stwierdził, że asystent jest błądy jak ściana. Dwóch robotników nawet nie próbowało ukrywać przerażenia i obrzydzenia. Jeden z inżynierów odwrócił się i zwymiotował. Tylko Glinn wydawał się niewzruszony.

- No dobra, kontynuujmy – rzekł Brambell, podnosząc podgumowanymi

szczypcami żuchwę z wciąż tkwiącymi w niej zębami i zwisającym fragmentem skóry.

Położył to na wózku, a potem przeniósł w ten sposób kolejne szczątki. Twarz przetrwała niemal w całości i choć była spłaszczona, nie została zgnieciona na miążgę. Rogelio pracował po drugiej stronie wózka, w hangarze zapanowała głucha cisza. W pewnym momencie Brambell poczuł coś dziwnego. Coś go zaniepokoiło, ale nie potrafił tego sprecyzować. Nie chodziło o makabryczność tego, czym się zajmowali – po prostu odniósł wrażenie, że coś tu było nie tak. Nic jednak nie powiedział. Nie chciał wyjść na szajbusa ani tym bardziej wywołać niepotrzebnej paniki.

Gdy skończyli rozwijać zgniecioną kulę, tytanowa sfera leżała starannie podzielona na oznakowane i ponumerowane części na brezencie, obok spoczywały resztki pogruchotanych urządzeń z wnętrza batyskafu, szczątki ludzkie zaś ułożono pieczołowicie na wózku noszowym. Pochylony Brambell układał je jak puzzle, gdy nagle wyczuł za sobą czyjąś obecność. To był Glinn.

– Odzyskałeś wszystkie fragmenty? – zapytał.

Brambell nie odpowiedział od razu. Zastanawiał się jak ma to ubrać w słowa. W końcu odparł:

– Będziemy wiedzieli, czy brakuje jakichś istotnych części, gdy zważymy szczątki. Oczywiście będziemy musieli wziąć pod uwagę także takie czynniki jak utrata krwi i domieszka pewnej ilości słonej wody... – Przełknął ślinę.

– Oczywiście.

Jeden z robotników, który już trochę doszedł do siebie, zapytał:

– Czemu, do cholery, to coś zmiażdżyło pojazd głębinowy? Próbowano się bronić czy jak?

– To się stało wtedy, gdy Lispenard uruchomiła palnik acetylenowy – odrzekł Glinn. – Więc powiedziałbym, że tak, to coś poczuło ból i zareagowało.

Brambell milczał.

– Myślę, że zrobiło tak ze strachu – ciągnął robotnik. – To coś się przestraszyło.

Znów cisza, a potem Glinn zwrócił się do Brambella.

– I co, doktorze, zgadza się pan z tą tezą?

„Do diabła z Glinnem”, pomyślał doktor i powiedział:

– Jeżeli miałyby to być reakcja obronna, to dlaczego ten stwór połknął batyskaf?

– Właśnie dlatego.

– Ale Lispenard nie próbowała atakować, chciała jedynie uciec. Wy dostać się z wnętrza tego stwora. A on ją połknął. Tak po prostu. I wcale się nie bał.

– Co sugerujesz? – zapytał Glinn.

„Sam się o to prosiłeś”.

– Pomyśl o tym, jak wyglądał DSV, kiedy ten stwór go wydalil – ciagnal Brambell. – Byl zgnieciony, jakby zmiety w kulke.

– No wiec? Co w związku z tym?

Brambell westchnal z nieskrywaną irytacją.

– W dzieciństwie lubilem włóczyć się z moim bratem Simonem – niech spoczywa w spokoju – po Parku Narodowym Killarney. Byliśmy jak młodzi eksploratorzy, interesowała nas przyroda, zbieraliśmy znalezione w lesie szkielety myszy i ryjówek. I wiedzieliśmy, gdzie najłatwiej będzie nam je znaleźć. W pobliżu gniazd sów.

– Czy mogę spytać, do czego zmierzają twoje wspomnienia?

– To wypluwka – odparl krótko Brambell.

– Co takiego?

– Wypluwka. Taka, jaką wydalala z siebie sowa. Wielkie nieba, człowieku, czy muszę być bardziej dosadny? – Brambell machnal ręką w stronę szczątków, zarówno metalowych, jak i organicznych. – To są odchody.

Bomba jądrowa została rozłożona w nader przemyślny sposób, uznał Gideon, i podzielona na sześć łatwych do zmontowania części. Pięć z nich spoczywało na półkach, były zapieczętowane, starannie zapakowane i gotowe do montażu; szósta – pokryty złotem plutonowy rdzeń – była składowana gdzie indziej i miała zostać dołączona na końcu, przy użyciu specjalnego sprzętu.

Pomieszczenie mieściło się głęboko pod pokładem. Zatechłe, ciężkie powietrze przesycone było wonią oleju napędowego. Gideon spojrzał na zabójcze komponenty, zastanawiając się nad ich stanem. Główny korpus bomby tworzyły dwie połówki czegoś, co wyglądało jak wielka piłka plażowa, z zamontowanymi na niej soczewkami materiału wybuchowego kruszącego i innego, o niskiej sile wybuchu. Inicjator – mniejszy od piłki golfowej – znajdował się w osobnym pakiecie zawinięty w grubą, powleczoną ołowiem folię. Detonatory umieszczono w czwartym pakiecie, wraz z przyłączonymi przewodami, gotowymi do włożenia ich do mosiężnych tulei. Piąty pakiet zawierał niewielki komputer, do którego zostaną podłączone przewody detonatora i który ostatecznie wyśle sygnał inicjujący odpalenie ładunku.

Już niedługo Garza, na polecenie Glinna, dostarczy ostatni pakiet z plutonem. Montaż jest prosty – bomba będzie gotowa do uzbrojenia.

Półki i regały zaprojektowano tak, aby jedna osoba przy pomocy wspomagającego silnika mechanicznego i suwnicowej wciągarki sufitowej mogła zmontować bombę w ciągu godziny. Testy powinny zająć kolejną godzinę. Gideon był zaskoczony elegancją i piękną prostotą inżynierskiej pomysłowości Garzy. Kiedy wiadomo, co robić, wszystko wydaje się łatwe jak składanie regału z Ikei.

Takie rzeczy nie rosną na drzewach. Gideon ponownie zaczął się zastanawiać, ile EES musiał wybulić, aby zdobyć to wszystko. Faktyczne uzbrojenie bomby nastąpi tuż przed jej bezpośrednim użyciem. Potrzebny jest do tego kod, skrótowo określany jako UZB, wprowadzony do komputera za pośrednictwem klawiatury. Jedynie Glinn, Gideon i Garza będą znali ten kod. Odliczanie do detonacji będzie można także uruchomić, wciskając klawisz na tej samej klawiaturze lub zdalnie, z komputera w centrum dowodzenia.

Jednakże, jak wyjaśnił Glinn, bomba miała wbudowany mechanizm zabezpieczający. Drugi kod – „przerwij” – natychmiast wstrzyma odliczanie.

Kod przerywający procedurę odliczania także znali tylko oni trzej.

Gideon zmarszczył brwi. Im dłużej myślał o takim układzie, tym mniej mu się on podobał. Jego niezadowolenie wynikało po części z przerażającej śmierci Alex Lispenard, ale było również spowodowane dziwnymi plotkami krążącymi na statku. Mówiono, że sygnały dźwiękowe emitowane przez istotę były formą

komunikacji, że spoczywając od pięciu lat w głębinach morza, organizm ten nauczył się tylko jednego języka, jaki słyszał na dnie oceanu – a mianowicie mowy wielorybów – i teraz próbował się z nimi porozumieć. Jeśli faktycznie tak było, oznaczało to, że baobab jest inteligentny. To nie była jakaś bezmyślna forma życia kierująca się instynktem, jak, dajmy na to, rekiny. To coś wiedziało, co robi.

Było złe. Niemniej było – albo mogło być – istotą czującą. Wrażliwą. A nawet inteligentną.

Nie podobało mu się to, że Garza lub Glinn mogliby przerwać odliczanie i wstrzymać eksplozję bomby jednym naciśnięciem klawisza. Glinnem się nie przejmował: mimo że to on odmówił wdrożenia procedury awaryjnego zrzutu ładunku na pokładzie Rolvaaga, nie miał wątpliwości, że szef EES-u żywi względem tej istoty głęboką, obsesyjną wręcz wrogość, a jego pragnienie uśmiercenia obcego bytu można było przyrównać jedynie do nienawiści, jaką kapitan Ahab żywił względem Moby Dicka. Gideon nie ufał Garzy. Chociaż wiedział, że im wszystkim przyświecał jeden cel, to śmierć Lispenard i próby komunikacji podjęte przez obcy byt zmieniły jego punkt widzenia na nieznaną formę życia rozrastającą się na dnie oceanu. Nie był już tym samym człowiekiem co na początku misji, głęboko przejętym i mającym wątpliwości w kwestii konieczności wywołania eksplozji bomby jądrowej. Teraz rozumiał już, co mogłoby grozić planecie, gdyby ten złowrogi stwór mógł dalej się rozrastać i rozmnażać. Nie zawaha się ani nie stchórzy, gdy będzie musiał go zabić.

I na tym polegał problem. Gideon musiał jeszcze dokończyć skomplikowane modelowanie symulacji komputerowych mających wykazać, co się stanie, gdy na głębokości trzech i pół tysiąca metrów zostanie zdetonowana bomba atomowa o mocy stu kiloton bezpośrednio pod statkiem, a co w sytuacji, gdyby detonacja została przeprowadzona zdalnie, z pewnej odległości. Czy woda osłabiłaby, czy może wzmocniła siłę wybuchu? Powietrze było bardziej sprzyjającym nośnikiem, pozwalało, by siła wybuchu rozszerzała się i rozpraszała. A co mogło się stać w tak nieściśliwym nośniku jak woda, pod ciśnieniem czterystu atmosfer? Jak mogłoby to wpłynąć na Batavię? Podejrzał, że na powierzchni dojdzie do gigantycznej erupcji pary. Fala P, podłużna fala sejsmiczna, rozchodząca się w wodzie na obszarze dziesiątków kilometrów, z łatwością mogła doprowadzić do uszkodzenia kadłuba. Gideon był pewien, że na powierzchni wywołałaby zjawisko zbliżone do tsunami, które mogłoby przewrócić lub zatopić statek. Już niedługo będą znane wyniki symulacji i wszystkie możliwe skutki wybuchu. Gideon obawiał się, że w ostatniej chwili Garza może stchórzyć i przerwać odliczanie. Chciał mieć pewność, że gdy zmontuje bombę, będzie ją mógł uzbroić i zdetonować – i nikt nie zdoła go powstrzymać.

Nie, o Glinna się nie martwił. Ten człowiek miał nerwy ze stali. Ale Garza... był ostrożny. Zachowawczy. Nawet gdy broń zostanie uzbrojona i zacznie się

odliczanie, ten człowiek może zmienić zdanie, uznać, że plan jest zbyt ryzykowny, i wprowadzić kod „przerwij”, zanim Gideon zdążyłby go powstrzymać.

Nie mógł do tego dopuścić.

Wziął do ręki komputerowy sterownik; wyłuskał go z metalizowanego, plastikowego opakowania. Zważył go w dłoni. Było to pudełko z nierdzewnej stali o wymiarach siedem i pół na siedem i pół, na piętnaście centymetrów z klawiaturą i gniazdami wejściowym i wyjściowym. Wewnątrz znajdował się jednofunkcyjny komputer. Nic skomplikowanego. Nic, czego nie można by przeprogramować.

Gideon uśmiechnął się pod nosem.

Wbrew sobie Rosemarie Wong była pod wielkim wrażeniem zebranej przez Prothera kolekcji odgłosów wielorybów, jak sam twierdził, największej tego typu na świecie. Na jego polecenie opracowała program, który skanował bazę danych z plikami audio w poszukiwaniu jakichkolwiek podobieństw z dźwiękami emitowanymi przez baobab. Ostatecznie udało jej się natrafić na dwie duże zbieżności i kilka częściowych. Gdy skończyła ostatni przegląd, usłyszała kroki przed laboratorium i wiedziała, że to wraca Prothero. Nic nie robiło takiego hałasu jak jego kretyńskie martensy na wyłożonych stalowymi płytami korytarzach statku.

– No – powiedział, zdejmując hipsterską czapkę i rzucając ją na zagracony blat stołu. – Czemu to trwa tak długo?

– Właśnie skończyłam.

Przyciągnął sobie fotel, zgarnął leżące na nim wydruki na podłogę i usiadł.

– I co masz?

– Dwa prawdopodobne trafienia. Dźwięki są bardzo zbliżone.

– Posłuchajmy ich.

Dla porównania najpierw odtworzyła dźwięk emitowany przez baobab, a następnie dwa podobne odgłosy z bazy danych Prothera, wszystkie przyspieszone dziesięciokrotnie, aby znalazły się w granicach ludzkiej słyszalności.

Prothero odchrząknął.

– Jeszcze raz, najpierw płetwala, a potem baobabu.

Powtórzyła w odwrotnej kolejności niż poprzednio.

– Są identyczne! Sprawdziłaś, w jakich okolicznościach zarejestrowano głosy wielorybów?

– Owszem. Pierwszy został nagrany przez jednostkę Greenpeace'u kilka lat temu jakieś osiemset kilometrów na południe od Tasmanii. Jednostka śledziła japoński kuter wielorybiczny. Wieloryb konał, gdy został trafiony przez harpuny z pentrytem wystrzelone z japońskiego wielorybnika.

– Pieprzeni barbarzyńcy. A drugi?

– Został zarejestrowany przez jednostkę należącą do instytutu oceanografii w Woods Hole i były to odgłosy wydawane przez płetwala błękitnego, który ugrzązł i dogorywał na mieliźnie na Sable Island u wybrzeży Nowej Szkocji. Jakiś rodzaj wirusa musiał zaburzyć wewnętrzną nawigację wieloryba, który wpakował się na piaszczystą mieliżnę i niedługo potem padł.

– W obu przypadkach dźwięki towarzyszące konaniu...

Prothero milczał przez dłuższą chwilę, marszcząc brwi w zamyśleniu. Wreszcie otrząsnął się z zadumy i zaczął dłużyć w nosie.

– Co o tym myślisz?

– Ciągłe uważam, że ta istota tylko powtarzała jak papuga zasłyszane odgłosy wielorybów.

Prothero skrzywił się.

– Powiedz mi, co to może według ciebie znaczyć. Chodzi mi o wieloryby, kiedy wydawały te odgłosy. Baobabem zajmiemy się później.

– Początkowo myślałam, że mogło to być wołanie o pomoc, ostrzeżenie albo wyraz przerażenia. Albo odpowiednik wielorybiego przedśmiertnego krzyku.

– Znalazłaś jakieś inne podobne dźwięki?

– Tylko trochę podobne. Jedne pasują do pierwszej części dźwięku emitowanego przez baobab, inne do drugiej.

– Odtwórz je.

Wybrała kilka z nich.

– Hmm. Zwróć uwagę, że wszystkie wielorybie wokalizy zdają się podpadać pod jedną z dwóch kategorii. Jakbyśmy mieli do czynienia z dwoma słowami. Niektóre z tych dźwięków brzmią jak jedno z tych słów, inne jak drugie.

Prothero podrapał się.

– Wobec tego powiedz mi, w jakich okolicznościach zarejestrowano te częściowe nagrania.

– Dźwięk wydawało stado płetwali błękitnych. Powtarzały go wszystkie, gdy jeden z wielorybów został zaatakowany przez orki. Płetwale zdołały odeprzeć atak drapieżników, uderzając w nie z całym impetem albo zadając ciosy potężnymi ogonami. I właśnie wtedy wydawały te odgłosy.

Kolejne chrząknięcie Prothera.

Wong sięgnęła ręką w stronę odtwarzacza.

– Pozwól, że puszcze kilka innych podobnych dźwięków.

Prothero machnął ręką.

– Nie musisz. Już wiem, co one znaczą.

– Wiesz?

– Taa – mruknął Prothero. – Wieloryby stale je wydają, kiedy pływają w stadach. Samotne wieloryby nigdy nie emitują tego dźwięku. To jedno z pierwszych „słów”, jakie udało mi się przetłumaczyć.

Wong była zdziwiona.

– Chcesz powiedzieć, że udało ci się przetłumaczyć niektóre słowa, jakimi posługują się płetwale błękitne?

– Tak. Tylko nic nikomu nie mów. – Prothero zrobił minę. – Zamierzam któregoś dnia to opublikować.

– A więc co to znaczy?

– Ten dźwięk odnosi się do samego wieloryba. Znaczy tyle co „ja” albo „mnie”.

– Łał. Wobec tego co twoim zdaniem znaczy ten pierwszy dźwięk?

– To czasownik. Tego jestem pewien.

– Wieloryby posługują się czasownikami?

– Jasne, że tak. Wciąż się przemieszczają. Dla wieloryba wszystko jest ruchem lub wykonywaną czynnością. Uważam, że cały język płetwali błękitnych jest zbudowany z dźwięków na bazie czasowników.

– W porządku.

Dla Wong nie brzmiało to zbyt naukowo, ale nie była w nastroju, żeby klócić się z Protherem.

– To czasownik używany przez wieloryby, które zdychają albo próbują odeprzeć atak drapieżnych orek. Myślę, że znaczenie tego dźwięku jest bardzo proste. – Spojrzał na nią, uśmiechając się z wyższością. – Naprawdę nie wiesz?

– Nie.

– To znaczy „zabij”.

– Zabij?

– Otóż to. Zastanów się. Co może mówić zdychający w potwornych mękach wieloryb trafiony przez japońskiego harpunnika? „Zabij mnie”. Co mówią wieloryby walczące ze stadem orek? „Zabij, zabij!”. I taką właśnie wiadomość przekazuje baobab. „Zabij” to pierwsze słowo, a „mnie” drugie.

– To jakiś obłąd – skwitowała Rosemarie Wong.

Prothero wzruszył ramionami.

– Może i obłąd, ale tak brzmi wiadomość, którą to coś próbuje nam przekazać. Błagalnie. Prosząc z całych sił: „zabij mnie”.

Barry Frayne był zmęczony. Minęła dziesiąta wieczorem, a laboratorium egzobiologii pracowało niemal bez przerwy od dwunastej w południe, kiedy dostarczono długą mackę przypominającą strunę i Glinn polecił doktor Sax, żeby przygotowała próbkę do badań. Frayne był bezpośrednim podwładnym Antonelli i to w jego laboratorium uwijali się pracownicy z pierwszej linii frontu. Każdy z nich – a tak się akurat złożyło, że byli to wyłącznie mężczyźni – był ekspertem w innej dziedzinie przygotowania próbek biologicznych. Pod czujnym okiem doktor Sax dokonali podziału dostarczonego okazu na sekcje do badań mikroskopowych – transmisyjnym mikroskopem elektronowym i skaningowym mikroskopem elektronowym – oraz do testów biochemicznych. Przeprowadzili wstępne dysekcje i pobrali niezwykle inkluzje i organelle do analiz, które miały zostać przeprowadzone w specjalistycznych laboratoriach w innych częściach statku. Byli odpowiednikami pomocników kuchennych, przygotowali materiał badawczy ekspertom z doktoratami.

Frayne miał przynajmniej magisterium, ale trzech inni faceci, którzy z nim pracowali, mogli się pochwalić jedynie licencjatami. Nieważne, wszyscy byli dobrzy w tym, co robili.

Prosta i wyrafinowana zarazem anatomia macki, korzenia, nitki spaghetti albo robaka – padło wiele propozycji, jak nazwać to coś – była zdumiewająco odmienna od wszystkich biologicznych organizmów, jakie Frayne miał okazję widzieć do tej pory. Trudno było nawet stwierdzić, czy to roślina, czy zwierzę. Może ta istota nie była ani jednym, ani drugim. Miała komórki, a w każdym razie otoczone błoną segmenty zawierające cytoplazmę – przynajmniej to wyglądało normalnie. Poza tym nic nie wydawało się znajome. Wewnątrz „komórek” nie było zwyczajnie wyglądających organeli, jąder, siateczek śródplazmatycznych, mitochondriów ani aparatów Golgiego. To coś nie miało także rodzajów organeli, jakich można by się spodziewać w komórkach roślinnych: chloroplastów, dermatów, wakuoli czy trwałych ścian komórkowych. W „komórkach” znajdowały się rzecz jasna różne rzeczy, ale wyglądały jak złożone, nieorganiczne kryształy. Lśniły niczym diamenty w świetle mikroskopów i zdawały się mienić różnymi kolorami, lecz to zjawisko mogło być skutkiem opalizacji albo refrakcji światła. Frayne wyizolował kilka i odesłał do analizy. Bardzo chciał się dowiedzieć, czym one są.

Wąska macka nie miała żadnych widocznych naczyń krwionośnych ani kanalików łykowych czy ksylemowych do transportowania płynów. Zamiast tego miała niewiarygodnie gęstą i złożoną płataninę drobniutkich mikrofibryli przypominających włókna nerwowe lub przewody pogrupowane w wiązki. Bardzo

trudno było je przeciąć i wydawały się utwardzone czymś, co przywodziło na myśl odpowiednik celulozy roślinnej, choć było zbudowane z innego materiału, przypominającego bardziej minerały nieorganiczne niż zdrewniałe włókno. Najdziwniejsze jednak było w tym wszystkim to, że tak naprawdę nic w tej macce nie wyglądało jak żywa tkanka. Przypominało to raczej misternie zbudowaną maszynę.

Sax pojawiała się i znikwała, nadzorując prace. Frayne wiedział, że musiała zauważyć to samo co on. Jednakże zachowywała swoje przemyślenia dla siebie.

Skończył przygotowywanie nowej próbki na mikrotomie, ułożył preparat na szkiełku, zabezpieczył, oznakował i włożył do pojemnika. To już ostatni – praktycznie skończyli, przynajmniej dopóki Sax znów się nie zjawi z kolejnym poleceniem służbowym na wczoraj.

– Hej, Barry, rzuć na to okiem.

Frayne uniósł wzrok i podszedł do stanowiska, gdzie jeden z jego współpracowników, Waingro, pochylał się nad głównym fragmentem macki, szykując się, by włożyć go na powrót do chłodni. Macka leżała zwinięta w płytkiej kuwecie jak kawałek cienkiego szpagatu.

– Co jest?

– Przyjrzyj się temu fragmentowi. Jest krótszy.

– Oczywiście, że jest krótszy. Pobraliśmy fragmenty do badań.

– Nie – rzucił Waingro. – Mógłbym się założyć, że przed ostatnią przerwą, jaką zrobiliśmy, to coś było znacznie dłuższe.

Kiedy rozmawiali, podszedł jeszcze jeden asystent, nazwiskiem Reece, i spojrzał na okaz.

Frayne odwrócił się do niego.

– Co o tym sądzisz? Jest krótszy?

Reece pokiwał głową.

– Tja.

– Myślisz, że... ktoś podpylił kawałek? – zapytał Frayne.

Był zaniepokojony. Kiedy wychodzili na przerwę, zamknęli laboratorium na klucz, ale nie zamknęli macki. Nie pracowali w sterylnych warunkach – to spowolniłoby ich działania, a wymagano od nich szybkich i gruntowych ekspertyz. Podjęli spore ryzyko, że ten obcy organizm zarazi ich jakąś egzotyczną chorobą lub patogenem. Wydawało się to jednak mało prawdopodobne, skoro biologicznie ta istota tak bardzo różniła się człowieka. Mimo to, kiedy wychodzili z laboratorium, zawsze dla bezpieczeństwa zamykali je na klucz.

– Nie zdziwiłoby mnie to – powiedział Reece. – Ktoś miałby cholernie ciekawą pamiętkę.

Frayne poczuł narastającą złość.

– Wyjmijmy to coś i zmierzmy. Dla pewności.

Czterej mężczyźni, wciąż w kitlach i lateksowych rękawiczkach, otworzyli wieko kuwety i wyjęli z niej okaz. Fragment organizmu był twardy i sztywny jak kawałek kabla. Utrzymywali go w stanie permanentnego zamrożenia, ale nic nie wskazywało na to, by miał się zacząć rozkładać albo gnić w temperaturze pokojowej. To coś było niejadalne dla ludzkich mikroobów. A przejście ze sfery ciśnienia rzędu czterystu atmosfer na powierzchnię, gdzie wynosiło ono zaledwie jedną atmosferę, nie wywarło na to coś żadnego wpływu. To coś, ogólnie rzecz biorąc, było dziwne jak cholera.

Z jak największą ostrożnością rozłożyli okaz na długim stole roboczym z nierdzewnej stali, który miał wbudowane podziałki i różne miary długości.

– Sześćset osiemdziesiąt centymetrów – powiedział Frayne. Zdjął wiszącą na ścianie podkładkę z notatnikiem i spojrzął na widniejące tam zapiski. – Pierwotnie okaz miał długość ośmiuset dziewięciu centymetrów.

Zaczął dodawać w myślach długość odcinków, które pobrali: trzydzieści centymetrów do badań przekrojowych, czterdzieści do sekcji, dziesięć do analiz biochemicznych i pięć do różnych innych.

– Brakuje czterdziestu czterech centymetrów – oznajmił i rozejrzał się dookoła. – Czy ktoś zapomniał o wpisaniu pobrania?

Nikt się nie zgłosił. Frayne im wierzył; wszyscy byli wyjątkowo skrupulatnymi pracownikami. Nie proponowano pracy przy tego rodzaju projekcie nikomu, kto nie przestrzegał wszystkich zasad obowiązujących w schludnym, uporządkowanym laboratorium. Nie było tu miejsca dla partaczy ani lewusów.

– Wygląda na to, że ktoś nie zadał sobie trudu, by złożyć zapotrzebowanie zwyczajowymi kanałami. I po prostu wziął sobie kawałek, nie pytając nikogo o zgodę.

– Tak po prostu przyszedł i odkroił fragment? – zapytał czwarty asystent Stahlweather.

– A jak inaczej to wytłumaczyć?

– Ale przecież podczas przerwy laboratorium było zamknięte na klucz.

– I co z tego? Wiele osób ma klucze. Zwłaszcza ci, którzy uważają się za takich ważniaków, że nie muszą przestrzegać zasad.

Odpowiedziały mu ciche potaknięcia.

– Będę musiał zgłosić to doktor Antonelli Sax i Glinnowi – ciągnął Frayne. – Na pewno się nie ucieszą. Najgorsze, że to się stało na naszej wachcie.

– Może zrobił to Glinn.

– Albo ten dupek Garza.

Mężczyźni zgodnie potakiwali. To było całkiem sensowne i przekonujące wyjaśnienie. Co więcej, pozwoli uwolnić ich od winy.

Frayne rozejrzał się wokoło.

– Pora zamknąć kramik. Szefostwu nie spodoba się, że ktoś zwinął fragment

tego czegoś. Ale wiecie co? Przestrzegaliśmy procedur. A wy świetnie się spisaliście. Naprawdę dobra robota.

– Skoro mowa o fajrancie... – Reece wspiął się na stołek i sięgnął do najwyższej szafki. Waingro uśmiechnął się znacząco. Reece wyciągnął prawie czterolitrowy dzban czerwonego wina. – Myślę, że zasłużyliśmy na to, by zakończyć ten dzień ciężkiej i solidnej pracy kilkoma łyżkami przedniego trunku.

Frayne spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Mówisz o tym bimbrze?

– A jak wróci doktor Sax? – spytał Stahlweather. – Teraz, gdy dotarliśmy do celu, na pokładzie obowiązuje całkowita prohibicja.

– Daj spokój, tajny bar jest stale otwarty. Sax nie wróci, a przynajmniej nie tej nocy.

Reece uśmiechnął się szerzej, po czym znów sięgnął do sekretnego składziku i wyjął brandy, triple sec oraz siatkę pomarańczy i cytryn.

– Ktoś ma ochotę na sangrię?

Było już po wschodzie słońca i Patrick Brambell odetchnął z ulgą, gdy wreszcie został sam w swoim medycznym królestwie, bez Glinna czy Rogelia stojących za jego plecami i dyszących mu prosto w kark. Chciał zostać sam, by wszystko spokojnie przemyśleć. Nigdy nie był w stanie się skupić w obecności innych osób i naprawdę mu ulżyło, gdy uwolnił się od Glinna przyczajonego w tle jak mroczna zjawia przybywająca z zaświatów. No i jeszcze tych czterech pracowników z sąsiedniego laboratorium egzobiologii, którzy parę godzin temu zaczęli hałasować jak studenci urządzający ostrą imprezkę, robiąc takie zamieszanie, że mało brakowało, a poszedłby tam, by ich uciszyć.

Dopiero teraz, w ciszy i spokoju, ponownie zabrał się do pracy.

Na wprost niego rozłożone pieczołowicie na wózku noszowym spoczywało to, co pozostało po Alexandre Lispenard. Widok był wyjątkowo makabryczny, szczątki przypominały zmielonego hamburgera zmieszanego z kawałkami ubitego mięsa, strzępami odzieży, pasemkami włosów i fragmentami kości. Ponieważ przez ostatnich kilka godzin rozkładał, układał i przekładał niemal każdy z tych kawałeczków, uodpornił się i teraz patrzył na to wszystko nie z przerażeniem, ale z typową dla naukowca obojętnością.

Jego zdaniem sprawa była prosta. Jeżeli zmiażdżony pojazd głębinowy DSV faktycznie był czymś w rodzaju wypluwki – wydalonych odchodów – oznaczałoby to, że ta istota pożywiła się w ten sposób, tak jak sowa zjada gryzonia w całości, a następnie wypluwa kości i skórę. Żadne inne rozwiązanie nie miało sensu. Batyskaf wydawał się nietknięty, niczego nie brakowało, nic się nie rozpuściło, a poza tym trudno sobie wyobrazić, żeby ta istota pożerała metal, szkło lub plastik. Bardziej prawdopodobne wydawało się, że wchłonęła jakąś część Alex Lispenard.

Zastanawiał się co. Na przykład krew – zwłoki były jej zupełnie pozbawione, brakowało całych pięciu litrów krwi. Przypomniał sobie jednak, że na nagraniu z podniesienia Paula można było dostrzec wąską strużkę szkarłatu sącząca się z wnętrza zmiażdżonego batyskafu.

Tak więc to coś raczej nie pożywiało się krwią. Krew wypłynęła na zewnątrz i została do reszty wypłukana podczas podnoszenia DSV.

Musiał zważyć ciało i sprawdzić, czy czegoś w nim nie brakuje. Mógłby ustalić, co zostało pobrane.

Wyświetlił na swoim komputerze kartę medyczną Lispenard i zauważył, że ważyła pięćdziesiąt osiem i osiem dziesiątych kilograma. Po całkowitej utracie krwi jej ciało powinno mieć wagę pięćdziesiąt trzy i osiem dziesiątych kilograma. Moką odzież zmieszana ze szczątkami szacował na mniej więcej kilogram.

Wózek noszowy miał wbudowaną wagę. Brambell odblokował ją, uruchomił

klawiaturę i odczekał chwilę, aż na cyfrowym ekranie wyświetli się wartość w kilogramach.

Pięćdziesiąt trzy i trzy.

A zatem w zwłokach brakowało mniej więcej półtora kilograma czegoś. Część z tego można było wyjaśnić brakiem jakichś przeoczonych fragmentów tkane, albo innych płynów ustrojowych, takich jak limfa czy żółć, które rozproszyły się w oceanie. Część jednak, jeśli nie większość tych płynów, musiała zostać zastąpiona przez wodę morską. Brambell był prawie pewien, że pozbierał wszystkie fragmenty szczątków, do ostatniego. Byli z Rogelio w tym względzie bardzo skrupulatni, poza tym szczątki miały skłonność do zlepiania się ze sobą i jeden fragment prowadził do następnego.

Jaka część ludzkiego ciała waży półtora kilograma?

Błyskawicznie odpowiedział sobie na to pytanie. Mózg.

Brambell westchnął głośno, ganiąc się w duchu za głupotę. Tak starannie pozbierał i ułożył na platformie wózka noszowego fragmenty twarzy i czaszki, uszy, nos, usta, włosy, żuchwę, a zapomniał o mózgu. Gdzie on się podział? Nachylił się nad wózkiem, nie znalazł jednak ani śladu tego, czego szukał. Czy to możliwe, żeby go przegapili, kiedy wydobywali ciało z batyskafu?

Nie. To niemożliwe.

Czy mózg jako ciało wodniste mógł się rozpuścić i wypłynąć pod wpływem ekstremalnego ciśnienia wody?

Wrażenie, które go nawiedziło, gdy rozbierali batyskaf na pokładzie hangaru – poczucie, że coś jest nie tak – powróciło ze zdwojoną siłą.

Sięgnął po podgumowaną pęsetę, nachylił się nad poskładaną czaszką i zaczął odwracać największe jej fragmenty. Wnętrze czaszki było kompletnie czyste, ktoś obdarzony makabrycznym poczuciem humoru mógłby powiedzieć, że wyglądało jak wylizane do czysta. Brakowało nawet twardych opon mózgowych.

Przysunął do siebie tacę z narzędziami chirurgicznymi i starannie rozciął dwa pierwsze kręgi szyjne, C1 i C2. Przetrwały zmiażdżenie względnie nienaruszone. Szybko odnalazł główne punkty anatomiczne, kręgi obrotowy i więzadło poprzeczne kręgu szczytowego. Z wielką delikatnością obrócił kręgi C1 i rozdzielił częściowo zgruchotane elementy, by odsłonić otwór międzyszczytowy. Odnalazł rdzeń kręgowy zamknięty w worku oponowym. Jego górna część, w miejscu gdzie rdzeń wylaniał się z kręgu C1 i łączył z rdzeniem przedłużonym, wyglądała, jakby została przecięta skalpelem. Widać było nawet ślady przypalenia sugerujące użycie czegoś gorącego.

– Niech to szlag – wymamrotał pod nosem Brambell.

Był mocno zaniepokojony i kompletnie zbity z tropu. Czy ten stwór pożarł mózg Lispenard? Wydawało się to mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę, że organ usunięto z chirurgiczną precyzją. Mózg został przez tego obcego sukinsyna

pobrany i to całkiem wprawnie.

Brambell odsunął się od wózka noszowego, mając nieprzyjemne wrażenie, że to, co właśnie odkrył, nie zwiastuje niczego dobrego. Poczł narastający ucisk w żołądku. Wziął kilka głębokich, nerwowych oddechów. Kiedy się wreszcie opanował, przeprowadził szybki test biologiczny – standaryzację pnia mózgu. Następnie zdjął rękawiczki, odwiesił fartuch, umył ręce, poprawił kitel i wyszedł z laboratorium, by odnaleźć Elego Glinna.

Gideon Crew stał z Glinnem i Manuelem Garzą przy relingu na pokładzie dziobowym. Mówili po cichu. Ich rozmowa dotyczyła natury baobabu, ale jak zwykle przerodziła się w wymianę szalonych spekulacji i teorii. Gideon martwił się, że wciąż dysponują niewielką ilością twardych dowodów. Nie wiedzą, czy to coś jest maszyną, istotą żyjącą, czy może jakimś dziwnym połączeniem jednego z drugim. Czy jest inteligentne... czy może mieli do czynienia tylko z głupią rośliną? Brak informacji na pokładzie statku stawał się poważnym problemem, ponieważ tę próżnię wypełniały plotki i fantazje.

Przynajmniej pogoda wciąż dopisywała, ocean był gładki jak stół. Każdy dzień zbliżał ich nieubłaganie do lata, a odrywanie się fragmentów gór lodowych przybierało na sile i intensywności wraz z mijającą wiosną. Gideon dostrzegł sześć potężnych gór wyłaniających się spomiędzy fal. Słońce wisiało nisko, tworząc na powierzchni oceanu złocistą drogę. Spokój tej sceny przeczył burzliwej atmosferze panującej na pokładzie.

– Przepraszam, panowie?

Gideon odwrócił się i ujrzał zbliżającego się do nich doktora Patricka Brambella, który wyglądał jak zawsze nienagannie, ale na jego twarzy malował się wyraz tak głębokiego zatroskania, że Gideona natychmiast to zaniepokoiło.

– Doktorze Brambell? – spytał Glinn.

Brambell podszedł niepewnie ze splecionymi przed sobą dłońmi.

– Przeprowadziłem autopsję – powiedział. – Lispenard – dodał, lecz było to zbędne.

Gideon poczuł ucisk w piersi. Tłumił w sobie wszystkie myśli o Alex, które zdawały się pojawiać znikąd i mącić jego spokój. Ale musiał tego wysłuchać. Czekał.

– No więc? – rzucił Glinn, kiedy doktor nie powiedział nic więcej.

– Brakuje mózgu – rzekł Brambell.

– Jak to brakuje?

– No nie ma go. W ogóle. Nie ma po nim śladu. Zupełnie.

Słowa popłynęły istnym potokiem, przesycone irlandzkim akcentem, bardziej wyraźnym niż zwykle.

– Wygląda na to, że został usunięty przy pniu mózgu, wycięty jak skalpelem i, jak wskazują na to dowody, z użyciem silnego źródła ciepła. Przeprowadziłem szybką sekcję i standaryzację, by stwierdzić, że proteiny w tym miejscu uległy denaturacji, co wskazuje na obecność wysokich temperatur.

Gideon spojrzał na Brambella.

– Usunięty? Nie zmiażdżony?

Brambell przesunął ręką po łysinie.

– Wszystko wskazuje na to, że mózg został usunięty, zanim czaszka została zmiażdżona, w przeciwnym razie można byłoby dostrzec jakieś ślady wewnątrz, a w miejscach uszkodzeń pozostałyby fragmenty wyciśniętej materii mózgowej. Nigdzie w szczątkach nie ma śladu substancji szarej ani białej. Nawet mikrośladów. Baobab najwyraźniej... eee...

Na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

– Pożarł go? – dokończył Garza.

Gideon poczuł, jak narasta w nim napięcie.

– W pierwszej chwili też tak myślałem – kontynuował Brambell. – Skoro jednak to coś miało się nim pożywić, to czemu pobrało ten organ w stanie nienaruszonym? A nie mam wątpliwości, że mózg został pobrany. Nie wiem, co stało się z nim później, czy został zjedzony, wchłonięty, czy potraktowany jeszcze inaczej.

– Zeskanowany? – Gideon zdziwił się, słysząc własny głos.

Garza odwrócił się do niego energicznie.

– Co masz na myśli?

– Jej mózg został usunięty w całości – rzekł Gideon. – Po co? Może ta istota chciała go zbadać, załadować do siebie całą jego zawartość. To mógłby być dobry powód, żeby pobrać mózg w stanie nienaruszonym.

– Nieprawdopodobne – zaprotestował Garza. – Delikatnie mówiąc.

– Pomyśl o ostatnim przesłaniu od Alex. „Pozwól mi dotknąć twojej twarzy”. Ona weszła z czymś w kontakt. Przemówiła... a w każdym razie zrobił to jej mózg.

– Jeżeli twoja teoria jest słuszna – rzekł Garza – to w jaki sposób przemówiła? Nie miała ust, jej ciało było zmiażdżone.

Gideon skrzywił się w środku. „Nie przypominaj mi”. Próbował się skupić, zastanowić się nad tym problemem logicznie.

– Jej mózg, który został pobrany w stanie nienaruszonym, przemówił poprzez tę istotę. „Pozwól mi dotknąć twojej twarzy”. Jej mózg nawiązał z czymś kontakt, ale był rozkojarzony. Bądź co bądź, został właśnie usunięty z jej ciała.

Na twarzy Garzy pojawił się wyraz irytacji. Pokręcił głową.

– Wielkie nieba, toż to czyste science fiction.

Zapadła długa cisza. Glinn jak zwykle słuchał ze stoickim spokojem. Jego twarz pozostała beznamietna. „Może Garza ma rację”, pomyślał Gideon, „może to jest science fiction”. Z perspektywy czasu to wszystko rzeczywiście wydawało się dość absurdalne. Nie zamierzał jednak się do tego przyznać, nie chciał dać Garzy tej satysfakcji.

– I jeszcze jedno – dodał po chwili Brambell.

Glinn uniósł brwi.

– Wygląda na to, że ktoś zwędził część okazu z laboratorium egzobiologii. Czterech asystentów zapisywało w dzienniku informacje o wszystkich pobranych fragmentach, ale brakuje sporej części i nikt nie wie, co się z nim stało. Czy może któryś z was go wziął, nie odnotowując tego faktu?

Garza spojrział oskarżycielskim wzrokiem na Gideona.

– Nie ja – odrzekł Gideon. Garza okazał się jeszcze większym dupkiem niż zazwyczaj.

– Nikt z nas nie zrobiłby niczego tak nieodpowiedzialnego – odrzekł oschłym tonem Glinn.

– Cóż – powiedział Brambell – laboratorium mogło popełnić błąd w trakcie pierwotnego pomiaru macki. A może ktoś zapomniał odnotować pobranie fragmentu okazu. – Odchrząknął. – Równie dobrze to wszystko może być zasłoną dymną mającą zatuszować nieprofesjonalne zachowanie. Mówię tak, ponieważ ci czterej dżentelmeni urządzili wczorajszej nocy w laboratorium niezłą bibkę. Kiedy tu szedłem, zajrzałem do nich i zastałem tych gagatków w stanie wskazującym na spożycie dużych ilości, bo leżeli na podłodze.

– To znaczy pili tam tak długo, aż film im się urwał? – spytał Garza.

– Otóż to. Jedynym przytomnym był Frayne – o ile można powiedzieć, że był przytomny – i to właśnie on powiedział mi o zaginięciu fragmentu macki.

– Gdzie oni są teraz?

– O wilku mowa. – Brambell odwrócił się, gdy na pokładzie pojawił się Frayne.

Kitel miał upstrzony fioletowymi plamami i cuchnął winem. Wyglądał okropnie. Frayne nie był zdaniem Gideona typem imprezowicza, ale widok mówił sam za siebie, facet ewidentnie miał kaca.

Glinn zrobił dwa kroki w bok, kiedy Garza podszedł gniewnie do laboranta.

– Co to ma być, do cholery? – rzucił ostrym tonem.

Frayne zaczął się bełkotliwie tłumaczyć, że owszem, urządzili sobie małą imprezkę z winem, ale nie było w tym nic zdrożnego...

Garza uciszył go zdecydowanym ruchem ręki.

– A co z brakującym okazem?

W tym momencie Frayne wdał się w złożone, pokrętne wyjaśnienia, twierdząc, że to się stało na długo przed balangą, że to nie była ich wina, że wszystko skrzętnie zapisywali, że prawdopodobnie ktoś wziął sobie ten fragment na pamiątkę, a poza tym nie wypili przecież tak dużo...

– Znasz zasady – skwitował Garza. – Zero alkoholu, odkąd statek znalazł się u celu. Niniejszym odbieram ci tygodniową wypłatę. A ponieważ jesteś głównym laborantem, chcę, żebyś się zgłosił do brygu na dwanaście godzin. I trochę się prześpij.

– Do brygu? – Frayne wyglądał na zdruzgotanego. – Znaczy do aresztu?

– Tak. Do brygu. Do aresztu. Masz się tam zgłosić i to natychmiast.

– Ale...

Garza spiorunował go wzrokiem, aż Frayne, wyraźnie przybity, odwrócił się na pięcie i odszedł. Następnie Garza zwrócił się do Glinna:

– Tego rodzaju brak dyscypliny na pokładzie statku jest jak najgorsza trucizna. Mam nadzieję, że się ze mną zgadzasz.

Prawie niedostrzegalne skinienie głowy potwierdziło, że Glinn i Garza byli w tej kwestii zgodni. Po chwili, spojrzawszy na zegarek, Glinn przeniósł wzrok na Gideona.

– Chodź ze mną do laboratorium Prothera.

Gideon tłoczył się z kilkoma innymi osobami w niewielkim zagraconym laboratorium. Wyglądało jak elektroniczna jaskinia. Kwaśna woń cyny lutowniczej i rozgrzanej elektroniki wisiała w dusznym powietrzu. Prothero siedział przy ścianie zastawionej komputerami i komponentami audio, wszędzie wisiały przewody. Miał na sobie brudną, na wpół rozpiętą hawajską koszulę. Jego zapadnięta blada klatka piersiowa z rzadka porośnięta kręconymi czarnymi włosami wyglądała obleśnie.

Obok niego stała jego asystentka, wysoka, chuda, elegancka kobieta nazwiskiem Rosemarie Wong. Stanowiła całkowite przeciwieństwo Prothera. Gideon zastanawiał się, jak w ogóle mogła z nim pracować.

– Przykro mi, ale nie ma gdzie usiąść – rzekł Prothero, wskazując na dwa krzesła, na których piętrzyły się stosy rozmaitego sprzętu. – Mówiłem, że potrzebuję większego laboratorium. To jest do niczego.

Glinn zignorował ten komentarz.

– Doktorze Prothero, proszę nam powiedzieć, co pan odkrył.

Prothero zaczął stukać w klawiaturę.

– Krótko mówiąc, dokonaliśmy tego. Przetłumaczyliśmy wiadomość z baobabu. Ej, Wong, odtwórz taśmę.

Asystentka włączyła taśmę i po chwili rozległy się dźwięki śpiewu wielorybów, po nich zaś odgłos wygenerowany przez baobab. Prothero długo rozwodził się nad naturą języka płetwali błękitnych.

Gideon był coraz bardziej znudzony i poirytowany.

– Ale co to właściwie oznacza? – zapytał w końcu.

– Ostrzegam, wiadomość jest dość dziwna. – Prothero w dramatycznym geście wywrócił oczami. – To coś powiedziało – zawahał się – zabij mnie. Zabij mnie.

– Na ile jesteś pewien słuszności tej hipotezy? – zapytał Glinn.

– Prawie na sto procent. Chciałbym wyjaśnić... – Prothero ponownie wdał się w długą tyradę, odtwarzając zapis raz jeszcze, po czym puszczając nagrania z innymi dźwiękami płetwali błękitnych, triumfalnie perorując, jak zdołali wyizolować dźwięki, odkryć ich znaczenie i potwierdzić słuszność odkrycia.

Gideon, pomimo swojego sceptycyzmu, był pod dużym wrażeniem, niemniej nie do końca przekonało go to, co usłyszał, więc gdy Prothero skończył, zapytał:

– Ale dlaczego ta istota miałaby nas błagać, żebyśmy ją zabili? Zwłaszcza po tym, jak zniszczyła jeden z naszych pojazdów głębinowych?

Prothero wzruszył ramionami.

– Wy musicie odpowiedzieć na to pytanie.

– Skąd pewność, że to coś nie naśladuje zasłyszanych odgłosów wielorybów?

– Głosy płetwali błękitnych niosą się w wodzie na odległość stu sześćdziesięciu kilometrów, a nawet dalej. Można domniemywać, że to coś słyszało najróżniejsze wokalizy płetwali. Czemu zatem powtórzyło akurat tę? Nie, mój przyjacielu, to coś próbuje się z nami porozumieć.

Gideona ubódł wtrącony zwrot „mój przyjacielu”.

– Jeżeli to próba nawiązania kontaktu, to raczej bezsensowna.

– Może to coś jest zdezorientowane. Może jest jak turysta, który przyjeżdża do Francji i robi z siebie idiotę, próbując posługiwać się językiem, którego nie zna.

– Mamy do czynienia z obcą formą życia – powiedział Glinn. – Możliwe, że z obcą inteligencją. Nie dziwi mnie, że nie potrafimy zrozumieć pierwszej próby nawiązania z nami kontaktu.

Gideon pokręcił głową, po czym spojrzał na Wong. Cały czas milczała.

– Co o tym myślisz, Rosemarie?

Wong lekko odkaszlnęła.

– Myślę, że Gideon ma rację. To coś równie dobrze może powtarzać dźwięki bezmyślnie jak papuga.

Gideon poczuł się doceniony. Miał coraz lepsze zdanie o Wong i jej inteligencji.

– Cóż, gdyby nauka była demokratyczna, to pewnie bym się mylił – rzekł Prothero. – Ale tak nie jest i to ja mam rację. – Zaśmiał się ochryple.

W tej samej chwili pojawił się oficer pokładowy Lund.

– Doktorze Glinn?

– Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać.

– Mamy sytuację awaryjną. Baobab... się uaktywnił.

Kiedy Glinn i Gideon zjawili się w centrum dowodzenia, wrzało tam jak w ulu. Glinn zajął stanowisko przy głównej konsoli, a Gideon po jego prawej stronie, przy konsoli wspomagającej. Pierwsza oficer Lennart podeszła do nich z iPadem w dłoni.

– Raport – rzucił półgłosem Glinn.

– Bardzo proszę. Jakies dwadzieścia minut temu boje sonarowe na powierzchni zaczęły rejestrować niezwykle dźwięki dochodzące z głębin. Były bardzo zbliżone do fal sejsmicznych, jakie pojawiają się przy niewielkich trzęsieniach dna oceanu i miały od półtora do dwóch stopni w skali Richtera. Kiedy przeprowadziliśmy mapowanie źródeł, odkryliśmy, że skupiały się wokół baobabu, lecz nie pochodziły bezpośrednio od niego.

– Mamy to zarejestrowane w naszej sieci? Chciałbym to zobaczyć.

Lennart nacisnęła kilka klawiszy na klawiaturze konsoli i na ekranie pojawiła się mapa sejsmiczna.

Glinn zmarszczył brwi, wlepiając wzrok w ekran. Gideon też przyjrzał się wskazaniom.

– Wygląda na to, że fale tworzą nieregularny krąg wokół tej istoty.

– Tak.

– Czy wiadomo, na jakiej głębokości pojawiły się wstrząsy?

– Płytko jak na standardy sejsmiczne: kilkadziesiąt metrów pod dnem oceanu. Ale w miarę jak prowadziliśmy monitorowanie, zauważyliśmy, że do wstrząsów dochodziło na coraz większej głębokości i coraz dalej od baobabu.

– Jakby to coś rozszerzało swój system korzeniowy?

– Być może. Ale to nie wszystko. Opuściliśmy kamerę i zakotwiczyliśmy ją na dnie oceanu zwróconą w stronę baobabu, żeby monitorować obiekt w zielonym świetle. Nie dostrzeżliśmy żadnej niezwyklej aktywności – aż do teraz. Właśnie zaczęliśmy rejestrować ruchy tej istoty.

– Jakie?

– Kołysanie gałęzi. Robi to bardzo wolno. Paszcza również, czy raczej otwór gębowy, wykonała kilka rozciągnięć, pochłaniając i wydalając duże ilości morskiej wody. Amplituda emitowanego przez obiekt sygnału o częstotliwości dwóch herców wzrosła.

– Chcę szczegółowej analizy wstrząsów – powiedział Glinn. – Z mapowaniem trójwymiarowym w czasie rzeczywistym.

– Dobrze.

Po prawej stronie zrobiło się jakieś poruszenie i pojawił się jeden z techników.

– Pojazd głębinowy George zniknął.

Glinn zmarszczył brwi.

– Zniknął? Czy te pojazdy nie są trzymane pod kluczem, a wejście do hangaru nie jest zabezpieczone alarmem?

– Złodziej zdołał uszkodzić elektroniczne zabezpieczenia.

– Kto to był?

Technik powiedział coś do słuchawek i po chwili oczekiwania oznajmił:

– Nie mają pewności, ale to mógł być asystent laboratoryjny nazwiskiem Frayne.

– Frayne? – spytał Gideon. – To on nie siedzi w brygu?

Technik nasłuchiwał jeszcze przez chwilę.

– Nie dotarł do brygu. Podjęto szeroko zakrojone poszukiwania, ale asystent najwyraźniej zdołał wślizgnąć się do hangaru z pojazdami głębinowymi. Właśnie przeglądają nagrania z kamer wideo... Tak, to z całą pewnością on.

– Czy wciąż był pijany?

– Nie wiadomo. Nie mają na ten temat żadnych informacji. Chwileczkę...

Mówią, że cuchnął alkoholem.

– Jak Frayne zdołał opuścić batyskaf do wody? – zapytał Gideon. – Przecież potrzeba całej ekipy, żeby go wynieść za burtę.

– Najwyraźniej miał pomocników. Wciąż nad tym pracujemy. Technicy przeglądają nagrania z kamer ochrony, próbując ustalić, co się wydarzyło.

– Dokąd zabrał batyskaf?

– Wygląda na to, że na dno oceanu. Opada szybko. Nie odpowiada na żadnej częstotliwości.

– Przygotujcie Johna. Natychmiast – rzekł Glinn, po czym odwrócił się do Gideona. – Chodź ze mną do hangaru. Popłyniesz za nim.

Dwadzieścia minut później Gideon był już w wodzie i znowu patrzył przez przedni iluminator, jak batyskaf zanurza się w błękitną głębię. Nie przeprowadzili zwyczajowej kontroli bezpieczeństwa, ale ponieważ John niedawno był w użyciu, nie uznali tego za konieczne – Gideon miał nadzieję, że słusznie.

To było niewiarygodne – pijany Frayne uprowadził dla zabawy miniaturową łódź podwodną wartą dziesięć milionów dolarów. Jeżeli faktycznie uprowadził ją tylko po to, żeby się nią przepłynąć. Ale co innego mogłoby wchodzić w grę? Gideon nie ośmielił się pokusić się o jakiegokolwiek inne przypuszczenia. Zemsta? Jakaś szalona samobójcza misja, aby zabić tę istotę?

Gideon opuszczał się na dno z maksymalną dopuszczalną prędkością, a z centrum dowodzenia monitorowano jego DSV za pośrednictwem przewodów. Mógł zrezygnować z przewodów, gdyby na dnie oceanu konieczne było wykonywanie bardziej złożonych manewrów, teraz jednak miał dobre połączenie ze statkiem. I przynajmniej to było dla niego pewnym pocieszeniem: centrala widziała wszystko to co on w czasie rzeczywistym, co więcej, monitorowała jego batyskaf i aparaturę podtrzymującą życie.

Za iluminatorem zapanowała nieprzenikniona czerń. Kilka bąbli powietrza, przepływając w górę, rozbłysło bielą w strumieniu światła reflektorów. Gideon namierzył George'a sonarem: drugi batyskaf znajdował się jakieś trzysta metrów pod nim i Gideon go doganiał. Wiedział, że Frayne jest żółtodziobem i nie zna instrukcji obsługi pojazdu głębinowego, musiał mieć problemy z kierowaniem nim. Biorąc pod uwagę, w jakim tempie opadał, Gideon obliczył, że powinien zrównać się z Frayne'em kilkaset metrów nad dnem oceanu.

Patrząc przez iluminator, wytężył wzrok, by dostrzec światła George'a. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że nic mu to nie da, nie zobaczy ich, dopóki dystans między nimi nie zmniejszy się do stu pięćdziesięciu metrów.

Co Gideon może zrobić, gdy już dogoni Frayne'a, wciąż było tematem ożywionej dyskusji w centrum dowodzenia. Gdyby nie udało mu się nakłonić go, aby zawrócił i ponownie obrał kurs na Bawię, w grę wchodziło kilka opcji, ale wszystkie były trudne i niebezpieczne. Technicy na powierzchni próbowali je usystematyzować według szans na powodzenie i ustalonych priorytetów.

Nie istniało podręcznikowe rozwiązanie sytuacji takiej jak ta.

W batyskafie panowała wyjątkowo ciężka, klaustrofobiczna atmosfera. Gideon nie miał czasu, by przygotować się psychicznie do zejścia w głębinę, nie zdążył się nawet przebrać. Miał na sobie ciuchy przystosowane do chłodnego, rześkiego poranka na pokładzie, a teraz był zgrzany i spocony, kołnierzyk koszuli wywoływał nieprzyjemne swędzenie skóry na szyi i karku. Patrzył na zmieniające

się wskazania głębokościomierza. Znajdował się dwieście metrów od dna, lada chwila George powinien pojawić się w zasięgu jego wzroku.

I rzeczywiście tam był: rozmazany szary punkt, dokładnie pod nim.

– Widzę go – zgłosił.

– Schodź dalej – rozległ się w słuchawkach zniekształcony głos Glinna. – Przyspiesz. Spróbuj zrównać się z nim i podpłyn do niego.

– Zrozumiałem.

Rozmyta plama powoli przerodziła się w falujące skupisko świateł. Gideon zwiększył prędkość opadania do maksimum, chcąc dogonić batyskaf, zanim dotrze na dno. Bóg raczy wiedzieć, co zamierzał Frayne, a Gideon chciał go zatrzymać, zanim znajda się w zasięgu obcej istoty.

Kontury miniłodzi George zrobiły się wyraźniejsze.

– Wywołaj go – polecił Glinn.

Gideon uruchomił łączność przez telefon podwodny UQC.

– George, tu John. Zgłoś się.

Nic.

Powtórzył wywołanie. Wciąż bez odpowiedzi. Zbliżał się szybko i teraz nieznacznie zmniejszył prędkość opadania, by upewnić się, że George znajduje się nie bezpośrednio pod nim, ale nieco z boku.

– Frayne? Słyszysz mnie?

Żadnej reakcji.

– Hej, Barry! To ja, Gideon Crew. Słyszysz mnie?

Cisza.

– Posłuchaj, Barry, moglibyśmy pomówić? Co się dzieje?

Był już tylko trzydzieści metrów nad George'em. Widział wyraźnie jego kontury i mętną czerwonawą poświatę płynącą przez iluminatory, widział mechaniczne ramię, uniesione jak zawsze podczas zejścia w głębinę. Zwolnił jeszcze bardziej, aż dwie miniaturowe łodzie podwodne zbliżyły się do siebie i płynęły z niemal identyczną prędkością. Za chwilę będzie mógł zajrzeć do wnętrza George'a. Na Boga, może Frayne zemdłał.

Zdryfował i zrównał się z George'em, zaglądając przez jeden z bulajów. Zdziwił się, ujrawszy Frayne'a, który był przytomny, wyglądał całkiem normalnie i obsługiwał przyrządy kontrolne w skupieniu, z niezmaconym spokojem.

Mężczyzna nie patrzył w jego stronę. Ani razu nawet nie zerknął.

Gideon pomachał do niego.

– Hej, Barry. Czy mógłbyś na mnie spojrzeć?

Nic nie wskazywało na to, że tamten go usłyszał.

Gideon spojrzał na głębokościomierz. Zbliżali się do dna. Jeżeli wkrótce się nie zatrzymają, włączy się sztuczna inteligencja i spowolni opadanie. Żaden z batyskafów nie mógł się rozbić o dno oceanu.

– Frayne! Słyszysz mnie?

Wciąż bez odpowiedzi.

Gideon przełączył na prywatną częstotliwość, by porozumieć się z centrum dowodzenia.

– Czy on mnie słyszy? – zapytał.

– Z pewnością tak. Nas zresztą też. Wiemy, że jego UQC jest włączony i sprawny.

– Zachowuje się jak robot.

– Widzimy.

– Nie możecie przejąć kontroli nad jego pojazdem i podnieść go na powierzchnię, tak jak to zrobiliście z moim?

– Wprowadził kod uniemożliwiający nam wykonanie tej procedury. Nie wiemy, skąd go ma. Nie powinien go znać nikt oprócz mnie, Garzy i techników kontrolujących stan pojazdów.

– Jezu, ale bajzel. – Gideon pokręcił głową. Nawet nie byli łaskawi podać mu tego kodu. Będzie musiał później pomówić o tym z Glinnem.

– Dobra – rzekł Glinn. – Słuchaj uważnie. Technicy mówią, że jeżeli on nadal nie będzie reagował, istnieje pewien sposób, byś unieruchomił pojazd.

Na jego ekranie pojawił się obraz George'a. Głos Glinna płynął dalej, jak zwykle spokojny i niewzruszony.

– Chcemy, żebyś użył mechanicznego ramienia do wykonania bardzo prostej czynności. Jego DSV ma sześć pędników. Włóż koniec mechanicznego ramienia po kolei do tych pędników, żeby uszkodzić łopaty śrub. Technicy mówią, że wystarczy załatwić trzy z nich, aby George został unieruchomiony. Potem będziemy mogli podłączyć kabel holowniczy i podnieść batyskaf na powierzchnię.

– Nie ma innego sposobu niż zniszczenie pędników?

– Wszystkie inne wrażliwe elementy są chronione przez zewnętrzny kadłub. To, co proponujemy, jest proste i niezawodne. Tymczasowo zmodyfikowaliśmy sztuczną inteligencję w twoim batyskafie, żeby można to było zrobić, w przeciwnym razie uniemożliwiłaby nam to.

– Zrozumiałem. Zrobię to.

Przez dolny iluminator Gideon mógł teraz zobaczyć rozmyte zarysy dna oceanu, rozjaśnione blaskiem światel pozycyjnych i reflektorów jego pojazdu. Równocześnie poczuł, że autopilot spowalnia tempo opadania.

– Widzę dno – powiedział.

– Modyfikacja sztucznej inteligencji zakończona. Podejmij czynności i unieruchom drugi pojazd najszybciej jak to możliwe.

– George też zwalnia i skręca.

– Płyn za nim.

Gideon pchnął drążek i przyspieszył do maksimum. Frayne także płynął

z pełną prędkością tuż nad dnem oceanu. Wyglądało na to, że coraz lepiej sobie radzi z pilotowaniem batyskafu.

– Kieruje się w stronę baobabu – rzekł Glinn. – Istota jest aktywna. Bardzo aktywna. Nie zbliżaj się do niej.

– Przyspieszyłem na maksa, ale nie mogę go dogonić.

W oddali Gideon mógł dostrzec zamazane kontury istoty rozplywające się w blasku reflektorów. Obcy byt poruszył się – falował – a jego pień napęczniał przeraźliwie, jakby napęlnił się wodą.

– Tłoczy wodę przez otwór gębowy – powiedział Glinn. – Sonar Dopplera wychwytuje silny prąd.

Nagle George wzbił się pod kątem w górę, kierując się prosto ku rozwierającej się paszczy. Ogromny otwór gębowy wypełnił się wodą i odwrócił w stronę łodzi podwodnej, pulsując i poszerzając się.

– Zatrzymaj się! – rozkazał Frayne'owi Glinn przez kanał publiczny. – Wycofaj się!

George przyspieszył, pochwycony przez prąd. W chwili, gdy rozległ się rozkaz, Gideon poczuł, że jego batyskaf jest unoszony w górę i ściągany w stronę baobabu. Pchnął dźwignik sterowania w bok, próbując wyrwać się z mocy prądu. Poczuł, że John jest zasysany w stronę istoty, usłyszał aż nadto znajome dudnienie wody uderzającej o kadłub... Jednakże jego pojazd zdołał się wyrwać, rozdygotany przez nagłą turbulencję. Gideon natychmiast zawrócił, oddalając się od monsturalnej istoty i wycofując się z pełną prędkością. Gdy znalazł się w bezpiecznej odległości od baobabu, zatrzymał i obrócił pojazd.

A potem patrzył z przerażeniem, jak George, przyciągany coraz bliżej, zaczyna koziołkować w strugach silnego prądu. Po chwili pojazd w całości zniknął w paszczy potwora. To było przerażające déjà vu – Gideon ujrzał cień batyskafu wnikający przez półprzezroczysty przelyk, zaraz potem pień naprężył się mocno, rozległo się głośne pyknięcie i w wodzie rozeszła się chmura wyrzuconych gwałtownie bąbli powietrza.

Przez hydrofon usłyszał nagle głos Frayne'a, spokojny, dziwny, odległy:

– Kim jesteś...?

39

Gideon otworzył włącznik kiosków i podciągnąwszy się w górę, opuścił wnętrze Johna, łapczywie chłonąc świeże powietrze. Boże, jak się cieszył, że znowu jest na pokładzie statku. To, czego niedawno był świadkiem, wstrząsnęło nim do głębi. Alex przynajmniej walczyła do końca. Tymczasem Frayne wpłynął prosto w paszczę potwora. Czy był pijany? Przez iluminator nie wyglądał na pijanego. Niemniej jego zachowanie nie było normalne. Przypominał robota albo zombi.

Poczuł czyjeś dłonie podtrzymujące go, gdy zszedł po drabince. Kiedy stanął na pokładzie, niemal ugięły się pod nim nogi: to Garza go przytrzymał. Mężczyzna wydawał się spięty i podenerwowany, nawet Glinn nie był jak zazwyczaj nieodgadniony.

– Co, u diabła, strzeliło Frayne’owi do łba? – wysapał Gideon.

– Nikt z nas tego, kurwa, nie wie – odparł Garza.

Gideon był wdzięczny, że tamten zaoferował mu pomocną dłoń, bo potrzebował czasu, by się pozbierać.

– Już dobrze – powiedział po chwili.

Garza przestał go podtrzymywać i cofnął się o krok.

– Ustaliliście, kto mu pomógł? – spytał Gideon, wygładzając ubranie.

– Reece, jeden z jego współpracowników w laboratorium. Przesłuchaliśmy go i twierdzi, że nic nie zrobił, chociaż mamy nagranie, na którym obsługuje dźwig hydrauliczny i spuszcza George’a do wody. Twierdzi, że musi mieć amnezję. – Garza parsknął drwiąco. – Teraz siedzi w brygu.

Gideon odwrócił się do Glinna.

– A ty co o tym myślisz?

– Jedyne racjonalne wyjaśnienie, jakie mi w tej chwili przychodzi do głowy, jest takie, że Frayne był naćpany. Może nawet nie wiedział, co robi.

Wyraz skupienia i zaangażowania, jaki Gideon zobaczył na twarzy Frayne’a, nie wskazywał na to, że mężczyzna mógł być pod wpływem jakichś środków odurzających. A poza tym jak przekonał swojego partnera z laboratorium, by mu pomógł?

– Jesteś pewien, że Frayne i ten drugi nie próbowali dokonać sabotażu? – zapytał Gideon.

– W czym imieniu?

– Może władze Chile wciąż są wkurzone, że Rolvaag zatopił Almirante Ramireza i umieściły na pokładzie sabotażystę.

– To całkiem możliwe – przyznał Glinn.

W ich stronę przez pokład przeszła pierwsza oficer Lennart. Jej wysoka postać robiła wrażenie.

– Panie Glinn? Zbliża się pojazd powietrzny. Śmigłowiec.

Glinn odwrócił się gwałtownie.

– Skąd?

– To EC155 nadlatujący z Ushuaia w Argentynie, ale zarejestrowany w Stanach Zjednoczonych. Pilot mówi, że przywozi nam pasażera.

– Pasażera? Kto to może być, do diabła?

– Tego nie powiedział. Prosi o pozwolenie na lądowanie.

– Odmów, dopóki nie powie nam, kim jest ten pasażer.

– Przykro mi, ale zgodnie z prawem morskim musimy zezwolić na

lądowanie. Muszą zatankować, nie mają dość paliwa na powrót.

Glinn pokręcił głową.

– Niech na lądowisku dla helikopterów czeka uzbrojona ochrona. Nie chcę, żeby ten śmigłowiec odleciał, dopóki nie dowiemy się, kto to jest i czego chce.

– Na platformie lądowiska stoi nasza maszyna – rzekła Lennart. – Trzeba będzie ją poderwać w powietrze, aby tamten helikopter mógł wylądować. To oznacza, że nie możemy ich tu trzymać zbyt długo.

Glinn odwrócił się.

– Zatrzymamy ich tu dostatecznie długo, aby ustalić, w co grają. Gideonie, Manuelu, pobierzcie broń i spotkajcie się ze mną przy lądowisku dla helikopterów.

Lądowisko znajdowało się na śródokręciu przed hangarem dla pojazdów głębinowych. Gdy wzięli broń i ruszyli do metalowych schodków prowadzących na lądowisko, usłyszeli odgłos startującego ich własnego śmigłowca AStar. Stojąc w przejściu, Gideon patrzył, jak maszyna wzbija się w górę i kieruje na południe, by zawisnąć w powietrzu w pewnej odległości od Batavii. Niebawem dał się słyszeć nowy dźwięk: ciche brzęczenie drugiego śmigłowca nadlatującego z przeciwnej strony. Wychodząc na platformę, Gideon spojrzał w tym kierunku i zobaczył zbliżający się bardzo szybko od strony czystego błękitnego nieba duży helikopter. Tkwiąca przy jego biodrze pięćdziesiątka, pistolet, który mu wydano, wydawała się ciężka i zimna.

Wraz z Glinnem, Garzą i ekipą ochrony zajął pozycje na obrzeżach lądowiska, kuląc się u podnóża schodów, by znaleźć się poza zasięgiem podmuchów powietrza z wirników i by w razie strzelaniny mieć się za czym schronić. Kiedy ogromny śmigłowiec zbliżył się i zaczął podchodzić do lądowania, Gideon uniósł głowę i patrzył na niego spod przymrużonych powiek.

Ryk ucichł. Glinn zaczął wykrzykiwać rozkazy przez mikrofon połączony ze słuchawkami.

– Ochrona, zabezpieczcie maszynę. Chcę znać odpowiedzi, zanim będą mogli zatankować i pozwolimy im odlecieć.

Trzej ochroniarze z pistoletami w dłoniach zbliżyli się do maszyny od strony kokpitu. Glinn wyprostował się.

– Chodźcie ze mną – polecił.

Weszli po schodkach i przystanęli z dwóch stron helikoptera. Tymczasem tylne drzwiczki kabiny otworzyły się i wyleciała stamtąd mocno poobijana, znoszona skórzana torba, a po chwili wysiadł mężczyzna. Był bardzo chudy, prawie wymizerowany, jego ogorzała, poorana bruzdami twarz miała fakturę brunatnej wyprawionej skóry, niebieskie oczy błyszczały pełne podejrzliwości i nieskrywanej wrogości.

Przystanął, świdrując wzrokiem jedną osobę po drugiej. Na widok mężczyzny Glinn wstał i wsunął pistolet za pasek. Mężczyzna zatrzymał spojrzenie

na Glinnie, po czym przeniósł je na Garzę, który schował pistolet do kabury i zrobił zgorzkniały grymas.

– McFarlane – powiedział w końcu Garza. – Sam McFarlane. Ty sukinsynu.

– Taa – mruknął po chwili McFarlane z uśmiechem, który nie miał w sobie ani krzty radości. – Przybyłem. I teraz wszystko naprawdę się popieprzy.

Glinn szybko odwołał ochronę i wydał pozwolenie na zatankowanie i odlot EC155.

– Do mojej kajuty – powiedział tylko, zwracając się do Gideona, Garzy i nowo przybyłego.

Kilka minut później znaleźli się w dużej kabinie Glinna. Zanim zdążyli usiąść, Garza zwrócił się do McFarlane'a:

– Co tu robisz?

McFarlane posłał mu gorzki uśmiech.

– Kto raz był w zespole, pozostaje w nim na zawsze.

– Jak się o nas dowiedziałeś? I skąd wytrzasnąłeś helikopter? Z tego, co słyszałem ostatnio byłeś splukany i handlowałeś marnej jakości meteorytami.

McFarlane nie odpowiedział. Usiadł spokojnie, zakładając nogę na nogę, i popatrzył niewzruszonym wzrokiem na Glinna.

– Miło znów widzieć cię w dobrym zdrowiu, Eli.

– Dziękuję.

Garza nie usiadł.

– Mów, skąd się dowiedziałeś.

– Mam za sobą długą podróż – odparł McFarlane. – Dotarcie tu zajęło mi czterdzieści osiem godzin. Myślisz, że dałoby się załatwić filiżankę kawy? Dwie śmietanki, dwie saszetki cukru. Chętnie zjadłbym też bułeczkę na ciepło z masłem. – Te słowa, wypowiedziane z naciskiem i charakterystycznym zmarszczeniem brwi dla osiągnięcia możliwie jak najbardziej wyniosłego efektu, skierował do Garzy.

Gideon spojrzał na przybysza. Czy to naprawdę był Sam McFarlane, łowca meteorytów, o którym tyle słyszał? Chyba tak, bo przecież rozpoznał tę twarz z nagrań wideo odzyskanych z wraku Rolvaaga. Ale ten mężczyzna wyglądał teraz inaczej – zupełnie inaczej.

Glinn sięgnął po krótkofalówkę i coś powiedział, po czym ją odłożył.

– Załatwione. A teraz, powiedz nam, proszę, Sam, skąd dowiedziałeś się o naszym projekcie i co tutaj robisz.

– Wynajął mnie Palmer Lloyd.

Słowa te sprawiły, że w kabinie zapanowała głucha cisza.

– A to dobre – rzekł Garza. – Zdrajca wynajęty przez szaleńca.

Glinn uciszył go uniesieniem ręki.

– Mów dalej.

– Kilka dni temu odebrałem telefon od Lloyda. Zaprosił mnie do swojego wypasionego domu wariatów, opłacił mi przelot. – Pokręcił głową. – To dopiero

przeżycie. Ale powiem ci jedno: ten człowiek nie jest szalony. Jest normalny jak my wszyscy. Prosił, wręcz błagał, żebym tu przybył.

– W jakim celu? – rzucił szorstko Garza.

– Aby ocalić was wszystkich przed wami samymi.

– Jak zamierzasz to zrobić? – spytał łagodnym tonem Glinn.

– Powiedział, że ty, Eli, znów zachowujesz się egoistycznie, że nie myślisz racjonalnie i choć wydaje ci się, że nad wszystkim panujesz, jest dokładnie na odwrót. Powiedział też, że jeżeli nadal będziesz się tak zachowywał, ponownie poniesiesz porażkę i po raz kolejny zginą przez ciebie niewinni ludzie. Tak jak poprzednio.

– Mówił coś jeszcze?

– Twierdzi, że porażkę masz we krwi. Że urodziłeś się, by przegrywać. I że instynktownie szukasz po temu okazji.

– Rozumiem. – Przez cały monolog McFarlane'a wyraz twarzy Glinna nie zmienił się. – To jak miałbyś nas ocalić?

– Mam powstrzymać wszelkie idiotyczne rozwiązania. Ostrzec cię, gdy znów spróbujesz wszystko spieprzyć. Lloyd wyznaczył mi rolę interweniującego anioła.

– Jak długo mamy jeszcze słuchać tych bzdur? – spytał Garza. – Możesz sobie interweniować, ile dusza zapagnie, ale zamknięty w brygu.

Gideon nasłuchiwał, ale nie zamierzał brać udziału w tej kłótni. Postanowił, że nie da się w nią wciągnąć. Jego zdaniem obecność McFarlane'a była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, bo stanowił jeszcze jedną zmienną w równaniu. Ten facet mógł być zabawnym sukinsynem, ale jego pojawienie się zapowiadało nieprzewidywalne destrukcyjne zmiany.

Rozległo się pukanie do drzwi i do kabiny wszedł steward z tacą, na której stały dzbanek z kawą, filiżanki, talerzyk z kapsułkami ze śmietanką i saszetkami z cukrem oraz drugi z bułeczkami z masłem. Postawił tacę na stole. Glinn podziękował i steward opuścił kajutę. Gdy Glinn zaczął nalewać kawę McFarlane'owi, zapytał:

– A jak zamierzasz zostać tym interweniującym aniołem?

McFarlane wziął filiżankę i napił się. Glinn zaczął nalewać kawę dla pozostałych.

– Włączcie mnie do zespołu – rzekł McFarlane. – Dajcie mi pełen dostęp. Pozwólcie swobodnie przemieszczać się po statku. I tym razem posłuchajcie, co mam do powiedzenia.

Garza pokręcił głową z niedowierzaniem, oburzony taką impertynencją.

– Zgoda – rzekł Glinn.

Garza spojrział na niego zdziwiony.

– Co?

– Gideonie, powierzam ci wdrożenie doktora McFarlane’a i poinformowanie go o dotychczasowym przebiegu naszej misji.

Glinn odwrócił się.

– Manuelu, puśćmy przeszłość w niepamięć i spójrzmy w przyszłość. Sam, radziłbym ci zmienić ton, który jest niedojrzały i ani trochę do ciebie nie pasuje.

Garza wpatrywał się w Glinna.

– Naprawdę zamierzasz pozwolić, żeby ten pajac dołączył do naszej ekipy? Po tym wszystkim, co się stało? Jaka ma być jego rola?

– Doktor McFarlane – odparł Glinn – będzie naszą pokładową Kasandrą.

Kilka godzin później Gideon ubrany w ochronny kombinezon antyradiacyjny z maską gazową niezwykle ostrożnie operował niewielkim podsufitowym dźwigiem suwnicowym, by połączyć dwie złożone już półkule bomby atomowej. Plutonowy rdzeń spoczywał na swoim miejscu – powleczone dwudziestoczerokaratowym złotem lśnił jak złote jabłko w samym środku ułożonego warstwami urządzenia implozyjnego. Dwie półkule wyglądały jak rozcięty egzotyczny owoc. Urządzenie zostało tak zaprojektowane, by jego części można było połączyć dzięki przemyślnie rozmieszczonym zintegrowanym wpustom i wtykom. Otaczające rdzeń soczewki z kruszącego materiału wybuchowego także rozmieszczono z zegarmistrzowską precyzją. Ładunki kierunkowe miały różne kolory – te o zwiększonej sile i prędkości wybuchu były czerwone, te słabsze i wolniejsze – białe. Stworzono je tak, by zogniskowały falę eksplozji do wnętrza niewielkiej kuli i wywołały równomierną kompresję rdzenia do stanu nadkrytycznego.

Standardowy materiał wybuchowy wydzielał słabą chemiczną woń przywodzącą na myśl plastik. Przypominało to Gideonowi lata spędzone w laboratorium w Los Alamos, kiedy był członkiem programu Stockpile Stewardship. Broń jądrowa starzała się w skomplikowany sposób, a zachowanie krajowego arsenału w takim stanie, aby bomby były gotowe do użytku, często oznaczało rozbieranie ich i zastępowanie starzejących się elementów nowymi – skądinąd procedury te przypominały to, czym się zajmował obecnie.

Posługując się dwoma joystickami, uważnie operował dźwigiem, dokonując drobnych korekt, aż w końcu obie półkule idealnie połączyły się, a wtyki i kable trafiły do odpowiednich otworów, podobnie jak części stanowiące elementy inicjatora soczewek wybuchowych. Przeprowadził szybką kontrolę układów elektrycznych i potwierdził, że zostały zamontowane jak należy i funkcjonują prawidłowo.

Wzdłuż całego obwodu zewnętrznej powłoki obu półkul z nierdzewnej stali biegingy dwa kołnierze z równoległe umieszczonymi otworami. Zaczął wkładać śruby mocujące do otworów i zabezpieczać je masywnymi nakrętkami.

W pewnej chwili wyczuł za sobą czyjąś obecność, wyprostował się i odwrócił. To był ten nowy. Sam McFarlane. Gideon zezłościł się, że ktoś mu przeszkadza – i w dodatku podkradł się do niego niepostrzeżenie. Przecież przez godzinę dzielił się z McFarlane'em wszystkimi informacjami na temat przebiegu wyprawy, czego mógł chcieć jeszcze?

– Wstęp wzbroniony – rzekł Gideon.

McFarlane wzruszył ramionami.

– Powinieneś mieć na sobie kombinezon.

– Nie potrzebuję.

Gideon patrzył na niego. To była naprawdę niepożądana wizyta. Powinien był zamknąć drzwi na klucz. I wtedy przypomniał sobie, że to zrobił; McFarlane musiał skądś zdobyć klucz.

– Standardowy materiał wybuchowy ma właściwości toksyczne, a pluton i polon, gdybyś tego nie wiedział, są trujące i radioaktywne.

– Ani trochę się tym nie przejmuję.

– Wobec tego w czym ci mogę pomóc? – zapytał z nieskrywanym rozdrażnieniem w głosie.

– Robię obchód. Próbuję ustalić, jak zamierzasz zabić to coś. Twoim zadaniem jest wdrożenie mnie we wszystkie szczegóły, pamiętasz?

McFarlane rozejrzał się dokoła.

– A więc to jest to – sedno sprawy. Bomba atomowa.

Gideon pokiwał głową.

– Jakiego rodzaju?

– Implozyjnego. Z plutonowym rdzeniem.

Gideon zastanawiał się, co McFarlane wie o budowie bomb atomowych.

– Moc?

– Około stu kiloton.

– Nikt nigdy nie zdetonował bomby atomowej na trzech i pół tysiącach metrów pod wodą. Policzyłeś, jak taka głębokość wpłynie na rozmiar eksplozji?

Gideon trochę się zdziwił, że McFarlane zwrócił uwagę na najbardziej niepewny i newralgiczny punkt całej operacji.

– To skomplikowana symulacja komputerowa. Ciśnienie wody prawdopodobnie spotęguje efekt fali uderzeniowej, ale złagodzi skutki eksplozji. I całkowicie wytłumi promieniowanie – woda powstrzyma neutrony.

– Jak zamierzasz dostarczyć bombę na miejsce?

Gideon zawahał się. Pewne rzeczy były ściśle tajne nawet na pokładzie statku.

– Glinn powiedział, że mam nieograniczony dostęp do wszystkich informacji – przypomniał McFarlane.

– W hangarze pod plandeką mamy specjalny, zdalnie sterowany, wielofunkcyjny pojazd głębinowy. To on dostarczy bombę.

– I twoje wyliczenia wykazują, że broń jądrowa zniszczy to coś?

– Wybuch unicestwi pień i konary. Fala uderzeniowa emanująca z epicentrum to w rzeczywistości fala sejsmiczna, która zniszczy nawet struktury komórkowe tego bytu, roznosząc go na miazgę. I tu okaże się przydatne ciśnienie rzędu czterystu atmosfer.

– A to, co spoczywa pod powierzchnią dna oceanu? Czy to również zostanie

unicestwione?

- Fala ciśnieniowa wniknie w podłoże i zniszczy układ korzeniowy.
- Jak głęboko wniknie w dno?

Tu właśnie symulacja zaczęła zawodzić, nie pomagało nawet żyłowanie do granic możliwości pokładowego superkomputera. Gideon nie zamierzał jednak mówić tego McFarlane'owi.

– Cóż, najprawdopodobniej wyjałowi grunt w promieniu jednej mili do głębokości co najmniej dwustu metrów.

– Do dwustu metrów. – McFarlane uniósł brwi. – A jak rozległy jest układ korzeniowy tej istoty?

– Nie mamy pewności. Od początku zakładano, że jeśli zgładzimy część organizmu znajdującą się nad powierzchnią gruntu, unicestwimy całą istotę.

- A jeśli ma pod ziemią jeszcze inne mózgi?

Gideon wziął głęboki oddech.

- Posłuchaj, Sam. Mogę tak do ciebie mówić?
- Oczywiście.

– Możemy tak sobie gdybać do wieczora, a ja mam tu jeszcze sporo pracy. Może powinieneś pomówić o swoich wątpliwościach z Glinnem.

McFarlane spojrzał na niego przenikliwie.

- Rozmawiam o nich z tobą.
- Dlaczego?

– Bo nie szanuję ani Glinna, ani Garzy. Widziałem, jak zachowywali się w ostatnich godzinach przed zatonięciem Rolvaaga. Glinn to obsesyjny neurotyk. Manuel jest wspaniałym inżynierem, ale nie ma za grosz wyobraźni, co czyni go podwójnie niebezpiecznym.

- Rozumiem.

– Jeżeli chcesz znać moje zdanie... – McFarlane przerwał i spojrzał na Gideona. – Chcesz?

Gideon miał wielką chęć odpowiedzieć „nie”, ale uznał, że mimo wszystko lepiej będzie posłuchać.

- Jasne.

– Twoja bomba nie zadziała. Owszem, zniszczy strukturę obcego organizmu znajdującą się nad dnem oceanu, ale zasadnicza jego część jest ukryta pod spodem. To coś ma zbyt dobry zmysł inżynierski, aby mogło być aż tak bezbronne. Nie załatwisz go całego – ta broń ma zbyt małą moc.

– Skoro nie bomba atomowa, to co? – spytał Gideon z coraz większą irytacją w głosie.

- Zanim podejmiesz ostateczną decyzję, potrzebujesz więcej informacji.

- Jakich?

- Wiele lat temu, kiedy dopiero zaczynałem jako wolny strzelec, łowca

meteorytów, nająłem się na pewien czas do pracy jako poszukiwacz złóż ropy naftowej. To było w Odessie w Teksasie. Szukaliśmy nowych złóż ropy. Wiesz, jak to robiliśmy? Rozmieszczaliśmy na powierzchni niewielkie ładunki wybuchowe z czujnikami sejsmicznymi. Następnie przeprowadzaliśmy eksplozje, które wywoływały impulsy fal sejsmicznych rozchodzące się wewnątrz ziemi, wychwytywane przez te czujniki. Komputer przetwarzał otrzymane informacje i tworzył obraz tego, co znajdowało się pod ziemią – warstw skalnych, linii uskoków, przerw i oczywiście ukrytych złóż ropy.

– Sugerujesz, żebyśmy zrobili coś takiego tutaj?

– Jak najbardziej. Trzeba zmapować to, co znajduje się pod dnem. Musisz mieć pewność, że unicestwisz to coś w całości.

Gideon spojrzął na McFarlane'a, a ten nachylił się ku niemu; jego bladoniebieskie oczy błyszczały, co zaniepokoiło Gideona. Łowca meteorytów miał trochę za bardzo przyspieszony oddech. Był chudy jak tyka i ubrany w stare wyświechtane ciuchy jak bezdomny. Mimo to, wbrew temu, co Gideon wiedział o McFarlanie, uznał jego sugestię za całkiem trafną. To był naprawdę dobry pomysł.

– Moglibyśmy to zrobić.

– Czułem, że jesteś osobą, która potrafi słuchać. – McFarlane wyciągnął rękę i uścisnął dłoń Gideona. – Opracuję wzorzec rozmieszczenia ładunków. Ty przygotuj materiały wybuchowe i czujniki sejsmiczne. Zrobimy to razem. Od tej chwili jesteśmy partnerami.

– Nie, nie partnerami. Wspólnikami w spisku.

Dwa pokłady wyżej w laboratorium akustyki morskiej Wong i Prothero monitorowali urządzenie, które technicy z centrum dowodzenia opuścili na dno oceanu w odległości ośmiuset metrów od obcego organizmu. Wong miała na głowie zestaw słuchawkowy z mikrofonem, przez który słyszała nosowy głos Prothera.

– Mogę zacząć nadawać wokalizację płetwala błękitnego, pytanie „Kim jesteś?” – powiedział. – To dźwięk wydawany przez dwa płetwale błękitne zbliżające się do siebie z pewnej odległości, rodzaj wielorybiego powitania. Zobaczmy, jak zareaguje baobab. Jesteś gotowa?

– Tak.

– To zabrzmiało inaczej niż to, co słyszeliśmy do tej pory. Te dźwięki zostały przyspieszone dziesięciokrotnie dla lepszej wyrazistości. Prawdziwe wokalizacje mają zakres od dziesięciu do trzydziestu dziewięciu herców. Człowiek nie słyszy dźwięków poniżej dwudziestu herców, więc będzie to raczej cichy dźwięk przypominający jąkanie i prawdopodobnie w ogóle go nie wychwycisz.

– Rozumiem.

– Zamierzam odtwarzać go przez minutę, a potem zrobimy pięciominutową przerwę. – Prothero manipulował przy kilku pokrętkach. – Zaczynam odtwarzanie.

Dla Wong brzmiało to rzeczywiście jak serie wyjątkowo cichych jęków i uporczywego jąkania. Trwało minutę, po czym zapadła cisza. Wong nasłuchiwała w oczekiwaniu na odpowiedź. Minęło pięć minut. Nic.

– Spróbuję jeszcze raz – rzekł Prothero. – Podwyższę amplitudę.

Znów odtworzył wielorybie powitanie. Kiedy dobiegło końca, przez mniej więcej minutę panowała cisza, aż wreszcie Wong usłyszała inny głęboki dźwięk, całkiem inny: długi, przeciągły jęk, a poza nim jakby jąkanie, które z wolna ucichło. Potem dał się słyszeć drugi dźwięk, także długi i cichy. Poczowała, że serce zaczyna tłuc się jej w piersi. To było tyleż niespodziewane co niesamowite: ta istota odpowiedziała. Nawiązali kontakt z obcą inteligencją. Co więcej, Wong słyszała, że baobab nie powtórzył tak po prostu tego, co przed chwilą odtworzyli, lecz wyemitował zupełnie nowy komunikat.

– Słyszałaś to? – rzucił Prothero podekscytowany jak nastolatek. – Kurwa mać! To do nas mówi! Twoja teoria, że bezmyślnie powtarza to, co usłyszysz, właśnie trafiła do kosza.

– To fakt – przyznała Wong.

Przez chwilę zastanawiała się, co by się stało, gdyby powiedziała Protherowi, co o nim myśli. Nie... to mogło zaczekać. Może gdy wrócą do portu, z którego wypłynęli.

– Dobra, zamierzam powtórzyć.

Rozległa się wokalizacja płetwala błękitnego. I pojawiła się odpowiedź, tym razem szybsza i głośniejsza.

– Nagrywasz to? – spytał z przejściem Prothero.

– Oczywiście.

– Nie wiem, co to znaczy, ale do cholery, dowiemy się tego. Zróbmy to jeszcze raz.

Powtórzyli pytanie i otrzymali tę samą odpowiedź.

– Wong, przepuść ten dźwięk przez naszą bazę danych i sprawdź, jaką uzyskamy zgodność.

– Już to zrobiłam.

Komputer szybko znalazł tuzin podobnych sygnatur w rozległej bazie danych dźwięków płetwali błękitnych zgromadzonej przez Prothera. I Rosemarie znów zaczęła ustalać okoliczności, w jakich odgłosy te zostały zarejestrowane, po czym przesłała wyniki do stanowiska Prothera. Przez chwilę pracował w milczeniu.

– No dobra – powiedział. – Mam wstępne tłumaczenie. Odpowiedzi baobabu to trzy wyraźne dźwięki. Pierwszy wydaje się mieć coś wspólnego z czasem. Jest naprawdę przeciągły i myślę, że może znaczyć „długo” albo „dawno temu”.

Znów stukanie w klawiaturę. Prothero mamrotał do siebie, powtarzając „kurde mol” i „ja cię kręcę”, co, chcąc nie chcąc, Wong słyszała.

– Dobra – powtórzył. – Druga wokalizacja wiąże się z odległością. Także jest bardzo przeciągnięta, więc prawdopodobnie oznacza „wielką odległość”. Albo raczej „daleko stąd”. Właśnie tak. A więc zapytaliśmy to coś: „Kim jesteś?, a ono odpowiedziało: „Dawno temu. Daleko stąd”.

Wong poczuła lodowaty dreszcz na plecach. To była bez wątpienia niesamowita chwila.

– No i jeszcze trzeci dźwięk. Brzmi jak ostrzeżenie emitowane przez wieloryby napotykalące sieć rybacką albo trał. – Przerwał. – „Sieć”. Nie wiem, co o tym myśleć. Zwłaszcza że nie pasuje do dwóch pozostałych, ale... – Prothero ożywił się. – Zdajesz sobie sprawę, co właśnie zrobiliśmy? – zapytał triumfalnym tonem, jakby właśnie uświadomił sobie ogrom swojego odkrycia. – Jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy nawiązali kontakt z obcą inteligencją! Kurwa mać! To coś mówi nam, że przybyło z daleka i trwało to bardzo długo. Jak w napisach rozpoczynających *Gwiezdne wojny*: „Dawno, dawno temu, w odległej galaktyce...”.

Lodowaty dreszcz wstrząsnął nią bardziej. Wong nie miała pojęcia, dlaczego nagle tak się poczuła, ale odnosiła wrażenie, że w tym przekazie zawierał się cały bezmiar zagubienia i osamotnienia. „Dawno temu, daleko stąd...”. To nie przypominało wiadomości, było raczej wołaniem o pomoc. No i jak do tego wszystkiego miało się trzecie słowo „sieć”?

Z zamyślenia wyrwał ją głos Prothera.

– Do roboty. Sprawdźmy, o co jeszcze możemy zapytać to coś, i czy nam odpowie.

Ale nic więcej nie uzyskali. Odtwarzali dźwięki przez kolejną godzinę, jednak odpowiedź nie nadeszła. Zupełnie jakby obcy był z nieokreślonego powodu zamilkł.

Gideon cieszył się, że przebywa w centrum dowodzenia, a nie w schodzącym pod wodę pojeździe głębinowym. Zajął miejsce przy swojej konsoli i wraz ze wszystkimi innymi osobami, które się tu znajdowały, wpatrywał się w główny ekran. Obok niego stał McFarlane, cichy i skupiony. Nowy członek zespołu szybko zapoznał się z projektem, wszędzie było go pełno, odwiedził każde laboratorium, warsztat i stanowisko robocze, zyskując sobie przy tym wielu wrogów. Gideon zauważył, że wiele osób na pokładzie nie tylko nie lubiło McFarlane'a, ale wręcz się go obawiało. Był jak ktoś, kto przeszedł przez ogień, doznając rozległych poparzeń, jak ktoś zupełnie już wypalony i niedbający o konwenanse: mówił prawdę prosto w oczy, bez ceregieli i bawienia się w uprzejmości, które uważał za zbędne i bezsensowne. Tylko Prothero wydawał się rozbawiony, wręcz urzeczony jego bezkompromisową postawą.

Patrzyli, jak zdalnie sterowany Ringo unosi się nad dnem oceanu pięćdziesiąt metrów od baobabu, rozstawiając ładunki wybuchowe i czujniki sejsmiczne. Obcy byt chyba trochę się uspokoił, gdy tylko w jego pobliżu pojawił się pojazd głębinowy.

– Ta istota jest jak kot – rzekł McFarlane, który przyjął na siebie rolę osoby dozorującej przebieg całej operacji, nie spotykając się ze sprzeciwem ze strony reszty załogi. – Nieruchomieje i czeka, aż ptak podejdzie bliżej.

Gideon znów się zdziwił, słysząc tak wnikliwe spostrzeżenie, zbieżne z jego przemyśleniami. Ale plan był taki, że DSV nie podpłygnie już bardziej do obcego bytu, miał pozostać – tak zakładali – poza zasięgiem groteskowego, zasysającego wodę otworu gębowego pozaziemskiej istoty. Na szczęście ładunków wybuchowych nie trzeba było rozmieszczać aż tak blisko. Chodziło o to, by zmapować obrzeża podziemnej sieci korzeni.

To był długi proces. W centrum dowodzenia zostało niewiele osób; operacja została zarządzana spontanicznie. Glinn zdecydował, że pozyskane informacje mają zostać utajnione, wyłącznie do użytku ścisłego kręgu osób, w celu powstrzymania szalonych spekulacji i szerzących się na statku fantastycznych pogłosek. Pod pewnymi niechlubnymi względami statek przypominał małe miasteczko. Gideon nie mógł się nadziwić, że normalni, wykształceni ludzie rozpowszechniają zjadliwe, niebezpieczne plotki, powtarzające i wyolbrzymiające nawet najdrobniejsze rzeczy, że wdają się w pretensjonalne spory i absurdalne różnice zdań. To była miara toksycznych lęków i stresów obecnych na pokładzie statku.

– Mówiłeś, że nauczyłeś się tego, poszukując złóż ropy? – zwrócił się Gideon do McFarlane'a.

– Tak. Potem próbowałem wykorzystywać tę metodę do poszukiwania meteorytów. Uznałem, że będzie idealna do wyszukiwania dużych, ciężkich obiektów pod ziemią.

– Udało się?

– Nie. Próbowałem tego w kraterze Boxhole w pobliżu Alice Springs w Australii. Ale nie było tam żadnego wielkiego obiektu o dużej masie, który można by znaleźć. Ciało pozaziemskie musiało w momencie uderzenia wyparować. Czterdzieści patoli wyrzucone w błoto. Stałem się bankrutem.

– Jak doszło do tego, że dołączyłeś do ekipy Rolvaaga i wziąłeś udział w tamtej ekspedycji?

– Patrząc na mnie, pewnie w to nie uwierzysz, ale byłem kiedyś najbardziej fartownym łowcą meteorytów na świecie. Mój były partner Nestor Masangkay znalazł olbrzymi meteoryt na jednej z wysepek niedaleko przylądka Horn. Zginął, zanim zdążył go wydobyć. Palmer Lloyd dowiedział się o tym znalezisku i wynajął mnie, a także Elego i jego firmę inżynierską, żeby zdobyć meteoryt. Udałem się tam na pokładzie Rolvaaga z ekipą Glinna, aby wykopać tę skałę. Jestem pewien, że znasz tę historię. Wskutek zbrodniczych działań statek poszedł na dno, a to cholerstwo zostało zasiane, trafiając tam, gdzie od początku chciało się znaleźć.

– W takim razie czemu Lloyd wynajął cię do udziału w tej wyprawie?

– Słyszałeś, co powiedziałem w kajucie Glinna. Lloyd widział, jak się zachowywałem w ostatnich godzinach przed zatonięciem Rolvaaga. I nie bez racji uznał, że mam lepsze kwalifikacje, by poradzić sobie z trudną sytuacją niż dwaj panowie G.

– Czyli Glinn i Garza.

– Tak. – McFarlane skierował spojrzenie niebieskich oczu na Gideona. – A teraz ja mam pytanie do ciebie.

– Wal.

– Jak to się stało, że Glinn wyzdrowiał? Kiedy ostatnio o nim słyszałem, jeździł na wózku inwalidzkim, był ślepy na jedno oko i prawie nie miał władzy w jednej ręce.

To niespodziewane pytanie na chwilę wytrąciło Gideona z równowagi.

– On... przeszedł pewną... eksperymentalną kurację medyczną.

– Eksperymentalną? Mnie to raczej wygląda na cud. Gdyby nie był tak zatwardziałym ateistą, powiedziałbym, że musiał żarliwie modlić się do świętego Judy Tadeusza.

Gideon zmienił temat.

– Nie wiedziałem, że Glinn jest ateistą.

– Dziwisz się? On nie wierzy w nic poza samym sobą. A wszyscy wiemy, że ma o sobie boskie mniemanie.

Pojazd głębinowy Ringo zakończył rozstawianie ładunków i sejsmometrów

i zaczął wznosić się ku powierzchni. Kiedy tylko znajdzie się na tysiącu metrach, miano odpalić ładunki i dokonać pomiaru wyników: Glinn nie chciał ryzykować, że istota znów się uaktywni albo że kable łączące sejsmometry z powierzchnią zostaną odłączone.

Gwar w centrum dowodzenia zaczął narastać, gdy zaczęło się odliczanie do testu sejsmicznego. Zbliżała się pora detonacji i napięcie zaczęło narastać.

Gideon odwrócił się do ekranu

– Odpalamy za dziesięć minut.

– Reakcja istoty powinna dać nam wiele cennych informacji – rzekł McFarlane. – O ile przeżyjemy tę reakcję, ma się rozumieć.

Gideon myślał dokładnie o tym samym.

– Pięć minut – rozległ się głos.

– Zrozumiałem – odparł McFarlane.

Nagle Gideon usłyszał odgłosy jakiegoś zamieszania przy wejściu do centrum dowodzenia. Mężczyzna krzychał histerycznie. Gideon spojrział w tę stronę i zobaczył jeszcze jednego z asystentów Antonelli Sax, Craiga Waingro, który kłócił się głośno z ochroną. Dziko gestykułował i wrzeszczał z niemal nadludzkim przejęciem.

– Zatrzymać wybuchy! – wołał. – Zatrzymajcie je natychmiast! – Jego głos brzmiał ochryple i dziwnie, jakby nałykał się piasku.

Dwóch funkcjonariuszy ochrony próbowało nad nim zapanować, ale Waingro zaczął atakować ich pięściami. Obaj ochroniarze wydobyli broń. Jeden z nich próbował obezwładnić asystenta, doszło do krótkiej szamotaniny i nagle Waingro się uwolnił, wrywając ochroniarzowi broń. Zaczął wymachiwać pistoletem, który niespodziewanie wypalił; huk wystrzału był ogłuszający. Rozległy się krzyki i wrzaski przerażonych ludzi próbujących znaleźć schronienie.

– Nie róbcie tego! – zawołał Waingro, wymachując pistoletem i oddając kolejne strzały na oślep. – Nawet nie próbujcie! Ostrzegam!

Drugi ochroniarz rzucił się na niego, Waingro strzelił, lecz chybił, a wtedy ochroniarz powalił go na podłogę. Dołączył do niego pierwszy ochroniarz i wywiązała się bijatyka. W pewnej chwili huknął jeszcze jeden wystrzał, po czym zapadła cisza.

Dwaj ochroniarze unieruchamiający furiata wstali, by odsłonić Waingro leżącego na podłodze z rozrzuconymi rękami i wciąż trzymającego w dłoni pistolet. Miał odstrzelony wierzch czaszki, mózg wypływał z jej wnętrza w rozlewającą się coraz szerzej kałużę krwi. Najwyraźniej trakcie szamotaniny Waingro musiał przypadkiem się postrzelić.

Gideon patrzył na to wszystko przerażony. Coś było nie tak – i nie chodziło tylko o upiorny widok martwego mężczyzny z roztrzaskaną głową. W chwili, gdy McFarlane brutalnie odciągnął go do tyłu, Gideon zobaczył i zrozumiał w czym

rzecz; rozległy się głośne westchnienia i przepełnione odrazą okrzyki ludzi, którzy ujrzeli to samo. Wszyscy zaczęli się cofać.

Z uszkodzonego mózgu mężczyzny wypełzał umazany krwią i substancją szarą ciemny robak przypominający glistę. Gdy miotał się dziko, by się uwolnić, otworzył małą paszczę, ukazując pojedynczy ostry kieł. Utorował nim sobie drogę na zewnątrz i zaczął pełznąć po podłodze, usiłując uciec.

Doktor Patrick Brambell spojrział na zwłoki Waingro, asystenta Antonelli Sax, leżące na wózku noszowym, wciąż jeszcze w zakrwawionym ubraniu po tragedii, jaka wydarzyła się przed kilkoma minutami w centrum dowodzenia. Doktor Sax stała obok niego. Ani ona, ani lekarz nie byli obecni przy tym zdarzeniu. Ale wieści zaczęły się rozchodzić i teraz na całym statku wrzało. Garza zażądał natychmiastowej autopsji i raportu na temat robaka, macki czy czymkolwiek było to paskudztwo, które wypełzło z mózgu martwego laboranta.

– A niech mnie – wymamrotała Sax, wpatrując się w ciało. – Ale bałagan.

Jednakże uwaga doktora Brambella była skupiona nie na ciele, lecz na glistowatym stworze. Ochrona dostarczyła go zamkniętego w kuwecie z nierdzewnej stali zaopatrzonej w szklaną pokrywę. Brambell poczuł dreszcz na widok tego czegoś. W zamieszaniu w centrum dowodzenia robakowi prawie udało się uciec, ale w ostatniej chwili ktoś otrząsnął się z szoku i schwytał go, nakrywając koszem na śmieci.

I oto było tutaj: szare stworzenie o średnicy ołówka i długości piętnastu centymetrów. Wiło się w pojemniku, metodycznie eksplorując każdy jego zakamarek, najwyraźniej w poszukiwaniu drogi ucieczki. Łeb tej istoty miał parę błyszczących czarnych oczu i okrągły otwór gębowy z wystającym, pojedynczym, ostrym jak brzytwa kłem z substancji przypominającej obsydian lub szkło.

– Doktorze Brambell? – rzuciła Sax. – Zaczynamy?

Włosy miała upięte pod czepkiem i nosiła tak jak Brambell kitel oraz fartuch chirurgiczny. Zachowywali się wobec siebie formalnie i Brambellowi to bardzo odpowiadało. Sax mogła poszczycić się tytułem doktorskim, i to w dodatku medycyny, więc Brambell czuł się przy niej trochę niedouczony. Jedno nie ulegało wątpliwości – była o wiele lepiej przygotowana do tego zadania, zarówno pod względem wykształcenia, jak i nastawienia emocjonalnego, niż jego tchórzliwy asystent Rogelio.

Spojrział na leżącą między nimi dużą tacę z rozłożonymi na niej starannie narzędziami do autopsji: skalpelem numer dwadzieścia dwa, dłutami do otwierania czaszki, przecinarką do żeber, kleszczami, nożycami, igłami Hagedorna, długim nożem i obowiązkową piłą Strykera.

Brambell przeprowadził wizualne oględziny zwłok. Kamera wideo pracowała. Doktor na głos relacjonował obrażenia czaszki, wygląd rany wlotowej i wylotowej, stan mózgu oraz wszystko, na co tylko zwrócił uwagę.

– Doktor Sax, zechce pani rozciąć ubranie denata?

Sax zaczęła rozcinać kolejno poszczególne elementy odzieży i odkładać je na bok. Z wyjątkiem zmasakrowanej czaszki ciało było czyste i w dobrym stanie.

Brambell poprawił wiszącą lampę używaną podczas operacji.

– Coś tu jest nie tak – powiedziała Sax. – Z nosem.

Brambell sięgnął po otoskop, włączył go i zajrzał do jamy nosowej.

– Co to? Wygląda na jakieś uszkodzenie.

Podał otoskop doktor Sax. Ona też popatrzyła.

– Myślę, że to właśnie tędy... eee... musiał dostać się ten... eee... robak.

Proszę spojrzeć, przegroda nosowa jest uszkodzona, a blaszka sitowa i kość sitowa zostały przebite. Wyglądają, jakby zostały przewiercone na wylot. Otwór ma tę samą średnicę co robak.

Brambell wziął od niej otoskop, raz jeszcze uważniej przyjrzał się jamie nosowej, po czym zgoła mimowolnie spojrzął w stronę robaka.

– Uhm – mruknął.

Stwór przestał eksplorować pojemnik. Sprawiał wrażenie, że się uspokoił, bo oparł łeb – to było najlepsze określenie tego organu – w jednym rogu kuwety z nierdzewnej stali. Doktor usłyszał ciche skrobanie.

Zsunąwszy okulary na nos, Brambell przyjrzał się uważniej temu, co się działo w pudełku. Stworzenie próbowało kłem sforsować stalową ściankę pojemnika. Z początku wydawało się to graniczyć z niemożliwością – bo jaki ząb jest w stanie przeciąć stal? – ale już po chwili Brambell zobaczył, że robakowi udało się zdrapać ze ściany drobne opiłki metalu. Powoli, lecz metodycznie stwór wycinał otwór w kuwecie.

– Wielkie nieba – powiedziała Sax, zaglądając mu przez ramię.

– No właśnie.

Brambell bez słowa sięgnął po telefon okrętowy, żeby zadzwonić do laboratorium i zarządzić, by z powodów bezpieczeństwa wszystkie inne fragmenty macki zostały zamknięte w pojemnikach ze stali nierdzewnej.

Popatrzył na Sax.

– Nikt nie odbiera.

– Prawdopodobnie laboratorium jest zamknięte na klucz. Trzeba wezwać ochronę.

Brambell skontaktował się z ochroną i polecił natychmiastowe sprawdzenie, co się dzieje z okazami – przy zachowaniu jak największej ostrożności. Rozłączył się.

– Co teraz?

Wymienili spojrzenia, po czym Sax odpowiedziała:

– Przeprowadźmy sekcję tego małego drania, zanim nam zwieje. Truposz może poczekać.

– Doskonała sugestia. – Brambell starał się nie myśleć, co mogła oznaczać cisza w drugim laboratorium.

Sięgnął po kuwetę i przeniósł ją do komory sekcyjnej, ciesząc się, że ludzie

odpowiedzialni za przygotowanie wyposażenia statku pomyśleli o zamontowaniu na jego pokładzie tego odizolowanego, sterylne go pomieszczenia do przeprowadzania sekcji. Podniósł pokrywę i wstawił do środka zamknięte pudełko. Stworzenie zaniepokojone tym, że coś się dzieje wokół niego, wyprężyło się, ukazując czarny kiel, a jego łeb zakołysał się groźnie w przód i w tył.

– Zachowuje się jak cholerna żmija – zauważyła Sax.

Brambell zamknął i zabezpieczył pokrywę. Kamera sekcyjna zawierała dwa rękawy, przez które można było manipulować narzędziami sekcyjnymi. Wsunąwszy przedramiona do rękawów, Brambell użył chwytaków, aby otworzyć nimi pojemnik. Stwór natychmiast zaatakował, uderzając chwytak, ale odbił się od niego. Uderzył raz jeszcze, po czym wypełznął z kuwety, a kiedy natrafił na ścianę, zaczął ją eksplorować, napierając i ponownie próbując naruszyć ją kłem.

Chociaż Brambell usilnie starał się zachować spokój, poczuł, że trzęsą mu się ręce. Musiał przenieść to stworzenie na platformę sekcyjną i im szybciej to robi, tym lepiej. Stwór był cały czas w ruchu, prześlizgiwał się to w jedną, to w drugą stronę. Chwyதாகami Brambell pobrał ciężki szpikulec sekcyjny, uniósł go i nagłym, zdecydowanym ruchem przebił robaka, przyszpilając go do miękkiego plastikowego podłoża.

Przy wtórze cichego, lecz odrażającego pisku stworzenie zaczęło się miotać, raz po raz uderzając kłem w unieruchamiający je szpikulec.

Oddychając ciężko, Brambell wbił jeszcze jedną igłę, a potem następną i kolejną, aż stworzenie zostało przyszpilone tak, jakby przyszyto je do plastikowego podłoża. Mimo to robił wciąż miotał się spazmatycznie, jego otwór gębowy otwierał się i zamykał, a kiel wciąż atakował lśniąco szpile, które go unieruchamiały.

– Proszę przysunąć tu stereozoom – powiedział.

Sax podjechała mikroskopem używanym podczas sekcji i zaczęła go ustawiać. Włączyła urządzenie, a przyłączony do niego ekran wideo ożył, ukazując rozmyty, powiększony obraz robaka.

Wyostrzyła zarówno obraz, jak i zoom, aż osiągnęły oczekiwane powiększenie.

– To zdumiewające, że nie umiera – wymamrotał Brambell, nachylając się nad okularom mikroskopu i ponownie wsuwając ręce do rękawów chwytaka.

Sięgnął po skalpel i uniósł go nad dolną częścią unieruchomionego, lecz wciąż skręcającego się dziko robaka. Wbił ostrze w ciało stworzenia i wykonał cięcie od ogona aż po łeb. Skóra była twarda, a Brambell miał wrażenie, jakby rozcinał plastik. Stworzenie wydało jeszcze jeden piskliwy dźwięk, tym razem głośniejszy. Cięcie odsłoniło jego wnętrzości: dość osobliwe organy – o ile można było w ogóle określić je tym mianem, bo wyglądały raczej jak pęki przewodów i półprzezroczystych włókien optycznych – oraz lśniąco czarne kulki przywodzące

na myśl kiście winogron. Układy wewnętrzne były dziwnie bezbarwne, oscylowały od czerni poprzez szarości do bieli.

Robak nieustannie się miotał.

– Wciąż nie umiera – wyszeptała Sax.

Brambell zabezpieczył krawędzie wykonanego nacięcia kolejnymi szpilami, po czym usunął wcześniejsze szpikulce. Teraz stworzenie leżało rozciągnięte i rozkrojone na platformie sekcyjnej. Znajdujące się pod rozplataną skórą organy wypłynęły na zewnątrz, gotowe do usunięcia. Czarne nici lub przewody drgały, naprężyły się i rozluźniały w miarę jak stworzenie, wciąż żywe, stawiało opór sekcji. Brambell poczuł, że robi mu się niedobrze. To coś po prostu nie chciało zdechnąć.

– Mogę spojrzeć, doktorze Brambell?

Z ulgą odsunął się od okularu.

– Jest zbyt idealny, zbyt dobrze zbudowany, żeby mógł być organizmem biologicznym. Wygląda jak jakieś urządzenie, nie uważa pan?

– Nie jestem pewien, czy się z panią zgadzam, doktor Sax. To może mieć po prostu inny rodzaj budowy. Analiza biologiczna wykazała, że to coś ma budowę węglowo-krzemowo-tlenową zamiast węglowo-wodorowo-tlenowej. Równie dobrze może być wytworem ewolucji węglowo-krzemowej.

Brambell zobaczył, że paskudny mały stwór próbuje przepiłować kłem jedno z metalowych ostrzy.

– Myślę, że te wszystkie przewody składają się na centralny układ nerwowy tej istoty – powiedział. – Pójdźmy za nimi aż do mózgu.

– Dobra myśl.

Z wielką ostrożnością Brambell rozdzielił osłony i tkanki okrywające czarne i przezroczyste nici, odsłaniając je. Przesuwając się wzdłuż nich do przodu, zauważył, że prowadziły do pęku czarnych granulek pomiędzy oczami, tuż za kłem, dokładnie w miejscu, gdzie można było się spodziewać, że powinien znajdować się mózg.

– To musi być to – powiedziała Sax.

– Zgadza się.

– Proszę to zabić.

– Z przyjemnością.

Wybrał mniejszy skalpel, włożył koniec ostrza w skupisko kulistych tworów i wykonał nacięcie. Reakcja była nagła i dramatyczna: stworzenie wydało dźwięk przypominający wysoki zawodzący jęk.

Brambell zawahał się.

– Proszę kontynuować, na miłość boską.

Podjął przerwana czynność, otwierając organ przypominający mózg. Przez stereozoom można było zobaczyć wiele złożonych struktur. Robak wydał jeszcze

jeden, już ostatni przenikliwy gwizd, zawibrował konwulsyjnie, po czym nagle znieruchomiał.

– Nie żyje – powiedziała Sax. – Nareszcie.

– Miejmy nadzieję.

Brambell kontynuował sekcję małego mózgu, wycinając skrawki, które miały następnie zostać podzielone i zbadane pod skaningowym mikroskopem elektronowym, poddane analizie biochemicznej oraz wielu innym najróżniejszym testom. Powoli pracował nad mózgiem, aż odsłonił go w całości.

Oglądany pod mikroskopem stereozoomowym, wydawał się naprawdę złożony, tworzyły go sfery wewnątrz sfer połączone niezliczonymi pękami drobnymi jak nici przewodów – neuronów? – i półprzezroczystych rurek.

Brambell w milczeniu kontynuował sekcję łba obcej istoty. Kiel, czarny i wyjątkowo ostry, miał kształt zęba rekina; jego korzeń był połączony z gęstym pękiem przewodów, które wyglądały na mechaniczne i mogły naprężyć się i poluzowywać, kontrolując ruchy kła. Sam kiel najwyraźniej nie był zbudowany z dwutlenku krzemu; SiO₂ nie byłby w stanie przeciąć stali. Brambell był przekonany, że to jakaś alotropowa odmiana węgla, prawdopodobnie pochodna diamentu.

Otwór gębowy nie prowadził do niczego, stwór nie miał przełyku, układu trawiennego, żołądka ani odbytu. Miał natomiast jeszcze jeden pęk czarnych i przezroczystych nici. Może to było urządzenie – jeżeli tak, to nie przypominało żadnego stworzonego przez człowieka.

Pracowali szybko, lecz dokładnie, dopóki nie wykonali sekcji każdego widocznego organu i nie pobrali próbek do dodatkowych badań. Jak w wypadku każdej sekcji na koniec zrobił się spory bałagan.

– Zajmijmy się teraz trupem – rzekł Brambell.

– Zanim to zrobimy – powiedziała Sax – umieścimy szczątki tego czegoś w rozdrabniarce, a następnie je spoiemy, wtedy poczuje się lepiej.

– Doskonała myśl.

Brambell posiekał szczątki, włożył je do niewielkiego pojemnika, po czym szczelnie zamknął, wyjął z komory i wrzucił zawartość do biorozdrabniarki. Szpatułką wybrał szarą przemieloną masę do niedużej laboratoryjnej spalarki i ją uruchomił. Usłyszał przynoszący ukojenie odgłos ognia, delikatny szum palnika i wentylatora zasysającego gazy powstałe przy spalaniu i usuwającego je ze statku. Trwało to dłuższą chwilę, po czym zapaliła się kontrolka wskazująca całkowite spoienie obiektu.

– Zobaczmy, co zostało? – spytała Sax.

– Czemu nie?

Brambell otworzył drzwiczki pieca i wysunął szufladę. Pośrodku pojemnika znajdowało się coś, co wyglądało jak granatowy paciorek, nie było śladu popiołu

czy żużlu, tylko błyszcząca szklana kulka.

– Niesamowite – powiedziała Sax, wyjmując okrągły paciorek przy użyciu pęsety i unosząc do światła. – Jaki piękny kolor.

Włożyła szklaną kulkę do probówki i zapieczętowała ją, oznakowując do dalszych badań.

– Doktorze Brambell, wydaje mi się, że nieboszczyk czeka.

– Tak jest.

Gdy odwrócili się w stronę ciała spoczywającego na wózku noszowym, rozległ się dźwięk okrętowego sygnału alarmowego, włączyły się migające czerwone światła i zawyły syreny. Z głośników popłynął głos. Brambell zdziwił się, bo po raz pierwszy skorzystano ze znajdującego się na statku systemu bezpieczeństwa.

„Uwaga, cała załoga! Uwaga, cała załoga! Okazy sprowadzone na pokład, będące częścią obcego organizmu wydostały się z laboratorium. Mogły się podzielić na pewną liczbę mniejszych istot przypominających węże i uzbrojonych w pojedynczy kiel. Są agresywne i wyjątkowo niebezpieczne. Cała załoga musi zachować szczególną czujność. Jeśli ktoś zauważy obcy organizm, musi wezwać ochronę. Nie wolno zbliżać się do tego stworzenia. Ta część załogi, która nie wykonuje obecnie niezbędnych czynności, ma natychmiast, powtarzam, natychmiast stawić się na pokładzie hangaru w celu otrzymania dalszych instrukcji”.

Brambell bez słowa sięgnął po długi nóż i zaczął wykonywać cięcie w kształcie litery Y od wyrostków mieczykowatych aż po kość łonową denata.

– Jeżeli o mnie chodzi, uważam, że wykonujemy obecnie niezbędne czynności.

Jakby w odpowiedzi na te słowa zadzwonił telefon pokładowy. Odebrała Sax.

– To Garza. Chce, żebyśmy stawili się na pokładzie hangaru. Glinn zarządził odprawę.

Brambell z żalem odłożył długi nóż. Przynajmniej przez pewien czas nie będzie mu dane zająć się czymś znajomym i przynoszącym ukojenie.

Gideon dołączył do Glinna i kilku innych liderów ekspedycji w głębi hangaru dla batyskafów. Glinn, który prowadził zażartą dyskusję z doktorem Brambellem i Antonellą Sax, powitał go zdawkowym skinieniem głowy. Złocista kula słońca pograżyła się w oceanie, spowijając horyzont pomarańczową poświatą. Właśnie włączono oświetlenie pokładowe, które wypełniło wnętrze pomieszczenia widmowym, żółtawym, sodowym blaskiem.

Na pokładzie panował tłok i silne wzburzenie, niektórzy rozmawiali z przejęciem, inni głośno perorowali. Gdy Gideon otaksował wzrokiem tłum, zdumiał go bezmiar strachu, a może nawet trwogi, jaką dostrzegł na wielu twarzach.

Glinn zrobił krok do przodu. Gideon miał nadzieję, że zdoła wykrzesać z siebie odrobinę uspokajającej magii, ale biorąc pod uwagę nastroje wokół, nie był tego taki pewien.

Glinn uniósł ręce i w hangarze zapanowała cisza.

– Jak wiecie, okaz, który sprowadziliśmy na pokład – i sądziliśmy, że jest to długi fragment korzenia lub macki – zniknął z laboratorium. Wiemy, że niewielkie, przypominające robaki organizmy odłączyły się od głównego okazu i zdołały zarazić jak pasożyty co najmniej trzy, a prawdopodobnie cztery osoby w laboratorium egzobiologii. Craig Waingro, asystent, który przypadkowo postrzelił się w trakcie szamotaniny w centrum dowodzenia, miał takiego pasożyta w mózgu. Tomografia komputerowa wykazała, że dwaj inni asystenci z laboratorium egzobiologii, Reece i Stahlweather także są zarażeni i w ich mózgach rozwijają się pasożytnicze organizmy. Obu zaaplikowano anestetyki, zostali związani i zamknięci w brygu.

Gwar tłumy na dźwięk tych słów jeszcze bardziej przybrał na sile.

– Proszę, mam wam jeszcze coś do zakomunikowania.

Nastała połowiczna cisza.

– Wydaje się, że pan Frayne, czołowy asystent laboratoryjny, także był zarażony, co tłumaczy, dlaczego ukradł DSV. Doktor Brambell i doktor Sax zakończyli właśnie sekcję jednego z robaków i w związku z tym mamy więcej informacji i wstępnych hipotez, którymi chcemy się z wami podzielić.

Znów głośne rozmowy i okrzyki.

– Proszę! – Garza postąpił naprzód. – Proszę o ciszę, pozwólcie doktorowi Glinnowi mówić.

– Te tak zwane robaki mają jeden kiel. Jest on zbudowany z substancji o twardości diamentu, dzięki czemu organizmy te są w stanie wygryźć dziurę w stali czy w praktycznie każdym innym materiale. Musimy zakładać, że obecnie

te robaki rozpełzły się po statku. Z tego, co zdołaliśmy ustalić – a nie jest tego wiele – wiemy, że najprawdopodobniej atakują ludzi we śnie. Usypiają ofiarę i wwiercają się do mózgu. Okres uśpienia trwa około dwóch godzin i, co również udało nam się ustalić na podstawie obserwacji, ma on postać głębokiego snu, z którego nie sposób daną osobę obudzić.

– Skąd to wszystko wiecie? – zawołał ktoś.

– Nie wiemy. To tylko hipoteza robocza wysnuta na podstawie zeznań naocznych świadków, wniosków i dedukcji.

– Musimy się stąd wynieść! I to jak najszybciej, do cholery!

Gideon spojrział w stronę mężczyzny, który wykrzyczał te słowa. To był Masterson, drugi inżynier, ten, który siał zamęt na zebraniu po tragicznej śmierci Alex Lispenard.

– To nie rozwiąże najistotniejszego problemu – odparł ze spokojem Glinn. – A teraz pozwólcie mi skończyć. Im więcej wiecie na temat obecnej sytuacji, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych. Wszystko wskazuje na to, że osoba zainfekowana przez pasożyta staje się – z braku lepszego określenia – niewolnikiem baobabu. Innymi słowy, w jakiś sposób wypełnia jego żądania. Może to dlatego Frayne ukradł pojazd głębinowy z pomocą Reece’a i wpłynął nim prosto w paszczę potwora. I może dlatego też Waingro starał się nie dopuścić do zdetonowania ładunków sejsmicznych, jakie rozmieściliśmy na dnie oceanu. Baobab musiał uznać je za zagrożenie i podjął pewne kroki, by nas powstrzymać.

– To jakieś bzdury! – rzucił ktoś.

Glinn uniósł rękę.

– To zjawisko jest znane wśród ziemskich organizmów, nawet u ludzi. *Toxoplasma gondii* to pasożyt żyjący w kocich wnętrznościach. Wywołuje chorobę zwaną toksoplazmozą. Przenosi się ona na myszy poprzez kocie odchody, wdiera się do mózgu i sprawia, że mysz przestaje bać się kota i zostaje pożarta. Tak rozprzestrzenia się pasożyt. Ludzie zarażeni toksoplazmozą także stają się bardziej zuchwali, częściej wywołują wypadki na drogach, tracąc poczucie przyzwoitości. Robaki wydają się działać w podobny sposób. Zainfekowana osoba budzi się, wykonuje swoje obowiązki i nie zdaje sobie sprawy, że została zarażona ani że ma coś w mózgu. Ale chociaż wydaje się całkiem normalna, będzie robić, co w jej mocy, żeby osiągnąć swój cel, jakim jest próba zjednoczenia z baobabem, tak jak w wypadku Frayne’a. Albo chronienie go, jak tego próbował Waingro.

– Dlaczego? – zawołał ktoś.

– Uważamy, że może chodzić o zdobywanie pożywienia. To coś najwyraźniej ma specjalną dietę.

Wzmianka o zdobywaniu pożywienia wywołała kolejną wrzawę. Garza ponownie uciszył tłum.

– Doktor Brambell zamierza przeprowadzić dziś wieczorem operację

u dwóch pozostałych asystentów laboratoryjnych i spróbuje usunąć pasożyty z ich ciał. Do tego czasu podejmiemy wszelkie możliwe środki ostrożności. Wszyscy na pokładzie zostaną poddani tomografii mózgu według grafiku, który wkrótce wprowadzimy do okrętowej sieci. Testy będą prowadzone przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mówię to z przykrością, ale wszyscy będziemy tymczasowo pozbawieni snu, ponieważ, jak wszystko na to wskazuje, to właśnie wtedy jesteśmy najbardziej narażeni na atak. Ambulatorium zacznie wydawać fenetylaminę każdemu, kto o nią poprosi. Ochrona pod kierownictwem Manuela Garzy przeczesze cały statek i, miejmy nadzieję, znajdzie zaginione robaki.

Teraz zrobił się naprawdę niezły zgielk. Garza wystąpił naprzód, wzywając zebranych, żeby się uciszyli, ale zalała go fala niepohamowanej wściekłości. Zwłaszcza zakaz snu rozpałił w ludziach obawy i gniew. Nagle Brambell, który czekał za kulisami, zrobił krok naprzód. Zaskakujące pojawienie się doktora i powszechny szacunek, jakim cieszył się on wśród załogi statku, uciszyły wszystkich.

– Przyjaciele – zaczął z charakterystycznym irlandzkim akcentem – sprawa jest dość prosta. Robak wchodzi przez nos i przewierca się przez kość nosową do mózgu. Pamiętajcie, że dopóki zarażona osoba nie otrzyma konkretnego polecenia od baobabu albo obcy byt nie uzna, że coś mu zagraża, zainfekowany będzie zachowywać się całkiem normalnie. Jedynym sposobem na ustalenie, czy ktoś jest zarażony – poza tomografią mózgu – może być trwający dwie godziny sen, z którego nie sposób śpiącego wybudzić, a także nagłe i niespodziewane zmiany w zachowaniu. Wszyscy musimy być czujni.

Ta krótka przemowa spotkała się z głęboką ciszą. Glinn wykorzystał tę okazję, żeby dodać jeszcze kilka słów od siebie.

– Powiedzieliśmy wam to wszystko z dwóch powodów. Po pierwsze, aby zdusić w zarodku plotki i wyssane z palca bzdury. Po drugie, aby ostrzec was przed zagrożeniami i przygotować na czekające nas wyzwania. Pomimo tego wszystkiego, a może raczej właśnie dlatego, program unicestwienia baobabu musi ruszyć pełną parą. A teraz wracajcie do swoich zadań.

Krew na pokładzie w centrum dowodzenia nie została zmyta, większość sprzątaczy przydzielono bowiem do ekip mających przeczesywać statek w poszukiwaniu robaków. Gideon ostrożnie ominął krwawy ślad. Zwykle w pomieszczeniu światła były przygaszone z uwagi na działające liczne monitory, ale teraz zapalono wszystkie lampy, dzięki czemu w centrali zrobiło się naprawdę jasno. Dwie kobiety z ochrony, mające rękawiczki i maseczki chirurgiczne, przesuwają się wzdłuż ściany urządzeń elektronicznych z ołówkowymi latarkami, skrzynką narzędzi i lusterkami stomatologicznymi. Odkręcały jeden panel, by zajrzeć do wnętrza urządzeń, po czym przykręcały go z powrotem i przechodziły do kolejnego.

– Biorąc pod uwagę tempo ich działań – rzekł Sam McFarlane, pojawiając się obok niego – przetrząśnięcie całego statku zajmie im wiele miesięcy.

Gideon pokręcił głową.

– Miejmy to już za sobą.

Dołączyli do Garzy przy centralnej konsoli dowodzenia. McFarlane, który znów przejął kontrolę nad operacją, przeprowadził serię procedur sprawdzających. Najpierw skontrolował ładunki wybuchowe rozłożone na dnie oceanu, a następnie czujniki sejsmiczne. Na głównym ekranie widać było sam obcy organizm, obraz przekazywały kamery działające w trybie noktowizyjnym, używające światła zielonego, które wcześniej rozstawiono w pobliżu istoty. Baobab wydawał się nieruchomy jak wielkie, na wpół przezroczyste, niezdrowo zielonkawe drzewo.

Jakieś pięćdziesiąt metrów od baobabu, na dnie oceanu leżały zmiażdżone szczątki zgniecionego w kulę pojazdu głębinowego pilotowanego przez Frayne'a. Stwór wydalil go mniej więcej przed godziną. Od szczątków niosła się z prądem rozwodniona mętawa smużka.

– Wszystko sprawne i gotowe do odpalenia – oznajmił McFarlane.

– Za pięć minut rozpoczynamy ponowne odliczanie. Doktorze Garza?

– Tak jest – potwierdził Garza. – Za pięć minut.

W rogu głównego ekranu pojawił się duży cyfrowy znacznik. Gideon zastanawiał się, czy stworzenie znów spróbuje ich powstrzymać – jeżeli to faktycznie ono zainicjowało psychotyczny napad u Waingro. Jak mogło porozumiewać się z robakami przez wodę z odległości trzech i pół kilometra? Nie był w tej kwestii tak przekonany jak Glinn. Nurtowało go natomiast – podobnie jak McFarlane'a – istotniejsze pytanie, a mianowicie w jaki sposób ta istota może zareagować na eksplozje. To były nieduże ładunki, takie, by wywołały jedynie niewielkie fale sejsmiczne, nie czyniąc żadnych poważniejszych szkód... ale stwór równie dobrze mógł to uznać za atak.

– Cztery minuty – rzekł Garza.

– Dobrze – odparł McFarlane.

Garza i McFarlane zawarli coś w rodzaju zawieszenia broni. Współpracowali – skądinąd całkiem nieźle – lecz wyłącznie na gruncie zawodowym.

Gideon poczuł, że jego serce zaczyna bić szybciej. Wydawało się mało prawdopodobne, by stworzenie było w stanie zrobić im coś złego. Czy robaki na pokładzie mogły zareagować? Czy naprawdę istniała jakaś forma łączności między tymi pasożytami a stworem matką? Nie zarejestrowali żadnych długofalowych dźwięków o większym zasięgu emitowanych przez istotę – jeśli nie liczyć odgłosów wielorybów badanych przez Prothera – ani żadnych innych możliwych sposobów komunikacji, takich jak wysyłanie fal elektromagnetycznych.

– Trzy minuty.

Napięcie w centrum dowodzenia, i tak już silne, sięgnęło zenitu, ale przynajmniej było pod kontrolą – w przeciwieństwie do atmosfery w innych częściach statku. Gideon miał okazję zauważyć niespokojne, gniewne grupki rozmawiających ze sobą ludzi: wielu z nich namawiało do przzerwania misji i obrania kursu do najbliższego portu Ushuaia w Argentynie.

Glinna nie było w centrum dowodzenia. Gideon zastanawiał się przez chwilę, co mogło być dla niego ważniejsze niż monitorowanie obecnych działań. Pewnie starał się zażegnawać konflikty na pokładzie. Ten człowiek miał niezwykle dar uspokajania innych i emanował aurą niewzruszonej fachowości i sukcesu, która udzielała się osobom z jego otoczenia. Gideon wiedział, że była to tylko maska, jedna z wielu, jakie Glinn nakładał.

– Dwie minuty.

Gideon przeniósł wzrok na widoczny na ekranie baobab. Stał tam nabrzmiały, złowieszczy, prawie niezauważalnie kołysząc gałęziami. George, zmiażdżony DSV, wciąż leżał na dnie oceanu.

– Minuta.

– Uzbrajam – rzekł McFarlane.

Jego szczupła dłoń odblokowała i uniosła kopułkę, pod którą na konsoli znajdował się czerwony guzik.

– Wszystkie systemy sprawne.

Garza zaczął odliczać na głos: dziesięć, dziewięć, osiem...

Gideon czekał, wpatrując się w ekran.

– Odpalam – powiedział McFarlane.

Gideon na monitorze zobaczył, jak wokół baobabu wzbijają się chmury osadów dennych. Chwilę później boje sonarowe na powierzchni wychwyciły stłumiony odgłos – w wodzie dźwięki rozchodzą się szybciej niż w powietrzu.

Baobab zareagował gwałtownie, jego gałęzie zaczęły się kołysać szaleńczo

na wszystkie strony, jakby w poszukiwaniu intruza, otwór gębowy otwierał się i zamykał, najwyraźniej zasysając ogromne ilości wody morskiej. Pień napęczniał groteskowo, wydawało się, że za moment pęknie, równocześnie jego barwa uległa niespodziewanej zmianie, przechodząc z jasnozielonej we wściekle czerwoną, pocętkowaną ciemniejszymi fioletowymi plamami.

Nagle Batavią zakołysał potężny wstrząs: grzmiąca fala, jak niewielkie trzęsienie ziemi, powaliła Gideona na podłogę. Światła zamigotały, a cały statek przez chwilę przenikało silne drżenie. Rozległy się rozproszone krzyki. Z pobliskiej konsoli buchnęła kaskada isker, a ze strzaskanych monitorów z brzękiem posypały się odłamki szkła.

Gideon podniósł się na klęczki, zaraz jednak znów został rzucony na pokład przez kolejny grzmiący huk. Światła zamigotały i tym razem zgasły wraz ze wszystkimi monitorami, pogrążając centrum dowodzenia – gdzie nie było okien – w kompletnych ciemnościach. Sekundę później włączyły się światła awaryjne i uruchomiły się alarmy, w tym także syrena pożarowa. W jednostkę uderzyła trzecia grzmiąca vibracja, tym razem słabsza. Gideon podniósł się, przytrzymując się konsoli. Monitory wciąż były wygaszone, światła awaryjne nie dawały dostatecznie silnego blasku, by rozjaśnić całe pomieszczenie.

McFarlane podźwignął się obok niego, obaj szykowali się na kolejny atak. Ale nic więcej się nie wydarzyło. Inni zaczęli powoli podnosić się wokół nich. Z pobliskiej konsoli unosił się dym, więc Gideon sięgnął po jedną z wszechobecnych gaśnic wiszących na każdej ze ścian i sprawnie zdusił pożar w zarodku.

Przez interkom rozległ się głos Lennart:

– Cała załoga do swoich kajut. Powtarzam, cała załoga do swoich kajut. Zabezpieczyć wszystkie grodzie, ochrona na mostek, a mechanicy...

Podczas gdy komunikat bezpieczeństwa rozbrzmiewał dalej, McFarlane powiedział:

– No i mamy naszą reakcję.

– To było jak wybuch. Musiało dojść do czegoś w rodzaju ataku dźwiękowego.

– Tak. Atak dźwiękowy o ultraniskiej częstotliwości i wyjątkowo wysokiej amplitudzie.

Zaskrzeczała krótkofalówka Gideona. Sięgnął po nią. To był Glinn.

– Chcę cię widzieć na mostku.

Glinn wciąż jeszcze mówił, gdy Gideon poczuł, że silniki ożyły i statek zaczął się powoli poruszać.

McFarlane podsłuchał, co powiedział Glinn.

– Idę z tobą.

Gideon nie zaproponował.

Przejście z centrum dowodzenia znajdującego się głęboko pod pokładem statku na mostek, na samym szczycie nadbudówki, zajęło trochę czasu. Do tej pory Gideon był na mostku tylko raz. Było to przestronne pomieszczenie, wysoko nad głównym pokładem, skąd przez okna, od podłogi aż po sufit, rozciągał się wspaniały widok na ocean i na sam statek, zarówno od strony dziobu, jak i rufy. Nie było tu wewnętrznego oświetlenia z wyjątkiem mętnawej czerwonej poświaty nocnych świateł mostka oraz kilku chartplotterów i monitorów. Księżyc, w fazie między kwadrą a pełnią, wisiał na niebie, rzucając silny blask na rozproszone wokół góry lodowe, które pośród czarnych wód wyglądały jak duchy. Jasne gwiazdy skrzyły się na nocnej kopule nieba.

Kiedy Gideon patrzył na tę rozświetloną księżycowym blaskiem panoramę, zauważył coś zaskakującego. Ocean, jak okiem sięgnąć, usiany był jakimiś przedmiotami, zarówno dużymi, jak i małymi. Gideon potrzebował kilku chwil, by uświadomić sobie, że były to dziesiątki tysięcy martwych ryb, a te większe kształty wyglądały jak rekiny i morświny. Pół kilometra dalej spostrzegł grupkę wielkich białych ciał o długości piętnastu i więcej metrów, które właśnie zaczęły dryfować na powierzchni: były to martwe wieloryby.

Statek odzyskiwał kontrolę. Załoga na mostku działała szybko i skutecznie. Pierwsza oficer Lennart stała na swoim stanowisku przy mikrofonie, przekazując rozkazy kapitana dotyczące kierunku, silników oraz steru. Obok niej kapitan Tulley, wyprężony jak struna gnom, wydawał półgłosem rozkazy. Nigdzie nie było widać Garzy; poszedł nadzorować ekipy ochrony przeczesujące statek w poszukiwaniu zaginionych robaków.

Glinn mówił coś do oficera wachtowego Lunda. Po chwili odwrócił się i przywołał ich do siebie.

– Amplituda spada wprost proporcjonalnie do kwadratu odległości – powiedział Gideon. – Co oznacza, że nie musimy zbyt się oddalać.

– Zgadza się. Według obliczeń wystarczy sześć i pół kilometra. Panie Lund, proszę udzielić informacji na temat stanu statku.

– Tak jest. – Lund, jasnowłosy i blady, o pociągłej twarzy, popatrzył na nich. – Nabieramy wody. Grodzie zostały zamknięte, a pompy żezowe radzą sobie doskonale. Generatory prądu wyłączono z powodu wycieku paliwa, ale w ciągu godziny powinny zostać naprawione. Urządzenia nawigacyjne i silniki statki przetrwały w niezłym stanie. Ringo, który znajdował się na dnie oceanu, w momencie ataku dźwiękowego uległ całkowitemu zniszczeniu. Największych szkód doznało centrum dowodzenia, gdzie jest sporo delikatnych i czułych urządzeń elektronicznych. Usterki są poważne, ale nie katastrofalne: zniszczone

monitory, obluzowane płyty główne, przerwane połączenia. Stacjonarne komputery działające niezależnie, laptopy i pulpity są w większości nietknięte. Przetrwały i choć mocno nimi wstrząsnęło, działają bez zarzutu.

– Dziękuję, panie Lund – powiedział Glinn.

Oficer wycofał się.

– A co z bombą? – spytał McFarlane.

– Jeszcze tego nie sprawdziliśmy – odparł Glinn.

– O nią nie trzeba się martwić – powiedział Gideon. – Broń jądrowa jest projektowana i budowana w taki sposób, żeby niejedno wytrzymała, zanim zostanie zdetonowana.

– Dla pewności proszę to sprawdzić – rzekł Glinn. – A teraz musimy podjąć decyzję – przerywamy misję czy kontynuujemy.

Gideon miał gotową odpowiedź, ale wstrzymał się z nią. McFarlane spojrzał na Glinna.

– Wysłuchajmy najpierw twojej opinii.

Na ustach Glinna pojawił się gorzki uśmiech.

– Ach, Sam. Po raz pierwszy chcesz znać moje zdanie. Wybacz, ale nie dam ci okazji, byś nie zgodził się ze mną, choćby dla zasady. Wy dwaj podejmijcie decyzję. Jeżeli wyjdzie remis, ja go rozstrzygnę.

– Uważam, że powinniśmy kontynuować – rzekł po chwili McFarlane.

– Jestem za – przyznał Gideon.

– Wobec tego działamy dalej. Naprawimy statek i wrócimy do obszaru docelowego z zamiarem zdetonowania bomby jądrowej tak szybko jak to możliwe.

– Czy można zrobić coś, co pozwoli ochronić statek przed podobnym atakiem w przyszłości? – zapytał kapitan, który przysłuchiwał się rozmowie.

– Mam inżyniera, który nad tym pracuje – odparł Glinn. – Uważa, że możemy opuścić do wody arkusze metalu, które zadziałają jak zaporę. Nie zablokują ataku dźwiękowego, ale mogą go osłabić. Mamy jednak tylko jeden dzień.

Kapitan pokiwał głową.

– Pogoda.

– Tak. Nadciąga potężny sztorm, który co najmniej na tydzień sparaliżuje nasze dalsze działania. Cokolwiek zrobimy, musimy się zmieścić w dwudziestu czterech godzinach. A w takim razie... – Glinn przerwał na chwilę. – Jeżeli nie zdołamy wyizolować i zabić zaginionych robaków, to znaczy, że tocymy przegraną walkę. Poza tym załoga statku nie może w nieskończoność funkcjonować bez snu.

Spojrzał na Gideona i McFarlane'a.

– Nie możemy tracić więcej czasu na analizy. Bierzmy się ostro do roboty i rozwalmy to koszarne cholerstwo.

– Już nie piję – powiedział McFarlane, dziękując Gideonowi za propozycję.

Była pierwsza w nocy, a McFarlane w typowy dla siebie bezceremonialny sposób wprosił się do kajuty Gideona, by omówić wyniki testu sejsmicznego, które Gideon wprowadził właśnie do swojego laptopa.

Wyniki nie mogły być gorsze i zapoznawszy się z nimi, Gideon był w szoku. McFarlane, ich Kasandra, miał rację. Jego pesymistyczne spekulacje sprawdziły się. Podobnie jak w wypadku gór lodowych, które ich otaczały, dziewięćdziesiąt procent istoty znajdowało się pod dnem oceanu.

Usłyszał zamieszanie w korytarzu, podniesione głosy i krótką kłótnię. Cała załoga czuwała, część personelu zaczęła brać już amfetaminę. Gideon dotknął ręką koszuli, gdzie w kieszeni miał niewielką buteleczkę z pigułkami hojnie rozdawanymi przez ambulatorium. Nie wziął ani jednej i nie zamierzał, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Prawda była taka, że nie chciało mu się spać, zresztą prawdopodobnie w ogóle by nie zasnął.

Przeczesywanie statku, prowadzone teraz osobiście przez Garzę, wciąż trwało, choć połowę ekip poszukiwawczych wycofano i skierowano do pomocy przy pracach naprawczych. Nie znaleziono ani jednego robaka. Jednakże ktoś zniszczył skaner do tomografii. To samo stało się z aparatem rentgenowskim. Najwyraźniej więcej osób zostało zarażonych i wypełniało polecenia obcego bytu.

Ale jak stworzenie wydawało im instrukcje? Nie miało przecież możliwości komunikowania się z robakami w mózgach zarażonych... Czy aby na pewno? Dźwięk ultraniskiej częstotliwości, jaki emitował baobab, ulegał rozproszeniu, zanim dotarł do statku. Skąd stworzenie wiedziało, co ma zrobić? Sabotaż tomografu i urządzenia rentgenowskiego wymagał nie tylko inteligencji, ale także sporej wiedzy na temat technologii. Jak to było możliwe? Ta myśl doprowadziła Gideona do nagłego olśnienia. To była zwariowana, może nawet obłądana teoria, ale tylko to pasowało do wszystkich faktów i wyjaśniało nawet tajemnicze, błagalne „Zabij mnie”.

Gideon długo się zastanawiał, czy podzielić się z innymi swoimi przemyśleniami, bo ta idea wydawała się naprawdę niedorzeczna. Spojrzał na szczupłego, ogorzałego McFarlane’a pochylającego się nad laptopem. Szybko zaczął szanować tego człowieka i w pewnym sensie liczył się z jego opiniami, nawet jeśli były nierzadko kontrowersyjne. Postanowił najpierw właśnie jemu powiedzieć o swoich przypuszczeniach.

– Spójrz na to – rzekł McFarlane. – To skupisko tutaj. – Odwrócił laptop w stronę Gideona. Na ekranie widać było obszar dna oceanu wokół obcego bytu. – Postarałem się maksymalnie wyostrzyć obraz.

Gideon ujrzał coś, co wyglądało na zgromadzenie jajowatych obiektów połączonych grubymi kablami.

– Znajduje się głęboko, ponad trzysta metrów pod dnem oceanu. Wiesz, co myślę? Uważam, że to rozwijające się nasiona. Albo jaja.

Gideon patrzył przez chwilę.

– Przyjrzyj się uważnie tej strukturze. Otacza je twarda skorupa tworząca osłonę. A okrągły zawiązek, albo jądro, jest oblany płynną substancją przypominającą żółtko jajka.

– Są duże? Jaka jest skala?

McFarlane przez chwilę stukał w klawisze i na ekranie pojawił się pasek skali.

– Każdy z tych obiektów ma niecały metr długości i nieco ponad pół metra szerokości. Jądro, albo zawiązek, ma dwadzieścia trzy na piętnaście centymetrów.

– Są wielkości i kształtu ludzkiego mózgu.

Długa cisza. Gideon zauważył, że McFarlane patrzy na niego z zaciekawieniem.

– Zwróć uwagę – rzekł Gideon – że jest ich sześć.

– Zauważyłem. Do czego zmierzasz? – spytał McFarlane.

– To stworzenie zabrało nam dwoje członków załogi: Lisenard i Frayne’a. Znaleźliśmy także trzy bezgłowe ciała wewnątrz i w pobliżu wraku Rolvaaga.

Gideon dostrzegł w oczach McFarlane’a błysk zrozumienia.

– Mów dalej – rzekł półgłosem łowca meteorów.

– Zwróć również uwagę, że Lisenard odkryła wewnątrz głównego pnia tej istoty organ przypominający mózg. Tyle że tamten mózg jest znacznie większy, ma około czterdziestu centymetrów średnicy.

Długa cisza.

– No i?

– Mam pewną teorię.

– Podziel się nią.

– Baobab to rzecz jasna pasożyt. Ale to organizm pasożytniczy z gatunku nieznanego na Ziemi. Pobiera mózgi innych organizmów. Dlaczego? Z dwóch powodów. Po pierwsze, ponieważ nie ma własnego. W tej sytuacji pozyskuje mózg innego organizmu, który zapewnia mu potrzebną wiedzę.

McFarlane słuchał z uwagą.

– A teraz drugi powód. Doktor Brambell powiedział, że kiedy to stworzenie wydzieliło wrak DSV, wśród szczątków Alex Lisenard, nie było jej mózgu. Organ ten nie tyle zniknął, co został starannie usunięty. To samo mogło stać się z mózgiem Frayne’a, zanim został wydalony jego pojazd głębinowy. Jak już wspomniałem, znaleźliśmy trzy ciała z Rolvaaga, którym także brakowało głów. Ale Rolvaag to cholernie duży wrak. Kto może zapewnić, że gdzieś tam w środku

nie ma czwartego bezgłowego ciała, którego nie widzieliśmy?

– Dwa dodać trzy dodać jeden – powiedział McFarlane.

– Dokładnie. To skupisko sześciu obiektów znajdujących się trzysta metrów pod dnem oceanu, które rozwijają się w nasiona. Myślę jednak, że wewnątrz obiekty te zawierają ludzkie mózgi. Sześć nowych istot, każda z własnym inteligentnym mózgiem. Natomiast ten czterdziestocentymetrowej średnicy mózg tkwiący w pniu istoty jest organem, z którym ta istota przybyła na Ziemię spoza Układu Słonecznego.

– Obcy mózg.

– Dokładnie. „Zabij mnie. Zabij mnie”. To nie baobab, lecz właśnie ów obcy mózg zwracał się bezpośrednio do nas. Obcy mózg chce umrzeć, rozpaczliwie tego pragnie. Wyobrażasz sobie, jak by to było, gdyby twój mózg został pobrany i umieszczony wewnątrz obcej formy życia, by pełnić funkcję podrzędnego procesora albo komputera? I gdyby był utrzymywany przy życiu wbrew swojej woli przez miliony lat? Odżywiany, funkcjonujący i zachowujący zdrowe zmysły. Pomyśl o tym, co Prothero zdołał przetłumaczyć z mowy płetwali błękitnych. „Zabij mnie”. „Dawno temu”. „Daleko stąd”. I najbardziej wymowne w tym wszystkim: „sieć”. To tłumaczy ostatnie słowa zarówno Alex, jak i Frayne’a, sugerujące jakiegoś rodzaju nagłe i zaskakujące spotkanie. A konkretnie spotkanie mózgu ludzkiego... i mózgu obcego. To tłumaczy, jak działają robaki. Ich jedynym zadaniem jest wywołanie w ludzkim mózgu określonych reakcji, ukierunkowanie na cel. Proste, drobne zadania. To mózg zarażonego dokonuje bardziej złożonych procesów myślowych, jak należy osiągnąć ten cel – czy chodzi o ochronę organizmu matki, kradzież pojazdu głębinowego, czy dotarcie nim na dno, aby zjednoczyć się z obcym bytem albo stworzyć jajo. Tak jak w wypadku zarażenia toksoplazmozą, o której wspominał Glinn, kiedy zarażona mysz sama przychodzi do kota, żeby zostać pożarta. Pasożyt w mózgu myszy nie wydaje jej szczegółowych poleceń, po prostu sprawia, że mysz przestaje się bać kotów.

Przerwał, uświadamiając sobie, jak absurdalnie musiało to zabrzmieć. McFarlane nie odpowiedział od razu. Usiadł na krześle, założył nogę na nogę i zamknął oczy. Przez dłuższą chwilę zupełnie się nie ruszał. W pewnej chwili, nie otwierając oczu, powiedział:

– Pomyśl o egzystencjalnym horrorze tej istoty. Mózg pozbawiony ciała, odarty z życia, wyzuty z inteligencji i bodźców czuciowych. Tylko niekończąca się egzystencja. Nic dziwnego, że to coś chce umrzeć. I nic dziwnego, że, jak zauważył Prothero, łączność w obu wypadkach została gwałtownie zerwana: baobab uciszył obcy mózg, uniemożliwiając mu kontynuowanie rozmowy.

Gideon zastanowił się, co znaczą te słowa. Jeżeli McFarlane miał rację, to Alex Lispenard w pewnym sensie wciąż żyła: jej wspomnienia, jej osobowość, wszystko, kim była. Ale była oderwana od ciała, uwięziona wewnątrz tej istoty,

i miała zostać wykorzystana jako narzędzie do jej prokreacji. Groza tego wszystkiego przekraczała wszelkie wyobrażenia.

Otworzył oczy.

– Dobrze się czujesz? – spytał McFarlane.

– Nie. Bo wiesz, co jest w tym wszystkim najbardziej ironiczne? To stworzenie pobrało cztery mózgi z Rolvaaga przypuszczalnie tuż po tym, gdy statek poszedł na dno, a mimo to organizm zapadł w stan uśpienia. Teraz ma dwa kolejne i nagle się uaktywnił. Myślę, że schodząc na dno, dostarczyliśmy temu bytowi dodatkowe mózgi, których potrzebował, aby przejść do kolejnego etapu rozwoju. Zamiast go zabić, pomogliśmy mu się rozmnożyć.

– Może i tak. – McFarlane machnął ręką. – Ale wiesz co? Myślę, że właśnie podsunąłeś pomysł, jak możemy zabić to coś. Niszcząc wszystkie siedem mózgów za jednym zamachem.

Patrick Brambell przez pół roku pełnił funkcję rezydenta w szpitalu i właśnie wtedy odkrył, że chirurgia nie jest jego powołaniem. Nie był graczem zespołowym, co nie przysporzyło mu sympatii na ostrym dyżurze, a poza tym nie miał ochoty urabiać sobie rąk po łokcie jak mechanik samochodowy.

A teraz proszę, oto przeprowadzał nagłą operację mózgu.

Pacjent, asystent z laboratorium egzobiologii, nazwiskiem Reece leżał na stole operacyjnym, znieczulony i oświetlony silnymi lampami. Głowę miał ogoloną, a obszar, który miał objąć zabieg, oczyszczono i przemyto betadyną. Czaszka Reece'a została unieruchomiona chirurgicznym zaciskiem Mayfielda. Obecność takiego przyrządu wśród narzędzi chirurgicznych na pokładzie świadczyła jedynie o skrupulatności i przezorności EES-u.

Brambell przeprowadził już zabieg wstępny pod kierunkiem neurochirurga z Australii za pośrednictwem Skype'a. Podczas niego wykonał u pacjenta drenaż lędźwiowy w celu usunięcia pewnej ilości płynu mózgowo-rdzeniowego, co, jak wyjaśniła australijska specjalistka, miało „rozluźnić” mózg i ułatwić przeprowadzenie na nim operacji.

Asystentką Brambella została doktor Sax. Było to dla niego niewielką pociechą; Sax miała tytuł doktora medycyny, ale zajęła się pracą naukową i nigdy nie prowadziła praktyki lekarskiej, a co dopiero mówić o wykonywaniu zabiegów chirurgicznych. Jeżeli chodzi o jego asystenta Rogelia, to po ogłoszeniu przez Glinna ostrzegawczego komunikatu o obecności na pokładzie pasożytniczych organizmów, zamknął się w swojej kajucie, odmawiając wyjścia niezależnie od okoliczności.

Na dużym monitorze widział doktor Susannę Rios z Sydney stojącą nad szczegółowym plastikowym modelem głowy i ramion człowieka, ułożonym twarzą do dołu. Obok niej znajdowała się prawdziwa ludzka czaszka. To były rekwizyty, których zamierzała użyć, by pomóc mu w przeprowadzeniu zabiegu.

Brambellowi przypomniał się koszmar, jaki czasami mu się śnił: znajdował się w kokpicie samolotu, ponieważ pilot doznał ataku serca, a teraz on odbierał szczegółowe instrukcje od operatora z kontroli ruchu lotniczego, aby bezpiecznie posadzić samolot na pasie lotniska. Ten sen nigdy nie kończył się dobrze.

– Kraniotomia będzie przebiegać w następujący sposób – mówiła Rios. – Będziemy musieli usunąć większą część kości podpotylicznej w trakcie tak zwanej procedury chirurgii podstawy czaszki. Konieczne będzie zdjęcie wyjątkowo dużego fragmentu kości, bo chociaż wiemy, że pasożyt znajduje się gdzieś pod nią, nie znamy konkretnie jego umiejscowienia. Jest pan pewien, że znajduje się on między oponą twardą a samym mózgiem?

– Tak.

– A sam pasożyt należy do wyjątkowo rzadkiego gatunku, o którym niewiele wiadomo?

– Bardzo rzadkiego.

– Dobrze. Na tym modelu nakreślę linię w miejscu, gdzie wykona pan wstępne nacięcie. – Markerem narysowała linię tuż za linią włosów. – Teraz proszę powtórzyć to na pacjencie.

– Dobrze, pani doktor. – Specjalnym piórem naniósł taką samą kreskę na ciele pacjenta.

– Doktorze Brambell, ręka się panu trzęsie.

Uniósł dłoń. Faktycznie, trochę drżała.

– Proszę zamknąć oczy, wziąć głęboki oddech, skupić się i opanować ten dygot – powiedziała spokojnym, lecz zdecydowanym tonem Rios.

Brambell wykonał polecenie. Drżenie ustało.

– Świetnie. Proszę teraz zrobić nacięcie, o tak.

Zademonstrowała to na plastikowym modelu, używając skalpela.

Zrobił tak samo – skalpel gładko prześlizgnął się wzdłuż kości. Pod kierownictwem australijskiej specjalistki Sax kauteryzowała nacięcie wykonane przez Brambella, aby powstrzymać upływ krwi. W międzyczasie gąbką ocierała z krwi obszar, na którym prowadzony był zabieg.

– Teraz trzeba podnieść skórę i mięśnie, oddzielając je od kości i zawijając do tyłu w następujący sposób. Proszę zabezpieczyć krawędzie nacięcia zaciskami i pozwolić, żeby ciężar tych zacisków spowodował otwarcie nacięcia.

Zademonstrowała to na plastikowych elementach modelu. Brambell powtórzył tę czynność.

– Doskonale. Teraz chirurgicznym wiertłem perforującym wywierci pan cztery centymetrowe otwory w czaszce. O tak.

Naniósł cztery czarne punkty na modelu czaszki i zademonstrowała procedurę. Brambell patrzył, jak sprawnie i bez wysiłku wywierciła w czaszce niewielki otwór.

– Tylko powoli. Wiertło musi być trzymane prostopadle do kości. Proszę nie przerywać ani nie cofać się, dopóki wiertło samo się nie zatrzyma, co nastąpi automatycznie, kiedy przewierci się na wylot przez kość. Gotowy?

Brambell pokiwał głową. Pot spływał mu do oczu, niewiele widział.

– Doktor Sax, proszę mi przetrzeć czoło – wymamrotał.

Narysował cztery czarne punkty na czaszce zgodnie ze wskazaniem. Następnie uruchomił chirurgiczne wiertło pneumatyczne, które zaczęło wydawać ciche brzęczenie. Zacerpnął głęboki oddech i nachylił się nad pacjentem.

– Proszę nie naciskać – powiedziała Rios.

Brambell przytknął koniec wiertła do czaszki przy wtórze piskliwego

zgrzytu. Natychmiast, mimo maseczki chirurgicznej, poczuł woń kości i krwi atomizowanej przez urządzenie.

– Powoli... spokojnie... właśnie tak.

Wiertło zatrzymało się.

– Proszę wykonać kolejny otwór. Pańska asystentka musi być gotowa, by chłodzić operowane miejsce roztworem soli fizjologicznej.

Brambell cofnął się i uniósł wiertło, a następnie powtórzył czynności. Po kilku minutach miał gotowe cztery otwory.

– Wiertło perforujące, trepan, pozostawia na dnie każdego otworu niewielką warstewkę kości. Trzeba ją usunąć, o tak.

Neurochirurg zademonstrowała tę czynność, wykorzystując zabawnie wyglądający przyrząd. Brambell go nie miał.

– Proszę zamiast tego użyć małej pęsety – poradziła Rios.

Za pomocą pęsety usunął cienkie jak opłatek drobinki kości. Przez otwory mógł teraz zobaczyć biało-niebiesko-szarą błonę, oponę twardą okrywającą mózg.

– Doskonale. Teraz kraniotomem musi pan wykonać cięcie od jednego otworu do drugiego, podczas gdy pańska asystentka użyje rurki ssącej, aby zebrać nadmiar roztworu soli fizjologicznej, a także delikatnie dociśnie oponę twardą w dół, żeby utrzymać ją z dala od końcówki piły. Powinna zakraplać roztwór soli fizjologicznej na brzegi wykonywanego nacięcia, by były nawilżone i chłodne.

Zademonstrowała to wszystko.

– Gotowi? Obydwoje?

Brambell pokiwał głową.

– Proszę włączyć kraniotom. Proszę postępować powoli, ale miarowo. Przy operacjach mózgu nie można się spieszyć.

Brambell włączył piłę, która wydała wysoki, piskliwy dźwięk przypominający brzęczenie komara. Zaczął ciąć wzdłuż linii. Znowu pojawiła się ta specyficzna woń.

Równocześnie doktor Rios wdrażała go dalej w całą procedurę, objaśniając wszystko dokładnie i poprawiając na bieżąco. Trwało to dość długo, ale w końcu się z tym uporał. Zrobił przeciągły wydech. Sax ponownie wytarła mu czoło.

– Proszę chwilę odpocząć.

Brambell zamknął oczy, próbując skupić się na czymś, co go uspokajało – przyszedł mu do głowy *Hamlet*. Zaczął cytować w myślach ulubione wersy z *Hamleta*. Udało się. Otworzył oczy.

– Teraz proszę użyć narzędzi zwanych *spurtles*³ do usunięcia fragmentu kości. – Rios odchrząknęła. – Mogę zobaczyć pańskie ręce?

Brambell uniósł je. Nie drżały.

– W porządku. Niech pan usunie ten fragment kości, ale proszę to zrobić powoli i bardzo ostrożnie.

Wziął do ręki wskazane narzędzie i z wielką ostrożnością wyjął owalny kawałek kości.

– Proszę go odłożyć do przygotowanego sterylne go pojemnika i... – Nagle Rios zamilkła. – O Boże.

Pod półprzezroczystą błoną opony twardej Brambell mógł dostrzec fragment robaka. Miał jakieś pół centymetra grubości i był zwinięty jak wąż. Poruszał się powoli, lecz nieustannie.

– Co to ma być, u licha? – spytała Rios.

– To właśnie ten pasożyt.

– Nie przypomina żadnego pasożyta, jakiego kiedykolwiek widziałam, a neurochirurgią zajmuję się od dwudziestu lat.

– Jak wspomniałem, to rzadki pasożyt.

– Dobrze. W porządku. – Teraz to Rios próbowała się opanować.

Brambell wziął głęboki oddech. Chciał mieć to za sobą.

– Doktor Rios, możemy kontynuować?

– Tak. Tak, oczywiście. Zobaczmy. Teraz trzeba delikatnie przemyć oponę twardą roztworem soli fizjologicznej i usunąć wszelkie opiłki kości.

Zademonstrowała to na modelu, używając rurki odsysającej i roztworu soli fizjologicznej.

Sax się tym zajęła.

– Teraz wykonamy dwa szwy trakcyjne, wykorzystując jedwabną nić chirurgiczną cztery zero.

– Co to jest szew trakcyjny?

– To szew chirurgiczny, w którym powstaje pętla z jedwabnej nici i można przez tę pętelkę przełożyć palec, aby następnie coś podnieść. W tym wypadku podniesie pan oponę twardą ponad powierzchnią mózgu, żeby można było ją naciąć, nie uszkadzając przy tym samego wrażliwego organu. No i pozwoli to na... zdjęcie błony z tego pasożyta.

Brambell pokiwał głową. Kiedy Sax delikatnie przemyła oponę twardą i usunęła starannie opiłki kości, robak przestał się wić i nagle znieruchomiał. Sprawiał wrażenie, jakby wyczuwał, że coś się dzieje. Boże, oby go tylko nie spłoszyli. Gdyby przeslizgnął się do innej części mózgu, musieliby zaczynać wszystko od początku.

– To dla mnie coś zupełnie nowego – rzekła Rios. – Jak zamierza pan usunąć stamtąd to coś?

– Myślałem o tym, żeby złapać pasożyta pęsetą przez błonę opony twardej. Tylko trzeba dobrze i mocno ścisnąć, żeby nie uciekł. A potem go wyciągnąć.

– Opona twarda jest naprawdę mocna. Nie uda się panu przeciągnąć przez nią tego pasożyta. Doprowadziłby pan do śmierci pacjenta. Konieczne jest najpierw wykonanie otworu w membranie.

– Rozumiem. Ale muszę złapać tego pasożyta znieca. Trzeba go pochwycić z zaskoczenia. – Przerwał. – Mam tylko jedną szansę.

– Zaczynam rozumieć, na czym polega problem. Sugeruję, żeby najpierw podał pan temu pasożytowi środek znieczulający.

– Anestetyk nie zadziała.

Brambell nie zamierzał tłumaczyć, że pasożyt pochodzi spoza Układu Słonecznego i charakteryzuje się biologią odmienną od ziemskiej, bo wiedział, że doktor Rios nie zdołałaby tego zrozumieć.

Otakował wzrokiem tace z narzędziami, szukając czegoś, co mogłoby mu się przydać w obecnej sytuacji. Było tam wiele różnego rodzaju pęset i szczypiec, w tym całkiem duże, zaopatrzone w ząbki.

– Wobec tego proszę powiedzieć, co pani zdaniem powinienem zrobić, żeby szybko wydostać stamtąd to coś – powiedział.

– To wykracza poza moje kompetencje – odparła Rios. – Czy nie powinien pan się skonsultować z kimś, kto ma doświadczenie w usuwaniu tego typu pasożytów?

– Nie ma nikogo takiego. Po prostu niech pani wyrazi swoje zdanie, to wszystko.

– Cóż, najprościej byłoby zacząć od tych dwóch szwów trakcyjnych, o których wspomniałam, i użyć ich do odgarnięcia lub usunięcia opony twardej z pasożyta. Potem proszę wykonać nacięcie, pochwycić pasożyta i usunąć go szybko i zdecydowanie.

Brambell spojrział na robaka. Przestał się poruszać, ale nie wyglądał na zaniepokojonego, sprawiał wrażenie, jakby po prostu czekał.

– No dobrze, proszę pokazać mi na modelu, co mam zrobić.

– Proszę mieć na względzie, że każdy ruch, choćby nawet najmniejszy, może uszkodzić mózg.

– Będę pamiętał. Zaczynajmy.

– Najpierw szwy trakcyjne – powiedziała Rios. – Z jedwabnych nici chirurgicznych przeplecionych przez oponę twardą trzeba będzie zrobić dwie pętelki, przez które pańska asystentka przełoży palce, aby podnieść błonę, zdejmując ją z... eee... pasożyta.

Zademonstrowała to na drugim plastikowym modelu, używając igieł, by utworzyć dwie pętle z jedwabnej nici chirurgicznej. Wsunęła palce w pętelki z nici i uniosła błonę okrywającą mózg.

– Czy to jest jasne?

– Jak najbardziej.

– Igła do szwów powinna zostać przeciągnięta przez oponę twardą do dwóch trzecich jej grubości. Nie na wylot. Proszę nie przebić membrany.

Brambell wbił do połowy igłę w materię opony twardej, po czym ją

wyciągnął. Martwił się, że tym, co robi, może zaniepokoić robaka. I rzeczywiście, kiedy nakłuwał zgiętą igłą błonę opony twardej – która była naprawdę bardzo mocna – robak zaczął poruszać się nerwowo, a w którymś momencie drgnął spazmatycznie i zwinął się w kłębek jak wąż, ale pozostał na miejscu.

– Teraz niech pańska asystentka podniesie warstwę opony twardej. Proszę zacząć nacinanie membrany. Kiedy pańska asystentka uniesie ją wyżej, będzie można rozszerzyć otwór do pożądanego rozmiaru. Proszę mieć na uwadze, że gdy się pracuje szczypczykami tak blisko mózgu, nawet najmniejsze uchybienie, najmniejsza pomyłka...

– Zdaję sobie sprawę z ryzyka – rzekł Brambell z nieskrywanym zniecierpliwieniem. – Pani doktor Sax? Proszę włożyć palce do pętelek tych szwów i podnieść oponę twardą.

Wziął do lewej ręki duże, zaopatrzone w ząbki szczypce chirurgiczne, a w prawej trzymał skalpel. Był gotowy do działania.

Sax wsunęła oba palce wskazujące przez pętle z jedwabnej nici chirurgicznej. Robak znów się poruszył i lekko zadrżał.

– Proszę trochę podnieść.

Delikatnie pociągnęła błonę ku górze. Robak znów drgnął spazmatycznie i zwinął się jeszcze ciaśniej, jakby próbował się chronić, gdy znikła warstwa błony, pod którą się zaszył. Brambell wbił czubek skalpela w membranę, przebijając ją na wylot, i szybkim, płynnym ruchem rozciął oponę twardą na długości dwóch i pół centymetra, odsłaniając robaka. Pasożyt wciąż był spokojny.

– Jeszcze trochę.

Uniesienie błony pomogło powiększyć otwór o kolejne dwa i pół centymetra. Dopiero teraz pasożyt wydawał się naprawdę zaniepokojony. Zwinął się jeszcze ciaśniej i nagle pokazał łeb, jak wąż szykujący się do ataku. W tym wypadku obiektem ataku miały być wiszące nad nim szczypce chirurgiczne. Czarny ząb wysunął się na zewnątrz jak kieł jadowy żmii.

– Wielkie nieba – szepnęła Rios.

Brambell powoli jak kot podchodził swoją ofiarę, zbliżając się ku niej ze szczypcami. Stworzenie zdawało się obserwować ruch ręki doktora, bo jego łeb zakolysał się nieznacznie.

Wstrzymując oddech, Brambell wykonał szybki ruch i chwycił robaka poniżej łba, zatapiając ząbki szczypiec w jego ciele. Pasożyt zaczął więc się jak szalony, atakować niczym wąż i kąsać na wszystkie strony twardym, ostrym kłębem. W którymś momencie zatopił go w mózgu pacjenta, szarpnął się raz i drugi, po czym targnął łbem do tyłu przy wtórnie odgłosów zasysania. Trysnęła krew.

– Jezu! – krzyknęła Rios.

Teraz stworzenie zaatakowało Brambella, wbijając czarny kieł w dłoń doktora. Brambell krzyknął, ale nie puścił, choć stworzenie miotało się i wyrывało, atakując

go raz za razem.

– Sukinsyn! – zawołał, wrzucając pasożyta do specjalnie przygotowanego pojemnika.

Sax zatrzasnęła pokrywę. Laboratorium wypełniły przerażające piski i skrzeczenie. Nie zważając na swoją krwawiącą obficie dłoń, Brambell ponownie skupił uwagę na pacjencie. Z rany zadanej przez pasożyta wyciekała krew, spływając po czaszce z obu stron. Urządzenia elektroniczne monitorujące stan pacjenta zaczęły emitować sygnały ostrzegawcze, wykres EKG najpierw szalał, a po chwili linia na ekranie stała się płaska, częstotliwość oddechu zaś spadła do zera.

Reece zmarł, jego krew rozlewała się po stole operacyjnym i ściekała na podłogę.

– Doktorze, pan krwawi – zauważyła Sax, chwytając Brambella za przedramię i przyciskając do rany sterylny gazik opatrunkowy.

Odwrócił się do niej.

– Wrzuć to diabelstwo do rozdrabniarki.

Sax wykonała polecenie. Brambell przycisnął gruby gazik opatrunkowy do zranionej ręki, mając nadzieję, że stworzenie nie było jadowite.

Przeniósł wzrok na monitor. Doktor Susanna Rios wciąż tam była i wpatrywała się w to, co się działo, z wyrazem nieskrywanego przerażenia. Kompletnie oniemiała. Jej usta poruszały się, lecz nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

– Tak mi przykro, pani doktor – rzekł Brambell. – Proszę chwilę zaczekać, mamy jeszcze jednego pacjenta.

Usłyszał dźwięk uruchamianej rozdrabniarki i urywający się pisk robaka, który został zmielony na szarą papkę.

Zakreśliło mu się w głowie. Poczł, że Sax chwyta go za ramię i prowadzi w stronę krzesła, pomaga usiąść, podaje mu szklankę wody, po czym zdejmuje gazę ze zranionej dłoni.

– Rzućmy okiem na pańską rękę, doktorze – powiedziała. – Proszę siedzieć spokojnie i nie ruszać się przez chwilę.

– Nie mamy na to czasu – rzekł Brambell, podnosząc się z krzesła. – Musimy sprowadzić tu Stahlweathera.

O czwartej nad ranem Gideon siedział sam w swojej kajucie przy niewielkim biurku. Symulacja była już na ukończeniu. Jej wyniki miały wkrótce nadejść, po blisko czterdziestu godzinach pracy znajdującego się na pokładzie Batavii procesora superkomputera IBM Vulcan Q.

Gideon miał złe przeczucia. Zasadnicze pytanie brzmiało, jak głęboko i na jakim obszarze fala sejsmiczna wywołana wybuchem bomby jądrowej przeniknie dno oceanu. Tyle tylko że dno oceanu zbudowane było z osadów morskich i stosunkowo luźnej, wilgotnej gliny. Było jak miękki koc, najgorszy materiał, jaki można sobie wyobrazić do rozprzestrzenienia się potężnej fali uderzeniowej. Sześć mózgów, które wyglądały, jakby zostały zamknięte w nowych nasionach, znajdowało się na głębokości trzystu metrów pod powierzchnią gruntu, nieco z boku od pnia baobabu.

McFarlane miał niewątpliwie rację, że gdyby udało im się zabić wszystkie mózgi zdobyte przez tę istotę, z całą pewnością unicestwiliby ją samą. To coś było organizmem pasożytniczym, który potrzebował mózgu, aby przetrwać, i dodatkowych mózgów do rozmnażania. Wystarczy zgładzić je wszystkie, a obcy byt wkrótce umrze – jeżeli nie będzie w stanie pozyskać nowych organów.

Gideon obserwował okienko na ekranie komputera i przesuujące się na nim bezsensowne cyfry. Superkomputer wciąż myślał. Symulacja eksplozji jądrowej na głębokości trzech i pół tysiąca metrów pod powierzchnią oceanu była ogromnym zadaniem obliczeniowym, ale wyglądało na to, że zbliżało się ono do końca.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Gideon nie odpowiedział. Drzwi się otworzyły i do kajuty wszedł Glinn.

– Mogę?

– Już wszedłeś.

Glinn rozsiadł się na łóżku z iPadem w dłoni. Wyglądał na wymizerowanego, na jego twarzy odbijało się zmęczenie, ale poza tym trzymał się całkiem dobrze – nie padał z nóg ani nie był bliski szaleństwa jak wielu innych na pokładzie. Gdy jednak Gideon przyjrzał mu się uważniej, w jego oku dostrzegł znany mu błysk – wielkiej, niewzruszonej obsesji. Sam również ją czuł. To była potrzeba, nieprzeparta potrzeba zniszczenia tej obcej istoty za wszelką cenę.

– Gdzie Sam? – zapytał Glinn.

– Zniknął. Powiedział, że musi coś przemyśleć.

Glinn pokiwał głową.

– Dysponujemy już dość obszernym raportem na temat tej istoty, którego szczegółami chciałem się z tobą podzielić, bo może dzięki temu zyskasz nowe dane, które pozwolą ci ustalić, jak można to coś uśmiercić.

– Mów.

– To forma życia oparta na węglu, wodorze, krzemie i tlenie. Zasadniczo ma budowę chemiczną zbliżoną do naszej, ale z dodatkiem krzemu, głównie w postaci krzemianów i dwutlenku krzemu. Na naszej planecie morskie okrzemki wydają się wykazywać największe podobieństwo pod względem biochemicznym. Pobierają krzem z wody i budują swoje ciała z krzemianów. Niektóre gatunki roślin także przyłączają krzemiany.

– Mam to gdzieś. Po prostu chcę, żeby to cholerstwo zdechło.

Glinn mówił dalej, jakby w ogóle nie słyszał Gideona.

– Węgiel w większości wydaje się występować w formie czystej, w postaci egzotycznych pierwiastków alotropowych – nanowłókien, nanorurek, nanozwiązków, nanopianek, fulerenów, grafitu i diamentu. Istota ma przewody złożone z włókien optycznych zbudowanych z dwutlenku krzemu, które przewodzą sygnały cyfrowe przy użyciu światła. Różne włókna z egzotycznych włókien węglowych przewodzą prąd, niektóre są najwyraźniej także nadprzewodnikami. Zamiast włókien mięśniowych ten obcy byt ma wiązki włókien węglowych, które mogą się ściągać i naprężać. Są setki razy silniejsze niż jakiekolwiek włókna mięśniowe. To właśnie dzięki nim ten byt zdołał zmiażdżyć tytanową sferę.

– I co w związku z tym?

– Cierpliwości, Gideonie. Pytanie brzmi: czy to coś jest dziełem ewolucji? Czy zostało zbudowane? Czy to maszyna, czy byt biologiczny, a może jakaś hybryda? Nie wiemy. A oto co wiemy na pewno. – Położył iPada na łóżku. – Wstrząsy dna oceanu wokół tej istoty trwają niemal nieprzerwanie. Przeprowadziliśmy ich analizę. To coś najwyraźniej rozszerza zakres systemu korzeniowego – lub macek – i to w niesamowitym tempie, bo z prędkością dziesiątków metrów na godzinę. Główne skupisko tych korzeni kieruje się w stronę Ameryki Południowej.

– Wielkie nieba.

Glinn przerwał i usiadł wygodniej na łóżku.

– Nie mamy czasu. To stworzenie się rozrasta zbyt szybko, korzenie rozprzestrzeniają się w postępie geometrycznym. I w dodatku wygląda na to, że coś w rodzaju nowych węzłów zaczyna się pojawiać na tych korzeniach. Innymi słowy to coś jest gotowe, by produkować nowe baobaby. Gotowe, by gromadzić nowe mózgi, kolejne nasiona. To pozwoliło nam wysnuć pewną teorię, skądinąd dość prawdopodobną, o tym, do czego w ostatecznym rozrachunku zmierza baobab.

– Powiedz mi o tym.

– Niedługo sieć baobabów otoczy nasz glob, tworząc wokół niego gigantyczną pięść. Kiedy to nastąpi, pięść się zaciśnie, miażdżąc Ziemię jak wielkiego pomidora i równocześnie wyrzucając nasiona w przestrzeń kosmiczną, aby znalazły tam inne światy do zainfekowania. Każde nasienie będzie zawierać

własny, przejęty pasożytniczo mózg.

– Jak do tego doszedłeś?

– Pomyśl tylko. Już wcześniej to zasugerowałem. Zniszczenie planety to jedyny sposób, żeby ten stwór mógł uwolnić gigantyczne nasiona.

Gideon spojrział na okienko na swoim monitorze. Cyfry wciąż się przesuwały.

– Sytuacja na pokładzie statku staje się nie do zniesienia – mówił dalej Glinn. – Tracimy kontrolę. Nasz Kwantyfikator Analiz Behawioralnych współdziałający z superkomputerem Q pokazuje, że za niecałe dwanaście godzin dyscyplina ulegnie całkowitemu rozprężeniu i na pokładzie zapanuje chaos albo dojdzie do buntu załogi.

– A więc to twój KAB spowalnia moją symulację.

– Przepraszam, ale zrozumienie czynnika ludzkiego jest zasadniczą kwestią.

Gideon pokiwał głową.

– Pomimo zachowania wszelkich środków ostrożności kolejne osoby zostały zarażone. Dochodzi do zakrojonych na coraz szerszą skalę aktów sabotażu, uszkodzone zostały nie tylko tomograf i aparat rentgenowski, ale także kamery ochrony na statku. Padł cały system, a interkom pokładowy w niektórych miejscach nie funkcjonuje. To wszystko spowalnia nasze działania mające na celu odnalezienie robaków i identyfikację sabotażystów.

– Cały czas zastanawiam się, do czego to wszystko zmierza.

– Musimy dostarczyć bombę atomową na miejsce i ją zdetonować. Natychmiast. Mówiąc „natychmiast”, mam na myśli najbliższych dwanaście godzin.

Gideon spojrział na swój komputer.

– Najpierw muszę poznać wyliczenia. Jeżeli bomba nie unicestwi tych podziemnych jaj, nie ma sensu jej detonować.

– Kiedy spodziewasz się otrzymać te wyliczenia?

– Lada chwila.

– Komputer nie podaje, jak długo potrwa kalkulacja?

– To nie kalkulacja. To symulacja o znacznie większej skali złożoności.

Glinn wstał.

– Zapomnij o symulacji. Mamy broń. Użyjmy jej. – Spojrział na zegarek. – Chcę, żeby bomba atomowa została uzbrojona i załadowana do zdalnie sterowanego, wielozadaniowego, bezzałogowego pojazdu podwodnego w ciągu najbliższych kilku godzin.

Odwrócił się.

– Możesz to zrobić?

Kiedy Glinn patrzył na Gideona, ten znów uświadomił sobie, jak silna była ich obsesja.

– Jasne, kurwa, że tak – odparł, czym zdumiał nawet samego siebie.

Glinn pokiwał głową.

– Świetnie.

I wyszedł.

Kiedy drzwi się zamknęły, jak na zawołanie rozległ się sygnał komputera. Okienko mrugało na czerwono. Symulacja została zakończona.

Gideon podszedł pospiesznie do biurka i nawet nie zadając sobie trudu, żeby usiąść, zaczął z wściekłością pobierać wyliczenia superkomputera Q. Plik ładował się powoli – był bardzo duży – ale po minucie wszystko było gotowe, a na ekranie wyświetliły się symulacje numeryczne.

Pojawił się obraz schematu i w zwolnionym tempie zaczęło się odtwarzanie nagrania przedstawiającego symulację detonacji bomby atomowej, rozkład i zasięg fali sejsmicznej, ogromną kawitację wywołaną wybuchem, przekształcenie wody morskiej w parę, skutki, jakie wywoła to wszystko w baobabie, i wpływ fali sejsmicznej na dno oceanu oraz znajdujące się pod nim twory.

Minutę później było po wszystkim. Wciąż stojąc, Gideon poczuł, że mięknię mu kolana. Postanowił usiąść i oparł dłoń na podłokietniku obrotowego fotela biurowego. Ale coś poszło nie tak – nogi ugięły się pod nim, fotel odjechał w bok na poskrzypujących kółkach, a Gideon osunął się bezwładnie na podłogę.

Brambell jeszcze nigdy nie czuł się tak bardzo zdruzgotany. Był wykończony. Opadł na fotel w klinice pokładowej, wyciągnął przed siebie ciężkie jak z ołowiu nogi i odchylił się do tyłu.

Stracili obu pacjentów. W pierwszym przypadku pasożyt zabił Reece'a, kiedy Brambell próbował go wyciągnąć; w drugim doktor postąpił zgodnie z sugestią Rios i zrobił robakowi zastrzyk z kwasu solnego, który ostatecznie zabił stworzenie, ale niestety nie dość szybko. Kiedy tylko Brambell wbił igłę, pasożyt zaatakował i uśmiercił pacjenta.

Po śmierci Stahlweathera na stole operacyjnym Brambell był zmuszony zaaplikować bliskiej hysterii doktor Sax środek uspokajający. Aby nie zasnęła, dodał do niego mieszanekę łagodnych stymulantów, kofeiny i metylofenidatu, utrzymując ją w stanie czuwania i dysocjacji. Posadził ją na fotelu na zapleczu pokładowej kliniki, by odpoczywała. Zajrzał do niej kilka razy, żeby sprawdzić, czy nie spała. Nie wierzył, żeby robaki ukrywały się gdzieś w klinice. Zabili oba pasożyty wyjęte z ciał pacjentów i spopieliłi. Rany na jego ręce były bolesne, ale to były zwykłe skaleczenia, nie zauważył jak dotąd żadnych oznak mogących wskazywać na obecność toksyn. Wydawało się to sensowne: kiel robaka nie miał kanalika jadowego, jak zęby żmii, a w ciele obcego organizmu Brambell nie widział żadnych organów mogących zawierać jad.

Ambulatorium znajdujące się w głębi korytarza, obsługiwane przez farmaceutę, całą noc rozdawało pigułki. Kolejka pacjentów wreszcie się skończyła, a do świtu było już niedaleko. Brambell nie wziął żadnych prochów. Zbyt długo był lekarzem, by uważać ten pomysł za dobry, i zdziwił się, ba, był przerażony tym, że Glinn wydał taką dyspozycję. Ale tak to się odbywało: w podobnych sytuacjach Glinn nigdy nie konsultował z nim swoich decyzji. Brambell bardziej obawiał się skutków przedłużonej deprywacji snu załogi niż mało prawdopodobnego zainfekowania pasożytami. Uważał, że stres i strach mogły z łatwością przerodzić się u wielu członków załogi w spowodowaną przez stymulatory psychozę.

Był tak skonany, że zaczęły mu się zamykać oczy, lecz szybko znów się ożywił. Jeszcze dwie godziny do wschodu słońca. Musiał znaleźć sobie jakieś zajęcie i najlepsze, co mógł teraz zrobić, to zacząć pracować nad testami krwi, które powinny wykazać, czy ktoś spośród ich załogi został zarażony.

Pobrał próbki krwi od obu pacjentów – gdyby zdołał odkryć w tych próbkach coś niezwykłego, czego nie ma we krwi osób niezarażonych, mógłby to później wykorzystać.

Otrząsnął się i podszedł do szafki ze sprzętem. Zacznie od standardowego

badania morfologicznego krwi w celu określenia liczby białych i czerwonych krwinek oraz poziomu hemoglobiny. Potem sprawdzi podstawowe wskaźniki metaboliczne funkcji serca, wątroby i nerek, poziom glukozy we krwi, wapnia, potasu i innych elektrolitów. Następnie zajmie się lipoproteinami, jeśli wcześniej nie natrafi na żadne anomalie. Miał nadzieję, że jednak coś się okaże. Bądź co bądź organizm człowieka powinien jakoś zareagować na obecność długiego na piętnaście centymetrów pasożyta, który zagnieździł się w jego mózgu.

Boże, ależ był zmęczony. „Zostań na nogach”. Wiedział, że na stojąco nie można zasnąć. Może powinien wziąć choćby pół pigułki. Szybko odegnał od siebie tę myśl. Żadnej amfetaminy. Musiał zachować maksymalnie trzeźwy umysł.

Wyjął z lodówki stojak z probówkami – pobrał po trzynaście fiołek krwi od każdego pacjenta – zaczął je sortować i opisywać, przygotowując do różnych badań. Następnie wyciągnął z szafek niezbędne przyrządy i je porozkładał, w myślach realizując już kolejne etapy zaplanowanych przez siebie analiz. Jako lekarz zleciłby przeprowadzenie tych wszystkich badań laboratorium, ale podczas studiów medycznych w Royal College of Surgeons w Irlandii nauczył się przeprowadzać je samemu. W dodatku miał Internet i z całą pewnością znajdzie gdzieś opis niezbędnych procedur. Podłączył laptop do sieci i wszedł do Internetu. Tak, wszystko było tu przedstawione w najdrobniejszych szczegółach.

Zacznie od prostego rozmazu krwi. Pobrał kroplę krwi z jednej z probówek i rozsmarował na poprzecinanym siatką prostopadłych linii szkiełku podstawowym i przykrył je drugim. Umieścił preparat pod mikroskopem i z ołówkiem w dłoni zaczął zliczać liczbę i kształt czerwonych i białych krwinek oraz płytek krwi w jednej komórce pomiarowej, skrzętnie zapisując wszystkie wyliczenia. Był jednak tak zmęczony, że trudno mu było się skupić. Zamrugął raz i drugi, po czym poprawił ostrość przy stoliku mikroskopu. Boże, oczy miał tak zmęczone po dwóch nieudanych operacjach, że teraz, patrząc przez okular mikroskopu, prawie nic nie widział. Musiał przyznać, że nie jest już młody i nie potrafi wytrzymać tylu godzin na nogach bez snu, jak w czasach gdy pracował w szpitalu.

Ponownie zamrugął, po czym postanowił zakropić sobie oczy.

Znów spojrzał przez okular, ale to było tak, jakby próbował zobaczyć coś pod wodą. Niech to szlag. Musi zamknąć oczy, choćby na dziesięć minut. Jego osąd był coraz bardziej zaburzony, a on musiał mieć trzeźwy umysł, żeby móc kontynuować analizy.

Spojrzał na fotel. Czy mógł zamknąć oczy i nie zasnąć? Krótka, dziesięciominutowa drzemka nie wydawała się niebezpieczna, a mogła działać cuda. Pomyśl, że gdzieś w tym pomieszczeniu mogły czaić się robaki czekające na to, by zasnął, był absurdalny. Krótka drzemka nikomu nie mogła zaszkodzić, a tylko wyjdzie jemu i temu, czym miał się zająć, na dobre. Statek był ogromny, a klinika mała i w dodatku miała wszędzie wokół wodoszczelne grodzie, które

można było zamknąć.

Podszedł do głównych drzwi i je zaryglował. Zamknął też drzwi do wewnętrznego laboratorium. Wyjął z kieszeni komórkę, nastawił budzik na za dziesięć minut i położył telefon na blacie.

Boże, nie mógł się już doczekać. Usadowił się w fotelu, wyciągnął się wygodnie i zamknął oczy. Cóż to za cudowne uczucie...

Obudził go sen, a raczej koszmar. Ze stłumionym krzykiem przebudził się gwałtownie, czując palący ból i potwornie świdrującą wibrację wewnątrz głowy. Jego umysł, zdezorientowany i przerażony, potrzebował chwili, by wypełznąć z ciemności do świata realnego. Brambell uniósł ręce do twarzy, wyczuł coś i zsunął się z fotela na podłogę.

Wielkie nieba, miał coś na twarzy. To było jak wijący się kabel, twardy i zimny niczym stal. Wdzierało mu się do nosa. Wydając z siebie drugi, stłumiony krzyk, Brambell zdołał chwycić to coś za ogon i próbował wyciągnąć. Poczł niesamowicie silne mięśnie tej istoty napinające się pod jego palcami, gdy się z nią mocował; nie zdołał jej wyrwać. Zakotwiczyła w środku i wwiercała się coraz głębiej w jego jamę nosową. Zaczął przetaczać się po podłodze, wciąż z całej siły ciągnąc stwora za ogon i próbując powstrzymać go przed zagłębianiem w jego ciele. Jednakże istota była zbyt dobrze wczepiona i torowała sobie drogę coraz dalej mimo jego okupionych bolesnym wysiłkiem prób, aby ją wyciągnąć.

Nagle usłyszał trzask kości w głowie przywodzący na myśl odgłos przebijania palcem skorupki jajka, i wszystko się zmieniło. Strach zniknął i ogarnęło go uczucie cudownego, rozlewającego się po całym ciele spokoju i zadowolenia, a potem pochłonął go sen – wspaniały i błogi.

Doktor Antonella Sax stała w drzwiach wewnętrznego laboratorium, przecierając oczy i próbując odzyskać ostrość widzenia. Usłyszała coś – być może krzyk – nie była pewna. Ale wszystko wyglądało w porządku. Doktor Brambell leżał na podłodze pogrążony we śnie. Ręce miał złożone na piersi, a na jego twarzy malował się błogostan. Nachyliła się, by go obudzić. Lekko nim potrząsnęła.

– Doktorze Brambell?

Żadnej reakcji. Ten nieszczęśnik był na nogach przez trzydzieści sześć godzin i całkiem odpłynął. Pozamykał drzwi i, jak zauważyła, położył na stole laboratoryjnym komórkę odliczającą kolejne sekundy. Podniosła telefon. Nastawił budzik na dziesięciominutową drzemkę i zostały mu jeszcze dwie minuty.

Biedny, zmęczony facet – dziesięć minut to tyle co nic. Gdy Sax zobaczyła go, jak śpi spokojnie, jej również zaczęły kleić się oczy. Zastrzyk, który jej zaaplikował, przestawał działać, a w każdym razie nie był w stanie powstrzymać wszechogarniającej fali zmęczenia. Zdawała sobie sprawę, że zastrzyk do pewnego stopnia zaburzał jej zdolność racjonalnego myślenia i jej umysł nie pracował tak dobrze jak zazwyczaj, ale czy po tym, co właśnie przeszli, ktoś mógłby spodziewać

się czegokolwiek innego?

Nie ulegało wątpliwości, że doktor potrzebował dłuższego odpoczynku, ona również. Czy półgodzinna drzemka mogła im zaszkodzić? To byłoby o wiele bardziej efektywne niż dziesięć minut snu. Drzwi do kliniki były bezpiecznie zaryglowane. Poza tym surowe zalecenia Glinna w kwestii zakazu spania na pewno nie obejmowały jej i Brambella, którzy musieli zachować trzeźwy umysł, jeżeli mieli działać naprawdę skutecznie.

Przestawiła budzik w komórce na trzydzieści minut, po czym rozsiadła się wygodnie w fotelu, opierając stopy o blat stołu, zamknęła oczy i niemal natychmiast zapadła w głęboki, cudowny sen.

Gideon opuścił swoją kajutę i ruszył w stronę centrum dowodzenia, gdzie, jak wiedział, powinien zastać Glinna. Gdy szedł korytarzem, mijając kajuty załogi, słyszał podniesione, pełne skargi, gniewne głosy. Jakiś mężczyzna nadchodzący z przeciwka, cuchnący alkoholem, zataczając się, wpadł na niego, skłonił się szarmancko i chwiejnie poczłapał dalej. Mijając otwarte drzwi do mesy dla załogi, dostrzegł gromadzący się tam tłum ludzi dyskutujących o czymś zawzięcie.

Przyspieszył kroku. Glinn miał rację: niedługo na pokładzie statku wszystko zacznie się sypać, jeśli już się nie zaczęło. Zastanawiał się, jak Glinn zareaguje na to, co miał mu do przekazania.

Drzwi do centrum dowodzenia były zamknięte, ale po przedstawieniu się przez interkom został wpuszczony do środka. Zastał tam Glinna i McFarlane'a, pochylali się nad monitorem. Na ekranie widać było obraz baobabu przekazywany przez stacjonarną kamerę. Organizm był przerażająco aktywny, otwór gębowy otwierał się i zamykał – powiększał się i nabrzmiwał, po czym kurczył się i zaciskał jak jakieś groteskowe organy płciowe.

– Symulacja została zakończona – oznajmił Gideon.

Obaj mężczyźni podnieśli wzrok.

Gideon zastanawiał się, jak najlepiej to przedstawić, ale gdy w końcu stanął przed tym zadaniem, chęć wdawania się w starannie przygotowane wyjaśnienia prysła w okamgnieniu.

– To się nie uda – powiedział krótko.

– Nie uda się? – powtórzył ostro McFarlane.

– Nic z tego nie będzie. Osady denne zadziałają jak koc. Fala sejsmiczna nie dosięgnie skupiska mózgow.

– Nie do wiary – rzucił oschle McFarlane. – Zakop bombę w mule i tam ją zdetonuj. Wybuch utworzy krater, który będzie dostatecznie głęboki, żeby wstrząsy sejsmiczne zniszczyły te twory.

Gideon pokręcił głową.

– Też się nad tym zastanawiałem. Symulacja rozpatrzyła różne możliwości zdetonowania bomby: na poziomie dna oceanu, ponad nim i pod nim. Najlepiej byłoby umieścić ją dwieście metrów nad dnem oceanu. Ciśnienie wody spowodowałoby rozejście się fali sejsmicznej na większym obszarze dna morskiego i miałaby ona największy zasięg. Ale i tak niewystarczający.

– Rzućmy okiem na te symulacje – rzekł Glinn.

– Wrzuciłem je do naszej sieci.

Gideon odwrócił się do monitora, wysunął klawiaturę, zalogował się i zaprezentował symulację wideo wraz z jej wszystkimi permutacjami, począwszy

od zdetonowania bomby na poziomie dna oceanu, a potem przechodząc stopniowo do wybuchu na wysokości ośmiuset metrów nad baobabem. Każda symulacja ukazywała falę sejsmiczną rozchodzącą się w zwolnionym tempie w wodzie, uderzającą w grunt i wnikającą w głąb ziemi, by ulec rozproszeniu na głębokości od sześćdziesięciu do dwustu metrów. Żadna z fal nie dotarła do skupiska jaj znajdującego się na głębokości ponad trzystu metrów pod dnem oceanu.

– Nie do wiary – wybuchnął McFarlane. – Przecież to pieprzona broń jądrowa! Źle ustawiłeś parametry.

– Nie – odparł Gideon. – Problem polega na tym, że osady z dna oceanicznego są jak mokry koc. Gdybyśmy mieli do czynienia z podłożem z litej skały, sytuacja byłaby całkiem inna. Ale nie jest. Tu podłoże przypomina galaretę.

– I co teraz? – rzucił wściekle McFarlane. – Mamy coś potężniejszego niż bomba atomowa? Może zdobądźmy bombę wodorową? Co możemy zrobić innego? To wszystko jest jakieś popieprzone. Czemu nie przeprowadzono tej symulacji pół roku temu?

Przerwał tyradę, oddychając ciężko. Gideon spojrzał na niego. Czuł się pokonany. I pomyśleć, że poważnie zastanawiał się nad przeprogramowaniem bomby tak, by tylko on mógł obejść kod zatrzymujący procedurę odliczania przed jej odpaleniem, na wypadek gdyby inni stchórzyli. Dobry żart. Teraz nie było już żadnych wątpliwości: wszyscy chcieli zdetonować bombę jądrową. Liczyła się każda godzina. Ale ta cholerna broń nie wystarczy, żeby zabić obcy byt.

Glinn odezwał się półgłosem.

– Czy są jakieś inne możliwości, Gideonie? Jakiegokolwiek?

Gideon pokręcił głową.

– Jedna bomba atomowa. Jedna szansa.

Rosemarie Wong zamknęła drzwi do laboratorium akustyki morskiej i zaczęła sprzątać, próbując zaprowadzić w nim porządek po tym, jak Garza i jego ekipa przetrząsnęli całe pomieszczenie w poszukiwaniu robaków. Prothero wpadłby w szal, gdyby zjawił się tu i zastał taki bałagan. Choć kiedy on tu przebywał, wokół panował podobny nieład, niemniej Prothero twierdził, że wie, gdzie znajduje się każda, nawet najmniejsza rzecz. I faktycznie tak było: jeśli przełożyła jeden ołówek z którejś z niezliczonych stert rozmaitych śmieci, od razu to dostrzegał i potem długo suszył jej o to głowę.

Była bardzo zaniepokojona tym, co się działo na pokładzie statku. W ciągu ostatniej godziny kilkakrotnie słyszała grupki ludzi przechodzące wąskim korytarzem przy laboratorium, ich podniesione, gniewne głosy i dudnienie butów o metalową podłogę. Wydawało się, że niektórzy byli pijani, inni natomiast sprawiali wrażenie nakręconych amfetaminą, rozdawaną w ambulatorium jak cukierki.

Gdzie się podziewał ten Prothero? Przez większą część nocy pracował nad swoim katalogiem głosów wielorybów, a w pewnym momencie po prostu przeprosił i wyszedł, mówiąc, że wróci za kwadrans. Tyle że minęła już prawie godzina, a on wciąż nie wracał. Czy wbrew zaleceniom postanowił się zdrzemnąć? To byłoby w jego stylu; gdy go o coś proszono, zazwyczaj postępował dokładnie na odwrót.

Wong powiedziała sobie, że nie powinna się martwić. Prothero nie przestrzegał żadnego ustalonego grafiku, pojawiając się i znikając w najróżniejszych porach dnia i nocy. Nigdy nie jadał posiłków w mesie, lecz w laboratorium o różnych godzinach. Żywił się wyłącznie pizzą i napojami gazowanymi z kantyny. Śmieci zazwyczaj rzucał po prostu w kąt i to ona musiała później je podnosić, wrzucać do kosza, a następnie regularnie opróżniać kosz, by pozbyć się cebulowego zapachu pizzy, którego nie znosiła.

Znów usłyszała przez drzwi grupę przechodzących osób, ponownie doszły ją stłumione gniewne głosy. To było naprawdę niepokojące. Gdzie była ochrona? Znała odpowiedź na to pytanie: Garza zarządził, żeby cała ekipa włączyła się w poszukiwanie robaków. A tymczasem dyscyplina na statku pogarszała się coraz bardziej.

Usłyszała łomotanie do drzwi i zduszony głos.

– Ej, Wong! Otwieraj!

Prothero. Wstała, odblokowała zasuwkę i otworzyła drzwi. Wpadł do środka, z hukiem zatrzaskał drzwi i przekręcił zasuwkę. Był zdyszany, spocony, miał włosy w nieładzie i łapczywie chwycił powietrze.

– O co chodzi? – spytała. – Co się stało?

– Ja pierdolę – wyszeptał. – Ci skurwiele powariowali. To było tylko pięć, góra dziesięć minut. Przysięgam...

Za drzwiami rozległy się donośne kroki, zagrzecotała poruszona gwałtownie klamka.

– Prothero? Prothero! – Słysząc było wołanie wielu głosów.

Prothero cofnął się.

– Powiedz im, że mnie tu nie ma – wyszeptał do Wong.

Przełknęła ślinę.

– Nie ma go tutaj – powiedziała przez drzwi.

– Bzdury! Wiemy, że tam jest. Otwieraj!

W korytarzu rozległy się inne gniewne głosy, ktoś zaczął łomotać pięściami w drzwi.

– Kto tam jest? Wong? Otwieraj, kurwa, te drzwi!

Prothero z przerażeniem w oczach pokręcił głową, spoglądając na swoją asystentkę. Zaczął się cofać, jakby chciał znaleźć w laboratorium jakąś kryjówkę. Oczywiście nie było tu takiego miejsca.

– Nie ma go tutaj – powtórzyła.

– Posłuchaj, Wong! On jest zarażony. Przyłapaliśmy tego sukinsyna, jak spał. Nie mogliśmy go dobudzić. On ma w sobie robala!

Wong była jak sparaliżowana. Spojrzała na Prothera. Nie wyglądał dobrze, ale też rzadko wyglądał normalnie.

– Słyszysz? On jest zarażony! Wylaż stamtąd i pozwól nam się tym zająć!

Prothero pokręcił głową, powtarzając bezgłośnie „nie, nie, nie”. Wong nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Była w szoku.

Łup! Ktoś napierał na drzwi. Łup! Nie były to drzwi grodziowe i Wong widziała, jak przy każdym uderzeniu wyginają się do wewnątrz.

– Otwieraj, Wong! Jeśli ty nie chcesz się uratować, zrobimy to za ciebie!

– Nie mam żadnego robala! – wrzasnął Prothero. – Przysięgam! Uciałem sobie tylko krótką drzemkę, to wszystko!

– On tam jest! – podniosły się głosy i zrobiło się zamieszanie. – Wong, na miłość boską, on jest niebezpieczny! Wpuść nas, ale już!

– Nie jestem niebezpieczny, przysięgam!

Wong znów popatrzyła na Prothera. Oczy miał przekrwione, był spocony, a jego ciałem wstrząsały dreszcze wywołane paniką i strachem. Wyglądał na zarażonego. Dostrzegł niepewność w jej oczach.

– Nie, nie – powiedział, przełykając ślinę i starając się nie podnosić głosu. – Nie jestem zarażony. Rosemarie, przysięgam. Oni powariowali. Uciałem sobie krótką drzemkę. Pięć minut. Film mi się urwał. Ale nie jestem zarażony! Pamiętaj, że osoby zarażonej nie można dobudzić przez dwie godziny, a...

Łup! Zagrzecgotała klamka, zamek zaczął puszczać. Łup!

Wong podjęła decyzję.

– Nie! – zawołała do mężczyzn próbujących sforsować drzwi. – Nie możecie robić takich rzeczy bez żadnych dowodów!

Łup! Klamka wypadła i z brzękiem potoczyła się po podłodze.

– Musicie mieć dowody! – krzyknęła.

Łup! Drzwi otworzyły się z hukiem i do pomieszczenia wpadł barczysty mężczyzna. Wong była w szoku – to Vince Brancacci, jowialny szef kuchni na pokładzie Batavii. Teraz już nie sprawiał wrażenia jowialnego, a w wielkiej owłosionej łapie trzymał tasak do mięsa. Za nim tłoczyło się kilku mężczyzn uzbrojonych w łomy, młoty, klucze francuskie i inne ciężkie narzędzia.

– Tam jest!

– Nie! – rzucił Prothero. – Proszę, Boże, nie!

Kiedy agresorzy uświadomili sobie, że Prothero jest w pułapce, nagle się zawahali.

– On jest zarażony – powiedział Brancacci, postępując naprzód z tasakiem. – Już po nim. Musimy pozbyć się robala, którego ma w sobie.

– Nie, nie, proszę! – wyszeptał Prothero, cofając się aż do ściany ze sprzętem komputerowym.

Wong stanęła między Brancaccim a Protherem i wyprostowała się, górując nad niższym od niej szefem kuchni.

– Nie można zabić człowieka bezpodstawnie. Nie masz dowodów. Nie możesz tego zrobić.

– Mamy dowody – odparł szef kuchni.

– Jakie? – spytała Wong.

– Spał. Nie mogliśmy go dobudzić. I spójrz na niego. Popatrz tylko! Nie zachowuje się normalnie.

– Ty też nie zachowywałbyś się normalnie, gdyby ściagała cię rozjuszona zgraja.

– Zejdź mi z drogi – rzucił groźnym tonem Brancacci.

Poczuła kwaśny odór jego potu.

– Nie rób tego – powiedziała półgłosem. – Odwróć się i wyjdź stąd. Wszyscy stąd idźcie. Nie możecie zabić człowieka na podstawie tak słabych dowodów.

Brancacci schwycił ją za ramię.

– Proszę, odsuń się.

– Nie!

Silnym szarpnięciem odepchnął ją na bok. Był silny, zatoczyła się na ścianę ze sprzętem elektronicznym i część tych urządzeń, podobnie jak ona, wylądowała z hukiem na podłodze. Chwilowo oszołomiona Wong siedziała pod ścianą, podczas gdy cała banda wdarła się do pomieszczenia, wymijając ją.

– Boże, Boże, Boże błagam, nie, nie, nieee! – Usłyszała szloch i błagalny głos Prothera.

Brancacci zamachnął się tasakiem, mierząc w jego głowę i trafiając powyżej oka przy wtórze przyprowadzającego o mdłości chrupnięcia. Prothero krzyknął i upadł, brocząc krwią, jego czaszka była rozłupana. Brancacci zrobił krok w tył i celując starannie, ponownie zamachnął się tasakiem. Krzyk urwał się nagle. Prothero zaległ na podłodze w bezruchu. Teraz szef kuchni stanął nad nim okrakiem i zadał kolejny cios, wbijając ostrze w czaszkę i rozłupując ją jak melon.

Wong odwróciła głowę i zamknęła oczy. Usłyszała odgłosy szamotaniny, okrzyki: „Znajdź go! Wyciągnij go! Dorwij robala!”, ale po chwili wrzawa ucichła i w pomieszczeniu zapanowała cisza.

Otworzyła oczy. Brancacci wciąż stał okrakiem nad ciałem Prothera z tasakiem w dłoni. Pozostali ustawili się półkolem nad leżącym na podłodze martwym naukowcem, wpatrując się we fragmenty rozłupanej czaszki i mózgu walające się w rozlewającej się kałuży krwi.

– Cholerne łajzy! – krzyknęła Wong. – Jesteście zadowoleni? Widzicie! Nie ma żadnego robaka!

Manuel Garza przystanął u podnóża schodów do maszynowni i otarł twarz chustką. Był wykończony po uciążliwym przeczesywaniu całego statku, które jak dotąd nie przyniosło żadnych rezultatów. Doprowadzało go to do szału, bo przecież wiedział, że robaki są na pokładzie. Zaatakowały kilku członków załogi, pojawiając się znikąd, a potem zniknęły bez śladu. Ale jak namierzyć cienkiego jak ołówek szarego robaka długości piętnastu centymetrów na statku badawczym, gdzie znajdowały się przewody i kable o długości miliona kilometrów. A maszynownia była najgorszym miejscem, w którym można by próbować je odszukać.

Frederick Moncton, główny mechanik i inżynier pokładowy, wytworny Kanadyjczyk z Quebecu z wąsikami cienkimi jak kreska zrobiona ołówkiem, czekał na nich ze swoim zastępcą, dwoma pomocnikami i strażakiem. Garza miał w swojej ekipie czterech ludzi: wiceszefa ochrony Eyvena Vintera i trzech innych funkcjonariuszy. Odebrał im broń, nie chciał, by w ograniczonej przestrzeni pod pokładem zaczęły latać kule, które mogłyby rykoszetować, trafiając w ludzi i cenny delikatny sprzęt. Mieli natomiast ciężkie narzędzia, siekiery i łomy, które mogły posłużyć jako broń.

Maszynownia była obszerna, duszna, nagrzana, cuchnęła olejem napędowym i smarem, ale przynajmniej dało się tędy przejść, a stalowe podłogi były nienagannie czyste. Główny silnik, wysokoprężny diesel, zajmował połowę długości pomieszczenia i był pomalowany na jasnoszary kolor, obok zaś znajdowały się zsynchronizowane generatory dieslowskie, pomalowane na żółto i niebiesko, zaopatrujące statek w prąd elektryczny – zasilanie główne i awaryjne. Resztę tej przestrzeni wypełniał las rur dostarczających paliwo, wodę morską jako chłodziwo, olej i płyn do chłodzenia silnika. Pod sufitem ciągnęły się wielkie przewody i kanały powietrzne.

Wszystko wyglądało na dobrze utrzymane i uporządkowane. Umundurowany personel, który zebrał się, by pomóc ekipie Garzy w przeszukaniu, wydawał się opanowany i profesjonalny. Ci ludzie nie ulegali histerii, jaka szerzyła się na pokładzie. I za to Garza był im naprawdę wdzięczny.

Wyjął krótkofalówkę z futerału przy pasku.

– Eduardo, słyszysz mnie?

Po chwili rozległ się oschły głos szefa ochrony Bettancesa.

– Słyszę cię, odbiór.

– Czy twoi ludzie coś znaleźli?

– Nic.

– No dobrze. Informuj mnie. Bez odbioru.

Schował krótkofalówkę.

– Panie Moncton – powiedział, wyjmując kilka zdjęć przedstawiających robaka. – Szukamy czegoś takiego. Wszystkie przestrzenie, w których mogłyby się ukrywać tego rodzaju stworzenia, muszą zostać otwarte i przeszukane.

Moncton wziął zdjęcia, przewertował je i rozdał swoim ludziom.

– Tak jest. Jesteśmy do dyspozycji.

– Pan i pańska ekipa znacie tutaj wszystkie wejścia i wyjścia. Chcieliśmy zacząć od drugiego końca i stopniowo przesuwać się w tym kierunku. Wygląda na to, że najbardziej efektywnym rozwiązaniem będzie, jeśli pański zespół pójdzie przodem, otwierając wszystkie schowki i miejsca, gdzie mogą się ukrywać te istoty.

– Tak jest.

Moncton dał swoim ludziom sygnał, aby poszli za nim, i ruszyli gęsiego na drugi koniec maszynowni przez wąski przesmyk między rurami i dudniącymi silnikami.

– Większości z tego, co tu widzicie – rzekł Moncton – nie można otwierać. Mam na myśli silniki, przewody i generatory. Otwarcie ich spowodowałoby zatrzymanie statku i wyłączenie zasilania całej jednostki. Ale to maksymalnie uszczelnione środowisko, nie sądzę więc, by robaki mogły się dostać do środka, zwłaszcza że te miejsca nie okazałyby się dla nich przyjazne. Większość przewodów doprowadza paliwo i chłodziwo pod wysokim ciśnieniem, silniki pracują w temperaturze ponad siedemdziesięciu stopni Celsjusza.

– Rozumiem – rzekł Garza. – Teraz je pominiemy. Może później do nich wrócimy, jeśli okaże się to konieczne.

Dotarli do tylnej ściany – nitowanej przegrody z malowanej stali.

– Zacznijmy od tego ciągu paneli kontrolnych – zaproponował Garza. – Będziemy musieli zdjąć osłony i sprawdzić każdą z nich.

– Dobrze.

Jeden z młodszych inżynierów szybko przyniósł dużą skrzynkę z narzędziami, po czym odkręcił osłonę pierwszego panelu i odstawił ją na bok, odsłaniając pęki przewodów i płyty obwodów drukowanych. Ludzie Monctona odeszli na bok, a ich miejsce zajął Garza ze swoją ekipą. Założyli grube skórzane rękawice i osłony na twarz pobrane z okrętowego warsztatu. Garza patrzył z uwagą, jak jego ludzie zaczynają szperać tu i tam, zaglądając za płataninę przewodów, odgarniając je i upewniając się, że są to faktycznie tylko zwykłe kable. Pomagając sobie lusterkami stomatologicznymi i latarkami ołówkowymi, zaglądali w każdą szparę, w każdy kąt.

– Czysto – rzekł Garza. – Następny.

To był długi ciąg paneli, przełączników i urządzeń kontrolnych. Sprawdzili metodycznie każdy z nich. Wszystkie były czyste.

– Przejdźmy do sieci przewodów – polecił Garza, podnosząc wzrok. To będzie prawdziwa orka na ugorze. – Dokąd one prowadzą?

– Służą do chłodzenia silnika i do wentylacji. Przewody prowadzące do silnika ciągną się stąd prosto aż na pokład. Przewody wentylacyjne są zasilane i monitorowane przez COWiG⁴. Chce pan sprawdzić?

– Jasne, że tak. Zaczniemy stąd, od tego prostokątnego przewodu wentylacyjnego pod sufitem.

Dostęp do kanału wentylacyjnego był możliwy dzięki wąskiej drabinie prowadzącej na małą, niebezpieczną kładkę. Pojedynczy kanał wentylacyjny biegł przez całą długość maszynowni, w regularnych odstępach umieszczono wzdłuż niego owalne ruchome uszczelki, przez które w razie konieczności można było wpuścić do środka powietrze i które zamykały się szczelnie, gdy włączano nawiew. Przewód wentylacyjny kończył się dużym rozgałęzieniem w kształcie litery T, gdzie znajdował się wentylator osiowy.

– Proszę umieścić kamerę kolejno w każdym z tych otworów – rzekł Garza. – Popatrzmy.

Vinter i jeszcze jeden funkcjonariusz ochrony wspięli się na drabinę; ten drugi miał przy sobie niewielką kamerę i latarkę na wysięgniku teleskopowym. Vinter dłonią w rękawicy uchylił pierwszy wpust, a jego towarzysz wsunął do środka kamerę. Na ekranie iPada, który miał przy sobie Garza, pojawił się obraz przekazywany za pośrednictwem bluetootha. Przewód był pusty, w każdym razie do miejsca, gdzie sięgało światło latarki.

– Następny otwór.

Mężczyźni przeszli po kładce i powtórzyli całą procedurę, zaglądając po kolei do wszystkich odpowietrzników. I nic. Dotarli do końca kanału wentylacyjnego, w miejscu gdzie łączył się on z drugim poziomym odgałęzieniem, tworzącym literę T. Uchylna kłapa dostępu znajdowała się w dolnej części przewodu wentylacyjnego, ale była zaśrubowana. Na końcu kanału wentylacyjnego szumiał włączony wentylator osiowy. Poniżej pulsował rytmicznie główny silnik okrętu, biły zeń fale gorąca.

– Czy możemy wyłączyć ten wentylator? – zapytał Garza.

– Nie ma sprawy.

Wentylator został wyłączony.

– Dobra, proszę otworzyć tę kłapę i wsunąć do środka kamerę.

Kładka była wąska i Vinter, który był z przodu, musiał przykucnąć pod przewodem wentylacyjnym, żeby odkręcić kłapę powyżej. Dwie śruby ustąpiły gładko, włożył je do ust, po czym chwycił kołnierze przy krawędzi kłapy i szarpnął, poluzowując zastawę ze starości wejście. Kłapa otworzyła się przy wtórze zgrzytu nienaoliwionych zawiasów i z kanału na głowę i ramiona Vintera posypała się cienka smużka sadzy. Wytarł ją zdecydowanym ruchem.

Mężczyzna z tyłu, trzymający kamerę na teleskopowej tyczce, ukląkł i także wślizgnął się pod przewód, po czym wsunął kamerę do kanału wentylacyjnego.

Przez ułamek sekundy Garza dziwił się, ujrawszy to, co pojawiło się i ożyło na ekranie jego iPada: splątana, szara, wijąca się masa.

– Robaki! – zawołał. – Wycofać się!

To się stało w mgnieniu oka: nagła eksplozja odgłosów skrobania wewnątrz ocynkowanego kanału wentylacyjnego, a zaraz potem kłębowisko wijących się, popiskujących robaków wypadło z odsłoniętego otworu wprost na głowy i ramiona dwóch funkcjonariuszy ochrony. Zaczęli krzyczeć, wymachując rękami i wykonując energiczne ruchy całym ciałem, by strzepywać i odrzucać spadające na nich robaki. Zareagowali tak gwałtownie, że zatoczyli się do tyłu na barierkę kładki, która pękła. Spadli na posadzkę maszynowni zasypywani deszczem robaków rozbiegających się na wszystkie strony.

Garza cofnął się przerażony. Zauważył, że kilka robaków wpęzło pod ubrania i maski osłaniające twarze leżących na podłodze dwóch funkcjonariuszy, którzy wciąż jeszcze rozpaczliwie, w panice próbowali strzepywać z siebie pasożyty. Vinter zerwał maskę z twarzy, aby pozbyć się robaków, zaraz jednak pojawiły się następne, napierając zwartą falującą masą i usiłując wślizgnąć mu się do nosa.

– Sukinsyny!

Garza wyszarpnął z pochewki przy pasie niewielki toporek i zaczął rąbać pełzające po posadzce robaki, próbujące dotrzeć do dwóch stawiających rozpaczliwy opór ochroniarzy. Dwaj pozostali członkowie jego ekipy wyjęli swoją broń: łom i ciężki klucz. Pasożyty ginęły szybko, wydając przy tym zawodzące piski jak zranione szczury.

– Wycofać się, jest ich za dużo! – zawołał Garza, ale nikogo nie trzeba było do tego zachęcać w obliczu takiego szturmu.

Garza też się cofał, zadając toporkiem ciosy na prawo i lewo, podczas gdy pasożyty nieustannie pełzły w jego stronę. To była walka, której, jak wszystko na to wskazywało, nie mogli wygrać.

– Wynośmy się stąd! – zawołał. – Zamknąć i zabezpieczyć drzwi!

Opuścił maszynownię wraz z inżynierami, strażakiem i dwoma funkcjonariuszami ochrony, idącymi gęsiego i nieprzerwanie walczącymi z robakami, które atakowały i próbowały kąsać ich niczym rozwścieczone węże. Moncton sięgnął po gaśnicę i spryskał robaki strugą środka gaśniczego, ale bez żadnego widocznego efektu. Garza zauważył, że Vinter i drugi funkcjonariusz ochrony byli w kiepskim stanie, najwyraźniej obaj tracili przytomność, a drgające robaki wystawały i zwisały z ich nosów. Młodszy inżynier mechanik także leżał na podłodze cały pokryty robakami, krzycząc, przetaczając się z boku na bok i rozpaczliwie usiłując strzepywać je z ubrania. Było jednak za późno, kilka

wpełzło mu do nosa, choć bardzo starał się temu zapobiec. Po chwili znieruchomiał, jakby nieoczekiwanie zapadł w głęboki sen.

Z kanału wentylacyjnego powyżej spadały na nich kolejne robaki. Dotarli do drzwi, a Garza zatrzymał się, deptając robaki butami, żeby inni mogli wydostać się na korytarz. Dopiero kiedy wszyscy wyszli, on też podążył za nimi, a Moncton zatrzasnął masywną gródź i zarygłował wejście. Kilka robaków rozciętych drzwiami wiło się w kawałkach, zanim Garza rozdeptał je na miazgę.

– Chryste! – rzucił Moncton, podczas gdy pozostali w panice otrzepywali ubrania.

– Jesteśmy czyści – rzekł po chwili Garza. – Boże, ci nieszczęśnicy.

– Nie możemy ich tam zostawić – powiedział Moncton.

– Już po nich.

Zapadła grobowa cisza.

– A co z systemem przeciwpożarowym w maszynowni? – spytał Garza. – Czy nie moglibyśmy zabić tych robaków przy jego użyciu?

– System wykorzystuje FM-200 – odparł strażak. – To nie jest toksyczny środek.

– No dobrze, a gdybyśmy zablokowali drzwi do maszynowni? Są tu inne drzwi?

Moncton pokręcił głową.

– Wszystkie grodzie są wodoszczelne, ale kanały wentylacyjne prowadzą prosto na pokład. Nie możemy ich zablokować.

– A to czemu, do cholery?

– Bez powietrza z maszynowni statek byłby całkiem unieruchomiony. Zero napędu, zero energii elektrycznej. A kanały wentylacyjne ciągną się wszędzie, do każdego zakamarka statku.

Garza pokręcił głową. Znów przetarł twarz.

– Moncton, może pan dostarczyć mi schemat całego układu tuneli i przewodów wentylacyjnych na pokładzie?

– Cyfrowe schematy są dostępne w sieci statku.

Garza pokiwał głową.

– Najwyraźniej te robale mnożą się w przewodach wentylacyjnych. W tym miejscu było dużo więcej robaków, niż mogliśmy sprowadzić na pokład z tym jednym, pobranym z dna oceanu okazem. To nasz nowy priorytet. Skieruję wszystkie ekipy poszukiwawcze do oczyszczenia kanałów wentylacyjnych i odnalezienia gniazda, w którym się wylęgają. I to pan, Moncton, będzie nadzorować tę operację w moim imieniu.

W centrum dowodzenia Glinn ponownie odtworzył symulację wybuchu ładunku jądowego. Wszyscy przyglądali się temu w milczeniu. Wyglądało to tak, jakby sprawdzał, co mogli przegapić. Gideon wiedział, że niczego nie przeoczyli. Eksplozja nie dotrze do znajdujących się głęboko pod dnem oceanu nasion, niezależnie od tego, jak próbowaliby zmieniać parametry symulacji.

Glinn wyłączył monitor i wsunął klawiaturę. Zapadła długa cisza. Gideon spojrział na McFarlane'a, ale jego oblicze pozostało mroczne i nieodgadnione.

– W porządku – rzekł Glinn. – Tak czy inaczej, zdetonujemy bombę i będziemy się modlić, by zadziałała.

McFarlane, słysząc te słowa, wybuchnął cichym, drwiącym śmiechem.

– Modlić się? – rzucił z ironią w głosie. – To wszystko, na co nas stać?

– A jaki mamy wybór? Czas nas goni.

Odwrócił się.

– Gideonie, uzbrój bombę.

– Nie możesz tego zrobić – zaproponował McFarlane. – Tak bardzo zżera cię poczucie winy po tym, jak się zachowałeś na Rolvaagu, że teraz popełniasz dokładnie przeciwny błąd i chcesz za wszelką cenę podjąć nieprzemysłane, nierozsądne, pochopne działania, które nic nie dadzą.

Glinn zignorował jego uwagę.

– Gideonie? Uzbrój bombę. I załaduj ją do zdalnie sterowanego pojazdu podwodnego. Przydzielę ci tylu ludzi, ilu potrzebujesz, by zrobić to jak najszybciej.

Gideon znów dostrzegł błysk w zazwyczaj pozbawionych wyrazu oczach Glinna. Ten człowiek miał rację. Bomba atomowa była jedynym rozwiązaniem. Nie mieli innego wyboru. Było tylko kwestią czasu, kiedy wszyscy zostaną zarażeni albo łańcuch dowodzenia na pokładzie kompletnie się rozpadnie. To mogło się udać. Prawdopodobnie eksplozja doprowadzi do zniszczenia obcego mózgu, a przecież nie mieli żadnych podstaw, by wierzyć, że do unicestwienia całej istoty konieczne było zlikwidowanie wszystkich mózgów.

– Przed tym właśnie ostrzegaliśmy Lloyd – rzekł McFarlane. – Za bardzo się zaangażowałeś. Masz zaburzoną zdolność postrzegania i dokonywania osądów. Doprowadzisz do zguby nas wszystkich.

– Jaki mamy wybór? Jeżeli nie przejdziemy do działania i nie zdetonujemy bomby, cały świat czeka zagłada.

Glinn odwrócił się do Gideona.

– Uzbrój bombę.

Gideon wziął płytki oddech.

– Nie – odrzekł po chwili. – Zgadzam się z McFarlane'em. Mamy tylko

jedną szansę. Nie możemy tak po prostu zdetonować bomby. Musimy mieć pewność, że odniesiemy sukces. Musi być jakiś inny sposób.

– Jeżeli ty nie uzbrosisz bomby, ja to zrobię.

Glinn wstał, by wyjść.

– Zaczekaj – odezwał się głos.

Gideon zobaczył, że McFarlane złapał Glinna za rękę. Twarz łowcy meteoratów była pusta, mroczna i lśniła od potu.

– Mam pewien pomysł – powiedział.

– Słucham – rzekł Glinn.

– Kilka lat temu eksplorowałem Aklavik, niezwykle krater meteorowy w północnej Kanadzie. Bardzo mały obiekt w momencie zderzenia z ziemią wybił w niej gigantyczny krater. Zastanawiałem się, jakim cudem taka mała skała pozostawiła po sobie tak olbrzymią dziurę.

– Mów dalej.

– Skonsultowałem się z kilkoma fizykami. Meteor uderzył w lodowiec. Prawdopodobnie uderzenie to wywołało zjawisko znane jako wybuch typu ciecz-ciecz.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem – odparł z powątpiewaniem Glinn.

– To rzadkie zjawisko. Zachodzi wtedy, gdy dwie substancje płynne, jedna lodowata, druga superrozgrzana, zetkną się w wyjątkowo gwałtowny sposób. Skutkiem tego jest powstanie olbrzymiej powierzchni do natychmiastowej wymiany temperatur, a jeden z płynów momentalnie osiąga stan wrzenia. To byłby poważny problem w stalowniach, gdyby, dajmy na to, roztopiona stal wylała się z kadzi na mokry beton. Wiem coś o tym, przez pewien czas, trzy lata temu, pracowałem w stalowni.

– A jak było w wypadku tego meteoru i lodu? – zapytał Glinn. – Obie substancje były przecież stałe.

– Żelazno-nikłowy meteor uderzenia roztopił się i przeszedł ze stanu stałego w ciekły. To się zdarza. Lód także roztopił się pod wpływem fali uderzeniowej. Doszło do potężnej reakcji, gdy te dwie masy zmieszały się w jednej chwili, i w ułamku sekundy olbrzymia ilość wody osiągnęła stan wrzenia, powodując gigantyczną eksplozję.

– Myślisz, że to samo stanie się z naszą bombą? – spytał Gideon. – W głębi oceanu?

– Nie. Sama woda nie wystarczy. Potrzeba drugiej cieczy, maksymalnie rozgrzanej, żeby się z nią zmieszała.

– Czyli czego konkretnie?

– Metalu. Stali. Potrzeba większej ilości roztopionego metalu, który zmieszałby się z wodą.

– Może po prostu włożymy bombę do metalowego pancerza?

– To nie wystarczy. Potrzeba znacznie więcej metalu. Dziesiątków ton stali.
– Nie zdołamy obłóżyć bomby dziesiątkami ton metalu – odparł Gideon. – Nie mielibyśmy potem jak opuścić jej na dno.

– Nie trzeba obkładać bomby metalem. Wystarczyłoby rozłożyć na dnie oceanu stalowe i żelazne płyty. Płasko. Powyżej miejsca, gdzie pod ziemią rosną obce nasiona. To spowodowałoby ukierunkowanie eksplozji.

– Arkusze metalu?

– Na tym statku musi być mnóstwo arkuszy metalu i stalowych płyt. Moglibyśmy wyciąć część grodzi, opuścić arkusze stalowych płyt na dnie, a potem zdetonować nad nimi bombę. Na tyle blisko, żeby fala sejsmiczna rozpuściła stal.

– O jakiej ilości stali mówimy? – zapytał Glinn.

– Powiedziałbym, że o co najmniej dwustu tonach. Im więcej, tym lepiej.

Cisza.

– Jak twoim zdaniem mielibyśmy przetransportować setki ton stali na głębokość trzech i pół tysiąca metrów?

– Można by opuścić je na kablach.

– Mamy dwa kable głębinowe i jeden dźwig – odrzekł Glinn. – Kable są przeznaczone do awaryjnego podnoszenia pojazdów głębinowych i mają udźwig do tysiąca dwustu kilogramów. Nawet gdybyśmy mogli usunąć ze statku dostateczną ilość stalowych płyt, nie zdołalibyśmy na czas opuścić ich na dno. A wydaje ci się, że ta istota będzie czekała beczynn timer, kiedy zaczniemy obkładać ją arkuszami metalu?

– Moglibyśmy po prostu wyrzucać stalowe płyty za burtę – powiedział McFarlane.

– Te arkusze metalu i stalowe płyty, opadając na dno, zaczęłyby wirować w kierunku podłoża – wyjaśnił Glinn. – Koniec końców wbiłyby się w muł pionowo. Czy to wystarczyłoby do skutecznej realizacji naszego planu?

– Nie – odparł McFarlane.

– Pomysł świetny – przyznał Glinn. – Szkoda, że niemożliwy do zrealizowania.

Znów odwrócił się by wyjść.

Gideon go zatrzymał.

– Może to, co powiem, uznacie za szaleństwo, ale czy na dnie nie spoczywa już ogromna ilość metalu?

Glinn zmarszczył brwi i spojrzał na niego z wyrazem zniecierpliwienia.

– O czym ty mówisz?

– O Rolvaagu.

Greg Masterson miał wrażenie, że traci kontrolę w mesie. Ktoś przyniósł kilka butelek szkockiej, wyciągniętych Bóg wie skąd, i zaczęły krążyć z rąk do rąk. Słysząc było podniesione głosy, ludzie przekrzykiwali się nawzajem i nie mogło z tego wynikać nic poza bezsensownymi kłótniami i pyskówkami.

To go naprawdę wkurzyło. W przypiływie złości wszedł na blat jednego ze stolików.

– Ej! Posłuchajcie mnie!

Odgłosy niezadowolenia nie ucichły.

– Posłuchajcie mnie, do jasnej cholery! – Głośno tupnął w stół. – Zamknijcie się wreszcie!

Poskutkowało. W sali zapadła cisza.

– Potrzebujemy planu. A ja mam plan.

Masterson pozwolił, żeby oczekiwanie w napięciu się przedłużało. W mesie było około dwudziestu osób, głównie załoga i kilku członków personelu naukowego. To powinno wystarczyć. Wyglądali na zmotywowanych, nawet bardzo.

– Jesteście gotowi, żeby posłuchać? – Celowo zniżył głos, co poskutkowało, bo w sali wreszcie zrobiło się cicho.

– Niech ktoś zamknie drzwi i przekręci zasuwkę.

Ktoś wykonał jego polecenie.

– No dobra – rzekł Masterson. – Chyba wszyscy wiemy, że misja okazała się porażką.

Ciche potaknięcia.

– Na statku roi się od przeklętych obcych robali, które się rozmnażają. Plotki głoszą, że ukrywają się w przewodach wentylacyjnych. Są w maszynowni. Wszędzie.

Przerwał.

– Musimy spieprzać z tego statku. I to jak najszybciej.

Chór zgodnych głosów. I znów potaknięcia. Masterson czuł narastającą w mesie energię. Zobaczył przechodzącą z rąk do rąk butelkę whisky.

– Ej! Odstaw tę flaszkę, na miłość boską. Musimy zachować trzeźwy umysł. Nie wystarczy wam, że jesteśmy nafaszerowani amfą?

Butelka została odstawiona na bok.

– Bóg raczy wiedzieć, ilu naszych kolegów z załogi zostało zainfekowanych. I pamiętajcie, nie sposób tego stwierdzić. Nie da się tego stwierdzić. Dopóki nie będzie za późno.

Potakujące głosy.

– Dobra, najbliższy port to Ushuaia w Argentynie. Siedemset mil morskich na północny zachód. Jeżeli wyruszymy natychmiast, z pełną mocą, dotrzemy tam w pięćdziesiąt osiem godzin.

Chór zgodnych głosów.

– Ci w centrum dowodzenia zachowują się, jakby nic się nie zmieniło. Wciąż myślą, że są w stanie zabić tego potwora. Ale to zwykłe urojenia.

– A może są zarażeni! – zawołał ktoś.

– To całkiem możliwe – przyznał Masterson. – Jak już wspomniałem, nie sposób tego stwierdzić. Wiem tylko, że w pięćdziesiąt osiem godzin moglibyśmy bezpiecznie zawinąć tym statkiem do portu w Ushuaia.

Ta uwaga spotkała się z rykiem aprobaty.

– Co wobec tego możemy zrobić? To proste. Przejmijmy statek. – Rozejrzał się gniewnie dokoła. – W tej sali dysponujemy całą wiedzą, jakiej potrzebujemy – inżynierską, nawigacyjną i operacyjną. Mamy też odpowiednie zasoby ludzkie. Możemy tego dokonać.

Kolejna dramatyczna pauza.

– Możemy tego dokonać – zawtórował tłum.

Słysząc też było powtarzane przez niektórych słowo „bunt”.

– Tak – rzekł półgłosem Masterton. – Bunt. Ale bunt konieczny. Taki, który pozwoli ocalić nie tylko nasze życie, lecz także życie wszystkich niezarażonych osób na pokładzie.

Ta sugestia uciszyła zebranych. Można byłoby usłyszeć brzęk spadającej na podłogę szpilki.

– Jesteście ze mną?

Cichy szmer aprobaty powoli przybierał na sile.

– Teraz albo nigdy. Wstańcie, jeśli jesteście ze mną.

Wstała jedna osoba, potem następna, jeszcze jedna i po chwili podnieśli się pozostali przy wtórze głośnego szurania krzeseł i narastającego gwaru.

– Czy ktoś jest przeciw?

Nikt się nie odezwał. To tylko wzmogło przekonanie Mastersona, że muszą wszcząć bunt i jak najszybciej przejąć statek.

Właściwie natychmiast.

Garza czołgał się wzdłuż kanału wentylacyjnego biegnącego poziomo przez całą długość statku, przed sobą miał dwóch swoich ludzi, za sobą zaś Monctona. Wszyscy mieli kaski ochronne z silnymi czołówkami. W tunelu było brudno i głośno, ale przynajmniej panował tu silny przewiew. Zbliżali się do maszynowni, lecz jak dotąd nie napotkali ani śladu robaków.

Garza trzymał prowizoryczną broń – paralizator elektryczny. Wszyscy byli w nią zaopatrzeni. To Moncton wpadł na taki pomysł i szybko poskładał te urządzenia, wykorzystując obudowy latarek, elementy z zapalarek piezoelektrycznych, iskierniki, kondensatory i – jako zasilanie – dwie baterie alkaliczne D. Okazał się prawdziwym geniuszem: wziął kawałek robaka, stwierdził, że stworzenie jak szalone przewodzi prąd, i uznał, że musi być podatne na gwałtowne skoki napięcia. W nieco ponad kwadrans sklecił paralizatory dla całej ekipy, a teraz całą grupą, uzbrojeni, zmierzali do maszynowni w poszukiwaniu miejsca, gdzie zagnieździły się i rozmnażały robaki.

Jak dotąd napotkali i potraktowali prądem zaledwie kilka – paralizatory spisały się na medal. Porażone robaki były martwe, a przynajmniej na takie wyglądały, bo były wysuszone, jakby zwiędłe, i poskręcane w małe, ciasne supły.

Przez krótkofalówkę Garza rozkazał Bettancesowi, szefowi ochrony, aby wysłał swoich ludzi do kanałów wentylacyjnych w innych częściach statku. Jeżeli nie zdołają odnaleźć kryjówek i wylęgarni robaków, zostaną przez nie pokonani – i to bardzo szybko.

Dotarli do rozgałęzienia. Garza sprawdził na tablicy schemat COWiG i stwierdził, że znajdowali się kilka załomów od kanału, który doprowadzał powietrze do maszynowni. Dwaj mężczyźni znajdujący się przed nim użyli aparatów na kijkach do selfie, by wyrzucić z załomu przewodu wentylacyjnego, niczego jednak nie zauważyli.

Czołganie się wydawało się nie mieć końca. Przy każdym załomie kanału powietrznego i przy każdym wpuście musieli się zatrzymać, wypatrując robaków. Garza uważał, że mogą się one zachowywać jak żyjące w jamie grzechotniki, trzymające się razem i tworzące zwartą masę, w której kopulowały i się rozmnażały. Jego zdaniem najodpowiedniejszym do tego miejscem był – z uwagi na panujące tam ciepło – kanał wentylacyjny nad maszynownią. Jeżeli miał rację, jeśli robaki faktycznie zgromadziły się w jednym gnieździe, może zdołaliby zlikwidować je wszystkie za jednym zamachem.

– Skręćcie w lewą odnogę – powiedział i ruszyli dalej.

Byli prawie u celu.

Patrick Brambell obudził się niesamowicie wypoczęty, chociaż całe ciało

bolało go od leżenia na podłodze. Jak się na niej znalazł? Pamiętał, że wyciągnął się na fotelu, by się chwilę zdrzemnąć. Gdy usiadł, zauważył, że na drugim fotelu spała Sax ze stopami opartymi o stół laboratoryjny przygotowany do badania krwi. Twarz kobiety wydawała się spokojna i łagodna, wargi lekko wilgotne, lśniąco włosy opadały jej na szyję.

– Doktor Sax?

Otworzyła oczy, po czym usiadła.

– Och, przepraszam. Wcale nie chciałam zasnąć. – Spojrzała na swoją komórkę. – A w każdym razie nie na tak długo. Budzik musiał się włączyć.

Brambell sięgnął po swoją komórkę leżącą na stole.

– Wygląda na to, że przespaliśmy budzenie. Najwyraźniej tego nam było trzeba. – Zachichotał, a jego oczy rozbłysły. – A to ci dopiero, żeby tak zasnąć jak kamień! Nieładnie, nieładnie. Lepiej nikomu o tym nie mówmy.

– Czuję się dużo lepiej. Padałam z nóg. A teraz jestem jak nowo narodzona.

– Ja też. Jak nowo narodzony, znaczy się.

Sax zaśmiała się cicho. Przeciągnęła się, wstała i popatrzyła na sprzęt rozstawiony na stole.

– Naprawdę myślisz, że badanie krwi może wykazać obecność tego czegoś w ciele człowieka?

Brambell westchnął.

– Wątpię. Wydawało mi się, że przynajmniej warto spróbować, ale dochodzę do wniosku, że to były zdecydowanie zbyt daleko idące, mocno naciągane przypuszczenia. Tylko wariat mógłby uznać, że proste badanie krwi mogłoby wykazać obecność w organizmie obcego pasożyta.

– Musi być lepszy sposób na spożytkowanie naszego czasu – powiedziała Sax.

Brambell zamyślił się. Uznał, że tak naprawdę potrzebowali jak najwięcej informacji na temat istoty w oceanie.

Na tym właśnie polegał ich prawdziwy problem. Nic nie wiedzieli o baobabie, nie mieli pojęcia, czym jest, jak myśli, po co się tu znalazł. To obudziło w Brambellu wielką ciekawość. Chciał się dowiedzieć czegoś o tej istocie. Przebyła daleką drogę, długo wędrowała samotnie poprzez pustkę kosmosu, a jej cykl życiowy wydawał się równie złożony jak cykl każdej innej istoty na Ziemi, a może nawet bardziej.

– W tym laboratorium jesteśmy jak chomiki biegające w kołowrotku – stwierdziła Sax. – Do niczego w ten sposób nie dojdziemy.

– Raczej nie.

– Chciałabym, żebyśmy mogli okazać się bardziej użyteczni.

Brambell znów się zamyślił.

– Problem polega na tym – rzekł powoli – że do obserwacji baobabu wysłano

na dno oceanu niewłaściwe osoby. Gideona Crew, faceta zajmującego się inżynierią jądrową. Lispenard, biolog morską. Garzę, jeszcze jednego inżyniera.

Sax pokiwała głową.

– Racja.

– Sami technokraci. Ani jednego humanisty – jak, dajmy na to, ty czy ja.

Sax pokiwała głową, po czym przeczesła palcami i przyglądała lśniącej brązowej włosy. Brambell nie mógł się nadziwić temu, jak zdrowo wyglądały i jak delikatna i biała była jej dłoń. Zastanawiał się, dlaczego wcześniej nie zwrócił na nią uwagi.

– Tak naprawdę – ciągnął Brambell – powinni posłać tam na dno kogoś takiego jak ty czy ja. Ciebie, bo masz doktorat z medycyny, a mnie, bo jestem lekarzem i mam za sobą lata zawodowego doświadczenia. To my jesteśmy najodpowiedniejsi, jeżeli chodzi o zrozumienie obcego organizmu takiego jak ten.

– W pełni się z tobą zgadzam.

Brambell znów pogрузił się w zadumie. Umysł miał wyjątkowo trzeźwy; to niesamowite, jak wiele jest w stanie zdziałać krótka drzemka. Gdy rozpatrywał dotychczasowy przebieg całej wyprawy, doszedł do wniosku, że ekspedycja od początku była skazana na porażkę. Niczego nie zrobiono tak jak trzeba. Cała zasadnicza koncepcja – chęć zabicia tej istoty – była błędna. To coś najwyraźniej było inteligentne, a zatem można się z nim porozumieć. Dogadać się. Nawiązać kontakt. Prothero próbował pójść tym tropem, ale nikt go nie poparł, nikomu na tym nie zależało. Skoro jednak baobab mógł nauczyć się mowy wielorybów, to z całą pewnością mógł przyswoić ludzką mowę...

– Wiesz co? – Brambell zwrócił się do Sax – Myślę, że jedno z nas powinno zejść na dno i spróbować porozumieć się z tą istotą. To za jednym zamachem rozwiązałyby wszystkie nasze problemy.

Stwierdził, że Sax patrzy na niego z podziwem w oczach. Nigdy dotąd nie zwrócił uwagi na to, jaka była piękna.

– Doktorze Brambell, to naprawdę wspaniała propozycja. – Zawahała się. – Ale... jak mielibyśmy dostać się na dno?

– Po prostu pożyczymy jeden z DSV. Myślę, że John jest w hangarze gotowy do zanurzenia. Naprawdę uważam, że prosta rozmowa, pełne szacunku spotkanie umysłów powinno rozwiązać wszystkie nasze problemy.

– Tak po prostu... weźmiemy go sobie?

– Tak – odparł Brambell. – Weźmiemy go i już. Oczywiście tylko jedno z nas będzie mogło zejść na dno i to będę ja.

– To ja powinnam popłynąć – zaoponowała. – Bądź co bądź mam pewne doświadczenie w pilotowaniu pojazdów głębinowych.

– No, nie jestem tego taki pewien – obruszył się Brambell.

– Proszę, och, proszę, pozwól mi popłynąć. Będziesz ze mną duchem na

każdym etapie tej drogi.

Brambell zamyślił się nad tym. W końcu pokiwał głową.

– No dobrze. Skoro mamy opuścić DSV za burtę bez żadnej pomocy, możliwe, że będę musiał dać z siebie wszystko, by poradzić sobie z obsługą całego sprzętu.

– Dziękuję, och, dziękuję! – zawołała Sax, a jej oczy rozpromieniły się wewnętrznym blaskiem.

– Doktor Sax, moim zdaniem nie powinniśmy marnować czasu, lecz wziąć się natychmiast do roboty. Co ty na to?

– Doktorze Brambell – odparła, klaszcząc w dłonie – w pełni doceniam twoją mądrość i odwagę.

Gdy Garza zbliżył się ze swoją ekipą do maszynowni, dało się poczuć i usłyszeć wibrację turbin przenikającą przez kanał wentylacyjny. Skupione promienie ich czołówek rzucały silny blask w głąb tunelu i rozgałęzienia przewodu wentylacyjnego. Za tym rozgałęzieniem odnoga biegnąca w prawo prowadziła do maszynowni. To właśnie tam wcześniej natrafili na gniazdo robaków.

Garza był przekonany, że będzie ich więcej.

Poklepał w stopę mężczyznę, którego miał przed sobą, po czym na migi dał mu do zrozumienia, że powinni przejść do rozgałęzienia i tam się zatrzymać. Nie sposób było pełznąć przez kanały wentylacyjne, nie wywołując silnego hałasu i wibracji, ale Garza miał nadzieję, że robaki nie będą zaniepokojone, bo w przewodach statku i tak panował spory hałas i dochodziło do silnych wibracji.

Kanały wentylacyjne były wykonane z mocnej cynkowanej stali i solidnie przymocowane, ale mimo to nie były przystosowane do tego, by wytrzymać ciężar czterech mężczyzn. Gdy więc posuwali się naprzód, metal pojękiwał w proteście, a od czasu do czasu chybotał się i uginał. Musieli powiększyć dystans między sobą, żeby lepiej rozłożyć ciężar, ale i tak czasami wydawało się, że przewody zaraz się zarwą, a oni spadną na podłogę pomieszczenia, nad którym się akurat znajdowali.

Zbliżali się do rozgałęzienia tunelu i Garza zarządził kolejny postój. Nasłuchiwał przez chwilę, próbując wychwycić szuranie przemieszczających się robaków albo nieprzyjemne, przywodzące skrobanie paznokciami po tablicy popiskiwania, jakie wydawały w stanie nagłego ożywienia. Ale niczego takiego nie słyszał – tylko łoskot silników i szept podmuchów powietrza.

Gdyby za rogiem natknęli się na całą masę robaków, nie mieliby jak uciec. Wszyscy czterej doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Pełznąć na czworakach w ciasnym kanale wentylacyjnym, bez możliwości zawrócenia, musieliby stanąć do walki i utrzymać swoje pozycje – jak obrońcy Termopil.

Mężczyzna na przedzie dotarł do rozgałęzienia tuneli i wysunął aparat na kijku do selfie poza załom kanału. Obraz pojawił się na tablecie Garzy, który potrzebował dłuższej chwili, aby zorientować się, co widzi – tunel był pusty na długości sześciu do siedmiu metrów, dalej jednak blokowała go wielka nabrzmiała masa czegoś, co wyglądało jak gęsta, kleista owsianka czy też lśniąca, galaretowata pleśń. Na powierzchni widniały narośle niczym wielkie, nabrzmiałe pryszcze. W pewnej chwili jeden z nich pękł i ze środka wypadł nieduży, cienki robak i popęłznął przed siebie. Zaraz potem pękła kolejna narośl i wypadł z niej jeszcze jeden robak.

A więc robaki faktycznie się rozmnażały, ale nie w taki sposób, jak się tego spodziewali. To była jedna istota znosząca jaja. No i dobrze, to powinno ułatwić

sprawę.

Bez słowa Garza podał tablet pozostałym, żeby mogli zobaczyć, co mają przed sobą, po czym gestami nakłonił ich, by się nieco cofnęli. Kiedy to zrobili, wyszeptał:

– Ta zwarta masa znajduje się tuż nad głównym szlakiem. Zapewne zwabiło ich tu ciepło.

Kiwanie głów.

– Nie możemy zejść do maszynowni. Dlatego będziemy musieli zaatakować stąd, wewnątrz przewodów wentylacyjnych.

– Jak? – spytał jeden z mężczyzn.

Moncton, który był za Garzą, wyszeptał:

– Porazimy to prądem. – Uniósł w dłoni paralizator. – Mogę ustawić te urządzenia tak, by wyładowanie następowało w chwili zetknięcia końcówek z ciałem. Rzucimy nimi w tę diabelską wylęgarnię.

– Prąd z paru baterii alkalicznych tego nie zabije – zauważył jeden z ludzi Garzy.

– Obwody w tym urządzeniu wytwarzają prąd o niskim natężeniu, ale o wysokim napięciu – odrzekł półgłosem Moncton. – A konkretnie wynosi ono dziewięć tysięcy woltów. Więc to może je zabić. I zabije. Ta obca forma życia przewodzi prąd lepiej niż miedź.

– Stłoczeni w ciasnych przewodach będziemy jak bydło prowadzone na rzeź! Nawet nie możemy się obrócić.

– Dajcie mi swoje paralizatory – rzekł Garza. – Ja to zrobię. Rzucę dwa, a jeden zachowam w rezerwie. Moncton, ty będziesz obsługiwał czwarty. A tymczasem wycofajcie się. I bądźcie gotowi wziąć nogi za pas.

Przy rozgałęzieniu było tak ciasno, że Garza z trudem przecisnął się obok dwóch znajdujących się przed nim mężczyzn. Moncton szybko rozkręcił każde urządzenie, przez chwilę przy nich manipulował, po czym na powrót je poskładał.

– Włącz przycisk, jakbyś zapalał latarkę – rzekł do Garzy, podając mu trzy paralizatory. – Prąd popłynie pomiędzy stykami w chwili, gdy zetkną się z tym czymś. Jasne?

– Tak.

Garza zaczął pełznąć naprzód, minął rozwidlenie, po czym skręcił w prawo. Jego czołówka oświetliła pulsującą masę. Robaki były bardzo wyczulone na światło i nabrzmiała masa zareagowała. Pulsowanie nagle ustało. Pełzające wokół niej robaki zamarły i zwinęły się jak węże, przyjmując wyprężoną obronną pozycję.

Garza przygotował się, włączył pierwszy paralizator i cisnął nim jak podkową. Rzut był celny i dwa wystające styki trafiły dokładnie w zwartą masę. Pojawił się oślepiający elektryczny błysk, pulsująca bryła zadrgała konwulsyjnie,

a potem przy wtórze głośnego syku uchodzącego powietrza większość pęcherzy popękała, uwalniając robaki w różnym stadium rozwoju.

Na chwilę wszystko zamarło. Zaraz jednak robaki otaczające istotę ruszyły korytarzem wentylacyjnym w jego stronę, popiskując i skrobiąc, z wysuniętymi przed siebie czarnymi kłami. Garza rzucił drugi paralizator i znowu trafił bez pudła – również tym razem pojawił się potężny rozbłysk elektryczny. Całe ciało stwora pękło od góry do dołu, ze środka zaś wylała się cuchnąca galaretowata masa na wpół ukształtowanych robaków.

Garza zaczął się czołgać do tyłu najszybciej jak to było możliwe, lecz ścigające go robaki okazały się szybsze. Gdy go dopadły, zaczął się bronić, używając trzeciego paralizatora. Potraktowane prądem pasożyty wydawały cichy pisk i zwijały się w groteskowe szare precle.

– Nie zatrzymujcie się! – zawołał do swoich kompanów Garza. – Wycofajcie się do pierwszego otworu!

Jeden z robaków zbliżył się i spróbował dosięgnąć go kłem; Garza uśmiercił go prądem, po czym załatwił następnego. Porażał jednego robaka po drugim. Jednak urządzenie potrzebowało coraz więcej czasu, by się ponownie naładować. Niebawem bateria się wyczerpie.

– Daj mi jeszcze jeden!

Moncton podał mu ostatni paralizator.

– Tu jest otwarta kłapa! – dobiegł go z tyłu głos.

– Wychodźcie!

Mężczyźni jeden po drugim wyskoczyli z kanału wentylacyjnego, Garza opuścił tunel ostatni, a tuż za nim z przewodu wylał się gęsty strumień pasożytów.

– Zapomnijcie o robakach! – zawołał. – W nogi!

Znaleźli się w korytarzu za maszynownią, pokonali najbliższe masywne drzwi grodziowe i Garza zatrzasnął je, po czym zablokował.

– Chryste Panie – powiedział, opierając się o drzwi i z trudem łapiąc oddech. Na obu rękach miał krwawiące rany od zębów atakującego robactwa.

– Myślisz, że takich wylęgarni może być więcej? – spytał Moncton.

– Zważywszy na to, jakie mamy szczęście, jestem pewien, że tak – odparł Garza, wyjmując krótkofalówkę, aby skontaktować się z Bettancesem. – A biorąc pod uwagę tempo, w jakim to cholerstwo się mnoży, mogę się założyć, że jeszcze przed lunchem wszyscy zostaniemy zainfekowani i zmienimy się w bezwolne zombi.

Patrick Brambell i Antonella Sax wyszli na pokład hangaru niedługo po tym, gdy słońce ukazało się na horyzoncie.

– Mamy naprawdę wspaniałą pogodę – rzekł radośnie Brambell, gdy przechodzili przez hangar. – To miłe, że nadciągający sztorm zechciał poczekać, aż będziemy mogli zrealizować nasz cel.

– To doprawdy cudowne.

DSV John stał w swojej przesuwanej kołysce, przypięty pasami i nakryty brezentem. Nikogo nie było w pobliżu, na statku panował spory zgiełk, a cały personel ochrony skierowano do pomocy przy polowaniu na robaki.

– Na pewno umiesz to obsługiwać? – zapytał Brambell.

– Tak, dzięki skłonność Glinna do „nadmiaru”. No wiesz, on uważa, że nadmiar czegoś zapewnia bezpieczeństwo. Ale tak naprawdę sterowanie tym przypomina grę wideo. Pojazd jest kontrolowany joystickiem. To proste. Chociaż będę musiała zablokować automatycznego pilota sztucznej inteligencji i wyłączyć możliwość przekierowania kontroli nad batyskafem na powierzchnię. W przeciwnym razie ktoś z centrali mógłby zechcieć uszczęśliwić mnie na siłę, podnosząc pojazd na powierzchnię i przerywając naszą misję.

– Umiesz to zrobić?

– Byłam w centrum dowodzenia, kiedy w ten sposób ściągnęli na powierzchnię DSV Gideona Crew. Wtedy gdy Alex Lispenard udała się do swojego nowego domu. Widziałam, jak otwierają podręcznik procedur, żeby przejąć kontrolę nad sztuczną inteligencją batyskafu i przekierować panowanie nad pojazdem do centrum dowodzenia. Widziałam kody. – Pokręciła głową. – Gdyby się tak głupio nie wtrącili, być może doktor Crew też byłby już w domu.

Brambell znów zaczął się zastanawiać, jak bardzo pokręcona i nieprzemyślana była cała ta ekspedycja. Na Ziemię przybyła inteligentna obca forma życia. A jaka jest pierwsza reakcja ludzkości? Trzeba to coś zabić.

Jakie to smutne. I jakie przewidywalne.

– No dobrze, rzućmy na to okiem – powiedział.

Chwycili z dwóch stron plandekę z brezentu i ściągnęli ją, odsłaniając miniłódź podwodną. Wyglądała na nowiutką i prawie nieużywaną, lśniła w świetle lamp sodowych hangaru, gotowa do kolejnego zanurzenia, z przymocowanym do korpusu żelaznym balastem. Sax obesza batyskaf, odczepiając zaciski, które przytrzymały go w kołysce. Wsiadła do elektrycznego wózka, którego używano przy przewożeniu pojazdów głębinowych z miejsca na miejsce, i połączyła wózek z zaopatrzoną w koła kołyską DSV przy pomocy sworznia holowniczego.

– Otwórz drzwi hangaru – powiedziała.

Brambell rozsunął podwójne drzwi i do hangaru wpadły promienie słońca. Jaki piękny dzień, pomyślał, patrząc w stronę odległego horyzontu. I w ten piękny dzień nawiązą kontakt – prawdziwy kontakt – z obcą formą życia. To coś próbowało porozumieć się z nimi, używając języka wielorybów. Skoro mogło się go nauczyć, mogło również nauczyć się angielskiego. Biorąc pod uwagę gwar na statku, jaki z pewnością wychwytuje ten obcy byt, może nawet do pewnego stopnia przyswoił sobie ich język. Brambell wziął głęboki oddech, rozmyślając o przełomowym kroku, jaki zamierzali zrobić – nie dla siebie, ale dla całej ludzkości.

Stał w promieniach ciepłego wiosennego słońca i patrzył, jak Sax wprawnie holuje Johna pod ramię dźwigu hydraulicznego, po czym wysiada z wózka i odłącza batyskaf. Przywołała do siebie Brambella.

– Co ty wyprawiasz? – spytała.

– Śnię na jawie. Marzę o tym, że odegram istotną rolę w wydarzeniach, które przejdą do historii.

Zaśmiała się i żartobliwie szturchnęła go w ramię.

– Rusz się, mamy mnóstwo roboty. Pomóż mi przetoczyć tę drabinkę na miejsce.

Wspólnie przemieścili zaopatrzoną w kółka drabinkę do DSV. Brambell przytrzymał ją, a potem wpatrywał się w krągłe pośladki doktor Sax, gdy wspięła się po szczeblach i mocowała dwa kable dźwigu do haków na kadłubie batyskafu. Potem zeszła na dół.

– Co cię tak cieszy?

– Ty.

Uśmiechnęła się do niego z wyższością.

– Wchodzę do środka. Widzisz tę konsolę, o tam? Obsługuje dźwig hydrauliczny. Do tego służy także joystick. Umiesz posługiwać się joystickiem?

– O rany – jęknął Brambell. – Nigdy dotąd tego nie robiłem.

Wzięła go za rękę.

– Pokażę ci. To łatwe. Tylko postaraj się za bardzo mnie nie poobijać, gdy będziesz mnie opuszczał do wody.

Przy konsoli zademonstrowała mu, w jaki sposób należy kierować ramieniem dźwigu, aby je podnieść, przesunąć w bok, a następnie opuścić, oraz jak można naprężyć i luzować kable dźwigu po spuszczeniu batyskafu za burtę. Na koniec zaprezentowała przycisk zwalniający DSV.

– Nie naciskaj tego guzika, dopóki nie znajdę się w wodzie i nie będę się na niej unosić przy zluzonych kablach.

– Zrozumiałem. Gotowa?

– Gotowa.

Brambell pomógł jej wspiąć się na drabinkę i patrzył, jak wchodziła po

szczeblach aż do luku na szczycie kiosku. DSV naprawdę wyglądał jak żółta łódź podwodna. Brambell zawsze lubił Beatlesów, ponieważ jego dziadek, aktor Wilfrid Brambell, grał fikcyjnego dziadka Paula McCartneya w filmie *Noc po ciężkim dniu*.

– No dobra, Patricku! – Sax pomachała do niego i pokazała uniesiony kciuk.

Uśmiechnął się i odmachał, a ona weszła do kiosku i zatrzasnęła właz.

Brambell rozejrzał się wokoło, by sprawdzić, czy ktoś to zauważył. Na drugim końcu pokładu rufowego stała grupka ludzi; rozmawiali o czymś albo się kłócili, ale nie zwracali na niego uwagi. Jego umysł był nadzwyczajnie czysty i doskonale pamiętał, czego go nauczyła Sax. Zaczął manipulować drążkiem. Kable naprężyły się, podnosząc łódź podwodną z kołyski. Gdy batyskaf uniósł się ponad nią, Brambell obrócił ramię dźwigu w bok, a urządzenie posłusznie wykonało polecenie i już po chwili DSV zakołysał się ponad falami, zwieszając się za rufą. Upewniwszy się, że między statkiem a pojazdem głębinowym jest dostatecznie dużo wolnej przestrzeni, doktor opuścił Johna do oceanu. Wcisnął guzik, który odczepiał haki i DSV został uwolniony.

– Powodzenia, Antonello – rzekł do siebie pod nosem, gdy gwałtowna erupcja bąbli powietrza wokół batyskafu zasygnalizowała, że Sax napęlniała właśnie zbiorniki balastowe.

Miniłódź podwodna zanurzyła się w głębinę. Patrzył na nią przez kilka minut, aż w końcu zniknęła. Brambell doznał ogarniającego go uczucia osamotnienia. Musiał przyznać, że zadurzył się w doktor Sax. Ale był pewien, że jeszcze ją zobaczy – i to niebawem.

Wrócił do hangaru zdenerwowany i zaniepokojony. Zastanawiał się, co teraz robić. Wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł: uniemożliwi użycie bomby atomowej, raz na zawsze storpeduje ten szalony plan. Nie wiedział, kiedy tamci zamierzali zrealizować swój zamiar, ale to nieważne, powstrzyma ich niezwłocznie.

Na drugim końcu hangaru, z dala od całej reszty, stał jeszcze jeden przykryty brezentem pojazd głębinowy. To nie był załogowy DSV, lecz mniejszy, zdalnie sterowany wielozadaniowy pojazd podwodny. Brambell wiedział, że właśnie ta bezzałogowa jednostka ma dostarczyć bombę na dno oceanu.

Pokrzyżowanie tych planów nie powinno być trudne.

Antonella Sax obsługiwała urządzenia kontrolne Johna, który opadał coraz głębiej. Odnalazła główny panel, po czym wprowadziła kod dezaktywujący sztuczną inteligencję miniłodzi podwodnej i uniemożliwiający przejęcie kontroli nad nią przez centrum dowodzenia z powierzchni. Przepęlniło ją ciepło i ogarnęło poczucie bezpieczeństwa, gdy jej DSV otoczyła ciemność. Niemal czuła potężne ciśnienie wody napierającej nieustannie ze wszystkich stron, które rosło z każdym kolejnym metrem pokonywanym przez opadający batyskaf. Była pełna radosnego wyczekiwania i podniecenia, bądź co bądź uczestniczyła w największej

i najważniejszej misji, jakiej kiedykolwiek podjęła się istota ludzka.

Nucąc pod nosem cichą melodyjkę, w którymś momencie spostrzegła lekkie poruszenie: spomiędzy urządzeń elektronicznych wychyliła się główka z parą małych, czarnych jak paciorki ślepi i niewielkim wydętym pyszczkiem. Pyszczek otworzył się, ukazując pojedynczy kieł.

– Kim ty jesteś? – spytała żartobliwie Sax.

Jakby w odpowiedzi małe stworzonko wypełzło ze swojej kryjówki i zbliżyło się do niej, po czym zwinęło w kłębek na jej udzie, szukając tam odrobiny ciepła.

Dotknęła go czule palcami.

– Grzeczne maleństwo – powiedziała, głaszcząc je, aż się rozluźniło zadowolone. – Grzeczne maleństwo.

Greg Masterson zebrał buntowników w pokoju wypoczynkowym obok kajut dla załogi, by wyjaśnić im plan ataku. Zjawili się tam dobrze uzbrojeni. Wielu miało noże, a niektórzy byli wojskowi posiadali także broń krótką. W ostatniej chwili do ich grupy dołączyło jeszcze dwóch funkcjonariuszy ochrony, którzy brali udział w poszukiwaniu robaków, wśród nich zastępca szefa ochrony Vinter. Okazał się dla nich istnym darem niebios: nie tylko znał na pamięć cały rozkład statku, ale również wszystkie kody i procedury bezpieczeństwa.

Gdy spiskowcy – zarówno mężczyźni, jak i kobiety – zebrali się w pokoju, Masterson zamyślił się przez chwilę nad tym, co miało wkrótce nastąpić. Nie miał złudzeń, to musiało się stać, nie było innego wyjścia. To, że ta szalona misja wciąż była kontynuowana, chociaż, jak wszystko wskazywało, była skazana na porażkę, jego zdaniem mogło świadczyć o tym, iż najwyżsi rangą oficerowie na statku stracili zdolność do podejmowania rozsądnych decyzji lub zostali zarażeni. Możliwe, że zainfekowana została cała załoga mostka i centrum dowodzenia.

Rozejrzał się wokoło. Wszyscy najwyraźniej byli gotowi do działania.

– No dobra, posłuchajcie.

Zapadła cisza.

– Mamy ogromne szczęście, że dołączył do nas pan Eyven Vinter. Był on, a raczej nadal jest, zastępcą szefa ochrony. Oddam mu teraz głos, aby osobiście zreferował wam plan, który wspólnie opracowaliśmy.

Vinter, postawny mężczyzna o charyzmatycznej osobowości, wystąpił naprzód.

– Podstawowym celem jest przejęcie mostka. Kluczowym czynnikiem będzie element zaskoczenia. W drugiej kolejności naszym zadaniem będzie przejęcie lub przynajmniej unieszkodliwienie centrum dowodzenia. Gdy uporamy się z tym, obejmiemy kontrolę nad statkiem i skierujemy się prosto do Ushuaia.

Mówił krótko i rzeczowo, a jego spokojny głos miał miły dla ucha skandynawski akcent.

– Kapitan i oficerowie będą bronić mostka kierowani silnym poczuciem obowiązku. Konieczne będzie użycie przemocy. Jest mało prawdopodobne, by ktokolwiek na mostku był uzbrojony. Broń palną mogą mieć jedynie funkcjonariusze ochrony, a obecnie ich tam nie ma.

Powiódł po twarzach zebranych świdrującym, niewzruszonym spojrzeniem. Nikt nie okazał wahania.

– Mostek zaprojektowano tak, by nie dopuścić tam nikogo, kto mógłby chcieć przejąć kontrolę nad statkiem. Są tylko dwa wejścia: drzwi od sterburty i bakburty. Wykonane z grubej na pół centymetra stalowej płyty. W normalnych

okolicznościach są otwarte. Dlatego zaatakujemy szybko i zdecydowanie, wdrzemy się tam i weźmiemy ich z zaskoczenia, przejmując kontrolę nad wejściami, żeby nie zdążyli ich zamknąć i zaryglować. Kiedy już opanujemy mostek, wykorzystamy tamtejsze systemy obronne do naszych celów i zabarykadujemy się w środku.

Masterson wyszedł naprzód.

– Dziękuję, panie Vinter. Jakies pytania?

– A co z maszynownią? – zapytał ktoś. – Czy nie można wyłączyć silników w maszynowni?

– Można – odparł Vinter. – Gdy przejmemy mostek, przez interkom poinformujemy resztę załogi o naszych planach. Bo przecież będziemy mieli do dyspozycji interkom. Być może uda im się wyłączyć silniki i zasilanie elektryczne całego statku, ale jedyne, co w ten sposób osiągną, to kompletne unieruchomienie Batavii. Nic im to nie da i nie będzie dobrym argumentem do negocjacji z nami.

Przerwał, po czym z niewzruszonym przekonaniem dodał:

– Zyskamy przewagę. I zwyciężymy.

Gdy Masterson otaksował wzrokiem całą grupę, dostrzegł, jak silny, elektryzujący wpływ wywarł na zebranych ten człowiek o cichym głosie i charyzmatycznej osobowości.

– Nie możemy dłużej zwlekać – powiedział. – Sprawa wyjdzie na jaw, zawsze tak jest. Takich rzeczy nie sposób utrzymać w tajemnicy. Zrobimy to teraz. Jesteście z nami?

Wszyscy zgodnym chórem odparli, że tak.

– Jest nas dwadzieścioro. Podzielimy się na pięć czteroosobowych grup. Ruszymy w stronę mostka, swobodnie pokonując kolejne korytarze, rozmawiając na luzie, tak by nie zwrócić niczyjej uwagi. Zbierzemy się pod zejściówką poniżej mostka, ale tylko na chwilę. Wykorzystamy przewagę, jaką da nam element zaskoczenia, dopadniemy drzwi z obu stron mostka i zabezpieczymy je. Ci, którzy mają broń palną, zaszachują oficera wachtowego, kapitana i innych oficerów na mostku. Jeżeli spróbują stawiać opór, strzelajcie, ale tylko w ostateczności. Uzbrojeni w noże zajmą pozycje obronne przy drzwiach.

Masterson przerwał. Zdał sobie sprawę, że się poci. Bał się. Kiedy jednak spojrzął na stojącego tuż obok Vintera, odzyskał pewność siebie. Przestał się bać. Ten człowiek jak nikt inny potrafił dodać otuchy.

– A jeśli drzwi mostka już są zamknięte na klucz? – spytał ktoś.

– Nie są – odparł Vinter. – To jest sprzeczne z procedurami bezpieczeństwa. Na wypadek, gdyby faktycznie tak było, na przykład jeśli doszło tam niedawno do ataku pasożytów, jako zastępca szefa ochrony spróbuję przekonać ich, by mnie wpuścili, i wprowadzę was wszystkich do środka.

Masterson podzielił ludzi na grupy i rozesłał w różnych kierunkach, niemniej

wszystkie drogi prowadziły na mostek. On sam poprowadził jedną z grup. Wybrał okreśną trasę, starając się zachowywać swobodnie i nonszalancko. Gdy tak szli przez statek, Mastersona zdumiała panująca na pokładzie atmosfera; podczas gdy część załogi wykonywała swoje obowiązki, większość personelu najwyraźniej próżnowała zbita w dyskutujące z ożywieniem kilkusobowe grupki. Inni byli ewidentnie pijani, a jeden z mężczyzn leżał w korytarzu z pustą butelką w dłoni, kompletnie nieprzytomny. Wycofanie ochrony i skierowanie jej do poszukiwania robaków oraz brak snu i szerzące się podejrzenia co do tego, kto może być zainfekowany, wywołały duży spadek morale wśród załogi.

To tylko utwierdziło Mastersona w przekonaniu, że powinni jak najszybciej skierować statek do najbliższego portu. Z pasożytami poradzą sobie, kiedy ludzie zejść już z pokładu, a jednostka zostanie spalona aż do linii wodnej albo posłana na dno, gdyby okazało się to konieczne; załogę wystarczy poddać kwarantannie do czasu rozpoznania i ustalenia wszystkich zarażonych. Odkazanie statku nie było teraz najistotniejszym problemem. Obecnie problemem było wyniesienie się stąd, i to jak najszybciej.

Idąc, czuł ciężar czterdziestki, którą dał mu Vinter. Nie był zwolennikiem broni palnej, ale polował z ojcem i umiał posługiwać się pistoletem. Miał tylko nadzieję, że nie będzie musiał z niego skorzystać.

Doprowadził swoją grupę na pokład poniżej mostka, gdzie zebrali się już inni. Nie czekając na rozkaz, ruszyli po schodach na górę. Drzwi na mostek, te po lewej stronie, rzeczywiście były otwarte. Przed Mastersonem szedł Vinter z pistoletem w dłoni. Wiceszef ochrony wszedł do środka pierwszy, a Masterson za nim.

Na mostku wszyscy byli tak zajęci swoimi obowiązkami, że nikt nawet nie spojrzął w ich stronę. Masterson patrzył, jak Vinter unosi pistolet, starannie celuje i strzela do oficera wachtowego, trafiając go w plecy. Huk wystrzału był wyjątkowo głośny, a mężczyzna runął, jakby zdzielono go młotem kowalskim. Masterson zamarł w bezruchu, porażony bezwzględnością tego, co się stało. Zastrzelono człowieka z zimną krwią. Vinter nie mówił, że dojdzie do czegoś takiego.

Pierwsza oficer Lennart, która stała tuż obok oficera wachtowego, ku zaskoczeniu Mastersona była uzbrojona. Odwróciła się, wyjęła pistolet z kabury i w okamgnieniu nacisnęła spust. Vinter został trafiony i zatoczył się na ścianę. Lennart strzeliła raz jeszcze i kula świsnęła tuż obok ucha Mastersona. Lennart nie przerywała ognia; Masterson wypadł za drzwi, gdy trzeci pocisk z wizgiem odbił się od stalowej framugi. Tymczasem reszta załogi mostka wyjęła broń – wszyscy byli uzbrojeni i odpowiedzieli ogniem na atak buntowników, by ich odeprzeć.

Vinter, opierając się plecami o ścianę, strzelił po raz drugi, trafiając Lennart prosto w serce i uśmiercając ją na miejscu. Strzelił ponownie do innego oficera,

a zaraz potem sam oberwał kolejną kulkę. Zataczając się, wyszedł przez otwarte drzwi, a kule latały wokół niego, krzesząc fontanny iskier. Ukrył się za drzwiami, które chwilę później zostały zatrzaśnięte i zaryglowane. Masterson rzucił się na nie całym ciałem, próbując je wyważyć, ale było już za późno – zostały zamknięte na głucho.

Rozległ się przeciągły sygnał alarmowy.

– Niech to szlag! – ryknął Vinter; krew ciekła z paskudnej rany na jego barku i drugiej na przedramieniu.

Wśród buntowników zapanował popłoch. Ktoś strzelił na zejściówce, raz i drugi.

– Atakują nas z dołu! – rozległo się czyjeś wołanie.

Vinter odwrócił się i wciąż krwawiąc, zbiegł po schodach z pistoletem w ręce. Pozostali ruszyli za nim. Kilku funkcjonariuszy ochrony, którzy zjawili się na pokładzie mostka, otworzyło ogień i powaliło paru buntowników, ale szybko zostali zastrzeleni przez Vintera i jego ludzi.

– Wycofać się do kwater załogi! – zawołał Vinter. – Odwrót!

Przebiegli przez główny pokład, a przerażeni członkowie załogi w popłochu schodzili im z drogi. W pobliżu nie było widać innych ochroniarzy. Vinter zbiegł po zejściówce prowadzącej do kwater załogi, a gdy wszyscy tam dotarli, zatrzasnął i zaryglował drzwi.

– Zabezpieczcie drzwi po drugiej stronie korytarza – zawołał. – Możemy się tu bronić!

Wykonano jego polecenie. Vinter oparł się o ścianę, przyciskając dłoń do rany postrzałowej na ramieniu.

– Trzeba to opatrzyć – rzekł Masterson.

Tamten tylko się zaśmiał.

– Przynieś mi bandażę i kilka opatrunków z góry, a wszystko będzie dobrze.

Wśród buntowników, którzy zdołali dotrzeć tu wraz z nimi, zapanowało zamieszanie i niepokój.

– Co się stało, u licha? – zapytał jeden z nich.

– Byli uzbrojeni – odparł Vinter. – Obecność robaków musiała sprawić, że zmieniono procedury i zniesiono zakaz posiadania broni na mostku. Moja wina.

Osunął się na krzesło, a pozostali zbrali się wokół niego.

– Możemy się tu utrzymać. Mamy prowiant i wodę. A także broń. Będzie im cholernie trudno nas stąd wykurzyć. Potrzebowaliby palników albo materiałów wybuchowych, by sforsować te drzwi, a my będziemy trzymać wartę, żeby zdusić każdą taką próbę w zarodku. Poza tym oni mają teraz na głowie inne sprawy.

– Ale... – Masterson był zdezorientowany. – Co teraz zrobimy?

– Trzymamy się planu. Przejmujemy mostek. W składziku broni ochrony jest trochę materiałów wybuchowych, a konkretnie ładunki C4. Wysadzimy te drzwi.

Mogę też zhakować interkom i nakłonić resztę załogi, żeby przyłączyła się do nas.

Wziął kilka głębokich oddechów.

– Mamy pewne przejściowe trudności. Opóźniają realizację naszych planów, ale i tak zrobimy swoje. Dyscyplina na pokładzie zaczyna się sypać. To daje nam przewagę.

Rozległo się łomotanie do drzwi, a zaraz potem głośnie nawoływania. Vinter wstał i skinął na Mastersona.

– Pogadaj z nimi. Powiedz, że dla bezpieczeństwa nas wszystkich chcemy skierować statek do najbliższego portu w Ushuaia. Niech do nas dołączą, choćby tylko po to, żeby ocalić życie.

Garza spojrział na obraz wideo na ekranie swojego iPada przekazywany z kamery, którą opuszczono dwanaście metrów niżej, w głąb pionowego przewodu wentylacyjnego.

– Jezu, tak wielkiej wylęgarni jeszcze nie widzieliśmy – powiedział, podając iPada Monctonowi.

Tamten zagwizdał cicho.

– Wcale mnie to nie dziwi. Właśnie tu przewód przechodzi pod kątem prostym z pionowego w poziomy. Jest płaski, chroniony i wyjątkowo gorący, bo ogrzewany ciepłem z silnika.

Oddał Garzy iPada.

– Sugeruję, żebyśmy weszli z boku. Może nawet nie będzie trzeba wycinać otworu. Ale to oznacza przejście przez maszynownię do wnęki, w której znajduje się kompresor i turbosprężarka.

Garza odwrócił się do dwóch pozostałych mężczyzn z jego ekipy.

– Co wy na to?

– Zróbmy to.

Ponownie zeszli głęboko pod pokład. Moncton jako pierwszy. Garza był pod wrażeniem jego postawy. To był dość dziwny człowiek, stąpający w osobiwie precyzyjny sposób, prawie jak mistrz tańca: stawiał drobne, niespieszne, bardzo zdecydowane kroki. To był naprawdę twardy facet. Garza przez ostatnią godzinę zaczął nawet wierzyć, że uda im się pokonać pasożyty. Chociaż pleniły się niemal wszędzie, zdolali zniszczyć trzy ogromne wylęgarnie i porazić prądem niezliczoną ilość pojedynczych robaków, co najwyraźniej wzbudziło w obcych stworzeniach głębokie przerażenie. Wydawały się mniej agresywne i bardziej skłonne, by się chować i uciekać, niż prowadzić zmasowane ataki.

Nie udało mu się wywołać szefa ochrony Bettancesa, odkąd rozmawiali przez radio ostatni raz dwadzieścia minut temu. Miał nadzieję, że to nie oznaczało tego, czego się w głębi duszy obawiał.

Po krótkim marszu dotarli do zamkniętych drzwi maszynowni. Chociaż statek się nie poruszał, jego silniki wciąż delikatnie pulsowały, główny silnik utrzymywał Batavię w miejscu przy wykorzystaniu systemu pozycjonowania dynamicznego, a zsynchronizowane generatory zaopatrywały ją w prąd elektryczny.

Garza poczuł niepokój, gdy zebrali się przy stalowej grodzi wiodącej do maszynowni. Odkąd Moncton zamontował podrasowany paralizator na długim kijku, by wtykać tę prowizorycznie sporządzoną broń elektryczną w galaretowatą masę będącą wylęgarnią pasożytów, spisywała się na medal. Prąd elektryczny był

dla robaków zabójczy i sprawnie można było je zniszczyć.

– Pójdę pierwszy – powiedział Moncton.

Garza stanął z boku, a dwóch ludzi z jego ekipy z tyłu za nim. Opuścili osłony na twarz i nałożyli grube rękawice, chociaż nie zapewniały dostatecznej ochrony. Garza odblokował drzwi śluzy grodziowej. Moncton wszedł do środka z paralizatorem w gotowości, a Garza za nim. W maszynowni było gorąco i duszno. Wokoło wałały się fragmenty i strzępki rozdeptanych robaków.

– Ciała zniknęły – zauważył jeden z mężczyzn.

– Tja. Zainfekowani przesypiąją dwie godziny, a potem budzą się i zachowują normalnie. Pewnie teraz krążą gdzieś po pokładach statku.

– Jasne, jasne. Może powinniśmy... – mężczyzna zawahał się.

– Uwolnić ich od cierpień? – zapytał Garza. – Może.

Mężczyźni zamilkli. W maszynowni wszystko wyglądało normalnie, jeżeli nie liczyć martwych robaków na podłodze. Kłapa w przewodach wentylacyjnych była otwarta i wypływała z niej czarna ciecz, tworząc zacieki na części pokrywy głównego silnika. Ta ciecz, jak zorientował się Garza, wylewała się z wylęgarni, którą zlikwidowali na drugim końcu przewodu wentylacyjnego.

– Wnęka z kompresorem i turbosprężarką znajduje się z tyłu – rzekł Moncton.

Garza i dwóch pozostałych ochroniarzy poszli za głównym inżynierem mechanikiem przez maszynownię. Pomieszczenie było jasno oświetlone i nigdzie nie było widać robaków. Moncton dotarł do końca wielkiego głównego silnika, schylił się, przeszedł pod rurą, skręcił za załom przewodu i zatrzymał się. Przed sobą miał teraz wielką cynkowaną rurę idącą pionowo z sufitu i skręcającą pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i dalej biegnącą poziomo. Otwierał się przed nim wielki, przypominający paszczę wlot wysoki na prawie dwa metry, górujący nad całą masą przewodów i rur – kompresor, turbosprężarka i dochładzacz. Wszystko to przesłonięte było istnym lasem rur i zaworów.

Moncton wyszeptał:

– Wylęgarnia jest w środku, tuż za załomem przewodu. Myślę, że powinniśmy spróbować potraktować ją prądem przez powierzchnię cynkowanego kanału wentylacyjnego.

– Czy nie dojdzie do efektu klatki Faradaya i rozproszenia mocy ładunku? – zapytał Garza.

– Nie, ponieważ sama obca masa stanowiąca wylęgarnię dla tego robactwa jest lepszym przewodnikiem elektryczności niż stal. I większość ładunku przepłynie właśnie do niej.

– Wnęka jest dość ciasna. Może się tam zmieścić tylko jedna osoba. Ja pójdę.

Moncton pokręcił głową.

– Nie. Moja kolej.

Garza nie zamierzał się kłócić. Dał pozostałym dwóm ludziom znak, by mieli paralizatory w pogotowiu. I najdalej jak się dało, wcisnął się za Monctonem do wąskiej wnęki.

– Bądź gotowy do ucieczki – wyszeptał mu do ucha Moncton, gdy przykucnął z tyczką zakończoną paralizatorem w dłoni, wsuwając się jeszcze głębiej pomiędzy kolorowe rury.

Garza zaczął tracić go z oczu pośród gęstych cieni. Czekał. Spodziewał się, że lada moment usłyszy trzaski uruchamianego paralizatora, kiedy Moncton prześle silny ładunek elektryczny przez ścianę stalowego kanału wentylacyjnego, a potem piskliwe wrzaski śmiertelnie porażonych prądem pasożytów.

Tymczasem usłyszał szmery, szepty i szuranie dochodzące gdzieś z tyłu oraz odgłosy robaków spadających kaskadami na podłogę.

Odwrócił się. Obaj jego ludzie leżeli na podłodze – padli bez słowa – a ich głów nie było widać spod roju kłębiących się na nich robaków, wymachiwali jeszcze rozpaczliwie rękami, ale niewiele to pomagało.

– Moncton! – zawołał. – Wycofaj się! To pułapka!

Moncton jednak nie odpowiedział. Garza nie usłyszał żadnego dźwięku dochodzącego z od jego strony, jeśli nie liczyć podobnych szmerów, szelestów i skrobania. I wtedy to zobaczył – robaki pełzły po rurach w jego stronę.

Garza przytknął paralizator do metalowej rury i nacisnął przycisk. Rozległ się głośny chór wrzasków i popiskiwań, gdy robaki, podrygując konwulsyjnie, zaczęły spadać z rury. Garza cofał się, przykładając paralizator do kilku następnych rur i uśmiercając kolejne robaki. Co chwila musiał otrzepywać ubranie z pasożytów. Krzyczał na całe gardło, zdzierając z siebie koszulę, gdy robaki weszły mu pod ubranie, przeskoczył nad pokrytymi pasożytami ciałami dwóch mężczyzn, a gdy poczuł, że robaki zaczynają pełznąć po jego skórze, przyłożył styki paralizatora do swojej klatki piersiowej i w przyływie desperacji użył go.

Miał wrażenie, jakby został potrącony przez ciężarówkę: błysnęło i pojawił się potężny łuk elektryczny, stracił czucie w nogach i upadł na podłogę. Jeszcze gdy osuwał się półprzytomny na ziemię, zdał sobie sprawę, że robaki odpadają z jego ciała. Cały rozdygotany, pełznąć naprzód, raz jeszcze poraził się prądem. A potem upadł.

Nie stracił przytomności, jedynie kontrolę nad mięśniami. Czuł się tak, jakby na jego piersi spoczywał olbrzymi kamień i utrudniał mu oddychanie. Ale pasożyty odpełzały od niego. Uciekały w popłochu.

Leżał, próbując zaczerpnąć tchu i odzyskać normalne widzenie, bo przed oczami wirowały mu miliony gwiazd. Po chwili nadludzkim wysiłkiem zdołał podźwignąć się na klęczki, przeczołgał się przez maszynownię, dotarł do drzwi, przegramolił się przez masywną gródź i zamknął ją za sobą.

Dopiero wtedy osunął się na zimny stalowy pokład, usiłując zapanować nad rozedrganymi, szalejącymi mięśniami. Uświadomił sobie, że ponieśli porażkę i nigdy nie zdołają oczyścić statku z pasożytów.

Ponieważ robaki się przystosowywały.

Dzięki Bogu, pomyślał Gideon, że komora bomby atomowej była ściśle strzeżona i praktycznie nie do zdobycia. Kwantyfikator Analiz Behawioralnych Glinna nie mylił się: na pokładzie zapanował chaos. Właśnie doszły ich wieści, że grupa buntowników próbowała przejąć mostek, zabiła Lennart i oficera wachtowego, a teraz zabarykadowała się w kwaterach załogi pod pokładem. Buntownikom udało się przejąć kontrolę nad interkomem, przez który nadawali swoje komunikaty, przekonując kolejnych członków załogi do przejścia na ich stronę. Pewna grupa próbowała przejąć helikopter pokładowy i nawet udało się poderwać maszynę, ale AStar przeleciał niecałe pół kilometra, gdy silniki odmówiły posłuszeństwa i runął jak kamień do oceanu. Pojawiły się także raporty, że nieznani sprawcy przechwycili i spuścili na wodę pojazd głębinowy John. Na całym statku pleniły się pasożyty. Garza zgłosił właśnie, że stracił swoją ekipę i głównego inżyniera mechanika, gdyż zostali zaatakowani przez robaki.

Gideon wiedział, że osoby te nie były martwe, mogły wykonywać swoje obowiązki, jak gdyby nigdy nic, ale podświadomie realizowały polecenia istoty rozrastającej się na dnie oceanu. I czyniąc to, były absolutnie przekonane, że ich działania są w pełni usprawiedliwione i logiczne, mimo że polegały na aktach sabotażu i dokonywaniu zabójstw.

Glinn i McFarlane z pomocą dwóch techników, posługując się dźwigiem suwnicowym, podnieśli bombę, by następnie załadować ją na wózek elektryczny, zbudowany specjalnie w celu przetransportowania ładunku jądrowego do hangaru, gdzie miał on trafić do zdalnie sterowanego pojazdu podwodnego. Cała elektronika działała bez zarzutu. Gideon raz jeszcze sprawdził urządzenie: bomba była sprawna i gotowa do zdetonowania. Pozostawało jedynie nastawić opóźniacz czasowy.

Teraz bomba wisiała na parcianych pasach zwieszających się z podsufitowego dźwigu. Powoli, bardzo powoli, technicy w rękawicach ochronnych opuścili ją na zbudowaną specjalnie dla niej kołyskę, przytrzymali i obrócili.

Gotowe.

Technicy odłączyli kable wyciągarki dźwigowej. Glinn podszedł do drzwi, nasłuchując. Od czasu do czasu Gideon wychwytywał dochodzące z korytarza stłumione hałasy.

Glinn wrócił do komory bomby atomowej i otworzył metalową szafkę. Gideon zdumiał się, ujrawszy, że zawierała ona niewielki arsenał broni krótkiej. Glinn przejrzał zawartość i wybrał pięć pistoletów automatycznych typu colt 45 wraz z kaburami, zapasowymi magazynkami i pudełkami z amunicją. Położył to wszystko na stole roboczym.

– Niech każdy z was weźmie pistolet i załaduje dwa magazynki nabojami.

McFarlane szybko wykonał polecenie, Gideon również. Dwaj technicy zawahali się.

– Czy któryś z was strzelał kiedykolwiek z pistoletu? – spytał Glinn.

Jeden z techników pokręcił głową, a drugi powiedział:

– Nie wiem, czy to odpowiedni moment, żeby się tego uczyć.

– Nie ma czasu na jakiegokolwiek skrupuły – odparł oschle Glinn i wyjął pistolet z kabury, wyciągnął magazynek, zademonstrował, jak wkłada się do magazynka naboje, wbił magazynek w kolbę czterdziestkipiątki, pokazał technikom, jak działa bezpiecznik i jak należy przeładować broń, by wprowadzić pocisk do komory.

– Kiedy naciskasz spust, trzymaj chwyt obiema rękami. Zrozumiano? – Podał broń obu technikom. – Tam na zewnątrz jest strefa wojny. Musimy zrobić to, co konieczne, by dostarczyć to urządzenie na pokład hangaru.

Gideon zrezygnował z kabury i po prostu zatknął pistolet za pasek.

Glinn odwrócił się do bomby spoczywającej w kołysce.

– A teraz spróbujmy to jak najlepiej zamaskować.

Otworzył skrzynię z kamizelkami ratunkowymi, których na pokładzie było całe mnóstwo, wyjął kilka z nich i zakrył nimi bombę.

– Zasłońcie to wszystko brezentem.

Technicy rozciągnęli płachtę, narzucili ją na kołyskę i przymocowali pasami, tworząc z pozorów zwyczajny, przetaczany z miejsca na miejsce ładunek.

– Co to ma być? – spytał Gideon.

– Sprzęt pokładowy – odparł Glinn.

– Czyli co?

– Nikt o to nie zapyta. Chodźmy. Dwóch z przodu, dwóch z tyłu, broń na widoku i gotowa do strzału. Sam, ubezpieczasz tyły.

Glinn odblokował drzwi, podczas gdy jeden z techników zajął miejsce za kierownicą wózka akumulatorowego. Komora bomby znajdowała się głęboko pod pokładem Batavii, musieli pokonać połowę długości statku i różnicę trzech poziomów, by znaleźć się w hangarze pokładowym.

Glinn otworzył drzwi na oścież – korytarz był pusty. Bez przeszkód dotarli do windy, nie napotykając nikogo po drodze ani nie dostrzegając robaków.

Drzwi windy zamknęły się, a Glinn wcisnął przycisk hangaru pokładowego.

Zanim jeszcze drzwi się otworzyły, Gideon usłyszał krzyki. Wyciągnął broń, pozostali zrobili to samo.

Drzwi się rozsunęły i ukazała się grupa mężczyzn czekających na windę. Oni także byli uzbrojeni – najwyraźniej splądrowano główny skład amunicji – i wyglądali na mocno pobudzonych.

– Patrzcie, kogo tu mamy – rzucił jeden z nich, postępując naprzód. – Toż to

Eli Glinn we własnej osobie.

Zapanował moment pełnej napięcia ciszy. Tamtych było sześciu, a Glinn miał tylko czterech ludzi. Gideon odniósł wrażenie, że mężczyźni zamierzali dołączyć do buntowników.

– Idziesz z nami – rzucił ten, który wyglądał na przywódcę grupy, celując w Glinna z AR-15.

Huknął strzał i głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu. Zaraz potem facet zwałił się ciężko na podłogę, a jego karabinek wypalił, nie czyniąc nikomu szkody. McFarlane zrobił krok do przodu z dymiącą czterdziestkąpiątką w dłoni, celując z niej w mężczyznę, który stał tuż za prowodyrem.

– Ty będziesz następny.

Huk wystrzału sprawił, że cała grupa na chwilę zamarła w bezruchu. Glinn, unosząc broń, powoli wyszedł z windy, a Gideon i McFarlane podążyli za nim. Glinn skinął na techników, by wyprowadzili z windy wózek akumulatorowy.

Grupa buntowników wciąż w nich celowała, ale żaden z mężczyzn nie nacisnął na spust. Prowodyr wciąż leżał na podłodze, a z paskudnej rany w roztrzaskanej czaszce płynęła krew, rozlewając się w szkarłatną kałużę. Nagle z rany zaczął wpełzać robak. Pozostałych pięciu mężczyzn cofnęło się, przerażonych i niepewnych.

Glinn odezwał się spokojnym, nieomal beznamiętnym tonem:

– Uważajcie, komu ufacie, panowie. A teraz, pozwólcie, że już sobie pójdziemy.

Cała grupa, spocona i wystraszona, odstąpiła na bok, żeby ich przepuścić. McFarlane i Gideon celowali do nich z pistoletów, dopóki nie skręcili za załom korytarza.

W kilka minut znaleźli się w hangarze pokładowym. Na szczęście był opustoszały. Drzwi były rozsunięte, światła zapalone, a John faktycznie zniknął. Glinn pozwolił odejść technikom, nakazując im, by wrócili do centrum dowodzenia i dołączyli do ekip poszukujących robaków.

Na drugim końcu hangaru stał Patrick Brambell; jego łysina lśniła w blasku sodowych lamp. Zdjął brezent z bezzałogowego zdalnie sterowanego pojazdu podwodnego i – nie wiedzieć czemu – tłukł w niego młotem kowalskim.

– Przestań! – zawołał Glinn, unosząc broń.

Brambell spojrzał na niego.

– Doktor Glinn. Właśnie chciałem z tobą pomówić.

Raz jeszcze zamachnął się młotem, który z brzękiem odbił się od tytanowej sfery batyskafu.

Gideon zauważył, że pojazd głębinowy został poważnie uszkodzony. Pędniki rozwalono w drobny mak, mechaniczne ramie urwano u podstawy, podobnie jak kosz na próbki; wszystko, co znajdowało się na zewnątrz maszyny i co można było

rozbić, zostało bezpowrotnie zniszczone.

– Odsuń się od pojazdu albo zarobisz kulkę! – rzucił groźnie Glinn.

– Zdajesz sobie sprawę, jak absurdalny jest cały ten plan? – zawołał Brambell. – Odwiedził nas przedstawiciel inteligentnego gatunku...

– Powiedziałem, odsuń się od pojazdu podwodnego.

Brambell upuścił młot na podłogę.

– Nie powinniśmy zabijać tej istoty. To błąd. Ta istota jest inteligentna, może nawet inteligentniejsza od nas...

Glinn nie pozwolił mu dokończyć.

– Kto porwał Johna?

– Cieszę się, że spytałeś. Doktor Sax zeszła na dno, żeby nawiązać dialog z tym stworzeniem.

– Dlaczego?

– Bo ona, podobnie jak ja, uważa, że w obecnej sytuacji przemoc jest niewskazana i powinniśmy uczynić wszystko, by nawiązać kontakt i porozumieć się...

– Kiedy zeszła pod wodę?

– Jakieś pół godziny temu.

W tej samej chwili w drzwiach hangaru pojawił się półnagi Manuel Garza. Tuż za nim szła Rosemarie Wong, asystentka Prothera, i opiekun pojazdów głębinowych.

Glinn wciąż zwracał się do Brambella.

– Brałeś w tym udział? – spytał gniewnie, celując w doktora z pistoletu.

– Owszem, tak. Pozwól, że wyjaśnię...

– Dość wyjaśnień. Odsuń się od pojazdu i połóż twarzą do dołu na podłodze.

– Nie wygłupiaj się! Przecież widzisz, że pojazd podwodny...

– Doktor został zarażony – powiedział głośno McFarlane.

– Ja, zarażony? Absurd! Czy wszyscy na tym statku powariowali? Tak czy inaczej, wiem, co robię, choć najwyraźniej wy nie macie o tym zielonego pojęcia.

Brambell podniósł młot i ponownie się zamachnął.

Glinn nacisnął spust, a huk wystrzału zabrzmiał ogłuszająco we wnętrzu hangaru. Na twarzy Brambella odmalowało się zdumienie. Doktor spojrzął na swój tors. Glinn strzelił raz jeszcze, a Brambell jak w zwolnionym tempie osunął się na pokład.

Glinn cofnął się o krok i spojrzął na Garzę.

– Przychodzisz z maszynowni?

Garza ciężko oddychał, jego nagi tors lśnił od potu.

– Nie jest dobrze. Nie damy rady powstrzymać tych robali, są cwane i za szybko się mnożą.

Wskazał kciukiem na Wong i specjalistę od pojazdów głębinowych.

– Tych dwoje chciało pomóc. Są czyści.

– Ach, tak.

Glinn odwrócił się do mężczyzny, ale zanim zdążył się odezwać, Wong krzyknęła. Z nosa Brambella wysunął się wijący, długi, wilgotny robak. Był szary, błyszczący od płynów ustrojowych i wydawał się nie mieć końca. Z pomrukiem niesmaku i obrzydzenia McFarlane podszedł i rozdeptał robaka na miazgę.

Glinn jakby w ogóle tego nie zauważył.

– Proszę oszacować uszkodzenia pojazdu podwodnego – zwrócił się do specjalisty od DSV.

Mężczyzna pospiesznie obejrzał bezzałogowy zdalnie sterowany pojazd podwodny.

– Właz jest w dalszym ciągu zamknięty.

Otworzył go i zajrzał do środka, przyświecając sobie latarką.

– W środku wygląda dobrze.

– Jak długo potrwa naprawa? – zapytał Glinn.

Opiekun łodzi przez chwilę oglądał system tylnych pędników i kadłub pojazdu. W końcu uniósł wzrok, rozkładając szeroko ręce.

– No i co? – spytał Glinn.

– Obawiam się, że nic się nie da zrobić.

– A co z samą tytanową sferą?

– Jest nienaruszona. Żaden młot kowalski nie byłby w stanie jej uszkodzić.

Ale pojazd jako taki jest bezużyteczny, nie ma napędu, autopilota, łączności ani wewnętrznego zasilania. To tylko pusta tytanowa powłoka.

– Ale jest w stanie znieść ciśnienie panujące na dnie oceanu?

– Tak.

– A co z pływalnością? Gdyby umieścić w nim bombę atomową?

– Pływalności zerowej nie osiągnie, ale zaprojektowano go tak, żeby był tylko trochę cięższy, resztę można wyregulować balastem.

– A więc można by umieścić w nim broń atomową i zholować go na dno, do punktu detonacji, a następnie odpalić bombę?

– Zholować na dno? – spytał McFarlane. – Ale czym? Wydawało mi się, że skradziony DSV był już ostatni.

– Mamy jeden w zapasie – odparł Glinn. – Pod brezentem. To Pete.

– Pete?

– Nazwany tak na cześć Pete'a Besta⁵ – wyjaśnił Garza.

– A więc... – McFarlane zwrócił się do opiekuna łodzi. – Czy naprawdę dałoby się zholować ten pojazd?

– Może – odparł mężczyzna z pewnym powątpiewaniem.

– Bomba musi zostać zdetonowana dwieście metrów nad Rolvaagiem – powiedział McFarlane. – Eksplozja na wyższym lub niższym pułapie nad wrakiem

nie przyniesie spodziewanego efektu.

– Zgadza się – przyznał Gideon. – Szybka symulacja, jaką przeprowadziłem, wykazała, że dwieście metrów to optymalna wysokość dla tego typu detonacji. Musi tam dojść do gwałtownego połączenia dwóch cieczy. W miarę zmniejszania odległości punktu detonacji od wraku zmniejsza się również prawdopodobieństwo powodzenia całej operacji.

– Innymi słowy, mówimy tu o misji samobójczej – rzekł Glinn.

Cisza.

– Ktoś pilotujący Pete’a – kontynuował Glinn – musi zholować bombę na pozycję dwieście metrów nad wrakiem Rolvaaga i zatrzymać ją tam aż do detonacji.

– Czy nie można by opuścić uszkodzonego pojazdu podwodnego na kablu?

– Gdyby wybuch nastąpił pod Batavią – wyjaśnił Gideon – fala sejsmiczna wywołana w chwili eksplozji zatopiłaby statek. Batavia musi znaleźć się co najmniej sześć mil morskich od epicentrum wybuchu.

– Czy nie jest to ofiara, jaką warto ponieść? Statek zatonie. Trudno. Mamy szalupy ratunkowe.

– Jest wiele powodów, dlaczego nie mogłoby się to udać – odrzekł Glinn. – Jednym z nich jest chociażby chaos szalejący na pokładzie.

Znów zapadła długa cisza.

Odezwał się McFarlane:

– Ja to zrobię. Zejdę w głębinę i będę pilotował Pete’a.

Glinn spojrział przenikliwie na McFarlane’a.

– Nie. Nigdy nie pilotowałeś pojazdu głębinowego. To będzie trudne i ryzykowne holowanie bezwładnego, ciężkiego ładunku.

Przeniósł wzrok na Gideona.

– Ty jesteś oczywistym kandydatem. Obecnie jesteś prawdziwym ekspertem, jeżeli chodzi o obsługę pojazdów głębinowych. Umierasz na nieuleczalną chorobę. Tak czy inaczej, za dziewięć miesięcy będziesz martwy. Możesz wymienić te dziewięć miesięcy za ocalenie świata, że tak to ujmę.

Powiedział to rzeczowym, beznamiętnym tonem, jak księgowy rozmawiający z klientem o rachunkach.

– Człowiek, który staje w obliczu śmierci, jest osobą niezwykłą. Zdolną do dokonania czegoś naprawdę wyjątkowego. To będzie jedno z takich dokonań.

Gideon nie był w stanie odpowiedzieć, bo na chwilę zaskoczenie odebrało mu głos.

Ciszę przerwał nagły sarkastyczny śmiech McFarlane’a. Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu.

– Proszę, proszę – powiedział zgorzkniałym tonem – wygląda na to, że czasami nawet najbardziej obsesyjne zachowania mogą przynieść pozytywne

skutki. – Poklepał Glinna po plecach, i bynajmniej nie zrobił tego delikatnie. – Palmer Lloyd by się ucieszył.

Odwrócił się do Gideona i wyciągnął rękę.

– Gratulacje, partnerze.

Eyven Vinter odchylił się na krzesło w niewielkim aneksie w pokoju wypoczynkowym. Obok niego stał inny funkcjonariusz ochrony – Oakes, który dołączył do buntu w tym samym czasie co on. Czuł się wyczerpany z bólu i cierpiał na pewne poczucie oderwania, które, jak wiedział, musiało zostać wywołane szokiem dwóch ran postrzałowych. Żadna z ran nie zagrażała jego życiu, jeśli zostanie odpowiednio opatrzona. Ale te rany czyniły go bezużytecznym, a fakt, że nie udało im się przejść mostka, znacznie obniżył morale całej grupy.

Teraz jednak równowaga sił przechylała się na szali na ich korzyść.

– Przyrowadź tu Mastersona – rzekł do Oakesa.

– Tak jest.

Obecnie jego zamiarem było rozniecenie większego zapалу w Mastersonie. Wiedział, że jest on ważną postacią dla ich przedsięwzięcia; w głębi serca był to dobry człowiek, ludzie mu ufali. Jako zastępca inżyniera mechanika znał się na kierowaniu statkiem i w razie konieczności mógł stanąć za sterem. Wielu członków załogi przechodziło teraz na ich stronę, a ci, którzy tego nie zrobili, byli sparaliżowani narastającym chaosem i atmosferą grozy panującą na pokładzie. Centrum dowodzenia zostało zneutralizowane. Nawet część funkcjonariuszy ochrony, wyznaczonych do trzymania ich w szachu pod pokładem, zdezerterowała. Obecnie głównymi ogniskami oporu był mostek z kapitanem i grupką oficerów oraz kadra kierownictwa EES-u z Glinnem i jego ludźmi. Mogliby przejść spokojnie spacerkiem na mostek, nie oddając przy tym ani jednego strzału. Problem polegał na tym, że nie wiedział, jak sforsować drzwi, które zaprojektowano tak, by oparły się działaniom terrorystów i każdego, kto chciałby przejść kontrolę nad statkiem.

Do pokoju wszedł Masterson.

– Jak się trzymasz? – zapytał.

Vinter zwrócił uwagę, że Masterson potrzebował zachęty – należało nim trochę pokierować. Wziął go za rękę.

– Przeżyję. – Zawahał się i z pewną dramaturgią dodał: – O ile, rzecz jasna, dotrzemy w porę do Ushuaia.

Masterson jakby się zawahał.

– Te drzwi prowadzące na mostek...

– Greg, wszystko dokładnie przemyślałem. Oakes zdołał pozyskać trochę ładunków C4 ze składu broni ochrony. Wie, jak wysadzić te drzwi. – To nie do końca było prawdą, ale Oakes przeszedł pewne wstępne szkolenie z posługiwania się materiałami wybuchowymi na obozie treningowym. – Wysadzi drzwi, a wy wejdziecie do środka. Masz dość ludzi, broni i motywacji do działania.

– Rozumiem. Ale wszyscy na mostku są uzbrojeni po zęby.

– Jeśli nie przejmemy statku i nie odpłyniemy stąd w cholerę, wszyscy będziemy martwi. Pięćdziesiąt osiem godzin do bezpiecznego portu, zapamiętaj to. Pięćdziesiąt osiem godzin i będzie po wszystkim.

Masterson pokiwał głową, a Vinter kontynuował:

– Jesteś przywódcą. Wszyscy czekają na to, co zrobisz. Ty to zacząłeś i Bogu dzięki, że to zrobiłeś. A teraz zbierz ludzi i dokończ to. Posłuchaj, jaki mam plan. – Wychylił się do przodu i aż skrzywił się z bólu. – Musimy działać szybko i zdecydowanie, od tego zależy powodzenie całego planu. I – co najważniejsze – nie możemy dopuścić do tego, by urządzenia na mostku zostały uszkodzone.

Przyciągnął Mastersona do siebie i zaczął go wtajemniczać w kolejny etap buntu na pokładzie.

Tulley stał obok sternika. Jak każdy dobry kapitan emanował powagą i surowością, lecz choć pozornie zachowywał spokój, w środku aż się gotował. Na statku zapanował chaos. Wszędzie pleniły się robaki, a w każdym razie w dolnych częściach statku. Powstrzymanie buntu kosztowało życie pierwszej oficer i oficera wachtowego, a wielu innych odniosło większe lub mniejsze obrażenia. Na pokładzie mostka wciąż była krew. Buntownicy zdołali przejąć kontrolę nad okrętowym interkomem i nieustannie prowadzili werbunek, podczas gdy inne środki łączności zostały przez nich zablokowane lub wyłączone. Pojawiały się raporty o aktach wandalizmu na naprawdę szeroką skalę. Funkcjonariusze ochrony przyłączali się do buntowników. Wielu ludzi wydawało się być zarażonych przez robaki, chociaż prawie nie sposób było stwierdzić, kto był zainfekowany, a kto nie.

Tulley był pewien, że otaczający go oficerowie są zdrowi, na mostku nie zauważono ani jednego robaka. Ale mimo to dla pewności nakazał wszystkim obecnym, aby połączyli się w pary i pilnowali nawzajem.

Spojrzał na rozkazy od Glinna, dostarczone mu w formie odręcznego pisma przez Manuela Garzę. Misja była kontynuowana, szef EES-u zamierzał zrealizować swój plan i zdetonować bombę atomową. Statek miał pozostać na miejscu do chwili, aż zostanie wydany bezpośredni rozkaz, żeby z pełną mocą obrać kurs na północ, co miało uchronić jednostkę przez falą sejsmiczną wywołaną eksplozją jądrową. Garza przyprowadził ze sobą dwóch funkcjonariuszy ochrony mających wspomóc obronę mostka na wypadek kolejnego ataku. Ci dwaj, jak wyjaśnił Garza, to wszystko, na co mogli obecnie liczyć, cała reszta nie była godna zaufania i najprawdopodobniej została zarażona, a co za tym idzie, zasilila szeregi buntowników.

Tulley zdał sobie sprawę, że drugi atak jest nieunikniony. I gdy tylko ta myśl zaświtała mu w głowie, mostkiem wstrząsnęła potężna eksplozja, powalając go na pokład.

Bomba atomowa została opuszczona do tytanowej sfery bezzałogowego zdalnie sterowanego pojazdu podwodnego i odpowiednio zabezpieczona w jej wnętrzu, aby mogła zostać opuszczona w głębinę. Zaglądając przez właz do środka, Gideon ostatni raz sprawdził urządzenie, przepatrując jego najważniejsze komponenty. Wszystko wydawało się być w idealnym porządku.

– Teraz trzeba ją uzbroić i nastawić opóźniacz czasowy – powiedział. – Na ile nastawić?

– Ile czasu zajmie dotarcie na pozycję? – Glinn zwrócił się do Garzy, który właśnie wrócił z mostka.

– Około trzydziestu minut – odrzekł Garza.

– Sugerowałbym kwadrans rezerwy. Jeżeli zdecydujemy się na więcej, ryzykujemy, że baobab powstrzyma nasze działania. Jeżeli nastawimy na krócej, może się okazać, że wskutek jakiejś usterki czy opóźnienia pojazd nie dotrze na czas w ustalone miejsce i ładunek wybuchnie na zbyt wysokim pułapie. Odłączyłeś mechanizm zdalnego wyłączenia bomby?

Gideon pokiwał głową.

– Doskonale. Gdy znajdziesz się pod wodą, nie będziesz w stanie przerwać odliczania. Po nastawieniu zegara i włączeniu opóźniacza czasowego nie będzie już odwrotu.

Gideon znów pokiwał głową, a potem odwrócił się do bomby i wprowadził kod uzbrajający urządzenie. To aktywowało opóźniacz czasowy i ekran ciekłokrystaliczny zegara elektronicznego. Gideon potwierdził, że bomba atomowa jest uzbrojona, starannie wpisał czas odliczania do detonacji: czterdzieści pięć minut, po czym wcisnął klawisz aktywujący procedurę uzbrojenia.

Zostało mu czterdzieści pięć minut życia.

Opiekun łodzi podwodnych zamknął i zabezpieczył właz na szczycie tytanowego kiosku. Gideon odwrócił się i przeszedł przez pokład rufowy do Pete'a, który został wytoczony z hangaru i ustawiony pod ramieniem dźwigu hydraulicznego. Batyskaf lśnił żółto-biało w porannym słońcu. Obok stał zdalnie sterowany bezzałogowy pojazd podwodny połączony z Pete'em grubym, ciężkim kablem holowniczym. Obie miniłodzi miały zostać opuszczone do wody równocześnie, co było trudną i ryzykowną operacją.

Gideon spojrzał na Pete'a. Drabinka została przystawiona, kłapa włazu była otwarta. Wszystko zostało przygotowane, pojazd czekał na niego. Ale on tkwił przed batyskafem w kompletnym bezruchu.

– Osobiście wyłączyłem sztuczną inteligencję Pete'a – wyjaśnił półgłosem Glinn, stając przy drabince obok DSV. – Zrobiłem to samo z systemem

przejmowania kontroli nad pojazdem głębinowym z powierzchni, na wypadek gdyby ktoś z centrum dowodzenia próbował cię powstrzymać. – Przerwał. – Już czas...

Gideon oblizał wargi, po czym przeszedł przez pokład i zatrzymał się przy drabince.

- Powodzenia – rzekła Rosemarie Wong.
- Powodzenia – powiedział z lodowatym uśmiechem McFarlane.
- Powodzenia – zawtórował Glinn.

Wyciągnął rękę, a Gideon ją uściśnął. McFarlane w milczeniu zrobił to samo. Gideon odwrócił się, zacisnął dłonie na zimnej stali szczebla drabinki, zawahał się przez krótką chwilę, po czym wspiał się na górę. Opiekun łodzi był zajęty obsługą urządzeń kontrolnych dźwigu. Niewielka grupka pozostałych – McFarlane, Glinn, Garza, Wong – stała na pokładzie, obserwując. Garza uniósł rękę w pożegnaniu gości.

Gideon ostatni raz rozejrzył się dokoła: popatrzył na poranne słońce wschodzące na błękitnym niebie, na fantastycznie wyrzeźbione góry lodowe obmywane przez powoli przelewające się fale – i na horyzont, na jawiące się w oddali ciemne chmury zwiastujące zbliżający się sztorm. Zajrzał przez luk do ciemnego wnętrza DSV. Następnie złapał za uchwyt u góry wjazdu, przełożył nogi przez krawędź i opuścił się do środka. Gdy zajął miejsce na fotelu operatora, usłyszał nad sobą szcęk zamykanej i ryglowanej klapy. Niemal zaraz potem poczuł, jak dźwig unosi pojazd głębinowy za burtę ku oceanowi. Z konieczności pominęli całą procedurę kontroli bezpieczeństwa i sprawności systemów batyskafu. Pete był zapasowym pojazdem głębinowym, nie brano pod uwagę, że zostanie wykorzystany. Był sprawdzany w Woods Hole dwa miesiące temu. Mogło się okazać, że coś w nim nie zadziała.

„Cóż”, pomyślał Gideon, „po prostu umrę kilka minut wcześniej”. Nie było sensu zawracać sobie tym głowy. Warto było natomiast pomyśleć o śmierci Alex Lispenard. I jej strasznym życiu po śmierci, o tym, że jej mózg w jakiś sposób został zachowany i wciąż był świadomy, uwięziony głęboko w ciele baobabu. Jakże dziwne musiało to być i przerażające zostać odciętą od wszelkich bodźców czuciowych, gdy twój umysł jest wykorzystywany przez obcą formę życia do myślenia. To była upiorna perspektywa. Gideon mógł więc przynieść ulgę Alex, poświęcając własne życie.

Zapiął pasy. To będzie samotna wycieczka w jedną stronę, ku nicości.

Kapitan Tulley powoli odzyskiwał przytomność. Stwierdził, że leży na pokładzie, oszołomiony, otoczony kłębam dymu, i że strasznie dzwoni mu w uszach. Po chwili, gdy zaczął odzyskiwać zdolność widzenia i wróciła mu pamięć, sięgnął do boku po broń. Z rozmytej szarości wyłoniły się dwie postacie. Pochwyciły go, rozbroiły, przewróciły na brzuch i poczuł zimną stal zaciskającą się

na jego przegubach.

Próbował coś powiedzieć, ale w odpowiedzi otrzymał cios w głowę. Dym zaczął się rozwiewać, a Tulley, leżąc na brzuchu, zobaczył, że inni oficerowie na mostku, także zakuci w kajdanki, byli wleczeni w stronę tylnej grodzi mostka. To się stało szybko, operacja została doskonale zaplanowana i zrealizowana.

– A więc to ty, Masterson – powiedział, rozpoznając jednego z mężczyzn, który założyli mu kajdanki.

– Tak. I bardzo mi przykro, kapitanie, ale przejmujemy statek. Zabieramy się stąd i nie zamierzamy dłużej ryzykować.

Tulley został brutalnie postawiony na nogi, doprowadzony do tylnej grodzi i tam przykuty łańcuchem do ściany. Wkrótce dołączyli do niego nawigator i drugi oficer, a po minucie cała reszta została skuta i unieruchomiona razem. Gdy na mostku rozwiął się dym, Tulley zobaczył leżące na podłodze ciała dwóch funkcjonariuszy, których przyprowadził Garza, i jednego z marynarzy – wszystkich zastrzelono. Okna na mostku, przy drzwiach po lewej stronie, które wysadzono ładunkiem C4, były roztrzaskane, a pozostałe popękały. Główne stanowisko nawigacyjne, z radarem i chartplotterami, wyglądało na poważnie uszkodzone.

Jednakże buntownicy byli dobrze zorganizowani. W sytuacji awaryjnej zresetowanie pewnych funkcji kontrolnych pozwalało na operowanie całym statkiem – z pominięciem maszynowni – bezpośrednio z mostka. Kapitan Tulley zorientował się, że właśnie to robił teraz Masterson. Wiedział, że ten człowiek jako zastępca mechanika i inżyniera pokładowego jest w stanie kontrolować działanie systemów silnika i pędników.

Czy inni buntownicy też byliby w stanie nawigować statkiem?

Rozejrzał się dokoła. Mieli asystenta nawigatora, sternika, obserwatorów i kilku marynarzy. Podczas gdy elektronika w obszarze nawigacyjnym została ewidentnie uszkodzona wskutek wybuchu, wciąż mieli do swojej dyspozycji wszystkie mapy i przyrządy nawigacyjne. A cholerny telefon komórkowy w dzisiejszych czasach mógł podać wszelkie niezbędne koordynaty GPS-u, pozwalając na ustalenie pozycji na morzu. Kiedy jednak oszacował straty, zdał sobie sprawę, że przynajmniej trochę powinny ich spowolnić. To będzie naprawdę długi rejs do Ushuaia.

Patrzył, jak buntownicy w skupieniu, z wprawą wykonują swoje zadania. Nagle poczuł charakterystyczną, przenikającą cały statek wibrację świadczącą o tym, że uruchomione zostały silniki, a Batavia zaczęła reagować na wprowadzone zmiany.

Buntownicy powiedzieli, że chcą się stąd wynieść, i nie tracili czasu.

Dźwig podniósł Pete'a i wystawił go za burtę, a Gideon poczuł znajome kołysanie. Przez dolny iluminator mógł spostrzec fragment pokładu rufowego i małą obserwującą go grupkę, kiedy pojazd głębinowy był opuszczany do wody. Ostatni raz zdążył jeszcze spojrzeć na powierzchnię oceanu i spienioną kipieli białej wody za rufą statku. Co to mogło oznaczać? Czy Batavia odpływała?

Z tych rozważań wyrwało go dość gwałtowne zanurzenie, spotęgowane będącymi we wstępnej fazie ruchami statku. Za szybą iluminatora zawirowały bąble powietrza, a już po chwili Gideon usłyszał szcęk zwalnianych haków, gdy Pete i jego towarzysz podróży, bezzałogowy pojazd podwodny, zostały odłączone od mocowań dźwigu.

Poczuł nagle, przyprawiające o mdłości opadanie. Przez iluminator zobaczył kołyszący się pod nim pojazd z bombą ściągający go w głębinę jak ciężka żelazna kula na łańcuchu. Woda za bulajem pociemniała i bardzo szybko stała się całkiem czarna, gdy DSV opadał z prędkością dziesiątków metrów na sekundę w otchłań oceanu.

Z sercem w gardle Gideon operował przyrządami Pete'a. Gdyby nie zdołał zahamować opadania, uderzyłby w dno oceanu, a wtedy byłoby po wszystkim. Sklarował zbiorniki balastowe, jeden po drugim, napełniając je powietrzem, by zwiększyć wyporność. Ale nawet wówczas DSV wciąż szedł na dno jak kamień. Próbując przezwyciężyć panikę, Gideon zrozumiał, że może spróbować jeszcze czegoś innego – powinien odrzucić żelazne obciążniki balastowe. Odrzuciłby je wszystkie cztery naraz, gdyby nadeszła pora wynurzenia na powierzchnię, i wcześniej tak właśnie robił, ale tym razem już nie wróci z głębin.

Nacisnął przycisk i pozbył się jednego obciążnika. Opadanie zostało spowolnione, ale pojazd głębinowy przechylił się nieznacznie na jedną stronę. Zrzucił obciążnik z drugiej strony i opadanie znacząco się spowolniło. Teraz jednak DSV pozbawiony równowagi miał co najmniej dwadzieścia pięć stopni przechyłu.

Szaleńcze opadanie na dno zostało zahamowane. Gideon odchylił się do tyłu i odetchnął z ulgą. „Świetnie. Po prostu świetnie. Teraz mogę umrzeć tak, jak to sobie zaplanowałem”. Przez dolny iluminator w świetle reflektorów mógł zobaczyć bezzałogowy pojazd podwodny zwisający poniżej na kablu, kolebiący się powoli z boku na bok i wprawiający w kołysanie jego pojazd głębinowy.

Spojrzał na zegar odmierzający czas w okienku w rogu głównego monitora. Czterdzieści minut.

Gdzie był? Nie miał nawet chwili na włączenie urządzeń mechanicznych i elektrycznych. Dopiero teraz uruchomił te najważniejsze – pędniki, sonar,

głębokościomierz, kamery, system podtrzymywania życia. Poszczególne elementy zamigotały i urządzenia elektroniczne ożywały jedno po drugim.

Miał wrażenie, że trwa to całą wieczność, zanim wszystko się uruchomiło, ale w rzeczywistości zajęło zaledwie kilka minut. Rzut oka na głębokościomierz uświadomił mu, że znajduje się na głębokości tysiąca metrów i nadal opada, choć teraz z prędkością kilku metrów na sekundę. Cały pojazd głębinowy był przekrzywiony. Nie było to przyjemne, ale upomniał sam siebie, że to potrwa jeszcze tylko... trzydzieści siedem minut.

Musiał się zorientować, gdzie jest wrak Rolvaaga. Na sonarze nie było widać nic oprócz pustego dna oceanu. Wlepił wzrok w ekran, wypatrując charakterystycznego, nieco rozmazanego kształtu statku. Nie było go tam. Nie mógł też odnaleźć chmury hydrolokacyjnej generowanej przez baobab. Przez chwilę manipulował przy urządzeniach kontrolnych, powiększając zasięg sonaru, ale przed sobą miał tylko puste dno oceanu. Zdryfował od obszaru docelowego. Jak daleko odpłynęła Batavia, zanim został spuszczonej do oceanu?

Poczuł narastającą panikę. Jeszcze tylko trzydzieści pięć minut, a on nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Nie bał się śmierci, ale nie chciał umrzeć na darmo.

Nagle zdał sobie sprawę, że cholerny rożek sonarowy był przechylony i omiatał dno oceanu tylko z jednej strony. Czy mógł to jakoś poprawić? Zaczął manipulować pokrętkami, aby skorygować dwudziestostopniowy przechył, i odetchnął z ulgą, gdy ujrzał rozmytą plamę Rolvaaga oraz dziwną hydrolokacyjną chmurę oznaczającą obecność baobabu. Zdryfował jakieś osiemset metrów na północ od celu.

Doskonale. Opuszczenie się wprost na cel byłoby istnym szaleństwem – baobab miałby go podanego na tacy. Gdyby jednak opadł w dół w swoim obecnym położeniu, zbliżyłby się do dna oceanu po drugiej stronie Rolvaaga, a co za tym idzie, niepostrzeżenie mógłby podplłynąć do celu, ukryty za potężnym spoczywającym w mule wrakiem.

Tam się zacai, będzie niewidoczny dla baobabu, a na dwie minuty przed detonacją podniesie pojazd głębinowy na wysokość dwustu metrów nad dnem oceanu i zaczeka w ustalonym miejscu aż do końca. Pora ruszać. Napełnił wodą morską jeden ze zbiorników balastowych i DSV zaczął opadać szybciej.

Trzydzieści minut do detonacji.

Cztery minuty później jego oczom ukazało się dno oceanu. Opróżnił zbiornik balastowy, uzyskując pływalność zerową. Pozwolił, by batyskaf powoli i ostrożnie zdryfował w dół, aż bezzałogowy pojazd podwodny zawisł jakieś siedem metrów powyżej dna. Następnie popłynął naprzód, w stronę oddalonego osiemset metrów Rolvaaga, starając się, żeby masywny wrak przez cały czas znajdował się między nim a baobabem.

To było istne piekło – kontrolowanie pojazdu głębinowego holującego

uszkodzony bezzałogowy ROV z umieszczoną w nim bombą atomową. Zdalnie sterowany pojazd podwodny cały czas kołysał się, pociągając za sobą Pete'a i sprawiając, że konieczna była nieustanna korekta kursu. Gideonowi udało się jednak osiągnąć niezłe tempo i zaledwie kilka minut później ujrzał przed sobą ogromny kadłub Rolvaaga. Zwolnił, wprowadzając Pete'a za osłonę statku. Nie odważył się wygasić świateł, płynąc naprzód, miał jedynie nadzieję, że baobab nie wychwycił tego blasku.

Dwa fragmenty wraku górowały teraz nad nim, a gigantyczny kadłub w kolorze rdzy wznosił się półkolistnie w górę, znikając za jego polem widzenia. Zatrzymał się zaledwie kilka metrów od wraku, dobrze ukryty. Wygasił światła i przygotował się na krótkie oczekiwanie – ostatnie w jego życiu. To zabawne, ale teraz, kiedy miał wkrótce wyjść na spotkanie śmierci – niechybnej śmierci – jego mózg kompletnie się wyłączył. Nie myślał o niczym. Tylko o ostatnich krokach, jakie miał podjąć, aby umieścić bombę w odpowiednim położeniu i doprowadzić swoją misję do końca. No i – uśmiechnął się ponuro – uratować świat.

Dwadzieścia cztery minuty.

Nagle przez iluminator na sterburcie ujrzał zbliżające się światła. Jasne światła. Był kompletnie zbity z tropu. Co to miało znaczyć, u licha? Włączył światła swojego DSV i ze zdziwieniem stwierdził, że to, co zobaczył, było pojazdem głębinowym. Ku niemu z prawej burty zbliżał się John.

Eli Glinn poczuł wibracje silników okrętowych i natychmiast zorientował się, co się stało.

– Co, u diabła? – zapytał Garza. – Kapitan nie wydał rozkazu uruchomienia jednostki!

– To nie kapitan – odparł Glinn. – Buntownicy musieli zająć mostek.

Garza pokręcił głową.

– Cóż, trochę się spóźnili, nie uważasz? Co prawda tylko o kilka minut, ale jednak.

– Na to wygląda.

– Matko Boska – wyszeptał Garza, wpatrując się w miejsce, gdzie zniknął pojazd głębinowy Gideona. – Trzeba mieć jaja, żeby zdecydować się na coś takiego. Nawet jeśli wiesz, że jesteś umierający.

– To jeszcze nie jest koniec – odezwał się Sam McFarlane.

Glinn spojrział na niego. Twarz tamtego była wymizerowana. Facet wyglądał jak duch. Miał zapadnięte oczy.

– Gideon jest być może szalony – zauważył Garza – ale ten facet ma szczęście. Jak dotąd ani razu nie zawiódł.

Rozległy się krzyki, a zaraz potem Glinn ujrzał grupę buntowników z bronią biegnących w ich stronę przez pokład rufowy.

Opiekun DSV też ich zauważył i rzucił się pędem w kierunku hangaru. Rozległy się strzały i upadł podziurawiony kulami.

– Położyć się! – rozkazali buntownicy, kiedy ich otoczyli. – Twarzą do pokładu! Ręce na widoku.

Glinn, McFarlane, Garza i Wong unieśli ręce. Zostali otoczeni. Uklękli, a potem położyli się twarzą do dołu. Mężczyźni przeszukali ich, zabrali im broń, zakuli w kajdanki i podzwignęli z powrotem na nogi. Glinn zauważył, że jeden z mężczyzn miał na koszuli ślady krwi, najwyraźniej niedawno musiał krwawić z nosa.

– Gdzie zdalnie sterowany pojazd podwodny? – zapytał ten, który krwawił z nosa. – Co się tu stało?

– Stało się to, że się spóźniliście, frajerzy – odparł Garza, spluwając na pokład.

Tamci spojrzeli na niego. Wydawali się zbici z tropu.

– Co to znaczy, że się spóźniliśmy?

– Zobaczcie.

– Zamkniemy was w ładowni, żebyście nie sprawiali więcej kłopotów – powiedział ten z krwawiącym nosem. – Idźcie z nami.

Gdy prowadzono ich pod pokład, Glinn zauważył, że chaos i przerażenie na statku wyraźnie osłabły. Załoga Batavii wydawała się lepiej zorganizowana, wykonywała swoje obowiązki z zaangażowaniem. Wszystko przepełnił nienaturalny spokój. Czy to dlatego, że w końcu oddalali się od niebezpieczeństwa i kierowali w stronę portu, czy dlatego, że większość z nich została zainfekowana?

Przyjrzał się uważniej asystentce Prothera Rosemarie Wong. Jej kitel był umazany krwią.

– Jesteś ranna? – zapytał Glinn.

– To nie moja krew – odparła. – Wiesz, co się dzieje, prawda?

– Obawiam się, że tak.

Zniżyła głos.

– Oni prawie wszyscy są zarażeni.

Glinn pokiwał głową.

– A my będziemy następni. Zamkną nas w ładowni pełnej robaków, żebyśmy również się do nich przyłączyli.

Glinn był wyczerpany, ale wiedział, że baobab nie wygra – Gideonowi uda się go zniszczyć. Glinn zastanawiał się, co by się stało, gdyby rojący się od robaków statek z zarażoną załogą zawinął do portu w Ushuaia. Uznał jednak, że takie zamartwianie się jest bezcelowe. Jeżeli baobab zostanie zniszczony, zainfekowana załoga nic na to nie poradzi. Lecz gdyby Gideon zawiódł, wówczas wszystko będzie tylko kwestią czasu.

Spojrzał na zegarek: dwadzieścia minut do wybuchu. Gdy prowadzono go pod pokład, zdał sobie sprawę z tego, że coś jest nie tak: odgłos silnika i wrażenie poruszania się naprzód nie wydawały się takie jak powinny; najwyraźniej statek nie osiągnął swojej stałej prędkości żeglugowej dwunastu węzłów. Obecna prędkość oscylowała w granicach czterech, pięciu węzłów. Nie wiedział, dlaczego tak się stało. Przy takiej prędkości statek nie zdoła się wydostać poza obszar o promieniu blisko dziesięciu kilometrów, czyli poza strefę zagrożenia objętą falą wstrząsów sejsmicznych wywołanych przez eksplozję. „Może to pozwoli również zlikwidować problem infekcji”, pomyślał ponuro, gdy schodzili w ciemność ładowni.

Wepchnięto ich przez wodoszczelne drzwi śluzy grodziowej do cuchnącego, dusznego pomieszczenia w najgłębiej położonej części statku. Drzwi zostały zamknięte i zablokowane z zewnątrz, a wówczas w ładowni zapanowała nieprzenikniona ciemność.

Usłyszeli dochodzące ze wszystkich stron szmery i odgłosy skrobania.

Gideon zorientował się, że John płynął ku niemu z misją samobójczą jak kamikadze; najwyraźniej sztuczna inteligencja została wyłączona lub zastosowano obejście mające doprowadzić do tego, że minilódź podwodna będzie mogła go staranować. Zwiększył moc pędników i obrócił Pete'a dziobem do Johna, równocześnie zaczął podnosić batyskaf tak szybko, jak to było możliwe. Niestety, bezzałogowy pojazd podwodny bardzo obciążał jego batyskaf i utrudniał mu manewrowanie. Uznał, że przede wszystkim musi teraz chronić tylne pędniki przed uszkodzeniem.

Powoli, z wielkim trudem, przy wtórze dudnienia pędników DSV podniósł się wraz z podczepionym balastem. John zbliżał się szybko, lecz nierówno i, czy to wskutek mylnego oszacowania, czy błędnego pokierowania, nie trafił w cel; minął Pete'a w bezpiecznej odległości. Gideon zauważył przy urządzeniach kontrolnych Antonellę Sax usiłującą zawrócić pojazd głębinowy bez pomocy pilota automatycznego. To było niesamowite: starsza egzobiolog stała się niewolnikiem obcej formy życia. O czym, u licha, mogła myśleć?

Pete wznosił się teraz szybciej, podczas gdy poniżej DSV Antonelli Sax zawrócił. Gideon zorientował się, że John płynie takim kursem, by trafić w rufę Pete'a, celując, ze zrozumiałych powodów, w znajdujące się tam pędniki.

Stwierdził, że nic nie może zrobić, żeby zapobiec zderzeniu. Szybko zakręcił dźwignią, obracając DSV, by ocalić tylne pędniki, i patrzył bezradnie, jak John zmierza wprost na niego. Przez przedni iluminator widział spokojne puste oblicze patrzącej na niego doktor Sax.

Nastąpiło potężne uderzenie i pojazd głębinowy zadygotał pod wpływem wstrząsu. Gideonem szarpnęło do przodu, ale przytrzymały go pasy bezpieczeństwa. Jeden z monitorów pękł, a wewnątrz kapsuły dla operatora buchnęła kaskada iskier. Na szczęście tytanowa sfera została zbudowana tak, by mogła wytrzymać ogromne ciśnienie, znacznie wyższe niż to, jakie powstało przy tym zderzeniu. Sax nie miała szans go zatopić, taranując jego DSV – lecz mogła uniemożliwić mu wyniesienie bomby na właściwą wysokość.

Szesnaście minut.

Gdy jego wznoszący się pojazd głębinowy wyłonił się ponad górną krawędzią Rolvaaga, oczom Gideona ukazał się baobab. Gideon był wstrząśnięty: obcy byt zdawał się teraz jarzyć niezwykłą wewnętrzną fluorescencją; ta gigantyczna, blada, zielonkawożółta istota nie przypominała już drzewa, lecz raczej ogromny polip nabrzmiewający i kurczący się, w miarę jak nabierał i oddawał wodę.

Crew zastanawiał się, czy miał szansę nawiązać łączność z doktor Sax przez

telefon UQS i wyperswadować jej tę szaloną obronę baobabu. Włączył telefon podwodny.

– Antonello! – zawołał. – Słyszysz mnie?

John zawracał, żeby podjąć kolejną próbę ataku. Gideon zdziwił się, usłyszawszy przez telefon spokojny, niewzruszony głos kobiety:

– Słyszę cię bardzo dobrze.

– Co ty wyprawiasz, u licha?

– Pytanie brzmi raczej: co ty robisz?

– Próbuję zabić to coś, co zamierza zniszczyć Ziemię. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, że zostałeś zarażona? Ta istota tobą manipuluje!

Sax parsknęła śmiechem.

– Więc ty też, Gideonie Crew opileś się kool-aida. Ta wspaniała i inteligentna forma życia przybywa na Ziemię, a my uważamy, że trzeba to coś zniszczyć? Jakie to smutne.

– Tak, ponieważ to pasożyt i zniszczy nas, jeżeli my nie zniszczymy go pierwsi.

Kolejny cichy śmiech.

– Nic nie wiesz o tej istocie. Ja się z nią porozumiewam, Gideonie. To doprawdy nadzwyczajne doświadczenie. Wiem, czego chce, o czym myśli i co czuje. Przybyła tu w pokojowych zamiarach i nie potrafi zrozumieć, dlaczego pragniecie ją zgładzić.

To było szaleństwo. Gideon zauważył, że oprócz przekazu głosowego jego telefon UQC pochwycił coś jeszcze – jakby zrzut danych. Czy Sax próbowała zhakować jego DSV? Ale zanim zdążył się wyłączyć, drugi batyskaf runął na niego. Gideon obrócił Pete'a, raz jeszcze starając się uchronić pędniki przed uszkodzeniem. Tym razem zwrócił uwagę, że Sax płynęła niżej niż jego batyskaf.

„Zamierza staranować pojazd podwodny przenoszący broń atomową”.

Zakręcił dźwigienką, spowalniając wznoszenie, aby Sax nie zdołała zderzyć się z bezzałogowym pojazdem podwodnym. Z przerażeniem jednak stwierdził, że chociaż dzięki temu manewrowi uniemożliwił staranowanie minilodzi z bombą, to mechaniczne ramię batyskafu John gładko przecięło kabel holowniczy. Lina pękła przy wtórze silnego szarpnięcia i Gideon zobaczył przez dolny iluminator, jak bezzałogowy pojazd podwodny opada w kierunku wraku Rolvaaga i znika w ogromnej wyrwie w kadłubie.

Nagle uwolniony od ciężaru bomby Pete wystrzelił w górę jak bańka powietrza, przyspieszając coraz bardziej i pozostawiając w dole Johna, który wyglądał teraz jak szybko oddalające się skupisko świateł, pozostające w ciemnościach. Przez boczny iluminator Gideon miał doskonały widok na gigantyczną fosforyzującą istotę. Widział wyraźnie odrażający otwór gębowy rozszerzający się i pompujący wodę, gałęzie groźnie wysunęły się ku niemu, ale on

poruszał się teraz tak szybko, że przemknął bezpiecznie tuż poza zasięgiem pseudokonarów i kilka minut później DSV pojawił się na powierzchni oceanu, wylaniając się z głębin. Miniłódź podwodna zakołysała się na falach jak kula bilardowa, aż w końcu znieruchomiła.

Przepełniony bezbrzeżnym zdumieniem Gideon popatrzył przez przedni iluminator: Pete podskakiwał jak korek na powierzchni oceanu. Kilka kilometrów dalej widać było oddalający się kształt Batavii.

Spojrzał na zegar odliczający czas do detonacji. Dwanaście minut.

Co tam, do cholery, pomyślał, jego misja zakończyła się porażką, ale może przynajmniej spróbować ocalić swój tyłek. Pchnął drążek do przodu i skierował DSV w stronę statku.

Dziewięć minut do wybuchu.

Dociskał drążek sterowania do oporu, żyłując prędkość pędników do maksimum, ale na powierzchni pojazd głębinowy poruszał się powoli, bo wody oceanu były coraz bardziej wzburzone, ponieważ nadciągał sztorm. Udało mu się wycisnąć z pojazdu zaledwie kilka węzłów, nie więcej. Z jakiegoś powodu Batavia też nie płynęła z pełną mocą silników, choć i tak była szybsza od jego batyskafu. Nie miał szans jej dogonić.

Osiem minut.

Bomba wpadła do wnętrza Rolvaaga. Szybka symulacja, jaką udało mu się przeprowadzić w tym krótkim czasie, jaki mu jeszcze został, wykazała, że bomba atomowa zdetonowana na powierzchni lub wewnątrz wraku Rolvaaga prawdopodobnie nie spełni swojego zadania: stalowy kadłub pochłonie zbyt dużą część siły wybuchu. Mógł mieć jedynie nadzieję, że jego wyliczenia okażą się błędne.

Sześć minut.

Wiedział, że Batavia powinna się znajdować co najmniej sześć mil morskich od epicentrum, w przeciwnym razie fala uderzeniowa, z uwagi na umiejscowienie ładunku, przekształcona w falę sejsmiczną uszkodzi kadłub statku. Nie było mowy o tym, aby Pete zdążył opuścić strefę zagrożenia, ale sądząc po tym, z jaką prędkością włókł się statek, on także nie zdoła w porę oddalić się na bezpieczną odległość.

Cztery minuty.

Przy obecnej prędkości dwóch węzłów znajdzie się trzy mile morskie od Rolvaaga. Dwa do kwadratu dodać trzy do kwadratu... Cholera, ile wynosi pierwiastek z trzynastu? Trzy i pół mili – tyle w linii prostej będzie go dzielić od epicentrum wybuchu.

Dwie minuty.

Musiał przestać myśleć o eksplozji. Zamiast tego skupił się na Alex. Wyobrażał sobie jej twarz. Myślał o niej, uwolnionej od tego potwora. To było

o wiele lepsze.

Minuta.

Najpierw pojawiło się światło – zmętniały rozbłysk widoczny w dolnym iluminatorze. Ale już trzy sekundy później nadeszła fala uderzeniowa i poczuł się tak, jakby rąbnęła go gigantyczna pięść, a potem wszystko spowiła nieprzenikniona czerń.

Kiedy ich niedoszły strażnik więzienny zabezpieczył drzwi śluzy, Eli Glinn usłyszał głośny tupot oddalających się kroków. Zamknięto ich w najniższej położonej części ładowni zwanej lazaretem, gdzie znajdowały się mechanizmy sterujące statku i osłona strumieniowego pędnika azymutalnego.

Było tu gorąco i ciemno. Pod kratowaną stalową podłogą słychać było chlupot przelewającej się wody i dźwięki zasysającej wodę pompy zęzowej.

Glinn słyszał także przybierające na sile odgłosy rozlegające się wokół nich: szmery, szelesty i skrobanie robaków wylażających ze swoich kryjówek.

– Ponieważ jestem naukowcem – odezwała się Wong – zastanawiam się, jak to działa. To znaczy, jak to jest, kiedy robak wwierci ci się przez nos do mózgu i odtąd stajesz się niewolnikiem tej istoty. I nie masz świadomości tego, co robisz. Jak zarażeni racjonalizują swoje poczynania?

Glinn poczuł pewną pocięchę, mogąc wysnuć teorię wyjaśniającą to zjawisko i przynajmniej na chwilę oderwać się od obecnej, dość trudnej sytuacji.

– Istoty ludzkie – powiedział – mają wyjątkową zdolność do racjonalizacji i oszukiwania samych siebie. Robaki po prostu czerpią z tej zdolności.

– To prawda. Ale czy ci ludzie mają amnezję? Czy pamiętają, jak robak wpłynął im do nosa?

– Podejrzewam, że już wkrótce się tego dowiemy – odparł McFarlane.

Glinn żałował, że nie może w ciemnościach dostrzec tarczy swojego zegarka i sprawdzić, która jest godzina. Zastanawiał się, czy statek znajduje się jeszcze w strefie zagrożenia, czy może wydostał się już poza jej granicę. Miał nadzieję, że pozostawał w obrębie strefy wybuchu i że zagłada statku przebiegnie w miarę szybko.

– Niech to szlag! – zawołał McFarlane. – Pieprzony robal!

Glinn usłyszał, jak łowca meteorów przesuwają się energicznie i gniewnie depcze dokoła.

– Uch!– Wong strąciła z siebie robaka i zaczęła otrzepywać ubranie. – Są wszędzie!

Glinn usłyszał przy swoich stopach szmer pełzających robaków przypominający szelest jesiennych liści. Poczuł, jak jeden z nich, a potem drugi wślizguje mu się pod nogawkę spodni. Potrząsnął kończynami, otrzepując ubranie, chociaż zdawał sobie sprawę, że tylko opóźniał to, co nieuniknione. Może powinien się poddać. Tyle że nie mógł tego zrobić, czuł, jak robaki pełzają po jego skórze, i było to tak odrażające, że wierzgał, kopał i uderzał się otwartymi dłońmi po całym ciele, próbując je z siebie strząsnąć. Ale było ich tak wiele – zbyt wiele – i w dodatku przywierały do niego, jakby się lepiły.

Garza krzyczał. McFarlane kłął. Wong wrzeszczała. Cała ładownia wypełniła się ich wołaniem. A robaki nie odpuszczały...

I wtedy to się stało. Zupełnie jakby znaleźli się wewnątrz wielkiego bębna, w który ktoś zaczął łomotać z całych sił drewnianym młotkiem. Ten przejmujący do szpiku kości łoskot sprawił, że Glinn poczuł, iż zatrzęsł się mózg w jego czaszce. A potem stracił przytomność.

Ale nie na długo. Doszedł do siebie, leżąc na kracie, czując łupanie pod czaszką i dzwonienie w uszach. Wciąż było ciemno. Skrobanie robaków ucichło – zastąpił je głośny ryk wody.

– Sam? – wychrypiał.

Jęk.

– Rosemarie? – Glinn pomacał dookoła i odnalazł Wong. Delikatnie ją spoliczkował raz i drugi. – Rosemarie?

Stęknęła. Pomógł jej usiąść.

– Moja głowa – poskarżyła się.

– Słyszeliście to? – rozległ się głos Garzy. – Wybuch uszkodził kadłub. Statek tonie.

– A my jesteśmy zamknięci w ładowni – powiedziała Wong nieco silniejszym już głosem. – Jak nie robaki, to przybierająca woda. Nie ma to jak mieć wpływ na swój los.

Tymczasem dudniący, pulsujący rytm silnika przeszedł w zawodzący, jękliwy zgrzyt i terkot, a po paru chwilach ucichł zupełnie.

– Czy ktoś wie, jak moglibyśmy się stąd wydostać, zanim utoniemy? – spytał Glinn.

– Nie – odparł półgłosem McFarlane.

– Ja wiem – odezwała się Wong.

– To jest odpowiedni moment, żeby nam o tym powiedzieć.

– Sprawdzimy, w jaki sposób dostały się tu robaki. I wydostaniemy się stąd tą samą drogą.

– Racja – przyznał Garza. – A przecież wiemy, jak dostały się tu te robaki – przez kanały wentylacyjne. Nawet tak głęboko pod pokładem, w najniższej położonej ładowni, musi być wentylacja.

Glinn usłyszał, jak Garza wstaje i zaczyna obmacywać dłońmi biegnące ukośnie ściany lazaretu. W pewnej chwili rozległ się głuchy odgłos.

– Jest – powiedział Garza. – Znalazłem klapę. Chodźcie za dźwiękiem mojego głosu. Wydostaniemy się stąd.

Gideon powoli odzyskiwał przytomność, jego ciało pulsowało tępym bólem. Potrzebował kilku minut, żeby zrozumieć, co się stało, i uświadomić sobie, że nie zginął.

DSV wciąż unosił się na powierzchni oceanu, ale teraz był odwrócony dnem do góry. Fotel operatora znajdował się pod sufitem, pasy bezpieczeństwa zwisały luźno. Coś było nie tak z jego ręką i gdy przyjrzał się jej uważnie, zobaczył wystający z ociekającego krwią przedramienia fragment kości. Ten widok był naprawdę okropny i wywołał w nim lekki szok. Wnętrze sfery było zniszczone, wszędzie wałały się szkło i przewody, w zatęchłym powietrzu czuć było kwaśną woń dymu. Jedyne światło wpadało przez iluminatory.

Ale powłoka była nienaruszona, a on żył.

Fala sejsmiczna mocno nadwyrężyła łódź podwodną, lecz tytanowa sfera nie została uszkodzona. Przez iluminator na sterburcie dostrzegł oddaloną o trzy kilometry sylwetkę Batavii. Statek miał niewielki przechył i już się nie przemieszczał. Gideon patrzył, jak statek coraz bardziej się przechylał. Niedługo potem na pokładzie zaczęto spuszczać na wodę pomarańczowe szalupy ratunkowe.

Powietrze było coraz gęstsze i Gideonowi nagle zakręciło się w głowie. Kiedy otaksował wzrokiem zniszczone wnętrze kapsuły, zauważył, że wszystkie systemy podtrzymywania życia są niesprawne. Dysponował jedynie powietrzem wewnątrz kapsuły, a oddychał nim już od kilku minut, może nawet dłużej. Miał wrażenie, że poziom tlenu spadał coraz bardziej, a może odczucie to wywołał potworny ból promieniujący ze złamanej ręki.

Musiał się wydostać. Oznaczało to zejście na dół i opuszczenie kapsuły od spodu, jako że właz wejściowy znajdował się teraz na dole. Miał jedynie nadzieję, że siła eksplozji nie wypaczyła włazu i nie uwięziła go w środku.

Odganiając od siebie myśli o wszystkim oprócz ucieczki, spróbował się poruszyć. Pękała mu głowa, cały był poobijany i pokaleczony: miał szkło we włosach, krew spływała mu do oczu, a ramię wyglądało okropnie. Każdy ruch sprawiał mu dojmujący ból.

Musiał unieruchomić ramię, jeżeli chciał cokolwiek zrobić. I musiał się spieszyć, zanim zemdleje wskutek szoku. Zdrową ręką rozpiął guziki koszuli, a następnie wyciągnął ją ze spodni. Pojękując, przewiązał złamaną rękę – unieruchomił ją przy ciele, przyciśniętą do brzucha. Odgarnąwszy zdrową ręką potłuczone szczątki, otworzył właz i – Bogu dzięki – zdołał go otworzyć. Woda nie wdarła się do środka, gdyż powietrze w sferze dla operatora nie miało dokąd ujść i utworzyło coś w rodzaju bańki. Woda była zimna, miała niecałe dziesięć stopni Celsjusza.

No i dobrze.

Wślizgnął się do wody, zanurzając się w niej po pachy. Szok wywołany zetknięciem z zimną wodą złagodził do pewnego stopnia ból promieniujący ze złamanej ręki. Górna kłapa kiosku, ta delikatniejsza, została zerwana przez falę uderzeniową. Musiał wstrzymać oddech, zanurkować, opuścić kapsułę i wypłynąć na powierzchnię.

I tak też zrobił.

Wypłynął tuż obok swojego na wpół zanurzonego pojazdu głębinowego. Złapał się wystającego metalowego fragmentu i zdołał się wyczołgać z lodowatej wody, po czym przylgnął do kadłuba zdewastowanej minilodzi podwodnej. Było tam sporo dogodnych uchwytów i oparcí, co akurat stanowiło spory plus, bo ocean był wzburzony, niebo zasnuwane ciemnymi chmurami i zrywał się silny wiatr zwiastujący sztorm. Boże, ależ było zimno.

Leżąc na tytanowej osłonie podskakującego na falach Pete'a, rozdygotany, nie mógł się nadziwić, że nadal żyje. Byłoby szkoda, gdyby teraz umarł. I w chwili, gdy nawiedziła go ta myśl, usłyszał jakiś dźwięk, a zaraz potem w górze przemknął samolot, machając swoimi skrzydłami do tonącej Batavii i zrzucając flary oraz boje sygnałowe.

Nie wiedział, czy udało mu się zniszczyć baobab. Istniało spore prawdopodobieństwo, że siła wybuchu, osłabiona przez fakt, że bombę zdetonowano wewnątrz kadłuba Rolvaaga, okazała się niewystarczająca do wytworzenia efektu eksplozji dwóch mieszających się ze sobą cieczy. Ale wiedział jedno – wszyscy zostaną uratowani. I on także ocalał – przynajmniej po to, by jeszcze trochę pożyć.

Chwilę potem Gideon Crew zemdlął.

Epilog

Gideon Crew, z jedną ręką w gipsie i na temblaku, szedł Dwunastą Ulicą Little West, która była obecnie luksusową dzielnicą Dolnego Manhattanu, a kiedyś mieściły się tu zakłady przetwórstwa mięsnego. Dotarłszy do nierzucającego się w oczy wejścia do siedziby Efektywnych Rozwiązań Inżynieryjnych, zaczekał pod okiem kamery ochrony, dopóki nie wciśnięto przycisku i nie wpuszczono go do środka. Przeszedł przez surowy, przeraźliwie monochromatyczny korytarz, otwarto mu kolejne drzwi i znalazł się w głównym budynku.

Przed nim rozciągała się ogromna pusta przestrzeń, którą znał tak dobrze, sięgająca trzy piętra w górę, z kładkami ciągnącymi się na całym jej obwodzie na różnych wysokościach. Parter zajmowały najróżniejsze modele 3-D, białe tablice, komputery oraz rozmaite struktury bioelektryczne i biomechaniczne, a także wolno stojące laboratoryjne kubiki obłożone płachtami przezroczystego plastiku. Technicy w kitlach krążyli to tu, to tam, sporządzając notatki na tabletach albo rozmawiając w niewielkich grupkach.

Brakowało tylko jednej rzeczy. Gideon zauważył ten brak: znikła ogromna diorama, przedstawiająca baobab i otaczające go ze wszystkich stron dno oceanu, która wcześniej zajmowała sporą część pomieszczenia na parterze. Znikło praktycznie wszystko, co miało jakikolwiek związek z tym projektem.

– Doktorze Crew? – Podeszedł do niego mężczyzna w garniturze. – Czekają na pana na górze. Proszę za mną.

Gideon ruszył za mężczyzną do najbliższej windy, po czym wjechał z nim na piąte piętro. Mężczyzna poprowadził go przez kolejne pomalowane na biało korytarze do nieoznakowanych drzwi, otworzył je i wpuścił go do środka.

Gideon znalazł się w rozległym wysokim pomieszczeniu, w którym nigdy dotąd nie był. Wyglądało to na aulę wykładową z tuzinem półkoliście rozstawionych rzędów krzeseł wznoszących się jak w greckim amfiteatrze, przed którymi znajdowało się niskie podwyższenie. Niewielkie świetliki w suficie pozwalały dostrzec błękitne grudniowe niebo. Za podwyższeniem znajdowała się długa ściana ze sprzętem elektronicznym i mechanicznym, dyskretnie ukrytym za panelami z przyciemnionego szkła. Na podwyższeniu na stoliku ustawiono sporych rozmiarów model.

Mężczyzna zamknął za nim drzwi, a Gideon przeszedł wąskim przejściem między krzesłami do przodu. W sali spostrzegł kilka znajomych twarzy: Manuela Garzę, Rosemarie Wong, asystentkę do spraw hydrobiologii i akustyki morskiej, oraz Sama McFarlane'a. McFarlane siedział w pierwszym rzędzie z wyprostowanymi, skrzyżowanymi w kostkach nogami. Widząc Gideona, łowca meteoratów skinął na niego, a Gideon nie miał pewności, czy chce go zbyć, czy

może proponuje mu, by obok niego usiadł.

Oczywiście widywał te wszystkie osoby, zarówno przelotnie, jak i podczas dłuższych spotkań, w trakcie rekonwalescencji po odniesionych obrażeniach i narażeniu na napromieniowanie. Ale po raz pierwszy widział ich wszystkich w jednym miejscu od czasu tamtej dramatycznej akcji ratunkowej, kiedy mimo zrywającego się sztormu i trudnych warunków uratowano ocalałych z Batavii.

Zajawszy miejsce w drugim rzędzie, obok Rosemarie, Gideon przyjrzał się uważniej modelowi stojącemu na stole. Wyglądało to na jeszcze jedną rekonstrukcję dna morskiego: miejsca zatonięcia Rolvaaga i ukorzenia się baobabu. Tyle tylko, że ten model był inny niż poprzedni. Zamiast przerażającej, rozrośniętej do niebotycznych rozmiarów istoty był tu zięjący w dnie oceanu postrzępiony gigantyczny krater, jakby w ziemię uderzyła pięść rozjuszonego olbrzyma. Przypominało to Gideonowi Aklavik, niezwykle krater meteorytowy w północnej Kanadzie, o którym opowiadał McFarlane, lecz ten był o wiele większy i znacznie głębszy. Skala była nieporównywalna.

Drzwi w rogu sali wykładowej otworzyły się i pojawił się w nich Glinn. Przeszedł powoli wzdłuż ściany z elektroniką, wspiął się na podwyższenie i odwrócił się, by przemówić do zebranych.

– Dziękuję wam wszystkim, że się tu zjawiliście – powiedział. – Pomyślałem, że będzie rzeczą właściwą, aby formalnie zakończyć naszą misję krótką dyskusją z udziałem tych, którzy w największym stopniu przyczynili się do jej sukcesu.

Podszedł bliżej zebranych i skinął ręką w stronę modelu.

– Możemy chyba stwierdzić, że misja zakończyła się sukcesem. Eksplozja typu ciec-ciecz, której pomysł podsunął nam Sam McFarlane, a którą przeprowadził Gideon, detonując bombę, spełniła swoje zadanie. Posłaliśmy w tamten rejon statek badawczy – po cichu, ma się rozumieć – i cały ten obszar został przez nas dokładnie przeskanowany przez urządzenia hydrolokacyjne. Wrak Rolvaaga przestał istnieć, w jego miejsce pojawił się olbrzymi krater, co można zobaczyć na tym oto modelu. Wygląda na to, że wybuch dotarł dostatecznie daleko w głąb dna oceanu, aby unicestwić wszystkie pobrane przez pasożyta mózgi. Na powierzchni zaobserwowano unoszące się gnijące szczątki istoty, ale do martwej strefy zaczęło już powracać życie.

– A co z promieniowaniem radioaktywnym? – spytał Gideon.

– Ocean to cudowny twór. Jest tak ogromny, że niezmierzone ilości słonej wody otaczające miejsce eksplozji pochłonęły ją i rozproszyły. Odradzałbym nurkowanie bezpośrednio do krateru po wybuchu bomby, niemniej powiedziałbym, że wkrótce całe to miejsce znów będzie tętniło życiem. I zgodnie z naszymi przewidywaniami, na co w skrytości ducha liczyliśmy, lokalne i globalne stacje sejsmiczne potraktowały naszą detonację jako bardzo silną erupcję podwodnego

wulkanu, nic więcej.

Przysiadł na krawędzi stołu.

– Znacie te czy inne szczegóły. Ale ja ściągnąłem tutaj was wszystkich, żeby poznać was z pełnym obrazem sytuacji. Wygląda na to, że robaki, które zainfekowały tak wielu członków załogi i personelu naukowego Batavii, oraz koniec końców przejęły statek na rozkaz baobabu, zginęły wraz z nim. W chwili eksplozji zapadły w stan uśpienia. Od tego momentu, jak zdołaliśmy stwierdzić, zaczęły bardzo szybko wysychać i umierać, a gdy statek zatonął, zabrał je ze sobą na dno.

– Co z zainfekowaną załogą? – spytała Rosemarie Wong.

Twarz Glinna spochmurniała.

– O ile zdołaliśmy się zorientować i dowiedzieć z późniejszych ustaleń, z chwilą zniszczenia baobabu zarażeni członkowie załogi zapadli w stan zbliżony do letargu i otępienia. Odmówili opuszczenia pokładu. Gdy Batavia szła na dno, wielu z nich doznało wylewu krwi do mózgu, przypuszczalnie w rezultacie nagłej śmierci robaków, które się tam zagnieździły.

Przerwał.

– Zgodnie z oficjalnym raportem do zatopienia statku doszło w wyniku erupcji podwodnego wulkanu, co skądinąd nie odbiega aż tak bardzo od prawdy.

– Ile? – zapytał Sam McFarlane.

– Słucham?

– Ile istnień ludzkich przepadło wraz z zatonięciem Batavii?

Tym razem odezwał się Garza:

– Pięćdziesiąt siedem.

„Pięćdziesiąt siedem”, pomyślał Gideon. Dodać do tego sto osiem osób, które poszły na dno z Rolvaagiem, i wychodzi na to, że tak zwany meteoryt pochłonął w efekcie sto sześćdziesiąt pięć ofiar. Nie wspominając o Alex Lispenard, Barrym Fraynie, Protherze, doktorze Brambellu i innych. To było tragiczne, naprawdę tragiczne, ale mogło być dużo, dużo gorzej.

Najwyraźniej McFarlane też tak pomyślał, bo choć w pierwszej chwili jego twarz spochmurniała i sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, to w końcu się rozluźnił i rozsiadł wygodniej.

Glinn najwyraźniej to zauważył, bo zwrócił się do łowcy meteorytów.

– Sam – powiedział – cała reszta tu obecnych osób to pracownicy lub wysokiej rangi oficerowie EES-u. To było zadanie, którego musieliśmy się podjąć. Ty nie musiałeś. Ale to właśnie twoje sugestie i wnikliwe uwagi dotyczące systemu korzeniowego obcej istoty, która zagnieździła się w dużej mierze pod ziemią i tam przechowywała mózgi mające stać się zalążkami nowych nasion, oraz podpowiedzi związane z możliwością przeprowadzenia eksplozji typu ciec-ciecz, pomogły w unicestwieniu baobabu.

McFarlane machnął ręką lekceważąco.

– Prawdziwym bohaterem jest obecny tu Gideon Crew. To on zmontował bombę jądrową. On ją uzbroił i dostarczył na miejsce. I zrobił to, mając świadomość, że uczestniczy w misji samobójczej. Był w pełni gotowy poświęcić życie, żeby nas ocalić.

– Gideon zaskarbił sobie moją dozą wdzięczności, jak również wdzięczność nas wszystkich, całego EES-u. Będzie miał okazję doświadczyć tych dowodów wdzięczności w najróżniejszej postaci przez kolejne miesiące swojej obecności w naszej firmie. Ale ty, z tego, co wiem, zamierzasz wkrótce opuścić Nowy Jork. – Glinn poklepał się po kieszeni kurtki. – Mam tu czek na pięćset tysięcy dolarów, skromny wyraz naszego uznania za twój wkład w tę misję.

– Zatrzymaj go – odparł McFarlane.

Wszyscy odwrócili się, by na niego spojrzeć. Nawet Glinn wydawał się zaskoczony.

– Skontaktował się ze mną Palmer Lloyd – wyjaśnił McFarlane. – Najwyraźniej już z nim rozmawiałeś.

Glinn skinął głową.

– Wysłał mi czek na wielokrotnie wyższą kwotę. A od kiedy otrzymał najświeższe nowiny, z każdym dniem jego stan się poprawia. Prawdę mówiąc, pozwolono mu na korzystanie z widelca podczas spożywania *mignonettes dijonnaise*, zamiast podawać mu je przez słomkę.

– Co zamierzasz zrobić z tą forszą? – spytał Garza.

– Połowę wykorzystam, by założyć organizację charytatywną nazwaną imieniem mojego dawnego partnera Nestora Masangkaya. A drugą zapewne przehulam. – Przeciągnął się z lubością na krześle. – Mam na oku pewną małą wysepkę na Malediwach. Tylko sto kroków, ale połowę stanowi plaża. W pogodną noc bioluminescencyjny fitoplankton wygląda tak niesamowicie, że trzeba to zobaczyć na własne oczy, żeby w to uwierzyć.

Jego słowa sprawiły, że przez chwilę w sali zapanowała kompletna cisza.

– A co z robakami? – zapytał Gideon. – Udało się ustalić, w jaki sposób baobab komunikował się z nimi i jakim cudem mógł kierować poczynaniami załogi Batavii?

– To jedna z tajemnic, które wciąż jeszcze czekają na wyjaśnienie, o ile w ogóle zdołamy ją kiedykolwiek rozwiązać. Wygląda na to – i to jest informacja ściśle tajna – że stworzenie emitowało fale radiowe o bardzo niskiej częstotliwości, zbliżone do tych, z jakich korzystamy podczas łączności z atomowymi okrętami podwodnymi. Gdy przebywaliśmy na granicy lodu, takie fale zostały wychwycone przez marynarkę wojenną Stanów Zjednoczonych z odległości wielu tysięcy kilometrów. Wojskowi uważają, że Rosjanie opracowali nowy system łączności dla okrętów podwodnych i doprowadza ich to do szału.

– Niepokoi nas jednak znacznie poważniejsza zagadka. – Glinn znów wstał i zaczął krążyć po podwyższeniu przed modelem. – Kiedy telefon podwodny UQC był włączony podczas twojej rozmowy z doktor Sax, Gideonie, doszło do załadowania danych cyfrowych. Może o tym wiesz. Udało nam się uratować kopię tej wiadomości w pamięci czarnych skrzynek Batavii tuż przed opuszczeniem statku. Przekaz wydaje się pochodzić od obcej istoty lub raczej od obcego mózgu, który to stworzenie wykorzystywało, by czerpać wiedzę oraz móc wykonywać podstawowe funkcje motoryczne. Wiemy, że mózg ten był naprawdę bardzo duży, przynajmniej jak na ludzkie standardy. Wiemy również, dzięki Protherowi i tu obecnej doktor Wong, że spędził on wbrew swojej woli miliony lat w przestrzeni kosmicznej i przybył tu z miejsca odległego o mnóstwo lat świetlnych.

– Musiał mieć od groma czasu na rozmyślenia – wtrącił ironicznie McFarlane.

– Możemy jedynie przypuszczać, że istota ta należała do znacznie inteligentniejszej rasy niż nasza. Wiadomość zawierała masę danych binarnych w układzie zerojedynkowym. Nasi inżynierowie od trzech tygodni próbują ją rozszyfrować. Najwyraźniej nie mają one żadnego związku z liczbami, matematyką ani znanymi algorytmami. Nie jest to również żaden język ani żadna forma logicznej komunikacji. Nie składa się także z obrazów.

Znów przerwał.

– Uważamy, że obcy mózg wiedział, co się wydarzy, zdawał sobie sprawę, że to ostatnia wiadomość, jaką nam przekazuje. A zatem musiała być ona szczególnie istotna. Tyle tylko, że wciąż nad nią pracujemy i nie mamy pojęcia, jak ją rozgryźć.

– Próbowaliście ją odtworzyć? – spytała półgłosem Wong.

Glinn spojrział na nią i zmarszczył brwi.

– Słucham?

– Spytałam: czy próbowaliście ją odtworzyć?

– Odtworzyć? – zapytał Glinn. – Tak jak muzykę?

– Podwodne środowisko, z którego pochodziła ta istota, było przede wszystkim środowiskiem akustycznym. Odtwórzcie to.

– Jak mielibyśmy to zrobić? – zapytał Garza.

– Wiemy, że obcy usłyszał i zrozumiał pieśń wielorybów. Słuchał i komunikował się cyfrowo za pośrednictwem baobabu. Można śmiało zakładać, że wychwycił także nasze transmisje podwodne – między statkiem a pojazdem głębinowym i między batyskafami za pośrednictwem telefonu UQC.

Glinn zamyślił się przez chwilę.

– Ale UQC to telefon akustyczny, który działa z wykorzystaniem technologii analogowej.

– Tak – przyznał Garza. – A to dawałoby tej istocie dostęp zarówno do

analogowego, jak i cyfrowego sposobu łączności. Nie żeby to cokolwiek mogło mu pomóc.

– Obcy mózg mógł komunikować się jedynie cyfrowo – powiedziała Wong. – Ale nie znaczy to, że nie próbował przesyłać sygnału analogowego. Prothero zapoznał mnie kiedyś z tą technologią. Ta istota oczywiście nie mogła wiedzieć, jak użyć dekodera audio, ale nie ma powodu, by nie mogła przesłać nieskompresowanego strumienia bitów danych audio. – Wong rozejrzała się wokoło. – Co innego mogłoby mieć tak dużą objętość, jeśli nie transmisja danych?

– Moim zdaniem to trochę naciągane – powiedział Garza.

– Może i tak – przyznała Wong. – Aby udowodnić, że się mylę, wystarczy przepuścić ten plik przez konwerter cyfrowo-analogowy.

Glinn w milczeniu przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Podeszedł do telefonu wiszącego na pobliskiej ścianie i sięgnął po słuchawkę

– Halo? Połącz mnie z laboratorium audio. – Pauza. – Z kim rozmawiam, ze Smythefeldem? Mówi Eli Glinn z audytorium. Proszę przynieść do auli konwerter cyfrowo-analogowy i zestaw mocnych głośników. Tak, natychmiast.

Odwieszając telefon, otworzył jeden z paneli z przyciemnianego szkła, znajdujący się za nim, by ukazać kilka zamontowanych na stojaku komputerów. Wysunął klawiaturę, włączył jeden z komputerów, wprowadził serię komend, po czym rozwinął znajdujący się przy urządzeniach elektronicznych kabel optyczny toslink do przesyłania cyfrowych danych stereo.

– Przesłałem plik z przekazem od obcego do pamięci tego komputera – powiedział.

Gideon zauważył, że Garza poruszył się na miejscu, wydawał się oburzony. Najwyraźniej uważał, że to wszystko jest tylko niepotrzebną stratą czasu. Ale przynajmniej nie powiedział tego na głos.

Jedne z drzwi na drugim końcu sali otworzyły się i do środka weszło dwóch mężczyzn w białych kitlach, niosąc kilka zamówionych przez Glinna urządzeń. Gideon, który był audiofilem, rozpoznał drogi sprzęt stereo Grace Design DAC oraz potężny zestaw głośników z najwyższej półki marki Dynaudio. Postawili przyniesione rzeczy na stole, podłączyli do gniazd u podstawy podwyższenia, a potem, gdy Glinn skinął do nich głową, bez słowa opuścili pomieszczenie. Glinn włożył kabel toslink z tyłu do urządzenia stereo, po czym użył pary kabli symetrycznych XLR, by podłączyć głośniki do urządzenia sterującego. Włączył głośniki, zwiększył natężenie dźwięku na ich tylnych panelach, wyregulował wzmocnienie i trasowanie sygnału w kontrolerze, po czym podeszedł do klawiatury komputera.

– Włączam odtwarzanie – powiedział.

Na początku nic się nie stało. Aż wreszcie rozległ się długi, cichy, delikatny dźwięk, do którego dołączyły kolejne i następne, tworząc narastający,

powiększający się z każdą chwilą chór. Gideon poczuł coś dziwnego. Nigdy dotąd czegoś takiego nie doświadczył. Zupełnie jakby znajdował się tu, siedząc na krześle, w sali zebrań w nowojorskiej siedzibie EES-u, a jednocześnie był wszędzie indziej na całym świecie i zarazem nigdzie. Dźwięk, który usłyszał, którego doświadczał, wydawał się najpiękniejszą muzyką, jaką można sobie wyobrazić. A jednak to nie była muzyka. To było coś więcej niż muzyka – to była forma komunikacji tak głęboka, niezmiernie i cudowna, że nie sposób opisać jej słowami. Gideon miał wrażenie, jakby usłyszał śpiew samego Boga. Równocześnie poczuł, że z jego ramion zdjęto ogromne, ciężące na nich brzemie. Ból i smutek, które w sobie nosił, stare i nowe cierpienia narastające każdego dnia jego życia, które stały się dla niego czymś w rodzaju drugiej skóry – utrata rodziców, śmierć Alex, wiszący nad nim jak miecz Damoklesa wyrok śmierci wydany przez lekarzy specjalistów, widmo nieuleczalnej choroby, która za parę miesięcy miała pozbawić go życia – to wszystko prysło jak mydlana bańka, znikło zupełnie zastąpione przez rodzaj spokojnej, nadmysłowej radości. Kiedy tak siedział jak urzeczony, poczuł, że zawiasy jego umysłu zaczynają się poluzowywać. Ogarnęło go niezwykle doznanie, jakby znajdował się o krok od zrozumienia prawdziwego sensu życia, jakby lada moment miały zostać przed nim odkryte najskrytsze cele wszechświata, coś niewypowiedzianego, niewysłowionego, wykraczającego poza możliwości ludzkiego pojmowania, lecz aby przyjąć to objawienie, jego odrębność, poczucie własnego ja musiało wprawdzie rozpuścić się w pustce kosmosu...

I nagle muzyka się urwała.

Gideon z głośnym westchnieniem wrócił do siebie. Glinn, kołysząc się na podwyższeniu lekko na nogach jak po silnym ciosie, wyłączył odtwarzacz audio.

– Nie sądzę... – zaczął, po czym przerwał na chwilę, by wziąć kilka głębszych oddechów i trochę się opanować. – Nie wydaje mi się, żeby świat był na to gotowy.

Mimo że Glinn przerwał odtwarzanie, nieopisana radość, uwolnienie, jakiego doświadczył dzięki tym dźwiękom Gideon, nie minęły – a przynajmniej nie do końca.

– To dar – powiedział dziwnym głosem McFarlane. – Obca świadomość przekazała nam ten dar, chcąc w ten sposób podziękować za wyzwolenie jej z więzienia, w którym tkwiła.

– Dar – powtórzył Gideon.

Przenosząc wzrok na McFarlane'a, zauważył, iż gorzki wyraz chmurnej zadumy, który zdawał się tak nieodłączną cechą łowcy meteorytów, że niemal można by odwzorować go na jego podobiznie, gdyby ktoś kiedyś zechciał wybić monetę z jego wizerunkiem, wyraźnie zelżał. Zupełnie jakby łowca meteorytów również uwolnił się od egzystencjalnego mroku, który towarzyszył mu jak cień przez większość jego życia.

Ich spojrzenia się spotkały. McFarlane uśmiechnął się powoli.

Gideon odpowiedział uśmiechem, po czym rozsiadł się wygodnie, podnosząc wzrok ku sufitowi, a czyste światło wpadające przez świetliki, które skąpało go złocistym blaskiem, wydało mu się czymś tak cudownym jak delikatny pieśczośliwy dotyk samego absolutu.

Kilka słów do naszych czytelników

Wiele lat temu, więcej niż bylibyśmy w stanie to przyznać, napisaliśmy powieść sensacyjną zatytułowaną *Granica lodu*. Opowiadała ona o wyprawie na bezludne pustkowia u skutych lodem najdalszych brzegów Ameryki Południowej, której celem było zdobycie największego w świecie meteorytu. Ekspedycja nie przebiegła zgodnie z planem. To była mroczna opowieść, a jej zakończenie raczej ponure i enigmatyczne. Wtedy uważaliśmy, że dalsze wyjaśnienia nie były konieczne. Tak jak w wypadku słynnego odcinka serialu *Strefa mroku* pod tytułem *To Serve Man* wydawało się, że po zakończeniu lektury ta historia może mieć tylko jeden finał.

Jednakże zaczęliśmy otrzymywać listy i maile z pytaniem, co właściwie się wydarzyło potem. Czytelnicy zaczęli się domagać kontynuacji tej powieści.

Myśleliśmy, że ich żądania z czasem ustaną. Ale tak się nie stało. Wciąż otrzymywaliśmy listy i maile, które w miarę upływu czasu można było liczyć w tysiącach. Nawet całkiem niedawno podczas podpisywania kolejnych naszych książek i spotkań z czytelnikami zawsze pojawiał się ktoś, kto nas pytał, kiedy w końcu napiszemy kontynuację *Granicy lodu*.

Eli Glinn po raz pierwszy pojawił się właśnie w tej powieści i od tamtej pory wystąpił w kilku innych naszych późniejszych książkach. W tajemniczy sposób, który sprawia, że fikcyjne postacie niekiedy zaczynają żyć własnym życiem, Glinn także zaczął na nas naciskać, abyśmy opowiedzieli dalszy ciąg tej historii, ba, podejmował nawet pewne zakulisowe działania, by do tego doprowadzić. Glinn zaraził Gideona Crew, najnowszego bohatera naszych powieści, swoją obsesją na punkcie „meteorytu”. Wtedy też zdaliśmy sobie sprawę, że nasi czytelnicy mieli rację: ta historia i jej bohaterowie domagali się kontynuacji. Kiedy to sobie uświadomiliśmy, zrozumieliśmy że oto nadeszła pora, aby znowu wyruszyć w rejs.

Zadaliśmy sobie sporo trudu, by ta nowa powieść nie była tylko historią przeznaczoną dla miłośników *Granicy lodu* czy Gideona Crew, lecz samodzielną opowieścią, która może zadowolić każdego, niezależnie czy miał okazję czytać nasze wcześniejsze książki. Mamy nadzieję, że teraz, z perspektywy czasu, zgodzicie się z nami i że nieźle się bawiliście podczas tej fikcyjnej wyprawy – czy to po raz pierwszy, czy drugi – wędrując przez ryczące czterdziestki, wyjące pięćdziesiątki i bezludne sześćdziesiątki⁶ na południowym Atlantyku, by znaleźć się hen poza granicą lodu.

¹ Motel z *Psychozy* A. Hitchcocka i późniejszego serialu opowiadającego o Normanie Batesie, psychopatycznym mordercy i jego matce (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² Fragment wiersza *Pochwała wapienia* W.H. Audena w przekładzie Leszka Elektorowicza.

³ *Spurtle* – drewniany przedmiot służący do mieszania owsianki (szkocki ang.).

⁴ COWiG – branża inżynierii sanitarnej obejmująca ciepłownictwo, ogrzewanie, wentylację, klimatyzację i gazownictwo.

⁵ Pete Best – pierwszy perkusista grupy The Beatles, współpracujący z nią w latach 1960–1962.

⁶ Autorzy w tekście używają określenia „ryczące sześćdziesiątki”, choć tak naprawdę to nie jeden, lecz trzy obszary, które w niniejszym tłumaczeniu zostały wymienione powyżej, ponieważ bohaterowie pokonują je wszystkie, aby znaleźć się poza granicą lodu.

„To znowu rośnie. Musimy to zniszczyć. Trzeba działać natychmiast!”

Tymi słowami zaczyna się najnowsza, najbardziej niebezpieczna, być może kluczowa w życiu Gideona Crew misja. Jeśli zawiedzie, może to oznaczać zagładę całej ludzkości.

Eli Glinn, szef tajemniczej organizacji o nazwie Efektywne Rozwiązania Inżynieryjne, jest człowiekiem z pasją. Nie toleruje porażek. A pięć lat temu podczas wykonywania misji pozyskania gigantycznego meteorytu z odległej wyspy u wybrzeży Ameryki Południowej poniósł wręcz życiową klęskę. Statek, którym dowodził, został zniszczony podczas sztormu, a unikalny ładunek trafił na dno oceanu.

Od tej pory ma obsesję na punkcie niedokończonego zadania, zwłaszcza że meteoryt okazuje się nie tym, czym się wydawał. Ów tajemniczy przybyły z kosmosu organizm wrósł w dno oceanu i zaczyna się rozwijać, zagrażając ekosystemowi, a w efekcie także ludzkości. Wynajęcie do współpracy Gideona Crew od samego początku miało tylko jeden cel. Glinn zamierza wykorzystać jego umiejętności do zniszczenia pozaziemskiego meteorytu. Organizuje nową wyprawę, od której wyniku zależeć będzie los całego świata...

Preston i Child wykorzystują różne elementy z klasycznych dzieł grozy oraz filmów i powieści science fiction, łącząc je w pasjonującą powieść.

Associated Press



Douglas Preston i Lincoln Child

są autorami wielu intrygujących, uznanych przez krytykę i czytelników, bestsellerowych thrillerów, m.in. dwóch serii: z agentem Pendergastem i Gideonem Crew.

Patron medialny

lubimy czytać.pl



Zamówienia
www.burdaksiążki.pl
tel. +48 22 360 37 77
[facebook.com/burdaksiążki](https://www.facebook.com/burdaksiążki)

Zeskanuj kod
i pobierz
darmową
próbę książki



KSIĄŻKA DOSTĘPNA
TEŻ JAKO E-BOOK